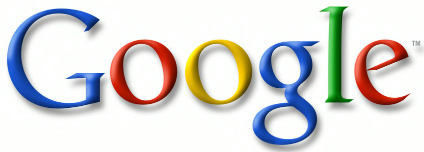




M. DUBIECKI

OBRAZY I STUDYA HISTORYCZNE




SIGILLVM · VNIVERSITATIS · CALIFORNIENSIS
LVX
FIAT
MDCCCLXVIII
EX LIBRIS

7^{50}

15.-

1.-

OBRAZY I STUDYA HISTORYCZNE

OBRAZY

I

STUDYA HISTORYCZNE

SKREŚLONE PRZEZ

MARYANA DUBIECKIEGO

SERYA I

TREŚĆ:

1. OSADCZY ZIEMI MANDŻU W XVII. STULECIU.
2. GNIAZDO HETMAŃSKIE. – 3. CZARNIECKI W DANII.
4. MIŁOŚĆ WIEKÓW UBIEGŁYCH.
5. JEDEN DZIEŃ Z ŻYCIA PIOTRKOWA W XVIII. WIEKU.
6. JAN DŁUGOSZ, PIERWSZY DZIEJOPIS POLSKI

WYDANIE DRUGIE



WARSZAWA
NAKŁAD GEBETHNERA I WOLFFA
KRAKÓW G. GEBETHNER I SPÓŁKA
1901

KRAKÓW. — DRUK W. L. ANCZYCA I SPÓŁKI.

Współwędrowcom drogi życia, przyjaciołom zmarłym i żyjącym, którzy życiem nie zaparli się przeszłości, poświęca

Autor

Odessa 10 Kwietnia 1883 r.

OSADCZY ZIEMI MANDŻU

w XVII stuleciu.

OSADCZY ZIEMI MANDŻU

w XVII stuleciu.

Dość często w wiekach ubiegłych, na dalekich krańcach globu, spotykamy ziomków naszych na stanowiskach mniej lub więcej wybitnych. Klęski domowe, jassyr u obcych, wyrok banicyi wiszący nad zbrodniczą a niekiedy burzliwą tylko głową i znaglający do szukania schronienia zdala od gniazd własnych, niespokojny wreszcie animusz, chęć sławy lub żądza mienia i przygód — oto były przyczyny, które rzucały ongi wielu poza kresy ziemi rodzinnej i wynosiły na obczyźnie ponad poziom tłumu imiona nieznane przedtem u swoich. Byli to pospolicie jeno jurgieltnicy, posłuszne narzędzia dłoni, co ich żywiła, osypywała dostojeństwy i odmykała im na ścieżaj wrota godności, o których nie marzyło się im nawet w dniach pierwszej doby życia, pod rodzinną strzechą; ale niekiedy — acz nader rzadko - występują oni i samodzielnie, działają z własnego natchnienia, nie tracą nawet często znamion swego pochodzenia. Oprócz przykładu, który jest przedmiotem niniejszej opowieści, niech mi wolno będzie przytoczyć przykład inny, pierwszemu prawie spółczesny.

Znany wywołaniec ziem wielkopolskich, Krzysztof Arciszewski, piastujący w Brazylii władzę nieograniczoną wice-króla, ani na chwilę nie zapomina o swej starej cnocie domowej, wyniesionej z pod rodzinnej strzechy. Tęsknica do gniazd ojczystych każe mu hetmanić mnogim szykom i władztwo nad bogatemi osadami drugiego półsferza zamienić na skromne włodarstwo na niwach rodzinnego Rogalina. Po długich latach pożytecznie spędzonych na obczyźnie, wraca władzca Brazylii na nadwiślańskie błonia, prawie tak, jak określa stare przysłowie: «z kordem a boso». Mamy na to świadectwo w liście pisanym do Władysława IV, gdzie wyraźnie powiada, iż jeżeli królowi podoba się mieć go w Polsce, «nie panem, ale chudym pachołkiem widzieć mię będziesz raczył...» [1]. A przecież był to człowiek słynny na obu lądach. Holandya bije medale na jego cześć [2], a Ameryka w 1637 roku, więc jeszcze za jego życia, w Rio Janeiro pomnik mu wznosi. Mocen on był czerpać z nieprzebranych skarbów Nowego świata, zdobytych ostrzem swego miecza; lecz gardzi złotem i wzdycha do spartańskiej prostoty.

To zachowanie właściwości plemiennych znagla obcych a dalekich przestrzenią i kulturą, do szanowania obyczaju naszego, do używania mowy naszej tam, kędy przedtem nigdy jej dźwięk nie obijał się o ucho cudzoziemca. Dawna Polska, oprócz Persyi, owej «azyamskiej ziemi» — jak ją mienili u nas w XVII w. — w żadnem z państw azyatyckich nie zestosunkowana, przez cały szereg wieków ani razu nie prowadziła z Pekinem dyplomatycznej korespondencyi. A jednak chiński trybunał do spraw zagranicznych, gwoli dogodzeniu swym państwowym interesom, uważał w XVII wieku za stosowne użyć języka polskiego w swej korespondencyi międzynarodowej,

---

[1]) Pamiętniki o dawnej Polsce, wyd. 1822 r., tom IV, str. 269.
[2]) Gerard van Laon: Hist.. mennic Hol. Amsterdam 1747 r.

acz pisał do ziem ościennych, do osad, które stanęły na północnych kończynach kraju Mandżu, na lewym brzegu rzeki Saghalin-Uła (dziś Amur), a zatem w promieniu ziem hołdowniczych państwa Niebieskiego.

Polak kolonizator, przewódzca drużyny burzliwych duchów w okolicach dzikich, niezaludnionych północnej Mandżuryi, znać wiernie się trzymał starego obyczaju i mowy tej ziemi, skąd ojciec jego ród swój wyprowadzał — a on pono wcale jej nie oglądał — skoro władze chińskie, oprócz tekstu języka Mandżu, umieszczają tekst polski w swych korespondencyach z osadami, wzniesionemi zabliegliwością owego syna ziemi naszej. Chcąc bliżej przypatrzyć się pobudkom tak wysokiej uprzejmości władz chińskich, rzućmy parę zarysów postaci owego osadczego, postaci nieznanej naszym badaczom dziejowym, i rozpatrzmy się w sprawach północnej Mandżuryi, które się toczyły na krańcach starego lądu w drugiej połowie XVII wieku.

W tychże prawie latach, gdy wspomniany przez nas Arciszewski, banita za krwawy czyn gwałtu, spowodowany chwilowem uniesieniem się wśród waśni sąsiedzkich, opuszcza brzegi gościnnej dlań Holandyi i na czele floty płynie ku Brazylii; — wznosi tam twierdze, toczy boje, i krwią a poświęceniem się prawdziwie rycerskiem zapisuje swe imię na karcie dziejów; — w tychże czasach, w gronie licznych brańców wschodniej Europy, dążyła do głębi północnej Azyi rodzina Czernichowskich. Z których okolic dawnej Rzeczypospolitej rodzina ta ród wiodła, tradycye, nawet dość blizkie owej epoce, bo zawarte w opisie bezimiennego a spółczesnego autora [1]), milczą o tem zupeł-

---

[1]) Broszura z roku 1681; własność niegdyś Kotowicza biskupa smoleńskiego, później Misyonarzy wileńskich, dziś Cesarskiej biblioteki w Petersburgu. Miał ją w ręku i dał o niej wzmiankę, czynił z niej przekłady Spaskij, autor rosyjski, około r. 1822.

nie. Rzeczony autor był znać cudzoziemcem, bo opis swój Syberyi, kreślony w jej zachodnich okolicach, po łacinie, poświęca *«ad perillustrem ac praenobilem Hildebrandum ab Horn, S. R. M. Daniae Secretarium»*. Mówi on w tej pracy, iż rodzina Czernichowskich składała się z ojca, imieniem Romana, syna Nicefora i córki; ale z którego mianowicie województwa pochodzili, i jakie losy zapędziły ich na brankę, nie wie narator, acz spółczesny, lub uważając one szczegóły za rzecz podrzędną, rozmyślnie o nich zamilcza. Archiwa prywatne krajowe rodzin szlacheckich, księgi grodzkie może przyszłym posługiwaczom rzeczy swojskich kwestyą owę wyjaśnią; dziś ona jest jeszcze zagadką opartą tylko na przypuszczeniach, dla braku wiarogodnych świadectw dziejowych. Nie ulega tylko wątpliwości, iż Czernichowscy pochodzili ze wschodnich dzielnic owoczesnego państwa Wazów. Od wielu lat ród tego nazwiska zamieszkiwał północną okolicę powiatu żytomierskiego, w byłem województwie kijowskiem, gdzie do obecnej chwili spotykamy się z ziemianami tego miana, a również i osada Czerniachów, gniazdo ich rodu, do dziś istnieje. Czerniachów uboga wioska, teraz w gubernii wołyńskiej, powiecie żytomierskiem, za rządów Władysława IV był miastem, ale w pierwszych dniach walk Chmielnickiego już staje się rumowiskiem kości swych mieszkańców i zgliszcz ich siedzib. Na liście sześćdziesięciu pięciu miast uległych zniszczeniu, obok nazw blizkich mu osad: Wilska, Korystyszowa, Sokołowa, Żytomierza, czytamy i o Czerniachowie.

Z tego samego gniazda — z Czerniachowa na ukrainnem Polesiu — pochodzi zapewne mąż rycerskiego rzemiosła Czernichowski, nieznany z imienia, którego widzimy jak w maju pamiętnego 1648 roku ciągnie pod Korsuń, na odsiecz tym, co byli porażeni pod Żółtemi Wodami, pułkownikując nielicznym chorągwiom kwarcia-

nym, wraz z panem Denhoffem[1]. Ażali wspomniany Roman, rodzic naszego osadczego, był koligatem korsuńskiego bojownika, lub nie, żadnych wskazówek w tym względzie nie posiadamy.

Jednem z tłumu świadectw dziejowych, żywo malujących jak już w 1650 roku zniszczonemi były znaczne przestrzenie kraju, są wyrazy posłów cara Aleksego Michajłowicza, wyrzeczóne na zamku warszawskim dnia 22 marca 1650 roku: — «Państwo wasze — mówili posłowie, którzy przebiegli przestrzeń od Mścisławia do Warszawy – państwo wasze w niwecz spustoszone przez żołnierzy i wojnę, tak dalece, że od Smoleńska począwszy aż do Stanisławowa (mazowieckiego), śpiewającego nie słyszeliśmy kura....» [2]. Wśród owych wielorakich katastrof, losy brańców stawały się niekiedy zdumiewająco dziwnymi a ludzi, co brańcami się stawali na tej lub owej miedzy państwowej, było u nas sporo po wsze czasy.

Tworzono z nich na dalekim Wschodzie roty i pułki; rzucano ich na przednią czatę walk podjazdowych, małych a ciągłych, jakie toczyły się na wschodnich kończynach owoczesnego państwa rosyjskiego. Trwał tam bój wielki, przeoczony przez dziejopisów świata; zdobywano przestworza, wobec ogromu których znikają przestrzenie Europy. Brańcy ujęci w epoce Samozwańca, zapełniali nieraz tłumnie szyki zdobywców. Bywało podobnież i dawniej. Los brańców XVI wieku, jakich ujęto podczas pskowskiej potrzeby, nie zakreślał im nigdy w przyszłości drogi na Zachód, do zagród rodzinnych. Dążyli oni wprawdzie wciąż dalej i dalej, ale na Wschód. Wcieleni do zaciągów trzebiących knieję azyatycką, zapuszczali się niekiedy zbyt daleko. Rocznikarze syberyjscy widzą owych

---

[1]) Patrz ówczesną «Relacyą», w księdze pamiątkowej Michałowskiego.

[2]) Relacya tamtoczesna.

«litewskich ludzi» już roku 1584 w gronie pierwszych pionierów kolonizacyi brzegów Tobola i Oby.

W drugim roku rządów Aleksego Michajłowicza, 1646 r., kiedy spodziewano się napadu na Tobolsk hord kałmyckich, koczujących wtedy ponad górnym Tobolem i Iszymem, pewien oddzielny posterunek przy miejskich palisadach, oddano szczególnej pieczy hufca złożonego wyłącznie z jeńców polskich i litewskich, którym hetmanił ich własny wódz [1]). Wielu osiedliło się przytem w państwie rosyjskiem dobrowolnie, zwłaszcza z dzielnic ościennych — szukając innej doli, lub przygód w okresie walk Samozwańców — i zlało swe losy z losami nowej ojczyzny, aż do zupełnego nawet zatracenia nazwiska, aż do zagłady rodowej tradycyi o swem pochodzeniu. Tego rodzaju przykładów mogą dostarczyć dzieje i podania domowe rodzin rosyjskich, że przytoczony tu tylko Grybojedowa, pochodzącego od jakichsić Grzybowskich, którzy ekspatryowali się z Polski, oraz wspomnienie zapisane w pamiętnikach Platera starosty inflanckiego o pewnym magnacie rosyjskim, który w epoce znanego kaniowskiego zjazdu prosił biskupa Naruszewicza o wyszukanie materyałów do swego rodowodu, bo ród swój wiodła jego rodzina ze wschodnich dzielnic Rzeczypospolitej, później zaś nazwisko zmieniła, stosownie do mowy i obyczaju przybranego gniazda. Całe pokolenie Pawłuckich, wiernie służące sprawom nowej siedziby, które wydały Dymitra Pawłuckiego, słynnego pogromcę Kamczatki, co legł w boju z Czukczami 1747 r., pochodzi od polskiego szlachcica Jana Pawłuckiego, przysłanego wraz z innymi jeńcy do Syberyi 1622 r. Świadczą o tem urzędowe dokumenta oglądane przez sumiennego badacza rzeczy syberyjskich, Słowcewa, w pierwszych latach naszego stulecia [2]). Nazwiska wielu z owych jeń-

[1]) Patrz *Osadnoj Ukazatiel;* zabytek tobolski rękopiśmienny.

[2]) Słowcewa: *Istoryczeskoje Obozrenije Sibiri,* wyd. 1838 roku, str. 456, t. I.

ców giną na zawsze, acz należą do najwybitniejszych postaci.

Tak przeto kronikarz syberyjski, przytaczany przez Fiszera, mówiąc o jeńcu Polaku, który w r. 1616 odbywał podróż do Buchary i docierał do wód Oksusa, stając na czele maluczkiej syberyjskiej drużyny, mieni go lakonicznie Polakiem, Janem synem Piotra. Nazwisko znać za trudne było kronikarzowi do zapamiętania, a może też ów przodownik europejskich wpływów w środkowej Azyi, zupełnie zaniechał używania swego rodowego miana.

Jedną z takich rodzin, które dziwną koleją losu znalazły się nad Jenisejem, była rodzina Romana Czernichowskiego. W roku 1632 przybył ów Roman z Moskwy do miasta Jenisejska, liczącego zaledwie dwunasty rok istnienia i tworzącego wówczas na południo-wschodzie kraniec dziedzin kolonizacyi syberyjskiej [1]. Na wschód od Jeniseju Tunguz, Buryat, Sacha — później nazwany Jakutem — mienili się jeszcze panami dzikich ostępów, szerokich i wartkich rzek, niezbrodzonych puszcz, poza któremi w naiwności ducha uważali się za najzupełniej bezpiecznych, niby pod osłoną twierdz i dział. Wszystko co dziś objęte pod imieniem południowo-wschodniej Syberyi, było ziemią jeszcze nieznaną, wszakże pełną powabów dla prostaczej rzeszy, z której się składały gromady zdobywców. Nieświadomość tego, co zawierały puszcze za górnym Jenisejem, i dalej ku «Pstrej ordzie» [2] — jak naówczas mieniono porzecze prawie mitycznego Amuru — miała trwać bardzo niedługo. Ściągano drużyny, sztyftowano poczty, których przeznaczeniem było stawać w roli azyatyckiego Kolumba. Posiłki przychodziły do dalekiego Jenisejska z centrum państwa. Składały się one w znacznej części z jeńców. Do jednego z takich zaciągów

---

[1]) Müllera: Rozprawa o krajach nadamurskich, wyd. 1757 r.

[2]) *Piegaja Orda.*

przysłano, w liczbie wielu innych, i Romana Czenichowskiego. Müller i Fiszer, poświęcając wspomnieniu jego parę wyrazów, żadnych bliższych szczegółów o nim nie dają nad to, iż był ojcem Nicefora Czernichowskiego zdobywcy i kolonizatora ziem północnej Mandżuryi, na lewym brzegu rzeki Amuru. Dodają oni, iż ów Roman przybył z Moskwy, miasta, co wielekroć było miejscem pobytu brańców przyprowadzonych z wypraw wojennych. Buczyński, który swymi stosunkami i znajomością kraju niemało się przyczynił do uratowania drogi Samozwańcowi, uprzednio jako jeniec długie lata strawił w mieście Moskwie i używanym bywał do rozmaitych posług społecznych[1]. Oprócz Buczyńskiego i Piotrowskiego, których pamięć uwieczniły karty dziejowe, tłumy innych imion przesuwały się na szlakach dalekiego Wschodu. Wśród onych gromad orężnych stał kiedyś w tłumie polski szlachcic, Roman Czernichowski, prawdopodobnie w szeregach imci pana Rudziłły, chorążego mozyrskiego, jako najbliższego sąsiada rodzinnego Czerniachowa. Imię owego pancernika utonęłoby w falach niepamięci, zniknęłoby na zawsze, bo nie zdobyło dla siebie podnioślejszego stanowiska, gdyby nie dziwne losy jego syna.

Bezimienny autor wyżej wspomnianego łacińskiego rękopisu (będący pono w orszaku Pawła Potockiego, który trzynaście lat przy schyłku XVII wieku strawił na Syberyi i pojął za małżonkę poza krajem dziewicę z możnego rodu Sołtyków), spółczesny prawie Niceforowi Czernichowskiemu, a całą sprawę niezwykłych losów jego znający od naocznych świadków, wyraźnie nadmienia, iż późniejszy osadczy ziem północnej Mandżuryi miał siostrę, co każe przypuszczać, że Roman Czernichowski, jeniec

---

[1]) Müller, w piśmie peryodycznem rosyjskiej Akademii nauk., rok 1757; Fiszer, w Histor. Syberyi; Karamzin, Niemcewicz: Dzieje panowania Zygmunta III, wyd. 1819 r.

z ukrainnego Polesia, z całą rodziną przybył nad Jenisej, lub usłał nowe rodzinne gniazdo na obczyźnie. Przeglądając mnogie akta redempcyjne, zawarte w księgach klasztorów trynitarskich Lwowa, Kamieńca, Beresteczka, przysłuchując się prastarym tradycyom, wijącym się u gruzów naddniestrzańskich grodków, dając chętny posłuch legendom rozwielmożnionym na stokach miodoborskich wyżyn, widzimy wśród branek Wschodu częste przykłady dzielenia z mężami zmiennych kolei losów. Mógł więc i Roman Czernichowski opuścić kraj wespół z małżonką i spólnie z nią dźwigać brzemię nowych przeznaczeń. Pojąć małżonkę w Syberyi było w owej dobie rzeczą przetrudną. Niewiasty, nader nieliczne wtedy, uważane tam za rzecz, nierade były oddawać swej ręki ubogim brańcom, gdyż rodzice, lub ci, co niemi handel wiedli, sprzedawali je do haremów miejscowych wielkorządców, albo sowity okup za nie brano na rynkach środkowej Azyi [1]. Później prawie o całe stulecie, już w okolicach daleko ludniejszych, na stokach wschodnich Uralu, szwedzcy jeńcy z pod Półtawy, ze względu na przesąd krajowców, nie mogą pojąć za małżonkę żadnej syberyjskiej dziewicy, i aż Synod, za pośrednictwem encykliki, wydanej 18 sierpnia 1721 roku, potrzebuje interweniować w onej sprawie [2]. Jeżeli kwitnące, rojące się mnogim ludem kolonie z nad blizkiego stosunkowo Irtyszu, żywiły tyle uprzedzeń ku oblubieńcom Szwedom, cóż dopiero rzec o zaledwie powstającem zaludnieniu nad Jenisejem; tam, w one lata, oprócz dziewic typu mongolskiego, innej oblubienicy znaleźć było prawie niepodobna; — a przeto żoną Romana, matką zaś Nicefora Czernichowskiego, nie inna była niewiasta, jak branka z Przeddnieprza, lub dziewica z rodzinnych okolic,

---

[1]) Patrz Szaszkowa, pod pseud. Serafimowicza, art. O obyczajach Syberyi, w *Oteczestwennych Zapiskach*, r. 1867.

[2]) Słowcow, t. I, str. 374 i 375.

zapędzona na wschodnie kończyny Europy, wraz z wieloma białogłowy z orszaku Maryny, podczas doby przewrotów, za dni rzekomego Dymitra.

Podrzędną kwestyę pochodzenia matki osadczego potrącam jeno gwoli wskazaniu, iż późniejsze objawy miłości swych blizkich, wysokie podnoszenie w myśli i czynie szacunku dla związków krwi i nieskazitelności rodzinnego ogniska — które to przejawy stanowczo orzekają o dalszych losach Nicefora — są niezaprzeczoną wskazówką, iż wzrósł on nie pod pieczą matki z grona tubylców północnej Azyi.

Około roku 1640 osadnictwo wschodniej Azyi pierwsze trudności szczęśliwie przebrnęło. Z wodozbioru Jeniseju przodownicy kolonizacyi przychodzą do wodozbioru Leny, a tem samem rozpoczynają nowy okres odkryć, pracowitszy od uprzedniego i zarazem obfitszy w cenne nabytki. Chyże łodzie osadczych, tratwy naprędce sklecone, napełnione zbrojnymi szyki różnobarwnej i wielojęzycznej rzeszy, jednocześnie prawie dają się widzieć na wszystkich rzekach, co Lenie haracz ze swych wód płacą. Oko spostrzegacza gubi się wśród przestrzeni i zaledwie biedz zdoła za mnogiemi wyprawami, przedsiębranemi przez śmiałych kondotierów w czwartym dziesiątku siedemnastego stulecia. Oto jedni zapuszczają się w knieję dziką Sachy, i nad ojczystą jego rzeką budują ostrożek Jakuck, który ma przewodniczyć długo podrzędniejszym placówkom osadniczych tłumów; inni idą w zapasy z Buryatem, gromią niesforne hufy tubylców u wodospadów Angary, lub powierzają swe losy szeroko rozlanym falom Leny, rozniecając wędrowne ogniska na lodowatem pomorzu wód podbiegunowych. Byli i tacy, co śmieli, a żądniejsi łupu, ciągnęli wciąż przed się na wschód, aż wreszcie głębie oceanu zakreśliły granice wędrówkom zbrojnych eksploratorów. Nurty Ałdanu tworzyły ich gościniec, a Udski ostrożek (dziś Udsk, u Ochockiego morza) stał się pierw-

szym posterunkiem europejskich osadników na zachodnich krańcach oceanu Spokojnego. Dążąc ku owym nieznanym morzom, spotkali mężni przodownicy wieść o krajach obfitych we wszystko, zaludnionych plemieniem rolniczem, mających miasta i rojących się kupczącą ludnością. Wieść owa, spotkana na krańcach globu, wśród dzikiego otoczenia pustyni, przyjętą była z zapałem.

«Na południe od ognisk naszych, ponad rzeką Dżi (dziś Zea), zaczynają się koczowiska braci naszych Tunguzów, którzy kupczą z ludźmi mieniącymi się Natkami, a ci zalegli niższy bieg «niezbrodzonej rzeki» *(Kara-muren)*, i w zamian za sobola, rogi jelenie lub skórę reniferową, otrzymują od swych sąsiadów to, czego ani nasze, ani ich knieje nie mają: otrzymują owoce pracy około ich roli, mąkę, napoje i cenny kruszec....» Tak mówiły wędrownej drużynie, która z «tomskiego ostrożku» przybyła, błąkające się nad Ochockiem pomorzem tłumy tubylców. Wyrazy te, na pozór błahe, bujny plon przyniosły; padły bowiem na umysł żądny wspanialszego łupu, nad wiązankę skór i stada reniferowe. Zapędzone ku oceanowym pobrzeżom tomskie hufczyki opryszków marzyły odtąd jeno o «niezbrodzonej rzece», która w ich wyobraźni rozrastała się na krainę mlekiem i miodem płynącą, krainę, o jakiej nie marzyli nawet wśród sennych widziadeł, a cóż dopiero roićby mieli o tem, żeby ją spotkać, ujrzeć, nałożyć na nią haracz i używać onych darów nieba ponad «niezbrodzoną rzeką». Zaiste, wieść ta, zaprawna przesadą, mogła sprawić pewien zamęt w prostaczych umysłach, i sprawiła go rzeczywiście. Spiesznie wracali nowi Kolumbowie do swych siedlisk nad Tomą dopływem Oby, dumni zdobytą wieścią o cudownej rzece, gdzie pług orze ziemię, po srebro zaś tylko dłonią sięgnąć. Mityczną rzekę, pełną

cudów, mieniono z mongolska «Kara-muren», t. j. «czarną czyli bezdenną, niezbrodzoną rzeką». Z dwóch tych mongolskich wyrazów ulano jedno miano — «Amur», i niem odtąd, i aż do dziś, mienią ową wspaniałą macierz wód na wschodnich kończynach starego lądu.

Wieść o odkryciu krainy mitycznej, pełnej cudów, z gródka nad Tomą sokolim lotem przebiegła cały wodozbiór Oby. W tysiącu ust zabrzmiał wyraz «Kara-muren», przekształcony na Amur; oczy i myśli wszystkich osadników zwróciły się ku wschodowi, kędy leżały te kraje ubłogosławione, darzące plonem bez pracy azyatyckiego osadnika, po wsze czasy lubiącego bardziej używać, niż znojem zraszać swe czoło. Na szerokich przestworzach ziem, co dróg nie miały, kędy strudzona stopa wędrowca rzadko spotykała siedzibę człowieka, rzeki były jedynym szlakiem, wyłącznymi pośrednikami wymiany myśli; na ich przeto fali chyżo przypłynęła promienna nadzieją wiadomość o odkrytem Eldorado. Nikt wprawdzie jeszcze nie stanął w onym raju ziemi, nikt nie sięgał po cenny kruszec, co tam tak obficie miał zalegać nadbrzeżne smugi, a przecież każdy pragnął być przodownikiem w osiedleniu się na «Kara-murenie».

Wielka jednak odległość, a bardziej jeszcze twierdze, zdziałane dłonią przyrody — owe knieje niezbrodzone, niezmierne przestrzenie pozbawione siedlisk ludzkich, najeżone legowiskami dzikiego zwierza — wstrzymywały najśmiejszych nawet przodowników. Gdy upłynęła doba pierwotnego wrażenia, zaczęto rozmyślać o trudnościach wyprawy. Obawa mogących się spotkać przeszkód urosła jeszcze więcej, gdy przywędrowały nad Tomę i Jenisej nowe wieści o «Kara-murenie», odtąd stale nazywanym Amurem, wieści przywiezione z jego górnych okolic.

«Widzieliśmy — mówili wędrowcy — ludy mające swe gródki; widzieliśmy u nich bardziej cenne ruchomości niż u dotychczasowych poskromionych tubylców. Jedni

z nich, Daurowie i Duczary, bawią się rolnictwem, inni z ościennymi kupczą, płacąc nie skórą, ale kawałkami srebra i złota, którego do syta zawiera w swem łonie ich cudna kraina... A owi ościenni, za ziarna zboża rodzące się po polach, darzą ich swemi wyroby: tkaninami, miedzianemi kotły i czaszy, ozdobami dla niewiast i orężem, tudzież narzędziem rolniczem, ku użytkowi mężów...»

Tymi wyrazami brzmiała opowieść łowców lub nielicznych przodowników podboju, którzy bądź na Ałdanu fali, bądź Olekmą i jej dopływem Tugyrem wdzierali się do onego «raju ziemskiego», jakim mieniono kraje nad «niezbrodzonemi wody» — nad górnym i środkowym Amurem. Tłum łacno uwierzył prawdzie opowieści, której barwy z biegiem czasu i w stosunku do przebieżonej przestrzeni stawały się wyrazistszemi, przyodziewały się w szatę coraz jaskrawszą. Müller w swej ciekawej rozprawie, pisanej w dziewięć dziesiątków lat po ukazaniu się na brzegach Amuru w większych masach pierwszych eksploratorów, który czerpał fakta do swych dziejów ziem przyamurskich z ustnych podań, nader jeszcze świeżych, i znał synów i wnuków owych przodowników kolonizacyi, — wiernie odtwarza wrażenie zachwytu, jakie opanowało umysły nowych osadników nad wodozbiorem górnej Leny i Oby. Instynkta koczownicze obudziły się w masach uniesionych nadzieją tak cennego łupu, o jakim dotąd nie ośmielono się marzyć. Sądzono w prostocie ducha, iż sobole, niby stada wróbli, roić się będą u płotów ich obejścia, że kruszec i drogie kamienie zalegną ich ścieżki, a tłumy krajowców przedzierzgną się na służalców, gotowych z całą skwapliwością wypełniać rozkaz każdy przybysza.

By marzenia takie stały się czynem, postanowiono z całą skwapliwością rzucić się w wir przygód, dążyć do celu wytrwale, bez względu na przestrzeń, trudności wielorakie i niebezpieczeństwa. Wysoka karność w słuchaniu

rozkazów odległej stolicy, gdzie nakreślano śmiałe projekta, wcale nie troszcząc się o środki, którymi miano przedzierzgnąć je w rzeczywistość, stawała się dźwignią potężną dla onych przodowników odkryć, dźwignią wywołującą niekiedy coś w rodzaju poświęcenia, zaparcia się siebie. I nasz osadczy — Nicefor Czernichowski — chociaż w innych warunkach wzrosły, inną tradycyą przesiąknięty, — jednoczy swe pojęcia z pojęciami otoczenia; zrzeka się owocu własnych prac na rzecz władzy krajowej — jak to w przebiegu dalszej opowieści zobaczymy — i dokonywa czynu wrzekomego poświęcenia się gwoli idei państwowej.

Żądza łupu rzuca i wówczas ku brzegom bajecznego Karamurenu kilka gromad zbrojnych, bardziej wytrwałych, niż orężnych, więcej ufających w swe pomyślne jutro, niż zaopatrzonych w żywność i wystarczającą siłę liczebną. Nie upłynęło trzech zim od powrotu tomskich eksploratorów do swego gródka z wieścią o krainie cudów na południowo-wschodnich kresach lądu, a kilka już śmielszych wypraw porucza swe losy wątłym łodziom, małym i lekkim, by je łacno przeciągnąć można przez wyżyny, oddzielające fale jednej rzeki od drugiej. Oprócz wypraw większych liczebnie, widziano i pojedyńcze wędrówki łowców, co docierali niekiedy daleko, zapuszczali się w głąb puszcz dziewiczych i niezbrodzonych ostępów, uzbrojone jeno kołczanem strzał pełnym i bezbrzeżną wiarą w swą szczęśliwą gwiazdę. Nadzieja czasem im dopisywała; ale nader często padali strudzeni i zbłąkani, tworząc ze swych ciał wyborną ucztę dla sępów i dla orłów, imię zaś ich zniknęło w toni niepamięci.

Rocznikarze mówią — dość nawet szeroce — o kilku zbiorowych wyprawach owej doby, zabaczając wnieść na kartę swej kroniki imiona pojedyńczych poszukiwaczy i przewódców nielicznych drużyn.

Pierwsza wyprawa w celu znalezienia Amuru, która

do jego wód nie dotarła, a zamknęła krąg swych poszukiwań i wielorakich przygód okryciem Dauryi, wypłynęła w rok po przybyciu Czernichowskiego do jenisejskiego ostróżka. Załoga maluczkiej flotyli, co odbijała od brzegu Jenisejska, składała się w części z owych tomskich łowców, którzy przynieśli pierwsi wieść o «raju Syberyi». Mieli oni być kierownikami poszukiwań. Obrano drogę — jak sądzono — blizką, i przeciągnąwszy łodzie na wodozbiór Leny, oddano przyszłość wyprawy nurtom prawego dopływu tej wspaniałej macierzy wód północno-wschodniej Azyi — puszczono się w górę Witymem. Spotkane nieliczne koczowiska Oronczanów, Tunguzów, zapewniły ich, że są już blizkimi miedzy ziemi Daurów, kędy książę Laukaj rządy sprawuje, a mnogością srebra włada i plony rolniczych prac ludu swego zbywa ościennym szczepom, na południe odeń mieszkającym. Lecz oprócz wskazówki, iż dotarli do krainy Dauryą zwanej, napotkane biedne koczowiska niczem nie mogły uraczyć zgłodniałych i upadających na siłach poszukiwaczy «niezbrodzonej rzeki». Wyprawa, której szeregi głód przetrzebił, powałęsawszy się czas niejaki wśród nader rzadko spotykanych szałasów tunguzkich, wróciła z nad górnego Witymu do rodzinnych ognisk gródka nad Jenisejem.

Zły obrót wyprawy, niedojście jej do celu, klęski jakie poniosła, zniechęciły jednych, a zasiały ziarna powątpiewania o samem istnieniu ziemi cudów w umysłach innych. Rozczarowanie było zupełnem, i żadnej odtąd wyprawy nie można było utworzyć w gródkach nad Tomą lub Jenisejem.

Wówczas to po raz pierwszy obiła się o ucho przyszłego osadczego «ziemi Mandżu» wieść o Amurze. Wszystko co się mieściło w obrębie ostrokołów Jenisejska, o niczem wtedy nie mówiło, tylko o «Kara-murenie». Rok ów, gdy tratwa z rodziną Czernichowskiego stanęła u jenisejskiego wybrzeża, był rokiem onej nieszczęsnej na Witym wy-

prawy i nastąpionych po niej rozczarowań. Nawpół bajeczne jednak opowieści o krajach szczęśliwych nad niezbrodzonemi wody, potężne wrażenie wywarły na przyszłym osadczym. Myśl o wzięciu udziału w onych błąkaniach się po puszczy ponętną mogła się wydać człowiekowi burzliwego charakteru, spragnionemu sławy, chciwemu wrażeń i działalności na szerszem polu. I wtedy to najprawdopodobniej zaświecił pierwotnie w umyśle Nicefora Czernichowskiego zamiar dotarcia do mitycznych lądów nad Amurem. Z tem wszystkiem ojciec, starzec obarczony latami i niedolą, siostra, potrzebująca silnej prawicy brata, by ostać się bezpiecznie wśród tłumów nieumiejących czci uszanować niewieściej, wreszcie miłość ogniska rodzinnego, z którem się rozstać przetrudno mu było, zbyt go przywiązywały do miejsca, kędy los zgotował dla niego siedzibę. Przyszły też osadczy nie bierze czynnego udziału w żadnej z wypraw, jakie ze wschodnich kresów ówczesnej kolonizacyi wyruszają w celu poszukiwań »ziem szczęśliwych»; co wszakże nie przeszkadza mu wcale być dokładnie obeznanym z biegiem wypraw, z wynikami ich odkryć, a w chwili stosownej przyłączyć się do tłumów migracyjnych i skorzystać z niejakiej znajomości onych okolic, by stać się ich zdobywcą i kolonizatorem, utrwalającym czasową przewagę osad syberyjskich ponad zbiorowiskiem wód wschodnich kończyn lądu.

Nie poprzestając na wędrówkach pojedyńczych, na większej a bezskutecznej wyprawie z Jenisejska na górny Witym, z której, jak widzieliśmy, oprócz potwierdzenia poprzednio już znanych wieści o Laukaju i jego skarbach, nie osiągnięto żadnych poważniejszych rezultatów — wyrusza liczniejsza i bardziej orężna drużyna w roku 1643, pod naczelnictwem głośnego w dziejach kolonizacyi syberyjskiej Pojarkowa. Jej to udziałem miało być dójście do wód Amuru i zdobycie pierwszych dokładniejszych wiadomości o tym kraju. Dla zrozumienia późniejszych o parę

dziesiątków lat migracyj Czernichowskiego, przypatrzmy się bliżej nieco losom drużyny Pojarkowa.

Dnia 15 lipca 1643 roku gromada orężnych stu trzydziestu dwóch śmiałków, na lekkich łodziach odbiła od jakuckiego ostrożka, kierując się ku północy, z biegiem nurtów Leny. Przodownikiem zbrojnych mołojców był wzmiankowany już Pojarkow, człek pełen przedsiębiorczości, odwagi, a nadto piśmienny, który spostrzeżenia swe notował «na korze brzozowej» i rysował na niej nożem coś nakształt mapy. Cenne owe notaty, ryte na korze lub desce, które stały się nicią przewodnią dla późniejszych zdobywców, przechowywały się prawie do dni obecnych, i dzięki tylko obojętności czuwających nad jakuckiem archiwum, przed kilku dziesiątkami lat zaginęły [1].

Niedługo flotyla Pojarkowa posuwała się z biegiem Leny, bo dotarłszy do pierwszego większego jej dopływu z prawej strony, zwanego Ałdan, obrano jego fale jako gościniec dla siebie. Wiosłowano pracowicie całe ćwierćrocze; wchodzono na nurty drugo- i trzecio-rzędnych dopływów; przez leśne wyżyny, oddzielające porzecza, przenoszono łodzie na barkach własnych, uznojonych wielotygodniowem wiosłowaniem, aż wreszcie z czółnami na ramionach zeszli wędrowcy z południowych stoków Dżukdżuru, stanowiącego miedzę północną wodozbioru Spokojnego oceanu. Stanęły przed nimi wody Zei, nader dziś znanego dopływu Amuru, lecz były one ścięte już lodem; tam więc postanowiono odpocząć, wyczekując lata, i tam nawiedziła ich jedna ze sroższych klęsk wszelkich wypraw — klęska głodu. Zima spędzona nad górną Dżi (Zea), nader ciężką była dla łowców orężnych. Ubogie tabory Tunguza lub Oronczona nie mogły wyżywić zbrojnej gromady Pojarkowa; dzielono się wprawdzie ochoczo z przybyszami nieobfitymi łupy łowiectwa, podnoszono dla nich

[1]) Podróż do Jakucka p. S. Szczukina (dzieło rosyjskie).

gościnnie opony swych namiotów, nie podejrzywając celu wyprawy, sądząc w prostocie ducha, że jest to jeno koczujące a nieznane plemię, łaknące u obcych ognisk chwilowej gościnności; choroby jednak, brak żywności i znużenie srodze przerzedzały szeregi domniemanych zdobywców Amuru.

Skoro prysnęły lody na Zei, puszczono się dalej, i u jednego z lewych jej dopływów, na porzeczu Umlekana, po raz pierwszy spotkano się z Daurami. Był to szczep osiadły, uprawiający pola i ogrody, posiadający gródki, kupczący z ościennymi – słowem był to ludek cieszący się pewną kulturą, która wnet po niespodzianym przypływie obcych żywiołów miała tam zniknąć na całe dwa stulecia. Bo i jakże różnym był obraz tych ziem, gdy o parę wieków później generał Mikołaj Murawiew wcielił te kraje w roku 1853 do państwa rosyjskiego. Mamy przed sobą list owego generała, pisany do żony ze statku, o 150 kilometrów poniżej uroczyska «Ałbazin» (dnia 22 maja 1853 roku). „*Le pays est presque vide*“ — są dosłowne wyrazy listu — *il n'y a que de pauvres Manègres, qui ressemblent comme deux gouttes d'eau à nos Ioungouzes et Yakoutes*“...

Zdobywca XIX wieku zastał tylko pustynię — nic nad to. Pamięć nawet o lemieszu, co uprawiał przed wiekami tę ziemię, pamięć o gródkach kupczących, o siołach ze stałemi siedliskami, z niwą, na której falowały złociste kłosy jęczmienia i owsa i kwitnęły wonne gryki — zamarła tam bezpowrotnie. Pod żadną z koczowniczych jurt obecnych krajowców pobrzeża Zei i Amuru nie spotkamy się dziś z tradycyą o rolniczej kulturze onych ziem, co tam istniała, zanim oręż zdobywców nie rozproszył dawnych jej mieszkańców. Tradycya wraz z pierwotnymi synami tej ziemi zstąpiła do mogiły...

Pojarkow skoro się znalazł wśród siół daurskich,

wśród niw okrytych zbożem, zapomniał na chwilę o klęskach długiego pochodu: zachwyt jego nie miał granic. Zniknęło nawet na chwilę w surowym watażce celniejsze ze znamion przodowników podboju owej epoki — zniknęła żądza łupu. Głód i niewczasy zmiękczają serce śmiałego wojownika. Ani jednej strzały nie wyjmuje on z kołczana, ani razu ostrze miecza nie błysnęło przed okiem Daura w pierwszych dniach pobytu u «nieznanego szczepu» w nowoodkrytych krajach. Prace turysty obecnej doby zajmują go wyłącznie. Pyta, bada, przysłuchuje się pilnie opowieściom i skrzętnie wszystko zapisuje, co jeno mu przyniesie dobroduszna łatwowierność tubylca, lub własne oko, lotne niby wzrok sokoli.

Gościnność Daurów w pierwszych chwilach była bezbrzeżną. Celniejsze okazy licznych stad, owoce prac rolniczych, warzywa z ogrodów, niesiono chętnie zgłodniałym przybyszom. Opowiadano im za pośrednictwem tunguzkiego tłumacza, że są zaledwie na krawędzi ich ziemi, że kraj ich szerokie zajął przestworza ponad «Czarną rzeką», że bliżej ku onym wodom spotkają i ludność obfitszą i glebę bujniejszą.

«Mamy gródki — mówili tubylcy. — Ów co się wznosi przy ujściu Selimdy do «Dżi (Zei), zowie się Mołdikiezid; inny, którego podnóże omywają wody Dżi i Karamurenu, nosi miano Doduwa... Rządy nad nami sprawują książęta, których jest kilku, stosownie do ilości dzielnic, na jakie nasz szczep się rozpada. Ościenny, potężny mocarz znagla nas do płacenia daniny. Składamy mu ją przeto, bo pobiera ją zbrojną ręką, a ma broń palną i bierze od nas zakładników» [1]).

«Dajemy mu sobole, którymi kupczymy z naszymi

---

[1]) Prawdopodobnie miano tu na myśli chińskiego wasala w Mandżuryi, który był bezpośrednim zwierzchnikiem tubylców ówczesnych Amuru.

pany, otrzymując w zamian jedwab i bawełniane wyroby... Pola nasze żywią nas; mamy na swych zagonach jęczmień, owies, proso, grykę, groch i konopie, podczas gdy w naszych ogrodach dojrzewają ogórki, mak, bób i czosnek. Sąsiedzi nasi, nieco ku zachodowi, Duczarowie, posiadają też same warunki bytu; ich niwy również obfitują w zboże, a łąki okryte tłumnemi stady... By wam dać wreszcie dokładne pojęcie o hojności ziemi tutejszej, powiemy, iż Laukaj, jeden z wodzów plemion naszych, spławia swe zboże Szyłkarem (Szyłką i Ononem) tam daleko w górę, do Mongołów»...

Watażka orężnych łowców ze zdumieniem słuchał tej opowieści mieszkańca ziem odkrytych, zapisał relacyą jak ją prawie dosłownie podajemy, i ona to zapewne obudziła w nim dawne instynkta. «Goście» zrzucili płaszcz obłudy; niespodzianie przedzierzgnęli się na zdobywców, wyjęli miecze z pochew, sięgnęli po strzały do kołczanów i szeroką pożogą zajaśniał horyzont nad czarnemi wody.

Tubylcy przestraszeni, nie stawiąc oporu, umknęli w głąb pustyni, zabierając z sobą, co można było jeszcze unieść, lub niszcząc własną dłonią pracę dni lepszych, minionych, zasoby skrzętności własnej i uprzednich pokoleń.

Takiemi to były pierwociny odkryć północnego rąbka ziemi Mandżu. Przewódzca zbrojnych Kolumbów niewiele uniósł ze swych zdobyczy, gdyż obfitość ogrodów daurskich wywołała choroby w wędrownym hufczyku, i jeszcze nie doszli do ujścia Dżi, gdy połowa jego mołojców legła już w mogile. Nie mogło to na watażce nie zrobić wrażenia, bo widzimy, że odtąd spiesznie posuwa się ku brzegom Amuru, i uniesiony falą rzeki tej, aż do jego czasów na poły mitycznej dla syberyjskich kolonizatorów, dociera do jej ujścia i na oceanowem pomorzu napełnia swe łodzie daniną, wziętą od zhołdowanych Ehilaków (Gilaków).

Opuściwszy spiesznie siedliska Daurów, wędrowna

drużyna płynąc w dół Amurem, spotkała się z koczowiskami biednych, rybołowstwem przeważnie trudniących się Ehilaków. Garstka z sześćdziesięciu zaledwie śmiałków złożona, wystarczającą była do zhołdowania owej części Amurskiej pustyni, kędy rozpinało swe sieci to wpółdzikie plemię. Wzięto od nich daninę z soboli, uprowadzono zakładników, niby rękojmię uległości na przyszłość, i u płomieni ich ognisk strawiono długie miesiące zimowe. Były to drugie z kolei leże zimowe podczas tej kilkoletniej wyprawy. Przeszły one pomyślnie, a gdy lody stajały w zatokach ościennych ujściu Amuru, popłynęła orężna gromadka unoszona oceanową falą, troskliwie trzymając się wybrzeży i kierując się ku północy. Ujście rzeki Uli przyjęło ich gościnnie, bo tam spotkali ostrożek — posterunek braci po mieczu — wśród których strawili trzecią i ostatnią zimę swej wędrówki.

Dzień 12 czerwca 1646 roku powitał Pojarkowa w Jakucku. Przewódca, oprócz nader pożądanych sprawozdań o «Czarnej rzece», wskazówek i rad cennych a praktycznych o sposobach łacnego podboju urodzajnych niw Daurów, złożył w skarbcu państwa, jak świadczyły źródła urzędowe, «dwanaście soroków soboli i sześć kożuchów sobolich», a przytem zakładnicy, ujęci z taborów ehilackich, uzupełniali trofea pierwszego torownika drogi do Amuru.

Powodzenie pierwszej wyprawy chociaż połączonej z wielkimi trudy, z mnogiemi straty w ludziach, zachęcało wszakże innych do szukania darów fortuny na onych szlakach niebezpiecznych. Tłumy poziome nie wahały się kłaść swego gardła, jako okup domniemanych zdobyczy. I nie dziwmy się temu: bo owi watażkowie i ich orężnicy, których późniejsze opisy przedzierzgają gromadnie na bohaterów, byli przeważnie jeno mętami społeczeństw owoczesnej wschodniej Europy. Ukazują się tam wprawdzie, wśród zbrojnej rzeszy onych gwałtowników, ludzie bar-

dziej umoralnieni, innoplemieńcy, których jasyr lub żądza przygód pędziła na krańce lądu; ale liczba ich maluczka ginie wśród powodzi gromad wcale innego ukształcenia i pojęć odrębnych.

Wyprawy dalsze, naśladujące Pojarkowa, podejmowano na własną rękę, bez udziału miejscowej, syberyjskiej władzy, która przesiadując wówczas w dalekim Jakucku, acz czynniejsza niż można było przypuszczać, i działająca dość energicznie, nie mogła wszakże wspierać każdej wycieczki, nie mogła kontrolować licznych onych zagonów i zapobiegać nadużyciom, których doniosłość była dla nich niezrozumiałą, a działo się to wszystko niby w imieniu kierowników państwowych. Upoważnienie z wszelką łatwością otrzymywano, bo dający je do niczego się nie zobowiązywał, a sam doraźne wyciągał korzyści, i niekiedy, gdy wchodziło to w zakres jego praw, dawał eks-kortę z kilku żołdaków, co otaczało całą wyprawę szatą przedsięwzięcia państwowego, nadając znamię poważniejszej doniosłości swawolnym jeno gromadom śmiałych awanturników.

Śladami wspomnianego Pojarkowa szli mnodzy inni, z różnem szczęściem i zmienną sławą. Latopisy syberyjskich gródków, butwiejące w archiwach szczątki akt piśmiennych i ułamki milknącej tradycyi, przekazały nam długi szereg imion owych śmiałków, którzy tłumnie cisną się do ziem północnej Mandżuryi. Przewodniczy tam imię Chabarowa, czynnego, przedsiębiorczego osadczego, który kolonizuje Jeniseju brzegi, próby rolniczych usiłowań podejmuje u angarskich dopływów, i wreszcie ze swym łowczym oszczepem dociera do najdalszych kresów Karamurenu.

Już nie Ałdanem ku środkowemu Amurowi, ale wodami Olekmy i Tugyra, prądem wreszcie wartkich fal Urki — przebywszy pieszo dzikie roztoki, dzielące leńskie dopływy od amurskich pochyłości — starano się dotrzeć

do górnych porzeczy mitycznej »Czarnej rzeki». Łowcy, co w wielu razach torowali drogę watażkom leśnego korsarstwa, przodowali zbrojnym najściom i dostarczali wskazówek niezbędnych śród ziem nieznanych — nadają teraz inny kierunek orężnym wyprawom naśladowców Pojarkowa. Tugyr (prawy dopływ Olekmy, pod 55° północnej szerokości) i Urkan, górski ruczaj, rokrocznie podczas dni wiosennych niosący z północy ku wyższemu Amurowi olbrzymie masy wody, stają się stałymi gościńcami dla Chabarowa, jego drużyny i wszelkiego rodzaju rzecznego bandytyzmu.

Tradycya rzecznego łupieztwa na zbrojnych łodziach przeszła do północnych przestworzy Azyi z nadwołżańskiego porzecza, wraz z Jermakiem. Kronika syberyjska łacińska anonima wspomina, iż «był pewien korsarz, imieniem Jermakus, co napadał na podróżujących na rzece Wołdze» (rozumieć tu potrzeba «na łodziach zbrojnych») «i około brzegów». Nieco dalej w tymże prastarym rękopisie czytamy najdobitniej o czółnach, na których pierwszy pogromca syberyjskich ziem korsarzował po Wołdze przed wyruszeniem na dalszy Wschód [1]).

Jak obyczaj rzecznego bandytyzmu głęboko był zakorzeniony wśród nadwołżańskiego porzecza, posiadamy na to świadectwo nader wiarogodne w raporcie rosyjskiego ministra spraw wewnętrznych, złożonym już w XIX wieku cesarzowi Mikołajowi I. [2]). Wraz z osadnikami, co tak gromadnie płyną ze wschodnich kończyn Europy «za Kamień», iż w latach blizkich końcowi XVII wieku stawia państwo straże u stóp Uralu, by wstrzymać powódź dobrowolnego wychodźtwa do Syberyi, zawędrował do głębi

---

[1]) ... *relictis suis scaphis, consurrexii cum sociis et orientem versus progressas est...* mówi łaciński opowiadacz, którego świadectwo, prawie współczesne, z wielu względów uważamy w danym razie jako pierwszorzędną powagę.

[2]) *Żurn. Minist. Wnutrennych Dieł* — rok 1848, Zeszyt 12, str. 39.

Azyi i obyczaj rzecznego korsarstwa. Stać się piratem na Obi i Jeniseju, wśród ubogich szałasów rybołówstwem trudniących się Ostyaków, uganiać się zbrojnemi łodziami za garstką nędzarzy, jakimi byli Tunguzi i inni tubylcy środkowej Syberyi — mienić się mogło igraszką, pracą bezowocną, i dlatego też zaledwie wówczas kolonizatorowie wznawiają korsarski obyczaj ojców, kiedy podbój odmyka drogę na Amur, ku szczepom rolniczym, osiadłym, kupczącym, a co ważniejsza, wydostającym cenny kruszec z łona swej zimnej ziemi. Wieść o bogactwach w głębiach garbatej ziemicy Daurów wywołała odkrycie Bajkału, porzecza Sielengi i wreszcie długie, dziesięcioletnie korsarstwo Chabarowa, tudzież innych jego braci po mieczu na wodach Amuru. Orężne owo gospodarzenie na wybrzeżach «wód niezbrodzonych», wśród kwitnących dotąd krain Duszarów i Daurów, uprowadziło z nad Leny, dolnej Angary i jej dopływów, z nad Jeniseju, z ziem zaledwo osiadłych, kędy pług po raz pierwszy miał jeno zacząć uprawę gleby dziewiczej — około półtora tysiąca głów najsilniejszej i najzdolniejszej do pracy ludności, gotując dla niej śmierć głodową, lub mogiłę na pobojowiskach z tubylcem. Nikt z owych śmiałków, z bardzo nielicznymi wyjątki, nie miał już ujrzeć ogniska opuszczonego w osadach środkowej Syberyi, bez względu na to, czy zaciągnął się do zastępu rzecznych korsarzy, czy jeno wiedziony ułudną baśnią o nowem Eldorado, ciągnął z tłumami kolonizatorów. Spowodowana stąd strata zobopólną się staje: bo jeżeli jedni giną od oszczepu Daura lub miecza Mandżura, lub wreszcie padają martwi wśród straszliwych mąk głodu; porzecze lewe Amuru również cierpi: bo wyludnia się z powodu dobrowolnej migracyi w głąb Mandżuryi, a jego dotychczasowa kultura znika na całe dwa stulecia wśród pożogi, co w ciągu dziesięcioletniej krwawej doby świeciła na tysiące wiorst ponad Kara-murenem.

Chiny nie mogły patrzeć obojętnie na ono gospoda-

rzenie bezkarne a bezowocne zarazem syberyjskich watażków. Łuny gorejących gródków zbyt długo groźnie świeciły nad «niezbrodzonemi wody», by nie miały wywołać wdania się zbrojnego władzy pekińskiej.

Dwór chiński nierychło atoli dowiedział się o pożodze, co gorzała nad Amurem, i dłużej jeszcze namyślał się, ażali posłać pomoc na swe zagrożone kończyny, lub zostawić tę sprawę losom. Namyślano się całych lat dziesięć, acz gońcy wydeptywali szlaki między Cicikarem a Pekinem, nosząc tam częste wieści o obcych gospodarzeniach, acz poborcy chińscy z próżnemi toboły wielekroć wracali do bram stolicy, i o onych wypadkach trybunał pekiński do spraw zagranicznych zapisywał mnogie foliały. Strzała krajowca, broń palna i zbrojne łodzie Mandżura długo przeważały szalę losu na swą stronę, zanim przybyły z Pekinu rozkaz wyprowadzenia całej ludności z lewego brzegu Amuru na prawy, a wreszcie odsiecz z głębi państwa Niebieskiego przysłana, stanowczym pogromem nie rozproszyły obcych osadników.

Rok 1659 nie widział już ani jednego z wrzekomych kolonizatorów Amuru. Garstki popiołów zagaszonych ognisk krajowca, ugorem stojące niwy, których odbiegł lemiesz, gdzieniegdzie świecąca czaszka wśród chwastem porosłych okopów, nieprzypominająca swemi kształty mongolskiego szczepu, i około trzystu lub więcej brańców w chińskim jasyrze, jedynymi były ślady, iż rzeczne korsarstwo gnieździło się kilkanaście lat na falach «wód niezbrodzonych».

Chiński kronikarz, patrzący zdala na one wrzekome usiłowania kolonizacyi, zapisał na karcie swych roczników powątpiewanie, aby kiedy obca stopa mogła już zawitać na porzecze Amuru. Wypadki jednak kłam zadały pekińskim przepowiedniom. Po kilkoletniej przerwie, kiedy już

na bróździach pól odbieżonych bujny krzew porósł, i łowcy prawego brzegu coraz to częściej niecić rozpoczynali na lewym swe samotne ogniska, pewien dzień wiosenny udarował ich niespodzianie wieścią dziwną a straszną, wspomnieniem niedawnego, krwawego wczoraj. Wieść głosiła, iż garstka ludzi białych z północy stanęła nad wspaniałymi nurty «Czarnej rzeki». Wierzyć nie chciano. Wszakże żaden łowiec nie sięgnął już odtąd po sobola na lewem porzeczu, żaden wygnaniec nie marzył o powrocie na zgliszcza praojców — z niepokojem czekano jutra, co mogło rozwiać trwożne wieści zpoza «wód czarnych». Jutro nadeszło i wieść potwierdziło: biały człowiek, z północy przybyły, stał się panem pustyni.

Owym przybyszem był Nicefor Czernichowski.

Rodzina brańców z zachodu, którą widzieliśmy przy końcu pierwszej połowy XVII wieku nad Jenisejem, z czasem opuszcza brzegi tak zwanej wówczas w urzędowych hramotach «wielkiej rzeki», by w dalszych okolicach, wydartych przed niewielu dniami puszczy, szukać chleba i znośniejszego bytu. Bliższe okoliczności owego przesiedlenia się garstki tułaczy ku leńskim osadom, właśnie wtedy powstającym, nie są znane. Bo i cóż dziejopisa mogłyby obchodzić losy wędrowców, ginących pojedyńczo lub gromadnie bez wieści, bez wspomnienia, bez łzy żalu i westchnienia nad mogiłą, grzebiącą wielekroć potężne zdolności i niemałą wiedzę na pustyni bezowocnie dla siebie i innych? Taki los mógłby był łatwo być udziałem i Nicefora. Wielki zapas energii jego i mocy ducha, co wytwarzać umiał z niczego środki i drogi do ujęcia celów dalekich, do przedzierzgnięcia śmiałych marzeń w rzeczywistość, omal nie zmarniał, nie zgasł bez śladu, jak się skruszyły całe tłumy innych duchów mocnych i umysłów podnioślejszych.

Są pewne maluczkie wskazówki, iż pierwotnie losy przyszłego osadczego ziemi Mandżu zależnymi były od

znanego Chabarowa. Gdy śmiały przemysłowiec, przybyły z północno-wschodniego węgła Europy, podniósł pomysł rozszerzenia rolnictwa nad Jenisejem, Nicefor, syn niw owruckich, krainy stokroć bardziej rolniczej nad gniazdo Chabarowa, cennym dla niego był nabytkiem. W onym tedy okresie Czernichowski jest umiejętnym wykonawcą woli Chabarowa, wspiera jego usiłowania, a kto wie, czy nie jest nawet głównym inicyatorem jego pomysłów uczciwej pracy. W następnej zaś dobie, kiedy żądza łupu rzuciła Chabarowa na inne drogi, już Czernichowski mu nie towarzyszy i nic niema odtąd wspólnego ze śmiałym dowódzcą rzecznego korsarstwa. Gdy całe rzesze osadników opuszczały zaledwie wczoraj sklecone siedliska i ciągnęły bezwiednie śladami drużyn zbrojnych, Nicefor, acz mógłby mieć wtedy pewniejsze nadzieje wypłynięcia ponad fale owej wielojęzycznej rzeszy, nie opuszcza dachu ni ogniska, do którego przywiązują go praca i związki rodzinne.

Skoro Chabarow pociągnął z Jenisejska na wschód i na roztokach dwóch wodozbiorów założył sioło przewodniczące innym osadom blizko odeń rozsiadłym, w onem siole, rychło zamienionem na gródek, widzimy zwierzchnikiem Czernichowskiego. Było to około roku 1650. Ostatni to kres dla Nicefora dzielenia losów z Chabarowem. Śmiały przemysłowiec opuszcza te okolice na długo, rozpoczynając wtedy właśnie swe amurskie orężne gospodarzenia, a Nicefor pozostaje u lemiesza, którym uprawia świeże trzebieże, nader niewdzięcznie wynagradzające pracę rolnika. W parę lat później wezwały władze Czernichowskiego, by objął kierunek nad warzelnią soli u ujścia rzeki Kut do Leny. Na stanowisku tem, które go zbliżyło do owoczesnych wielkorządzców prowincyi, rezydujących wtedy w Ilimsku, ościennym prawie warzelni, przebył on cały okres usiłowań bezowocnych zdobycia Amuru. Codziennie patrzył na wychodźtwo dobrowolne, na splatanie tratew na leńskiej fali, co miały nieść ku ujściom Olekmy i dalej

ku ziemiom nieznanym poszukiwaczy szczęścia i zdobyczy, lecz zamiar przyłączenia się do wychodźtwa owego nigdy mu w myśli nie powstał.

Po dniach złudzeń wybiła straszna godzina rozczarowania dla wychodźców syberyjskich orężnych i nieorężnych. Głód, miecz Mandżura i pęta chińskie zamknęły cykl wieloletnich nadziei. Acz niewielu przeżyło klęski nad «czarnemi wody», wszakże wieść o nich rychło nadeszła, wstrzymując dalsze wychodźtwo kolonizacyjne i dalsze zbrojne gospodarzenie na falach i brzegach Amuru. Zdawało się, iż dla owego gwałtownego dążenia na wschód wybiła ostatnia godzina.

W roku 1660, w ostrożku przy ujściu Kirengi do Leny odbywał się w lipcu doroczny targ, który sprowadzał do szczupłego obejścia gródka wszystko, co było przedniejszem i zasobniejszem ponad górną Leną i jej dopływami. Nieliczni przedstawiciele władzy, jakich jeno te okolice posiadały, przybyli w zupełnym komplecie, celem zbierania danin (jasaku) dla skarbu i dla siebie; przybyli także kupcy, krajowcy i osadnicy. Ostróżek miał postać świąteczną; roił się mnogą rzeszą przybyszów, a nawet miejscowy monaster, poświęcony czci Zbawiciela, przygotowywał się do obchodu dorocznego w swej cerkwi. Liczne galary mieściły na swych pokładach tych, co nie mogli znaleźć dla siebie miejsca w szczupłym ostrożku.

Wśród gwaru kupczącej i ucztującej ludności, niespodzianie dowiedziano się o wypadku, który wywarł silne wrażenie wśród gromad goszczących w kireńskim ostrożku. Znany ogólnie zwierzchnik warzelni soli, Nicefor Czernichowski, zamordował ówczesnego wojewodę Obuchowa, który z Ilimska zjechał na owo doroczne kupczenie na leńskiem porzeczu.

Morderstwo, popełnione w największem, acz chwilowem jeno ognisku onych bezbrzeżnych obszarów, popełnione, rzec można, w obliczu całej ludności kraju i na osobie głównego zwierzchnika olbrzymich przestworzy, wywarło wrażenie gromu. Roczniki miejscowego monasteru, nie wyjaśniając pobudek ni okoliczności towarzyszących zamordowaniu wojewody, wydają okrzyk oburzenia, zgrozy, przejawiającej się w tysiącznych przekleństwach, co spadają na zbrodniczą głowę przez całe dwa stulecia [1]. Zarzuty raz uczynione w pierwszej chwili, nie powiem boleści, bo Obuchow nie był lubianym, ale w pierwszej chwili popłochu, gdy okazywanie lojalnych uczuć uważano za rzecz będącą na dobie, przetrwały do dni nam spółczesnych. Opierając się na onych źródłach, mniej więcej mogących być wcielonemi do jednego cyklu zbyt jednostronnych podań, potrzeba Nicefora zaliczyć do szeregu pospolitych opryszków, co w zupełnej jest sprzeczności z całem jego uprzedniem i późniejszem postępowaniem, i byłoby błędem dziejowym pewnej już doniosłości.

Poza tłumem wrzekomych lub rzeczywistych wielbicieli zamordowanego wojewody, stoi opowiadacz bezstronny, wykształceńszy od falangi całej tych, co stanowią podwalinę późniejszych opowiadaczy — jest nim wielekroć wspominany już przez nas «anonim łaciński». Opowieść jego, kędyś ponad Irtyszem kreślona, w lat kilka po owem zdarzeniu w kireńskim gródku, gdy jeszcze żył Czernichowski, gdy wieści o czynach śmiałego osadczego rozlegały się najdalsze ostępy Syberyi, zasługuje w owej kwestyi na większą od innych wiarę.

«Nicefor Czernichowski miał siostrę — pisze anonim, poświęcający opowieść swą sekretarzowi króla duńskiego — i zniewaga jej ciężka wyrządzona spowodowała zabicie

---

[1]) Patrz: Szczukina, Słowcewa, a wreszcie Roczniki *Spaso-Troickaho Kirenskaho Monastera,* str. 7 i dalsze.

Obuchowa. Brat krwawo się zemścił za targnięcie się wojewody na cześć siostry...»

Badacze rzeczy syberyjskich powtarzający epitety złorzeczeń w ciągu dwóch wieków snujące się po aktach urzędowych i latopisach monasterów, nie sięgnęli do źródeł bardziej bezstronnych, by złożyć hołd prawdzie. Przed półwiekiem, bo w pierwszej chwili XIX stulecia, wielki miłośnik rzeczy syberyjskich, Spaskoj, wydobył wprawdzie ze zwojów zapomnianych zabytków przeszłości ów szacowny pomnik dziejowy, ów «anonim łaciński», i ubrał go w szatę zrozumialszej dla ogółu mowy [1], niemniej jednak nie dawano posłuchu spółczesnym słowom bezstronnego opowiadacza, nie rozczytywano się w pracach uczonych Germanów, z których kilku spisywało swą opowieść z ust synów towarzyszy broni Czernichowskiego, i własnemi oczyma oglądało drugie i trzecie pokolenie kolonizatorów. Pochodnia krytyki nigdy nie oświecała często nader sprzecznych z sobą i dalekich od rzeczywistości opowiadań, a poprzestawano na przepisywaniu niewolniczem dawnych zabytków ubiegłego życia, nie troszcząc się o prawdę dziejową, nie pytając o rodowód onego wrzekomego materyału do studyowania wczorajszej doby.

Müller, w swej ciekawej rozprawie, umieszczonej w piśmie wydawanem przez Akademią nauk rosyjską, w połowie XVIII wieku mówi wyraźnie, iż Obuchow padł ofiarą swego «okrutnego postępowania». Według słów Müllera, był to rokosz zbrojny, na czele którego stanął przyszły osadczy ziem Mandżu. Podobne domagania się zbrojną dłonią sprawiedliwości, zadośćuczynienia, powtarzały się nie raz, nie dwa, wśród owych ziem dalekich. Pilnie studyujący ich życie, tak różne od późniejszego, historyk syberyjski domyśla się, iż musiał tu istnieć «bliższy powód», nad «długie zdzierstwa» wojewody, lecz napróżno

---

[1]) Patrz *Sybirskij Wiestnik* Spaskaho, 1822 r.

przysłuchuje się tradycyi, napróżno wertuje zwoje akt dawnych, które do czasów owych przetrwały.

I nic w tem dziwnego. Akta dawne, głos tradycyi, nie widziały w targnięciu się wojewody na cześć niewieścią siostry Czernichowskiego czynu nadzwyczajnego; były to wówczas rzeczy zbyt powszednie, zbyt codziennie spotykające się, by miano je aż wnosić na kartę kronikarza, lub poszukiwać zadośćuczynienia pokrzywdzonych drogą prawa. Sumienie społeczne nie czuło się obrażonem, a więc i tradycya nie przechowała wspomnienia o fakcie, wstrętnym jeno dla cudzoziemców, dla ludzi zachodniej, europejskiej cywilizacyi.

Takim cudzoziemcem, człowiekiem innej, wyższej kultury, był przyjaciel sekretarza króla duńskiego, co nam pamięć o zniewadze wyrządzonej rodzinie Czernichowskich przechował; takim wreszcie był sam Nicefor, orężem poszukujący zemsty.

Wspomnieliśmy już wyżej, iż u kolebki Nicefora Czernichowskiego stała snadź matka rodu obcego północnym obszarom Azyi, i to przypuszczenie pewnikiem się staje, gdy przypatrzymy się bliżej jego postępowaniu. Wychowany w gnieździe napoły azyatyckiem, zatraciłby bez tego owę spójnię życia rodzinnego, owo wysokie poczucie o czci, tak święcie przechowywane u naszych ognisk domowych, a tak obce pojęciom osadników syberyjskich, kędy przodujące nawet warstwy społeczne prowadziły targ niewiastami, porwanemi na zachód od Uralu. Co więcej, kupczący białemi brankami, znaglani niekiedy do zwinięcia swego rzemiosła, składali się przywilejami, którymi obwarowywano nietykalność ich targowisk [1]. Tego rodzaju

[1]) Patrz Encyklikę patryarchy Filareta, wydaną 1622 roku, dnia 11 lutego, do sybirskiego arcybiskupa Cypryana, umieszczoną w »Zbiorze aktów państwa«, t. III.

obyczaj, owa dziwna atmosfera społeczna, wśród której wychowali się świadkowie krwawego dramatu, na leńskiej odegranego fali, nie mogły wytworzyć dokładnych pojęć obrazy, jaka dotknęła Czernichowskiego. Co owoczesny świat ku zachodowi leżący mienił sromotą, co go oburzało i przejmowało zgrozą, niezrozumiałą stawało się zagadką dla tamtoczesnych gromad osadniczych, gnieżdżących się na porzeczach dalekiego Wschodu. Europejczyk jednak «anonim», spółczesny, prawie naoczny świadek tajemniczego zajścia z Obuchowem, i inny opowiadacz, również powaga, Witzen, pisarz XVII wieku, godzien zupełnej wiary, stają wobec mogiły Czernichowskiego, dając świadectwo prawdzie. Uczony Müller, niegrzeszący bynajmniej zbyt bezstronnem ferowaniem wyroków dziejowych, wcale nie zna pierwszego z powołanych tu przez nas głosów uniewinniających Nicefora; a jednak pióro historyka Syberyi waha się, gdy nadchodzi chwila orzeczenia czegoś stanowczego o pobudkach, które krwią zmazały dłoń męża, co pierwszy z Europejczyków wniósł na brzegi Amuru słowo bratnie i promień chrześcijańskiego światła.

Wobec wahania się Müllera i wymownego głosu Witzena, nad którymi góruje jeszcze świadectwo tak blizkie a dokładne anonima, pamięć Nicefora nie może być okrytą nadal szatą hańby; owszem, na ponurem tle owoczesnych społeczeństw dalekiego Wschodu, człowiek szanujący węzły rodzinne, drażliwy na obrazę czci, jest postacią tak wyjątkową, tak wybitnie wyróżniają się z tłumu, iż należy uchylić czoło przed jego pamięcią.

«Już Obuchow wyruszał na łodzi z powrotem do Ilimska, gdy w nocy 25 lipca napadnięto na wracającego i na statku go zamordowano....» — mówi Müller [1]), czerpiący snadź swą opowieść z klasztornego latopisu w Kireńsku. Owe wyrazy są pewnego znaczenia, bo rzucają

---

1) *Jeżem. Soczynienia* 1757 r., str. 196, Zeszyt lipcowy.

promień światła na scenę nocną na Lenie. Wojewoda przed ukończeniem jarmarku, którego chwilą kulminacyjną było święto «Spasa», przypadające dnia 6 sierpnia, opuścić nie mógł ostrożka: obyczaj dawny, interesa władzy, dla której zbierał daninę, interesa zresztą własne zmuszały go wyczekiwać uroczystego «dnia Spasa», gdy i najdalsi i najopieszalsi z krajowców przybędą bić mu czołem, składając na znak uznania istniejącego porządku rzeczy mnogie «soroki skór» cennych. Tymczasem w pierwszych już dniach zjazdu, kiedy nietylko dalsi, ale i bliżsi nie zdążyli jeszcze przywieść hołdowniczych swych darów, gdy roki sądowe, również wówczas odbywane, nie mogły się rozpocząć, bo pospolicie sprawowano je dopiero w dniach bezpośrednio poprzedzających «Spasa» — wojewoda w nocy z dnia 24 na 25 lipca opuszcza «niespodzianie» ostrożek. Uwoził on zapewne do Ilimska ową siostrę Czernichowskiego, której sromotę chcąc pomścić, brat goni za nim z dobraną drużyną, a walka ścigających z uprowadzającymi, zawiązana na łodziach, sprowadza zgon wojewody. Tak nam odtwarza się ów dramat, gdy zechcemy zestawić w całość jednolitą maluczkie okruchy nielicznych świadectw owej doby, okrytej zasłoną dwuwiekową, a co więcej zasłoną uprzedzeń wielorakich.

Zgon wojewody pozbawiał wszelakiej władzy ziemie, wyrównywające swemi obszary niejednemu z królestw Europy, a sprowadzić mógł na Czernichowskiego srogą pomstę za gwałt, rokosz i mężobójstwo. Nie pytanoby się o powód targnięcia się na wojewodę; nie ważonoby szalą obecnej sprawiedliwości czynników, jakie wywołały krwawą noc lipcową, ale obyczajem wieku i społeczeństwa owoczesnego, wzniesionoby dlań rusztowanie. Chcąc głowę unieść całą, Nicefor postanawia opuścić granice osad syberyjskich i pośród obcych nowe usłać gniazdo. Ci, co mu towarzyszyli w pogoni za wojewodą, koniecznością wiedzeni, łączą swe losy z losami Nicefora.

Nad kierunkiem kędy się miała udać garstka nowych wychodźców, długo się namyślano. Migracye do ziem Mandżu nad «Czarne wody» zbyt żywo malowały się jeszcze w wyobraźni tłumu, by pierwsza chwila niebezpieczeństwa, gdy potrzeba było uchodzić coprędzej przed hańbiącą śmiercią, nie wskazała w kierunku Amuru drogi ocalenia. Miecz sprawiedliwości nie mógł wszakże spaść na nich natychmiast. Parę tysięcy kilometrów uciążliwej żeglugi dzieliło ziemie pozbawione władzy od siedziby zwierzchności krajowej. O całość głowy drżeć należało, lecz spiesznie umykać nie było powodu. I Nicefor rzeczywiście nie spieszy się wcale, lecz wraca do kireńskiego gródka, by z całym spokojem czynić przygotowania do wyprawy na krańce wschodnie.

Inna atoli, potężna przyczyna, wówczas rzeczywistsza od obawy natychmiastowego pościgu, znaglała Czernichowskiego i mołojców, co mieli mu towarzyszyć, do niezwlekania żeglugi ku nieznanym brzegom «Kara-murenu:» — obawa zamarznięcia rychłego nurtów Leny i Olekmy.

Czyniono też spiesznie przygotowania, acz one były niemałe. Wyprawa przedsiębrana z zamiarem pozostania na zawsze w osadach mających stanąć na ziemiach Mandżu, niczego nie zaniedbała, co w warunkach tamtoczesnego bytu uważało się za konieczne. Oprócz niezbędnego rynsztunku i dużych zapasów prochu, nie zabaczono także o potrzebach z innej dziedziny, z dziedziny ducha. Mnich, przełożony kireńskiego monasteru, z obrazem Zbawiciela przyłączył się do grona odpływającej wyprawy. Greckie imię Hermogenesa, jakie opat ów nosił, żadnej nie stanowi wskazówki jego pochodzenia; badając wszakże tamtoczesne i znacznie późniejsze stosunki ziem północnej Azyi, dochodzimy do wniosku, iż był to syn ziemic naddnieprzańskich, jakich wielu po wsze czasy widziały ściany klasztorów syberyjskich. Mowa ludu z dnieprowego porzecza wciąż

i dziś jeszcze odbija się o ucho przechodnia wśród obejść monasterów syberyjskich; niemniej i język polski tak w XVII wieku jak i dziś nie jest obcy owym mnichom, szczególniej wyższych stopni, których kolebką bywają nader często wsie Podola, lub naddnieprzańskie mieściny. Takich «zaprzepaszczonych», zagubionych dla własnego społeczeństwa ludzi mnóstwo nasz kraj miał po całym Wschodzie.

Klasztor kireński, wyprawiając jednego ze swych towarzyszy z osadczym ziem Mandżu, i błogosławiąc odjeżdżających pionierów kolonizacyi, wręcza im na pamiątkę obraz Chrystusa, tenże sam, który obecnie oglądać można w nerczyńskiej świątyni; znać jednak zgromadzenie mnisze w niemałej było obawie możliwych następstw tego kroku, gdyż pospieszyło zapisać w monasterskiej kronice, iż «mnicha gwałtem uprowadzono». W one też czasy uwierzono temu z całą naiwnością, i klasztor oprócz śmiertelnej trwogi, nie doznał żadnej innej przykrości z powodu swego poniekąd udziału w wyprawie zagrożonego gardłową sprawą Czernichowskiego.

Osiemdziesięciu czterech oręźników składało szczupły zastęp Nicefora, z którym miał on zamiar zhołdować garstkę krajowców, jaka jeszcze mogła się błąkać ponad «niezbrodzonemi wody», i za pawężą mężnych swych mołojców ustalić sobie na resztę dni żywota bezpieczne i spokojne istnienie.

Porównywając Czernichowskiego z poprzednimi eksploratorami ziem amurskiego porzecza, jego maluczkie, rzec można, żadne siły, z siłami uprzednich rzecznych korsarzy, nie możemy go mienić śmiałkiem jeno, co rozpaczliwych ima się kroków. Nicefor wiele liczył na usposobienie swe bardziej ludzkie, wcale różne od usposobień całej rzeszy opryszków, co go poprzedzili na drodze wrzekomego osadnictwa. Dosyć było być «chociaż w części człowiekiem», a już się przerastało o wiele ów tłum pier-

wotnych okrywców ziem syberyjskich i dalszych wschodnich przestworzy azyatyckiego świata.

Middendorff w swych obszernych pracach o Syberyi, w których wszakże zabacza zupełnie o Czernichowskim, nie poświęcając mu ani wyrazu, bo dzieje osadnictwa są poza dziedziną jego badań, nie znajduje dość słów oburzenia, gdy mówi o kilkoletnich gospodarzeniach pierwszych eksploratorów ziem północnych kraju Mandżu, co zatracili zarodki pewnej oryentalnej cywilizacyi, kiełkującej tam przed czwartym dziesiątkiem lat XVII stulecia [1]). Nieco późniejsze studya Rosyanina Zawaliszyna w bardziej jeszcze jaskrawych barwach uwydatniają dziki obyczaj pierwotnych torowników drogi na Amur w stosunku do krajowców. «Dziadów naszych smażono i palono na stosach» — mówi w 1844 r. do Middendorffa krajowiec z nad amurskich dopływów, hołdujący wówczas Chinom. A sam Chabarow, kiedy urzędową relacyą składał niegdyś o swych krwawych czambułach — niemniej w ten sposób wyrażał się o sobie: «Pytałem i smażyłem» [2]).

Ułamki dziejów owej doby, brzmiące w tradycyi, a zachowane w wiarogodnych świadectwach tamtoczesnych, z których parę przytoczyliśmy, zbyt wymownie orzekają, czem było owo pierwsze gospodarzenie, by postać Nicefora, całą swą przeszłością różna od poprzedników, nie zarysowywała się innymi kontury, nie stawała na wręcz przeciwnym biegunie pojęć.

Niceforowi wiara w siebie, świadomość swej niezaprzeczonej wyższości, dodawała wiele nadziei, iż dojdzie do celu tak niespodzianie podjętej wyprawy, i ludzkiem swem postępowaniem zdoła ująć na poły dzikie, a z rozpaczy i trwogi dochodzące do szału umysły krajowców.

---

[1]) Patrz Middendorffa *Sibirische Reise*, t. I, str. 146—169.

[2]) Porównaj »Dodatki do aktów hist.«, 1848 r., wyd. Nr. 102, str. 363, 364. Nr. 103, str. 372 i inne. (Dzieło ros.).

Obyczajem czasu, drużyna, która niosła proporzec wyprawy na nowe szlaki, mające ją zaprowadzić ku pomyślności lub zagładzie, wybierała wodza. Przed odbiciem obecnej wyprawy od leńskiego porzecza, okrzyknięto przodownikiem Czernichowskiego. Był to w danym razie akt jeno formalności; dopełniono go wszakże skrupulatnie, by zadość się stało pojęciom i prawom obyczajowym onych drużyn ruchliwych, duchów niespokojnych, którzy wcieleni nawet do szeregów regularnych, poddani przepisom pewnym, jeszcze długie lata przechowywali obyczaj gminy słowiańskiej, wyniesiony z osad przeduralskich [1]).

Syn ziem Naddnieprza, Nicefor miał zapewne w liczbie swych towarzyszy i żywioł blizki sobie, ościenny ziemiom Poddnieprza, pokrewny mu pochodzeniem, obyczajem i mową. Że ślady ziomków Czernichowskiego wśród gromad zbrojnych i pojedyńczych osadników spotykają się wciąż w XVII wieku na szlakach Syberyi, w jej puszczach, gródkach i siołach, gromadnie lub pojedyńczo, na to wskazywaliśmy wielekroć w niniejszej opowieści. Mnogość ich była tak wielką, iż gdy 6 marca 1686 roku zawierano traktat grzymułtowski, jeden z paragrafów owego pamiętnego pokoju orzeka zupełne «ustępstwo wszystkich jeńców», dawniej lub później ujętych w granicach Rzeczypospolitej, na rzecz drugiego z państw wówczas umawiających się.

Hramoty urzędowe, acz rzadko mówią o tym przedmiocie, jednak gdy wspominają o tłumach co podążyły do ziem Mandżu z Niceforem, mienią je tylko »towarzyszami

---

[1]) Zdarzały się przykłady, jeszcze nawet XVIII wieku, iż kozacze drużyny obierały same wojewodów syberyjskich. Spotykamy w przeszłości życia Syberyi dziwne przykłady tego rodzaju, np. obrano raz wojewodą w Irkucku kilkoletnie dziecię zmarłego a ulubionego zwierzchnika, acz nominacya na wojewodę była atrybucyą rządu, i kilka lat zaledwie liczący wojewoda nie mógł być rządzcą kraju.

Czernichowskiego». Owo miano zbiorowe nietyle oznaczało pospolicie wspólników owego czynu, ile raczej ludzi związanych z sobą tążsamością pochodzenia; niepodobna więc wątpić, iż większa przynajmniej część osady na łodziach zbrojnych Nicefora wspólne miała gniazdo z rycerskim potomkiem owruckiej szlachty.

Wyprawa szybko złożona pomknęła w dół Leny. W jej szeregach znajdowali się i tacy, którzy oszczepem władać nie mogli, lub właściwem im to nie było. Wiemy o dwóch na pewno. Ojciec Hermogenes, opat (igumen) Spaskiego monasteru, położonego przy ujściu Kirengi do Leny, i nieletni syn przodownika wyprawy, który dzielił losy ojca, należą właśnie do owych niezbrojnych szeregowców drużyny. Co się stało z siostrą Nicefora, bohaterką krwawej nocy na leńskiej fali, jaki los padł w udziale jej i pozostałej rodzinie Nicefora, źródeł w tym względzie nie mamy; zapewne jednak ona była w łodziach, które pod zasłoną osiemdziesięciu czterech samopałów, chyżo niesione falą rzeki, w dniach sierpniowych 1660 r., płynęły ku północy.

U ujść Olekmy, na kilka lat przedtem, mogłyby były spotkać ich straże, które za dni tłumnych migracyi stawiano w celu przeszkodzenia gwałtownemu wysiedlaniu się dalej w głąb Wschodu z ziem niedawno zajętych między Jenisejem a Leną; lecz pogrom drużyn Chabarowa stał się tak skuteczną tarczą przeciw gromadnym przesiedlaniom, że wszelkie już straże okazały się zbytecznemi. Wpłynięto więc bez przeszkód na wody Olekmy, gdzie pracowicie wiosłowano przeciw prądom, i wreszcie na schyłku dni jesiennych, wśród coraz to gęstszej kry, wylądowano na wybrzeżach Tugyra, co jest dopływem Olekmy, sięgając swymi górskimi nurty pochyłości amurskich. Był to tenże sam gościniec, co ongi wiódł Chabarowa ku gródkom Laukaja, książątka Daurów.

Przy górnym Tugyrze, kędy wiosłowanie stało się

niemożebnem dla płytkich nurtów, stało na prędce wzniesione przez łowców przytulisko, które zbudowano jeszcze za dni pierwszych pionierów przesiedlenia się na amurskie porzecze. Tam zaczynały się roztoki dzielące dwa wodozbiory, i tam właśnie postanowiono opuścić łodzie, a dalej pieszo już ciągnąć je w głąb ziemi Mandżu.

Zima srożyć się zaczynała, wędrówka dalsza stawała się przeto coraz uciążliwszą i niebezpieczniejszą. Nie pogoń syberyjska grozić im mogła – bo i dziś nawet ręka sprawiedliwości niezdolną jest dosięgnąć banity w owych do obecnej doby dziewiczych kniejach; — ale głód, sprzymierzony z głębokimi śniegi i mrozy, z krajowcem nader nielicznym wprawdzie, lecz wtedy zażartym wrogiem przychodnia — mogły stawić opór nie do zwalczenia nawet dla tak rozpaczliwie wytrwałej garstki, jaką byli towarzysze Czernichowskiego.

Dolegliwości zimy nie przyniosły strat dotkliwych, ale rozpacz maluczkich gromad koczujących Oronczanów sprowadziła parę krwawych starć. W jednem z nich podjazd, wysłany dla powzięcia języka, padł od strzał tubylców, którzy znać pomni na uprzednie krwawe gospodarzenie przybyszów, postanowili stawić opór wedle swych sił i umiejętności. Jedne i drugie maluczkiemi były, a jednak Nicefor stracił w dorywczej potyczce piętnastu orężników — wyłom zawielki w szeregach tak szczupłych.

Celem, do którego dążono, były brzegi górnego Amuru, kędy przed laty wznosiły się gródki Laukaja i pokrewnych mu władzców.

Gródki atoli owe spłonęły wśród którejś orężnej pożogi Chabarowa; lud co ich bronił i swemi siedziby szeroko roztaczał dziedziny onych książątek, znikł wśród bojowych zamieci, lub na rozkaz przybyły z Pekinu —

jak to wskazaliśmy uprzednio — przeniósł ogniska swych namiotów na prawy brzeg Kara-murenu. Nicefor znalazł tylko pustkowiem leżące uroczyska i gdzie niegdzie z dzikiego ostępu wznoszący się dym ognisk łowców. Oprócz potyczek nad górnym dopływem Amuru i roztoków wodozbiorów, kędy Oronczanie walczyli, tworząc oryginalną nader jazdę, bo ciskającą strzały z grzbietów rena — nigdzie nie spotkano poważniejszego oporu. Brzegi lewe «wód niezbrodzonych» na wiele mil stały na ścieżaj rozwarte.

Nie posuwając się zbyt daleko, skoro wiosna nadeszła, Nicefor wybrał uroczysko, gdzie uprzednio wznosił się daurski ostrożek jednego z licznych władzców miejscowych, kniazia Albazy, dla założenia tam głównego posterunku. W chwili zajęcia uroczyska na metropolią przyszłych osad, oprócz tradycyj i chwastu na zgliszczach przed niewielu laty spalonego ostrożka, nic tam nie znaleziono. Krajowiec nawet, jeżeli gdzie wałęsał się pojedyńczo w celach łowieckich, spiesznie uchodził na widok przybyszów, rozniecających ogniska na spopielałych zaledwie pustkowiach.

Uroczysko owo lewego brzegu Amuru, leżące nieco na północ od 53 stopnia północnej szerokości, a pod 122 stopniem na wschód od paryzkiego południka, jeszcze za dni Chabarowego gospodarzenia w notach jego mołojców przybrało nazwę «Albazin». Pod tem mianem znają je roczniki i pamięć ludu rosyjskiego; to miano i obecna doba wskrzesiła; a jednak chińskie geografie, kroniki pekińskich latopisców i opowieść europejskich ziemiopisów XVIII wieku — jednogłośnie mienią wrzekomy «Albazin»: «Jaksa». Powaga owej epoki, światły Władysław Łubieński, późniejszy prymas Rzeczypospolitej, w swem nader rzadkiem dziś dziele: «Świat we wszystkich swych częściach», wydanem 1740 r., mieni także osadę ową «Jaksa». Müller w swej «Historyi Syberyi», a również i w rozpra-

wię przytaczanej już przez nas kilkakroć na kartach niniejszej opowieści, wspomina o nazwie «Jaksa», szukając w chińskim języku jej pochodzenia. Późniejsi ziemiopisowie i badacze rzeczy syberyjskich, gdy mówią o pierwocinach przeduralskiej na Amurze kolonizacyi, zabaczają o tej nazwie lekkomyślnie, mieniąc ją «chińskim wyrazem» i kilku ogólnikami rzecz rozstrzygając. Tymczasem jest to bez zaprzeczenia nazwa nasza, jest to przydomek jeśli nie Czernichowskiego, to jednego z najbliższych i najmilszych mu współwędrowców, którego wspomnienie osadczy związał z dziełem swej pracy i energii. Sądził rycerski potomek owruckiej szlachty, iż nadając nazwę swojskiego przydomku pierwszej osadzie powstającej w krainie Mandżu, uwieczni bądź siebie, bądź gniazdo swe.

Inną stała się wszakże kolej przeznaczeń. Trudy pierwszego osadczego na mandżurskiem porzeczu pochłonęła otchłań zapomnienia, a imię przezeń dane metropolii osadnictwa istnieje dziś tylko «wyłącznie» w ustach i księgach Chińczyka.

Müller — acz nader dawny badacz — wszakże troskliwszy o prawdę od późniejszych pracowników w dziedzinie północno-azyatyckiej przeszłości, zwrócił uwagę na nazwę «Jaksa», będącą w powszechnem używaniu za dni jego u Mandżurów i Chińczyków, jakby się domyślał, iż jest ona żyjącym pomnikiem nie chwilowego najezdcy, ale rzeczywistego kolonizatora Amuru [1]).

Stanąwszy taborem na rzeczonem uroczysku, Nicefor z godną podziwu wytrwałością rozpoczyna pracę osadniczą. Starym obyczajem wschodnich skraisk starej Rzeczypospolitej, której tradycye głęboko tkwiły w jego umyśle, zatknięto krzyż na wyniosłym brzegu, gdzie miał stanąć gródek, i rozpoczęto oszańcowanie taboru. — Na dniepro-

---

[1]) Porównaj pismo peryodyczne Akademii nauk w Petersburgu, wydane 1757 r. *Jéżemiesiaczny ja Socsynienia;* Zeszyt lipcowy, str. 21.

wem porzeczu, skąd któryś z towarzyszy Czernichowskiego przyniósł obyczaj stawiania krzyża w miejscu kędy miano zakładać nowe sioła, obok krzyża wtykano żerdź ze snopem (rodzaj wici), wskazującą miejsce zbierania się osadników. W Jaksie atoli takie «wicie» napróżnoby wzywały bliższą ludność. Przerażona niespodzianem wtargnięciem obcych, pełna bolesnych wspomnień niedawnych zagonów, cofnęła się ona z lewych w głąb prawych wybrzeży, wyczekując lepszego jutra. Jeżeli jednak tubylec stronił od wznoszącej się kolonii, jeżeli garstka, nie dochodząca liczbą siedmiu dziesiątków, tworzyła całą drużynę przybyłą z Niceforem nad Amur, to przypływ osadników z zajętych już dzielnic Syberyi obfity był nad wszelkie oczekiwania. Zapomniano o wrażeniach chińskiego pogromu, i szał migracyi powstał nowy, acz nie tak widoczny. Umykano do Czernichowskiego z leńskich wybrzeży, z dalszych wodozbiorów ku zachodowi położonych, ciągniono i zupełnie nowymi szlaki, bo przez kraje, co się rozpostarły na wschód bajkalskich toni. Oprócz tych dróg wielorakich, któremi skrycie posuwał się do Jaksy, szukając szczęścia, spokoju, ziszczenia nigdy nie ziszczonych marzeń, mnogi osadnik, rozwarły się wkrótce i inne podwoje, skąd napływała ludność nieliczna, ale wytrwała, zahartowana wśród zmiennych losu kolei, ludność mogąca być dźwignią olbrzymią dla młodziutkiej osady. Te nowe bramy — to mandżurskie pęta i chińska branka. Umykano od nich z narażeniem się na śmierć haniebną.

Wielu udawało się to wybornie; inni, co dobrowolnie całymi hufcy za dni uprzedniego «rzecznego korsarstwa» przeszli do szeregów chińsko-mandżurskich, nie spotykali nawet trudności w przedarciu się do swoich. I osada zaludniała się, rozrastała, wzmagała na siłach, obwarowywała swe główne siedliska, wytrzebiała puszcze, odszuki-

wała dawne lasem już porastające zagony Daura, by na nich rozpocząć uprawę zboża.

W lat kilka po zajęciu lewego porzecza Amuru przez Czernichowskiego, taki mamy obraz Jaksy, metropolii posiadłości syberyjskiego wychodźcy. Ostrożek to drewniany, w czworobok zabudowany — opowiada współczesna relacya — a stoi nad stokiem stromym ku rzece, na którą patrzą dwie wieżyce gródka; z przeciwległej zaś strony, od gór do lądu, jeno jedna strażnicza baszta go broni. Ta ostatnia posiada bramę, tworzącą jedyne wejście do forteczki. Brama ma nad sobą izbę sądową, nad którą mieści się czatownia. Inne dwie wieżyce nadbrzeżne u dołu posiadają pokoje mieszkalne, a ich szczyty są również obronne i urządzone jako czatownie, skąd snadnie odpierać można wroga. Wewnątrz gródka był tylko spichrz, a studni być nie mogło, dla gruntu opoczystego — jak inne źródło nieco późniejsze powiada.

Zewnątrz stały koszary dla tych, co stale obowiązani byli składać załogę gródka, i z czasem około wałów obronnych powstało sioło, które liczyło około czterdziestu dymów. Forteczkę dokoła obiegały szańce, dzieło już doby późniejszej, i fosa jej strzegła. Długość ostrokołów gródka wynosiła sto dwadzieścia sześć stóp wzdłuż, a dziewięćdziesiąt jedna w szerz. Opat Hermogenes urządził wśród zewnętrznych obwarowań kapliczkę, a nawet później fundował monaster na ościennem uroczysku.

Po pierwszych kilku latach usadowienia się Czernichowskiego nad Kara-murenem, Jaksa, panująca nad szeroko rozciągającem się porzeczem, posiadała wszelkie warunki znośnej i bezpiecznej egzystencyi dalszej. Znośną ona była zupełnie, bo praca osadników rychło przedzierzgnęła ugorem leżące ongi daurskie łany na pola, gdzie falowały kłosy zboża na znacznych przestrzeniach, ogrody zaś u sioła i na futorach dawały warzywo różnorodne. Bezpiecznemi jednak osady amurskie były tylko do czasu,

bo najścia mandżuro-chińskiego spodziewać się zawsze należało. Dlatego też ostrożek trzymał się zbrojno i zapaśnie, gotów odeprzeć każde orężne targnięcie się. Ubiedz gródka niespodzianie nie można było, dorywcze chyba targnięcie się mogłoby pochodzić z taboru Tunguza lub Oronczana, a dla nich to przedsięwzięcie było nad siły. Poważniejszy znów napad Chińczyków natychmiastowym być nie mógł, bo potrzebowali oni pospolicie do swych przedsięwzięć i czasu i namysłu dużo. Ajgun, rezydencya najbliższego wielkorządcy chińskiego, leżał o dwa tygodnie rzecznej żeglugi od Jaksy, a stamtąd jeszcze sześćdziesiąt stacyj potrzebowała przebyć chińska rządowa poczta, by dotrzeć do bram stolicy Bogdychana. Cztery takie stacye dziennie przebywała poczta mandżuro-chińska, niemniej jednak rozkazy szły powoli. Wykonywano je nie spiesząc się, rozkładając na lata i niekiedy dziesiątki lat przedsięwzięcie, co mogłoby stać się dziełem dni kilkunastu lub kilkudziesięciu. Dzięki takiej niesforności chińskiej administracyi, acz w Pekinie patrzano bardzo niechętnie na nowe osadnicze usiłowania na Amurze, Czernichowski, znając obyczaj organów władzy Bogdychana, na całe lata mógł być spokojnym. Dalszy przebieg wypadków wskazał, iż uzasadnionemi były zupełnie przypuszczenia Nicefora. Groźna burza gotową była spaść na jego siwizną już okrytą głowę; ale z innej strony, nie od południa, lecz z zachodu horyzont się zachmurzał.

Osadczy Jaksy, dziś wspominanej pod imieniem «Albazin», nieograniczoną dzierżył władzę nad lewem porzeczem Amuru, aż do dopływu Dży (Zei) na wschód i o kilkanaście mil w górę, to jest ku zachodowi od swej kolonii. Był on elekcyjnym wprawdzie (okrzyknięto go bowiem na leńskich falach przewódcą), ale niemniej nieograniczonym królikiem, na wzór władców mongolskich, którzy pod imieniem «Wangów» sprawują najwyższą władzę wśród taborów rzeszy koczowniczej. Ludność osadnicza, która roz-

maitymi szlaki i w różnych czasach zbiegła się pod osłonę drewnianych fortyfikacyj jego gródka, a z nią i wszystkie szałasze krajowców shołdowanych przez drużynę Czernichowskiego, podlegały mu bezwarunkowo. Zbierał on daninę; był panem życia i śmierci; sprawował władzę sądowniczą; tworzył zbrojne gromady i rzucał je w puszczę na północ, lub wschód, w celu zhołdowania tubylców i ściągnięcia od nich haraczu, który składał się ze skór, więcej lub mniej cennych.

Zbieranie daniny odbywało się w sposób właściwy rządom ucywilizowanym; i że kontrola pod tym względem była prowadzoną, na to mamy dowody. Gdy bowiem osadczy ziem Mandżu zrzekał się w 1674 roku swej władzy i na ręce komisarza rządowego składał ruchomości gródka, czytamy w protokole sporządzonym z tego powodu ciekawy szczegół, który podajemy w przekładzie, zachowując chronologią ówczesną, rachującą lata od stworzenia świata. — «Są i księgi danin z lat 7181 i 7182, a również za lata ubiegłe 7175, 7176, 7177 i 7178»...

Gdzie przy małej piśmienności owej doby nie wahano się zadawać sobie trudu w celu zabezpieczenia krajowców od nadużyć, tam zaiste nie można nie rozróżniać rządów Nicefora od onych krwawych zagonów, jakie rzeczni korsarze rozpościerali nad «czarnemi wody» dni uprzednich. Zhołdowanie odbywało się poniekąd wedle obyczaju dawnego; widzimy bowiem zakładników ujętych w taborach, których uległość mogła być jeszcze wątpliwą, lecz nigdzie śladu owych okrucieństw, które plamiły dłonie pierwszych torowników drogi na Amur: a wątpić niepodobna, aby o najmniejszych nawet nadużyciach «osadczego» zapomniały ślady piśmienne rzeczonej epoki, tak nieprzyjazne pospolicie dla Czernichowskiego.

Dziesięć pierwszych lat rządów Nicefora upływa w zupełnym spokoju, nader zbawiennym dla rozwoju kolonii. Tabory zhołdowane płacą daninę wcale dla nich nie-

uciążliwą; płacą ją bez szemrania; nie myślą o rokoszu, i żaden głos nie chęci, ani jęk ucisku, nie powstały w owej dobie wśród tradycyi krajowca. Ościenne prowincye bogdychańskiego państwa widzą w Niceforze pewnego rodzaju siłę, z którą rachować się należy, i przez cały szereg lat czternastu, kiedy on w Jaksie rozkazywał, nie targnięto się na młodocianą, wciąż wzrastającą osadę, lubo siły jej oręźne były rzeczywiście dziwnie szczupłe i z trudnością mierzyć się mogły z tłumami zastępów mandżuro-chińskiego żołdactwa.

Najwybitniejszym z rysów owych stosunków z ościennymi jest fakt niezaprzeczonej prawdy, iż w Czernichowskim widziały władze chińskie człowieka niesyberyjskiej narodowości, nie wcielały jego imienia do tłumu opryszków wałęsających się po falach Amuru, że znać szanowały osadczego, gdy już po złożeniu przez niego władzy, pisały do załogi Jaksy po polsku [1]; a nie inne miano kolonii, lecz jeno przezeń nadane, dochowuje się do dni obecnych w chińskich dziejach i geografiach.

W czasach rządów Nicefora ziemie na wschód jeziora Bajkał leżące stopniowo zostały pokonane przez władze rosyjskie. Wodnemi drogi Selengi i Chiłku docierano do maluczkiego teraz jeziora Irgen, którego stan wód wyższym był wtedy bez porównania od obecnego — i tam sklecono ostrożek. Tak ustalonych zdobywców na zachodnich pochyłościach gór «Jabłonowych», już tylko jeden, rzec można, krok oddzielał od stoków wschodnich. Przejście z ostrożka nad Irgenem, do zbiorowiska rzek wytwarzających Amur, było dziełem nader krótkiego okresu.

Fale Ingody i Ononu rzuciły gromadki śmiałych pio-

---

[1]) Müllera rozprawa w piśmie Akademii nauk petersb. 1757 roku; Zeszyt sierpniowy, str. 211.

nierów nader szybko na najdalsze krańce syberyjskiego władztwa, czyniąc je ościennem posiadłościom Nicefora.

Tu i owdzie stanęły posterunki, opędzające się od hardych zaczepek krajowca-Buryata, który wsparty nadzieją pomocy całej plejady taborów mnogiej mongolskiej rzeszy, niekiedy zdobywał się na czynny opór. Wśród posterunków owych, ostrożek u ujść Nerczy do Szyłki przodował innym, będąc głównem ogniskiem administracyi ziem transbajkalskich. Nosił on uprzednio, od r. 1658, nazwę «Nieludzki» ostrożek — bo stał w głębi pustyni, nie wśród ludzi — nazwę tę potem przekształcono na Nerczyńsk. Komisarze Nerczyńska, później mienieni wojewodami, z pewnym rodzajem zawiści patrzyli na niezależne państewko Czernichowskiego, które stanęło na północnych skraiskach ziem Mandżu. Pokonać je było trudniej, niż zhołdować koczujące tabory wpół dzikiej rzeszy tubylców; ale gdzie podołać nie zdoła oręż we wstępnym boju, tam zabiegi dyplomatyczne skuteczną usługę oddać mogą. Widzimy przeto, iż od roku 1671 rozpoczynają się rokowania Nerczyńska z Jaksą.

Wielce ciekawą byłoby rzeczą, gdyby zbadać można dokładnie wszystkie zawiłe ścieżki rokowań i podkopów, czynionych gwoli wyzucia Nicefora z władzy, którą tak chlubnie przez kilkanaście lat sprawował. Jeżeli dzisiejsze dyplomatyczne zabiegi dalekimi są często od prawnych i jawnych szlaków, to łatwo odtworzyć sobie barwę tajemnych zabiegów dalekiego kątka Azyi w XVII wieku. — Trwały one całe cztery lata, zanim osiągnęły cel upragniony — wyzucie z władzy Czernichowskiego i opanowanie kraju, który on objął pustkowiem, zgliszczem, a który, po czternastu latach działalności swego osadczego i władcy, stał się ziemią kwitnącą o tyle, o ile przy owoczesnych warunkach mogły kwitnąć porzecza Amuru. Zabiegi jednak owe i tajemne podkopy szły takiemi drogi, iż nić ich nieujętą jest teraz dla dłoni badacza: szept cichy, po-

kątny, rzucony w ucho któregoś z szeregowców różnobarwnej i wielojęzycznej gromady osadników Nicefora; prześlizgujący się nieznacznie z dłoni do dłoni pieniądz, co tam był nieczęstym gościem w owej dobie, a cenił się wysoce na mandżurskim rynku — to przedniejsze dźwignie rokowań. Lecz tego rodzaju zabiegi nie zostawiają śladu swego istnienia; stronią od słońca i szerszych widnokręgów; nie uwieczniają swych działań pismem, zwłaszcza, iż główni działacze w tym danym razie byli prawie zawsze ludźmi niepiśmiennymi, a pobudki działań ich, to jeno interes osobisty, maluczki, potrzeba chwili.

Pomniki dziejowe owych czterech lat rzekomych rokowań władz, które z Moskwy rozkazy otrzymywały, z Niceforem, starcem już wówczas zgrzybiałym, którego energia stępiała w walce z życiem i dziwnemi kolejami losu, ślady pokątnych zabiegów wśród załogi Jaksy, dla poszukiwaczy azyatyckiej przeszłości znikły bez śladu. Okruchy co do nas doszły, zbyt są małymi, by można odtworzyć z nich całą sieć knowań.

Najcenniejszym z owych ułamków źródeł, to praca Holendra Witzena; ale i ona mniej od innych zdolną jest zadowolnić badacza prawdy, ze względu, iż autor niewiele był obeznanym ze stosunkami syberyjskimi [1]).

Wszakże Witzena wskazówki uważać można za bliższe prawdy od podań Müllera, który niekiedy nazbyt ufa tradycyom miejscowym. Dokumenta urzędowe owej epoki, tyczące się dziejów Jaksy za rządów Nicefora, nieliczne są, ubogie i często mylne. Dlatego też, zamykając niniejszą opowieść, używamy ich bardzo oględnie, przekładając brak rysów w wykończeniu nad skażenie prawdy dziejowej.

Głównymi czynnikami, co przygotowały i przyspieszyły upadek Czernichowskiego, były to duchy niespokojne, w które obfitowały po wsze czasy drużyny ocho-

---

[1]) Witzena *Nord en Ost Tartarye* 1692 r.; wydanie drugie.

tnicze. Wiek późny osadczego, energia ongi olbrzymia, lecz po trzydziestu sześciu latach trudów złamana, nie zdołały już wywołać owej siły ducha, z jaką przed czternastu laty widzieliśmy go szykującym swą wyprawę na Amur.

Po raz pierwszy na kartach syberyjskich kronik imię Nicefora spotyka się w roku 1638, znika zaś dopiero 1674 roku; dodawszy do tego przynajmniej trzydzieści parę lat życia, które mu upłynęły przed wystąpieniem na szerszą arenę działania, przekonamy się, że Czernichowski był już starcem dobiegającym ósmego dziesiątka pracowitego a przeplatanego częstemi trudy żywota, gdy rozpoczęły się tentacye o jego władztwo.

Pogróżki prawdziwe lub wrzekome ze strony Chin, które, jak zbiegowie głosili, uzbrajały olbrzymią armię, podczas gdy w państwie Czernichowskiego nie było nigdy więcej nad pół tysiąca dłoni zdolnych do oręża, i to w tym tylko razie, gdy się ściągnęło rolników z dość odległych futorów, — pogróżki owe, może umyślnie powiększane i jaskrawszemi barwy nakreślone, wywoływały zbliżenie się odciętej dotąd od syberyjskiego świata osadniczej ludności Jaksy, z drużynami, co rozwielmożniły się już wówczas na daurskich dolinach, i tam krzewiły taką władzę, jaka siedlisko swe miała w Kremlinie i szeroko się rozlewała na północ i wschód.

Stosunki uprzednio jedynie sąsiedzkie i przyjazne, utrzymywane na stopie zupełnej równości (nie zawierając bowiem zaczepno-odpornych przymierzy, w praktyce życia byli rodzajem sprzymierzeńców, wobec grożącej im nieustannie chińskiej inwazyi), z biegiem lat zmieniły się w zależność Jaksy od urzędników państwowych, rezydujących w ostrożku nerczyńskim. Okres czteroletni (1670 do 1674), poprzedzający zupełne zniknięcie Nicefora z widowni dziejowej, przepełniony jest zbyt ciemnemi barwy i niepewnymi rysy, by można z niewielu napomknień, ze stronniczych okruchów odtworzyć całą pełnię obrazu, by

stanęła przed nami owa niesforna drużyna, rojąca się pod ostrokołami amurskiego ostrożka, drużyna spędzona z przeciwległych węgłów ziemi, mówiąca przeróżnymi językami, ze wszystkiemi swemi wady i zalety, z tą poziomą chciwością złota a dziwnem krótkowidztwem, .byśmy z ust owej tłuszczy usłyszeć mogli słowo dziejowej zagadki.

Próżno wszakże wywoływać na świadectwo prawdzie cienie przeszłości, i one niewiele nam rzekną. Działano nieświadomie, na oślep.... Gdy siedem dziesiątków lat spoczęło na barkach Nicefora, gdy wierne druhy jego pierwotnej gromadki, «Potryłowscy, Niemirowie», — owi tak często wspominani «towarzysze», legli snem wiekuistego pokoju na mogilniku Jaksy, w przytuliskach zimowych, szeroce rozsianych rolniczych futorów, na obszarach pustyni i w nurtach «wód czarnych», słowem, gdy dziesięć lat przetrzebiło bliższych a wiernych — późniejsze napływowe żywioły wyciągnęły dłoń ku syberyjskim ostrożkom, mieniąc je swą «macierzą» i tuląc się pod ich opiekuńcze skrzydła. Tulono się tem gorliwiej, iż szmer zbliżającej się burzy chińskiej inwazyi zdawał się donośniejszym; tulono się wobec spodziewanej lub urojonej każdej klęski, przy obietnicach, których metropolia nie szczędziła. Nerczyńsk brał tu na siebie rolę metropolii; a Nicefora gródek uważano za swe dziecię, acz nieprawe. »Jesteście rokoszanie — wołał nerczyński ostrożek na załogę Jaksy — proście o przebaczenie; poddajcie się, bo inaczej biada wam! Chińska pożoga zniszczy wieloletnie owoce pracy waszej, a miecz zasłużonej kary zawiśnie nad głowy waszemi....»

Wołania te skutek odniosły....

Mnogi tłum podpisów zapełnił kartę proszącą o wcielenie Jaksy z lewem porzeczem Amuru po wybrzeża rzeki Dżi, do plejady osad syberyjskich. Powtórzyły się dzieje Jermaka; powtórzyła się z całą drobiazgowością scena XVI stulecia, która w takie zdumienie wprawiała Bandt-

kiego, gdy w jednej ze swych prac mówi o oddaniu dobrowolnem Moskwie przez zdobywcę Syberyi wszystkich ziem, korzących się przed mieczem nadwołżańskiego korsarza. Zważywszy okoliczności, przypatrzywszy się działaczom, a zwłaszcza owej wybitnej różnicy między osadczym ziem północnych kraju Mandżu, a poskromicielem hord Kuczuma — niema kresu zdumieniu naszemu i innej odpowiedzi dać sobie nie możemy nad tę, że Nicefor był już wtedy władzcą tylko z imienia; — losami zaś kraiku, który on powołał do życia, rządziły tłumy....

W ostatnich latach sprawowania włodarstwa przez Nicefora nad «czarnemi wody», nie on właściwie rządził, ale ci, którzy tam wcielają się do zaciągów Jaksy, ale agenci z daurskich posterunków przybyli i wszyscy, co głową tłum przerośli podczas warchołu chwilowego. A warchołów takich było sporo w niesfornej osadzie, przy schyłku dni jego gospodarzenia i po nim; aż do chwili, gdy bogdychańskie szyki wydarły z dłoni już syberyjskiej, w 1685 roku, ostrokoły Jaksy i w perzynę ją obróciły. Rola, którą osadczy odtąd bierze na się, jest bierną, jest żadną...

Wypadki szybko postępują, i w nich on już nie ma wcale udziału. Ow akt poddania się Jaksy był dla jej niezależności, a nawet dla samej jej nazwy chwilą zgonu. Jeszcze Czernichowski w niej rządzi, ale już bezwarunkowo poddany władzom daurskich dolin, co rezydowały w Nerczyńsku; samo zaś imię jego głównej osady «Jaksa», na zawsze ginie dla Syberyi, i idzie na zagładę, zastąpione przez inne «Albazin», do dziś istniejące w piśmiennych zabytkach i tradycyi, w księgach i ustach przychodnia, który obecnie w miejscu kędy się wznosił ostrożek, widzi tylko zielskiem i krzakami porosłe uroczysko, najeżone wałami. Nieopodal od wałów ongi rozgłośnej sławy ostrożka, zabudowało się teraz około 1858 roku sioło, noszące miano «Albazin» — i to są jedyne dziś ślady Niceforowej stolicy.

Nominalna władza Czernichowskiego zgasła wreszcie

dnia 12 lutego «roku 7182 od stworzenia świata» [1]), jak się wyraża protokół przechowany dotąd, a spisany w chwili, gdy stary osadczy zdawał ruchomości gródka komisarzowi rządowemu, przysłanemu dla objęcia «Albazinu».

Ów akt piśmienny, ocalony od zniszczenia przez Müllera i uwieczniony później drukiem [2]), zawiera nader ciekawe szczegóły, świadczące o patryarchalnym bycie owoczesnych panów gródka. Ruchomości owe, stanowiące «własność publiczną», to zbiór wielorakich sprzętów, dziwnie małej wartości. Spotykamy tam «dziesięć sierpów, kilka świdrów, dwie wagi, sztandar, bęben, librę papieru» i inne błahe przedmioty. Załoga ówczesna składała się ze stu dziewięciu tylko oręźników, nie licząc kilku «zakładników-Tunguzów», których imiona z całą skrupulatnością wymienione są w protokole. Nad to widzimy, iż w owej chwili przejściowej, w obrębie samego fortu mieszkało kilka rodzin, tworzących coś w rodzaju ludności pańszczyźnianej gródka. Zapasy broni, kul, prochu, zapasy wreszcie żywności, bardzo małe także, znalazł delegat obejmujący Albazin.

Po owym dniu 12 lutego 1674 roku, Nicefor Czernichowski, mąż niemałej zasługi, człowiek dziwnych losów, znika na zawsze z szerszego koła działalności. Pamięć jednak o nim, o jego pochodzeniu, którego odrębne znamiona zachował na dalekich lądach, przechowała się długo wśród chińskich sfer urzędowych [3]).

W jedenaście lat po złożeniu przez Nicefora włodarstwa nad kolonią amurskiego porzecza, kiedy z obozu wojsk bogdychańskich słano do załogi syberyjskiego już

---

[1]) Rok 1674 ery chrześcijańskiej, od której w Rosyi liczyć zaczęto dopiero w XVIII wieku z rozkazu Piotra W.

[2]) Szczukin: «Podróż za Bajkał», r. 1844 (dzieło ros.).

[3]) Potomkowie Czernichowskiego Nicefora przetrwali w Dauryi Nerczyńskiej dwa stulecia. Ostatnia latorośl Czernichowskich po kądzieli, żyła jeszcze około 1872 r., w okolicach Nerczyńska.

Albazinu jeńców, czy też dobrowolnych wychodźców, by ci skłonili swych współbraci do poddania się Pekinowi, co też wkrótce nastąpiło — chiński trybunał spraw zagranicznych nie zaniedbuje pisać wezwania swego do mieszkańców Albazinu (Jaksy) po chińsku i po polsku, w mniemaniu, że snadniej tem trafi do przekonania towarzyszy Nicefora. Po raz trzeci w ciągu kreślenia niniejszego obrazu, fakt ten, oparty na akcie urzędowym [1]), podnosimy, gdyż oko bezstronnego badacza nie może nie upatrywać w owym drobnym wypadku pełnego doniosłości uznania przez rząd pekiński odrębnych cech pochodzenia «osadczego» europejskiego, na dalekich lądach Mandżuryi. Wywalczyć takowe uznanie mogły tylko przymioty, podnoszące go pqnad tłum mu podległy.

Chiny uznawały w nim «Chana» mądrego, ludzkiego w obejściu się z tubylcami, męża, co nakazywał dla siebie szacunek. I obcy, acz niehojni w objawach takich, nie szczędzili mu oznak uznania, którego tylko u swoich i blizkich do dziś nie posiadał.

Niech obecna opowieść, kreślona wśród dauryjskich dolin, u wód, co są źródłem «Kara-murenu», będzie chociaż listkiem wawrzynu, jakim uwieńczyć się godzi dwuwiekową a nieznaną nam mogiłę pierwszego, rzeczywistego zdobywcy Amuru.

---

[1]) Müllera: Rozpr. 1757 roku; Szczukina: «Podróż za Bajkał», gdzie jest ów akt wydrukowany w roku 1844, dzieło ros. — Słowcew, tom II i inni.

Pisałem w Dauryi Nerczyńskiej,
nad strumieniem Darasuń i w Irkucku 1868—1874.

GNIAZDO HETMAŃSKIE.

Studyum obyczajowe z XVII wieku.

GNIAZDO HETMAŃSKIE.

Studyum obyczajowe z XVII wieku.

Było to roku Pańskiego 1609, podczas dni głębokiej jesieni, dni słotnych, zimnych, wiejących smutkiem i żałobą po całym obszarze ziem Rzeczypospolitej, acz jej niebo dziejowe pogodą jeszcze naówczas świeciło i doba utrapień zdawała się być daleką.... lub nigdy niedoścignioną. Zwykła u nas szaruga jesienna dziwną sprzeczność tworzyła z pogodą umysłu ówczesnego społeczeństwa, które próżne wszelkiej troski, oddawało się wczasom, zbierając owoce prac ubiegłych dni Jagiellońskich. Walka wtedy właśnie tocząca się na północno-wschodnich krawędziach państwa, do której prywata niewielu kraj nieoględnie popchnęła, nie była ani tak uciążliwą dla bogatych ziem Rzeczypospolitej, ani tak powszechnie zajmowała umysły, aby zwykła w onej dobie pogoda ducha społecznego zaćmić się mogła na dłuższą chwilę. W pojedyńczych gniazdach i rodach, u ognisk rodzin niekiedy zawisały mniej lub więcej posępne chmury, lecz horyzont całego społeczeństwa świecił jasnym promieniem pomyślności. Na tem wzorzystem tle pogodnych stosunków krajowych, ciemne

włókna prywatnych smutków, pojedyńczej żałoby, wyraziściej się odbijały. Indywidualizm pojedyńczych rodów i jednostek, w sprawach dobra publicznego mocno rozwinięty, czynił wielekroć smutek jednostki smutkiem ogółu, żałobę pojedyńczego gniazda, żałobą całej rzeszy rodów: podwaliny bowiem państwowe na barkach tych rodów i na krzepkich dłoniach jednostek legły.

Dzwon więc smutku, który uderzał kędyś daleko na miedzy szląskiej, biegł przez szerokie przestworza do odległych państwa krawędzi, odbijając się w najdalszych zakątkach kraju echem żałobnego wtóru... Łza, która płynęła nad trumną pracownika rzeczy publicznej w głębi puszcz i mało przetrzebionych naddźwińskich ostępów, odnaleźć pospolicie mogła swą siostrzycę na karpackich stokach, wśród modrzewiowych prastarych dworców u źródeł Dniestru, lub na piaskach Noteci. Tak tam pospolicie w one czasy bywało...

Cóż tedy dziwnego, że gdy boleść i smutne przeczucia zawisły nad dachem rodziny Koniecpolskich, zgromadzonej w Ruszczu, wiosce Sieradzkiego województwa, u łoża złożonego ciężką niemocą patryarchy rodu, Aleksandra Koniecpolskiego, wojewody sieradzkiego, wieść ta żałobna biegła daleko na północ i wschód Polski, do pokrewnych mu lub sojuszem przyjaźni złączonych z nim rodów, do miast litewskich i siół podolskich? Rodzina Koniecpolskich już w XVI wieku z głównej siedziby swej, z Sieradzkiego województwa, z ziemi Rudzkiej, rozpostarła swe wpływy, stosunki, daleko na Wschód, w kierunku biegu wód Dniestrowych, by z czasem przejść z dolnego Dniestru na dolny Dniepr, z Podola na Niż. Prywatne sprawy, związek krwi i przekonań, niosły sztandar Rzeczypospolitej coraz dalej ku Wschodowi. Był to pochód narodu, co nie mieczem, lecz krzyżem i pługiem podbojów dokonywał. Rodzina Koniecpolskich w tym dziejowym pochodzie polskiej kultury szeroką strugą płynącej ku Dnieprowi i za

Dniepr, do Siewierskich borów i na Murawskie szlaki, przodowała innym. Od końca XVI wieku, w ciągu kilku dziesiątków lat, na pierwszych posterunkach owego pochodu stanęli Koniecpolscy i niekiedy kośćmi swemi użyźniali te nawpół puste, a pospolicie wrogie przestrzenie. Aleksander Koniecpolski, którego w późnej lat jego dobie widzimy w Ruszczu obalonego śmiertelną niemocą, już w XVI wieku wytknął rodzinie swej drogę przyszłego jej posłannictwa. Miała ona być przodownicą polskiego wpływu i polskiej cywilizacyi na południowo-wschodnich skraiskach Rzeczypospolitej i poza jej miedzą graniczną, w kierunku Pól Dzikich i na lewych dopływach Dniepru.

Ożenienie się w XVI wieku Aleksandra Koniecpolskiego, późniejszego wojewody sieradzkiego, z ostatnią dziedziczką imienia i dóbr na Podolu zamożnej rodziny Sroczyców, rozwarło dlań wrota Ziem Podolskich; do dawnych dorzuciło nowe ogniwo stosunków, co wszystko zapewniało jego rodzinie podniosłe na Rusi stanowisko. Po Buczackich, Jazłowieckich, mieli Koniecpolscy ująć ster rozszerzania wpływu Rzeczypospolitej na pobrzeżach Dniestru i Bohu. Podczas długiej doby dni swych, Aleksander Koniecpolski wpływ ten swego rodu na dalekich krańcach państwa krzewił, ustalał, aż wreszcie, gdy kończył się pierwszy dziesiątek lat XVII wieku, syt pracowitego żywota, legł na śmiertelne łoże w przeczuciu, iż wątek życia już się mu przerywa.

Boleści to łoże samotnem nie było. Wojewoda sieradzki miał gniazdo rodzinne, w którem wypiastował liczne grono dziatwy, mającej w przyszłości stać się chlubą nietylko rodziny, lecz i kraju.

Starzec zstępujący do mogiły, spracowany był wieloletnim trudem około prywatnego i publicznego dobra. Lata młode przeszły mu na wschodnich kończynach kraju, w dobrej rycerskiej szkole, bo na dworze księcia Konstantego Ostrogskiego, wojewody kijowskiego, gdzie wiele-

kroć z orężnymi w «pola chadzał», torując w ten sposób na przyszłość drogę starszemu ze swych synów Stanisławowi, który na owych «polach» zostawił ślady i swych rycerskich trudów i swego gospodarzenia, i tam wreszcie dosłużył się hetmańskiej buławy. W dalszej dobie życia widzimy go przesyłającym zbrojne poczty, własnym kosztem usztyftowane, na inflancką potrzebę i chlubnie walczącym pod Byczyną. Za dni zaś rokoszu, przy Zygmuncie III Aleksander Koniecpolski staje u królewskiego boku i znowu własne zaciągi w pole wyprowadza. Pierworodny syn Aleksandra był wówczas przy ojcu, który mu nie pozwolił dłużej zostawać w obozie, kiedy zaszła potrzeba podniesienia ręki na swoich, lecz odwołał go do domu z temi słowy: «Pókim żyw, a na koniu siedzieć mogę, królowi, panu miłościwemu, służyć chcę i przy dostojeństwie jego gotówem umierać; ciebie zaś na krwi braci swej zaprawiać nie chcę: niech cię Bóg chowa do usługi ojczyzny w dalsze lata».

I zaiste, chował Bóg owego Stanisława, pozwolił mu niejedną usługę oddać miłej ziemi rodzinnej, a nakoniec pomnożyć chlubę rodziny i znaczenie gniazda, które on przeważnie rozsławił, urosłszy na hetmana.

Łoże umierającego wojewody sieradzkiego otaczało liczne grono dzieci. Oprócz owego Stanisława, który wprawdzie dorosłym już był i posiadał w owym czasie wieluńskie starostwo, ale jeszcze, według słów ojca, «dobrze podróść» mógł, widzimy całą ciżbę synów i braci, znacznie wiekiem różniących się. Gdy najstarszy z braci umierającego pana sieradzkiego, Mikołaj, liczył prawie dziewiąty dziesiątek lat życia — do którego to wieku «w dziewictwie trwał» — inni, a mianowicie młodsze wojewodzianki sieradzkie zaledwie z dzieciństwa wychodziły. Pięciu synami i czterema córkami pobłogosławił Bóg gniazdo rodzinne pana sieradzkiego. Bracia przytem dwaj siwowłose starce, sami bardzo blizcy grobu, przy łożu tem śmierci stali

i świadkami i poręczycielami sumiennego wypełnienia woli umierającego byli.

Ostatnia ta wola, z której czerpiemy treść naszego opowiadania, rzuca cały snop słonecznych promieni na owoczesne u nas życie domowe i stosunki ekonomiczne szlacheckich rodzin, wyrastających na możnowładzców. Hetman wielki koronny Stanisław Koniecpolski, zbyt to wydatna postać dziejowa, zbyt wielki wpływ na losy kraju posiadał, by nie zwracały naszej uwagi szczegóły, bodaj drobne, stosunków, wśród których on urósł, i wpływów, co padały na jego umysł w dniach młodości.

Z testamentu jego ojca, zdziałanego na niewiele dni przed zgonem (dnia 5 listopada 1609 roku), widzimy, że u łoża umierającego stały córki: Aleksandra, Leonarda, Barbara i Eufrozyna, tudzież poza wspomnianym już Stanisławem, młodsi synowie: Przedbor, Remigian, Krzysztof i Jan.

Myśl o przyszłości córek przedniejszą tworzyła troskę umierającego starca. Ufa on najzupełniej małżonce swej, o czem kilkakrotnie z czułością wspomina, niemniej jednak, acz wie, że «będzie ona miała respekt (wzgląd) na potrzeby dziatek», z trwogą patrzy na przyszłość córek, obawiając się, by nie uczyniły lekkomyślnego wyboru. Przyszły wybór córek uważa za sprawę tak pierwszorzędnego znaczenia, iż od niej zaczyna szereg swych życzeń i rozporządzeń ostatniej woli.

«Małżonkę swą — pisze — pilnie napominam i Ichmości (to jest opiekunów) proszę, i dla Boga proszę, aby nie zaciągali z ladajakim przyjaźni z córkami memi....» «A jeśli im to Bóg przejrzy — mówi w dalszym ciągu swych uwag i ostatnich żądań — a z kim uczciwym do przyjaźni przyjdzie, z dobrą naradą powinnych (których upośledzać nie trzeba) to kończyć».

Troskliwość ta daleką jest od narzucania woli swej córkom; owszem w niczem on ich nie krępuje, ale pragnie rozciągnąć ścisłą kontrolę nad tymi, co przekraczają próg jego domu: doświadczenie bowiem snadź nauczyło go, iż przedewszystkiem unikać należy wprowadzania pod swój dach ludzi, którychbyśmy nie mogli lub nie chcieli umieścić w naszem gnieździe rodzinnem. Jedna chwila śmiałej opozycyi, stanowczego zamknięcia drzwi przed natrętem, nie pozwalając osnucia bodaj jednej nici bliższego stosunku, chroni wielekroć od bolesnych następstw, dających się uczuć nie podczas jednej chwili, ale nieraz w ciągu szeregu lat i dla kilku pokoleń.

Majętność wojewody sieradzkiego zostawiona dzieciom, była znaczną, lecz córki otrzymać z niej miały jedynie po czternaście tysięcy tak z majątku ojczystego, jakoteż z macierzystego, niezależnie od klejnotów, które posiadała matka w swem rozporządzeniu i zapewne córki udarować nimi pragnęła. Uposażenie to szczupłe córek zmniejszało się znacznie na przypadek wstąpienia której z nich do zakonu; w takim bowiem razie zaleca wojewoda sieradzki: «jeśliby która miała tę dobrą wolę być z natchnienia Pańskiego zakonniczką, dać przystojne ochędóstwo, jako inni dają, a gotowych dwa tysiące złotych». Wiana te uważały się snadź za rzecz niezbyt spieszną do wypłacenia, gdyż synom zaleca się zbieranie posagów dla córek; nawet przeznacza się pewną część dóbr, z dochodów których miały się wybierać owe wcale niedonośne uposażenia. Kapitałów nie zostawił wojewoda sieradzki; owszem były nawet i należności tym i owym, w jakiej jednak wysokości, nie wiemy, nie posiadamy bowiem oddzielnego kodycylu do testamentu, w którym był spis długów; — nie sądzimy jednak, by do znacznej dobiegały sumy, gdyż z tej samej części dóbr, której dochody dostarczyć miały środków na uzbieranie wiana dla córek, powinny były i długi się spłacić.

Skromne wiana córek bogatego domu wypływały z ogólnego obyczaju epoki. Mężczyzna owej doby dziejowej nie szukał wiana, nie liczył na nie, dalekim był od ubiegania się o uposażenie swej przyszłej, i budowania na niem pomyślnego jutra. Mienił on ją «bogdanką», to jest od Boga daną, brał przeto taką, jaką dawał mu Bóg, — pełen ufności, iż tak, jak jest — dobrze jest.

Marcin Bielski w swym «Sejmie niewieścim» wyraźnie mówi o obyczaju dawania małego wiana. To, co rodzice dawali córce za mąż wychodzącej, było niejako «upominkiem» tylko rodzicielskiego domu, a wcale nie zabezpieczało materyalnego jej bytu. Ów byt oparty był wyłącznie na pracy jej męża i tem mieniu, które sami małżonkowie w ciągu swego pożycia zebrać zdołali. Niewiasta w XVI wieku wnosiła pod dach mężowski jedynie spory zasób cnót domowych, wielkie poczucie obowiązku, co wystarczało za skarb największy, było podwaliną szczęścia i spokoju na długie pasmo przyszłości. Owszem, zdarzało się i to dość często, iż mąż miłujący żonę, która żadnego nie posiadała mienia, uposażał ją, wydzielając pewną cząstkę swego mienia na jej wyłączny użytek, co się nazywało oprawą.

Oprawa nie była wcale dożywociem żony, lecz jej wyłączną własnością. Jeżeli małżonkowie schodzili ze świata bezpotomnie, krewni żony wchodzili w posiadanie oprawy, z której ustępowali dopiero wówczas, kiedy ich spłacono. Że wiano było tylko upominkiem pamięci rodzicielskiej, świadczy o tem zwykle powtarzana w owe lata przypowieść, iż wiano dlatego się tylko daje, aby dziewczyna nie wyszła z pod rodzicielskiego dachu «równie z niczem, jak panna z tańca». Więc i na owe czternaście tysięcy wojewody sieradzkiego, zapisane każdej z córek, patrzeć należy jako na dar ojca, a nie na zupełne uposażenie. Zupełnem uposażeniem miało być mienie męża, gdyby za mąż wyszły, lub mienie zakonne w razie wstą-

pienia do klasztoru. Obyczaj tamtoczesnej chwili dziejowej nie przypuszczał innej drogi życia; te co nie wyszły za mąż, pospolicie poświęcały resztę swych dni Bogu, szukały schronienia w klasztorach. Pozycya bądź na jednej, bądź na drugiej drodze ściśle była określoną, stałą; zajmowano swe stanowisko zeznawczo, ze spokojem, z rezygnacyą. Chwalebna ta zgoda z sobą sprowadzała równowagę ducha, harmonią myśli i czynu, rozszerzając dokoła spokój, ciszę i atmosferę pełną zdrowia, pogodną a promienną zupełnem pojednaniem się z okolicznościami zewnętrznemi, z troską, z losem, z ludźmi....

Klasztor, życie zakonne, bardziej od dróg życia rodzinnego usposobiały do takiego pojednania się z losem i ze światem, do szukania zadowolenia w istnieniu nieziemskiem, w bytowaniu wśród dziedziny kontemplacyi religijnej — i bytowanie to wystarczało zupełnie. Klasztor uważano nie jako odpoczynek po walce życia, lecz jako służbę Bogu, ofiarę z sił najlepszych z całej pełni swego istnienia. Kiedy stawano u bram klasztoru, stanowisko już było określonem; troszczyć się o poświęcającego się Bogu, co najwyżej za zbyteczne uważano.

Tam przyszłość zarysowywała się wyraźnie, życie zaś rodzinne mogło być rozmaitem; jutra życia rodzinnego niepodobna było odgadnąć. Znać przeświadczony o tem był Aleksander Koniecpolski, gdyż w swych ostatnich prośbach ku żonie zwróconych, w swych ostatnich myślach o córkach, przeważnie zajmuje się troską, nie o ich życiu zakonnem, ale jakim być może ich los przyszły w stanie małżeńskim. Troskliwy ojciec pragnął zapewne, aby o mężach jego córek można było rzec według słów Reja z Nagłowic: «A sam, to jest mąż — mówi Rej w «Żywocie człowieka poczciwego» — w swej stałości stanie jako drzewo cedrowe nad pięknym zdrojem mocno stojące, które już żadnym wichrem nigdy poruszone być nie może...»

Ogniwa wzajemnej miłości i zgody jednoczyły w jedną spójnię nader jednolitą całe to gniazdo rodzinne. Wspólność zasad barwę mu nadawała jednakową, rozszerzając dokoła ciszę, którąby łatwo mógł zakłócić zięć nie według myśli dobrany, człowiek innych przekonań, mąż z pod innego sztandaru. Jakiemi zaś były przekonania owego starego gniazda, mówi nam sam wojewoda w swych radach zostawionych dzieciom: «Pilno napominam — pisze on — aby się (to jest dzieci) Boga bały, braci miłowały, dla których dobrego, spokojnego (bytu), ani zdrowia ani dostatku niech nie żałują, za nowe rzeczy niech się nie chwytają, złych niechaj nie naśladują».

Pochopność do nowinek rozmaitego rodzaju znać i wówczas niemałą u nas była, chociaż w nich, według słów jednego ze współczesnych nam pisarzów, «niema pokarmu narodowego, niema chleba dla płaczących, współczucia dla upadłych, nadziei dla statecznych» [1].

Wojewoda lubił mieć do czynienia wyłącznie z ludźmi sumienia i serca, i takich tylko zaleca dzieciom na dzierżawców włości w razie swej śmierci. «Starać się o ludzie cnotliwe, Boga się bojące, i wiązać ich kondycyami, jakom i ja czynił», pisze wojewoda na jednej z kart swego testamentu. Charakterystyczną jest rzeczą ta chęć otaczania się jedynie ludźmi uczciwymi. To obawia się, aby synowcowie, z którymi miał jakieś zajścia majątkowe, nie krzywdzili jego włościan; to zaleca, aby zmniejszając ilość sług, zostawiono uczciwych, którzyby mogli być przykładem dla młodszego pokolenia służących. Systemat ten zapewniał ciągłość tradycyi poczciwości wśród sług tego starego, patryarchalnie urządzonego gniazda. Troskliwość sług i domowników, których wojewoda wciąż mieni swymi przyjaciołmi, nieustannie się spotyka wśród jego ostatnich rozporządzeń. Troskliwość ta nie była jeno w słowach,

[1]) X. Stan. Chołoniewski.

ale pamięć swą o nich udowadnia on rozporządzeniami, hojnie ich obdarzającemi; nazwa zaś «przyjaciół» to nie czcze miano; wojewoda daje im dowody swej przyjaznej życzliwości: oni są powiernikami jego zamiarów co do urządzeń w interesach i gospodarskich spraw; do nich i ich pamięci poleca się odwoływać w rzeczach, o których ogólnikiem tylko napomyka w testamencie. Pamięć owych «sług przyjaciół» miała uzupełniać niektóre rozporządzenia jego w zarysach pobieżnych nakreślone na kartach ostatniej jego woli.

Słudzy, jako prawdziwi domu przyjaciele, podpisują się w charakterze świadków na wojewodzińskim testamencie, i później, w lat siedemnaście, tychże sług domu spotykamy czyniącymi dział majątku między synami wojewody. Widocznie czas nie wpływał tu ani trochę na zwolnienie węzłów przyjaźni, która w jednaki sposób związywała ojców przy schyłku XVI wieku, jak i synów, gdy się rozpoczynała druga ćwierć XVII stulecia.

Przechowały się nazwiska tych dworzan wojewodzińskich, którzy się szczególną ufnością wojewody szczycili. Byli nimi: Marcin Kampanowski i Krzysztof Łącki. Po informacye bliższe, ustne, do nich odsyła wojewoda. Oni posiadali klucze od skarbca domowego, gdzie się znajdowały przywileje i inne cenniejsze papiery. Dworzanin Kaliński najbardziej był świadom wszelkich papierów prawnych i obeznany ze sprawami, tudzież interesami prawnej natury.

Chociaż sług i dworzan liczny był tłum, a niektórzy nawet «powinnymi» byli, t. j. krewnymi rodziny «Koniecpolskich», wszakże wśród nich Łącki z Kampanowskim największem cieszyli się zachowaniem. Umierający wojewoda prosił ich o pilne baczenie na wojewodzinę, dla której mieli być radą, pomocą, nie zaniedbując przytem i młodych wojewodziców; na nich bowiem oko im mieć poleca. Ta spójnia serdeczna, spójnia na miłości i wzajemnym

szacunku oparta, łącząca całą wojewodzińską rodzinę ze sługami i domownikami, ma w sobie coś dziwnie rzewnego. Hojnie obdarza wojewoda nie dość wyższą hierarchię swych sług, ale i o niższej nie zapomina. Dary dla tych niższych stopni domowników składały się nawet z najcenniejszych upominków, bo z młodych koni, które były w stadach podolskich, tworząc jeden z przedniejszych czynników gospodarstwa ówczesnego. «Na te służki moje — pisze wojewoda — mieć respekt»... Wszędzie prześwieca ten szacunek pracy ludzkiej, ta myśl, żeby ktoś nie cierpiał z powodu mających zajść zmian stosunków majątkowych w rodzinie wojewody po jego zgonie.

I rzeczywiście zmiany gotowały się wielkie. Śmierć wojewody sprowadzała zupełne zwinięcie dworu, znaczne zmniejszenie ilości sług, ograniczenie wydatków. Wojewodzina «wdowi żywot» wieść odtąd miała, co jednoznaczącem było z zupełnem usunięciem się od świata, z wyrzeczeniem się jego przyjemności, a zatem zmniejszyć można było wydatki i prowadzić odtąd żywot prawie klasztorny, chociaż wśród społeczeństwa...

Takie odosobnienie się wdowy, płynące z ogólnego ówczesnego obyczaju, zmienić miało po spodziewanym zgonie wojewody cały skład urządzenia domu i majątku. Dawny to nasz obyczaj, iż wdowa uważała dla siebie właściwym jedynie strój czarny; strój ten dodawał jej powagi i był dotykalnym wyrazem moralnej zasady, istniejącej w pojęciach narodu, wedle której żona tracąca męża nie powinna była marzyć o nowych związkach; świat jej odtąd zamykał się w zakresie obowiązków dla pozostałych dzieci. Prawa krajowe nawet przestrzegały ścisłego spełnienia tego obyczaju. Na półtora prawie wieku przed opowiadaną przez nas epoką, król Kazimierz Jagiellończyk potwierdza uchwałę jednego ze zjazdów krajowych, orzekającą, że wdowy nie mają prawa noszenia innych szat, oprócz czarnej barwy; zabrania się im również kosztow-

nych pasów i ozdób około sukni, prawdopodobnie zdradzających chęć przypodobania się, i pochłaniających tem samem mienie pozostałe po mężu, które — jako nietykalna własność rodowa — przejść powinno do dzieci. Ta troskliwość o zabezpieczenie majątków rodowych tak pilnie przestrzeganą była w praktyce życia, iż wdowa uchylająca się od ich wykonania, jeżeli po napomnieniach jednego z przyjaciół, czy też krewnych mężowskich, nie zaprzestawała życia wystawnego i hołdowania modzie, to, na mocy ustaw krajowych, podlegała utracie mężowskiego majątku [1]).

Hołdowanie modzie po wsze czasy u nas, jak i w innych krajach, wielkiem było, szczególnie u niewiast; każda wojenna potrzeba, bliższe zestosunkowanie się z obcymi narodami wprowadzały nowe mody. Wojna o niepodległość dolnego Powiśla, trzynaście lat tocząca się (1454—1466), była jednym z punktów zwrotnych w dziejach mody ówczesnej. Świetność strojów rozrosła i rozszerzyła się wtedy po całym kraju niezmiernie. Rycerz ówczesny, powracający z kupczących grodów dolnego Powiśla, przynosił do dalekich okolic rodzinnego zakątka nowe stroje niewieście, których wiele widział w miastach krzyżackich. Każde panowanie, każda epoka miała podostatkiem warunków do wytwarzania nowej mody, spotykała przykłady wprowadzające ją na nowe tory obyczaju w strojach.

Moraliści, a takich społeczeństwo nasze bardzo wielu posiadało, niezmiernie oburzają się na to hołdowanie modzie, na naśladownictwo w strojach, które coraz wybredniejszymi się stawały. Jeden z naszych pisarzy, współczesny Zygmuntowi III, zastanawiając się nad zbytkami w strojach niewiast naszych, tak się wyraża: «Niedosyć mieć szatę po polsku, ale po niemiecku, po węgiersku, po hiszpańsku; także i inne stroje jako są: ciepliki, oświki,

---

[1]) Bandtkie

tkanki, bramki, czepki morawskie staroświeckie, forboty perłowe i t. d.» [1])...

Pan Jan Chryzostom Pasek, owa najcenniejsza perła wśród pamiętnikarzy naszych XVII wieku, jakże dosadnemi barwy maluje tamtoczesną skłonność do tworzenia mód i stosowania się do nich całego ogółu naszego!

...«Bo u nas w Polsce taki zwyczaj — pisze pan Pasek — że choć kto suknie na nice wywróci, to mówią, że to moda, i potem ta moda ma wielką powagę u ludzi, póki nie przejdzie do prostych ludzi. Co ja już pamiętam odmiennej coraz mody w sukniach, w czepkach, w butach, w szablach, w rządzikach i w każdym aparacie wojennym i domowym, nawet w czuprynach, w gestach, w stąpaniu i witaniu» [2])...

«Jestto wielka lekkomyślność narodu naszego i wielkie stąd pochodzi zubożenie»... — dodaje pan Pasek. Inni pisarze wszystkich epok wtórują mu w tym względzie: wszyscy zgadzają się, iż zbytek panował po wsze czasy, iż po wsze czasy modzie hołdowano.

Zamiłowanie mody, ślepe jej kaprysom poddawanie się, zbytek przy tem olbrzymi — wzrastały szybko: nic więc dziwnego, że niektóre wdowy, szczególniej młodsze i piękniejsze, starały się uchylić od narodowego zwyczaju, zalecającego im życie ciche, dalekie od większych wydatków, prawie klasztorne.

Wojewoda sieradzki nie przewiduje, aby jego małżonka, niewiasta bardzo poważna, należała do owych wyłamujących się z pod karbów prastarego obyczaju. Ale również nie widzimy, żeby ją zapytywał o rodzaju życia, jaki ma prowadzić w razie zostania wdową; wszystko owszem tak urządza, jakby ani na chwilę nawet nie przy-

---

[1]) Bartłomiej Groicki: »O prawnictwie miejskiem«.

[2]) »Pamiętniki Jana Chryzostoma Paska«, Poznań, 1840 roku, str. 53 i 54.

puszczał, żeby w jego prastarem gnieździe mogło coś wyjść z karbów dawnego obyczaju.

Majątek cały oddano pod opiekę złożoną z kilku głów. Widzimy tam w gronie opiekunów, oprócz braci wojewody, oprócz kilku dworzan i domowników, widzimy pana Wojciecha Humnickiego stolnika podolskiego, krewnego rodziny Koniecpolskich po wojewodzinie, która pochodziła z Podola i tam posiadała krewnych i stosunki. Koniecpolscy, rozszerzając w ten sposób zakres owych koligacyj, zdobywali w dalekich podolskich ziemiach wpływy, dla których ustalenia potrzebnym był pan Wojciech Humnicki, człowiek bardzo zestosunkowany na Podolu.

Już w owych latach nie zabaczano o interesach «rodów», które pod sztandarem pomyślności, dobra, utrzymania znaczenia swego, skupiały około siebie, wiązały ściSłymi węzły solidarności wszystkich członków rodu. Karność w szeregach rodów wielką była: jeden stawał w obronie wszystkich, wszyscy osłaniali jednego. A niemniej i poświęcano wielekroć jednostki, by zabezpieczyć pomyślność, wzrost domu, by uchronić go od zubożenia — nie mówię już od przejścia mienia w inne ręce, o czem i mowy być nie mogło — ale od rozdrobnienia fortuny, od upadków wpływu. Rody, czyli domy, zawierały z sobą sojusze, tworzyły koalicye, szukały sprzymierzeńców. Domy te z czasem wytworzyły siłę, która kierowała sprawami Rzeczypospolitej.

Koniecpolscy urządzić zamierzyli dom swój na wzór owych rodów, co się na możnowładczą drabinę wspinały. Skupienie mienia, przysparzanie go było jednym ze szczebli na owej drodze. Zachowując majątek o ile możności dłużej niepodzielnym w jednej dłoni, znosząc po zgonie głowy domu większe wydatki, które niezbędnymi za życia

wojewody były, dokonywało się już wiele. A tak właśnie zalecał wojewodziński testament i tak rzeczywiście uczyniono.

Powaga jedna, wódz rodu, naczelnik gniazda, zstępował do mogiły, lecz szeregi nie zostawały bez przewodnictwa. Przewodnictwo było odtąd zbiorowem.

Opieka naznaczona przez wojewodę, piastowała godność tego wodza. Godnem jest zaznaczenia, że do składu przewodniczących w rodzinie, do grona wodzów całego możnego rodu, weszli słudzy domu Koniecpolskich, ludzie niezwiązani węzłami krwi z ich rodem, ale ściśle zjednoczeni z nim sercem i duchem, tem samem przeto wchodzili do zastępu powinowatych. Wojewoda ich kierunkowi ufa najzupełniej, i ze spokojem odchodząc do krainy cieniów, oprócz głównego testamentu, magistralnego wyrazu swej woli, składa w ich ręce nieocenionej wartości swe *monita* — uwagi — napomnienia, gdzie szczegółów drobnych sporo zgromadził. Za pomocą tych napomnień, niby za przewodnictwem nici Aryadny, odnaleźć możemy dużo wskazówek, które nam ułatwią zrozumienie owoczesnego gospodarstwa wiejskiego.

Gleba wojewodzińskich dóbr, w znacznej części położonych w Sieradzkiem województwie, urodzajnością nie słynęła. Były tam jeszcze obszary wielkie lasów, które karczować należało, i na owych dopiero trzebieżach urządzać łany, zasiedlać, rozszerzać osady. «Roli conajwięcej przyczyniać»... — pilnie zaleca stary Koniecpolski. Wioska nawet ta, gdzie wojewoda dogorywał, gdzie doń zbiegli się krewni i powinowaci domu, aby go pożegnać na wieki, nie była jeszcze dostatecznie zasiedloną. Leżała ona wtedy wśród lasów. Z małej osady ów Ruszcz — Ruszczynem w późniejszych aktach nazywany — przedzierzgnąć na miasteczko chciano, i w tym celu skupiano osadników.

«Miasteczko tu, w Ruszczu, po kęsie (częściowo) niech się funduje, tam od pola i od plebanii» — pisze wojewoda

i dodaje swe życzenie, żeby domy stawały porządne «ze szczytami lepionymi». Znać, że przedewszystkiem budowano domy, później dopiero do owych siedzib osadnika poszukiwano. Wyraźnie wskazuje nam to wojewoda, dodając, że jeżeli będą porządnie zbudowane domy, to on tuszy, «że się będą kupili» osadnicy. Rzemieślników grupowano razem, po dwóch niekiedy w jednem, podwójnem domostwie, domy ich wznosząc w jednej dzielnicy osady.

Na tej glebie mało urodzajnej, wobec znacznej ilości lasów, z których dopiero miano «roli co najwięcej przyczyniać», rolnictwo było nie jedynem źródłem dochodu. Owszem kwitnęły tam, lub też przynajmniej uprawiane były inne, liczne przemysłu gałęzie. Rybołowstwo, bartnictwo, łowiectwo, uzupełniały to, czego dać nie mogła rola w Sieradzkiem; stada zaś powiększały dochód majętności podolskiej.

Na rybołowstwo szczególne tam miano baczenie, utrzymując, zapewne z doświadczenia, iż stawy «trzykroć większy pożytek czynią, niż pole». Zbyt ryb w bardziej szybki sposób odbywał się, niż sprzedaż rolnych produktów. Nie potrzebowało rybołowstwo tylu rąk do pracy, nie potrzebowało tak pracowitej uprawy i ulepszenia gleby, w sieradzkiem zwykle niewyśmienitej.

Zakładał więc Aleksander Koniecpolski nowe stawy, około dawnych zaś zalecał mieć «wielki dozor i pilność», bo «ryby — jak się wyraża — kiedy się na pieniądze obracać będą, będzie gęsty grosz....»

Otóż ów «grosz gęsty» skłaniał do szczególnego zajmowania się stawami. Połów ryb w onych latach był ułatwiany obyczajami niektórymi miejscowymi. Zdarzało się bowiem, iż jeden z klasztorów Cystersów, które pospolicie stawały wśród lasów nad brzegami jezior, bawił się wyłącznie rybołowstwem. Załatwiwszy tę czynność u siebie i w ościennych klasztorach, gotów był jechać na zaproszenie do posiadających stawy i jeziora bliższych i dal-

szych sąsiadów z niewodem, sieciami i wszelkimi rybackimi przyrządami. Jako nagrodę rybacki ów klasztor otrzymywał od właściciela wód połowę zdobytego połowu. Jeśli takie były ułatwienia co do połowu, oszczędzające wielce ilość rąk nieliczną wtedy, zamiana na «gęsty grosz» złowionych ryb nader łatwą mienić się mogła bez zaprzeczenia. Liczne, ludne miasteczka, kongregacye zakonne i u nas, i za ościenną sieradzkim okolicom szląską granicą, podostatkiem posiadały konsumentów, przytem liczna ludność żydowska, która własnych nie posiadała ani stawów, ani też jezior, spotrzebowywała wielką ilość ryb, a co do wyboru gatunków wybredną nie była; płaciła zaś gotówką, co właśnie i wytwarzało ów «gęsty grosz» wspomniany przez starego a doświadczonego gospodarza, jakim był wojewoda sieradzki. Ściśle przestrzegane posty w owej epoce, większa ich nawet ilość niemniej znakomicie przyczyniały się do zwiększenia i ułatwienia zbytu ryb, chociaż klasztory w rachunek tu nie wchodzą — pospolicie darmo im ryb dostarczano; — nie dziwną zatem jest rzeczą, iż podniesienie i rozwój tego przemysłu zajmowały wielce umysły zapobiegliwszych ówczesnych gospodarzy.

Zabytki owoczesnego piśmiennictwa świadczą, jak troskliwą zwracano uwagę na rybne gospodarstwo. Olbracht Strumieński, rodem z Myślenic, z województwa Krakowskiego, już w roku 1573 wydaje w Łazarzowej drukarni książeczkę objaśnioną rysunkami, w której mówi o urządzaniu stawów. Rzecz musiała być na czasie, gdyż o trzydzieści lat później Stanisław Strojnowski herbu Strzemię, Sandomierzanin, opracowuje nowe dziełko, w znacznej części oparte na pracy Strumieńskiego, w którem rozwija teoryą gospodarstwa rybnego. Wydał on je w roku na-

szego opowiadania, t. j. w roku 1609, a praca ta wyborna na swój wiek, wnet była rozkupioną tak dalece, że to pierwsze wydanie nieznanem jest obecnie, i w ciągu lat niespełna trzydziestu, trzykroć powtarzano druk. Już sama trudność wynalezienia świadczy, jak poczytną była, jak odpowiadała owoczesnym potrzebom, jak umysły owej doby wielce interesowały się tą gałęzią domowego gospodarstwa. W dobrach Koniecpolskich, w każdej wiosce spotykamy staw większy lub mniejszy, a w ryby obfity, bo stawy te były dziełem gospodarskiej zapobiegliwości wojewody sieradzkiego, tak wiele przywiązującego znaczenia do gospodarstwa rybnego. «Staw zaczęty niech kończą — pisze on — i drugie naprawują....» «Tem stawy stoją — dodaje w innem miejscu — kiedy jest czem narybiać....»

Ryby uważały się podczas onych i wcześniejszych nieco lat za główny przysmak biesiadniczego stołu. Jan Kochanowski w wesołym wierszyku do jednego ze swych krewnych, wyliczając obfitość produktów, które połączone razem mogłyby utworzyć ucztę nielada, wspomina tylko o winie i rybach. Czytamy tam:

Stanisławie! na Baryczy
Do tysiącać ryb nie zliczy,
A Sycyna nie bez wina...
Złącz oboje:
Ryby twoje,
Z dobrą naszą
Wina flaszą...

Zarybianie stawów, żeby obfitszymi owocami mogło się opłacić, umiejętnie przeprowadzano. Przed zalaniem i zarybieniem stawu, dno jego makiem i rzepą zasiewano, i gdy kwiat maku wiązał się w owoc, wówczas dopiero wpuszczano wodę. Przy tych warunkach zarybiony staw miał na lat kilka pożywienie dla ryb, które w danym razie mnożyły się bardziej i smaczniejsze danie tworzyły.

Wszelkie wklęsłości i doliny na polach zamieniano

na sadzawki i stawy, zarybiając je. Pisarz XVII wieku, W. S. Jeżowski, autor dziełka pod napisem: «Ekonomika albo porządek spraw ziemiańskich» (1648 roku), wyraźnie powiada, że każda z domowych sadzawek była niejako uzupełnieniem spiżarni gospodyń wiejskich, iż czerpano z niej obficie pożywienie dla gości i domowych, bo jak się wyraża W. S. Jeżowski:

O rybę zawsze łacno, gdy sadzawka w domu,
Ma dla swojej potrzeby, i dać może komu...

Pszczelnictwem prowadzonem według obyczajów miejscowych, prastarych, trudniono się bardziej pilnie nawet, niż gospodarstwem rybnem, które już jest dziełem epoki Jagiellońskiej, gdy tymczasem bartnictwo sięga czasów odwiecznych, Piastowskich. Miód tak ceniono, iż w wieku XII płacono nim winy sądowe.

Pomniki żywe, świadczące o głębokiej starożytności bartnictwa u nas, przechowały się w całym szeregu bartniczych wyrazów, które nasz język posiada. Są to wyrazy czysto polskie, noszące na sobie znamiona epoki bardzo odległej, wymownie mówiące, że sztuka bartnicza rozwijała się u nas w kraju, że jest przemysłem naszym rodzinnym, że nie przyszła do nas od obcych.

Bartnictwo nasze rozwijało się głównie na Mazowszu, gdzie były większe niż w innych okolicach ziem czysto-polskich lasy i puszcze. Tameczne bory olbrzymie służyły niejako za szkołę do rozwoju pszczelnego gospodarstwa w innych częściach kraju. Sieradzkie mniej już godnem było polem do rozwoju tej gałęzi leśnego gospodarstwa, wszakże i tam się ono rozwijało. Aleksander Koniecpolski zaleca swym spadkobiercom niezapominać o pszczelnictwie, którem w jego dobrach nietylko dwór, ale i wieśniacy bawili się, ci ostatni nawet bardzo pilnie.

Ruszcz i Czernice, położone w miejscowości bardziej leśnej, posiadały największą ilość pszczół. Mieściły się zaś

one, nie w pasiekach, lecz według obyczaju ówczesnego, w dzikich ostępach, w leśnych gąszczach, gdzie i czuwanie i kontrola nad niemi nadzwyczaj były utrudnione. Stąd więc płynęły nadużycia, i barcie dworskie stawały się własnością włościan. Dowiadujemy się o tem ze słów wojewody, który mówi: «Koło barci w Ruszczu i Czernicach czynić wielki dozór: może to przynieść wielki pożytek». «Niechaj chłopi pokażą stare barcie dworskie, pobrali je chłopi i więcej ich mają, niźli pan...» Miody i napój tworzyły i wraz z woskiem były przedmiotem handlu. Kiedy w XVI wieku chmiel domowej uprawy chętnie kupcy z miast większych nabywali od gospodyń naszych, kiedy szlachcianka średniej zamożności z Sandomierskiego dwanaście naraz beczek malin Wisłą spławiała do miast dolnego Powiśla, a nawet aż do Gdańska, i ta operacya handlowa znaczny jej dochód przynosiła, niepodobna wątpić, że zbyt miodu i wosku przysparzać musiał i przysparzał bez zaprzeczenia «gęstego grosza» do szkatuły ówczesnych gospodarzy...

Ochraniając barcie, ochraniano i lasy, które były polem łowów, a łowami bawiono się stale i na wielką skalę. Jeżeli łowy w one lata przestały być przemysłem, niemniej uważano je i za rycerską zabawę, i za źródło dochodu. Łosiowe skóry, futra, wielką ilość rozmaitego mięsiwa, otrzymywano z owych zabaw rycerskich.

Na niewiele lat przed zgonem Aleksandra Koniecpolskiego, spotykają się wsie całe, które, jak się wyrażało owoczesne prawo, «na łowiech siedzą», t. j. mieszkańcy tych łowieckich wiosek nie płacili żadnych czynszów, nie składali danin, lecz jedyny mieli obowiązek brania udziału w łowach, dostarczania zwierzyny do obozów na czas potrzeb wojennych.

U wojewody sieradzkiego, który życiem swem całem należy do epoki ostatniego Jagiellona i Batorego, łowy prowadzone były według prastarych wzorów i obyczajów lat

odległej przeszłości. Olbrzymie sieci, tak zwane «zwierzęce», których używano przy wielkich obławach, stanowiły widać niemałej wagi spuściznę, kiedy wojewoda w swych «napomnieniach» ostatnich zwraca na nie troskliwą uwagę.

Takich sieci Koniecpolscy posiadali dwadzieścia pięć sztuk, które złożone były w miejscowościach bardziej leśnych, a takiemi znowu miejscowościami były te wojewodzińskie dobra, które ciągnęły się nad Widawką, nad Wiercicą i Wartą, jak np. Garnek, Cięszkowice i Dobryszyce. Szczególniej pierwsza i ostatnia z tych miejscowości uważały się za punkta dogodne dla łowów. Dziś jeszcze Dobryszyce posiadają z pięćdziesiąt włók lasu i zarośli na trzebieżach, a Garnek ma ich dwakroć tyleż. Są to resztki owych puszcz, gdzie do rycerskich popisów zaprawiał swych synów na łowieckich zabawach wojewoda sieradzki, gdzie młodziutki Stanisław Koniecpolski, późniejszy hetman, na ostre gonił za zwierzem, póki nie nadeszły chwile potrzeb prawdziwych, chwile bojów i nadstawiania swych piersi na polu walk z wrogiem.

W miejscowościach, gdzie były owe «zwierzęce siecie» złożone, utrzymywano tak zwanych «śledników», których obowiązkiem było podczas zimy rachowanie śladów grubego zwierza i składanie ścisłych sprawozdań o poruszeniach każdej sztuki wchodzącej do kniei lub z niej wychodzącej. «Ślednicy» tak bardzo do swego rzemiosła byli wprawieni, iż ich raportów o poruszeniach zwierząt nigdy mylnymi nie mieniono. Owszem, zwiady i podjazdy przez nich dokonywane, wszelką ścisłością odznaczały się, i na nich opierano plany i obroty wielkich łowów. Rycerska ta zabawa tak dalece wypełniała część życia owoczesnych piskląt hetmańskiego gniazda, iż wojewoda w ostatniej nawet godzinie istnienia swego nie zapomina przy najpoważniejszych sprawach o łowach rzec słów

kilku i troszczyć się myślą o przyrządach do nich potrzebnych.

Większe daleko dochody otrzymywano z licznych stad koni. Koniecpolscy posiadali zupełniejszą od innych możność hodowania znacznej ilości stadnin. Dobra przez nich posiadane w głębi Podola, w kierunku bardziej rozwartych a mało zaludnionych obszarów rozszerzane, ułatwiały tę możność hodowli w rozmiarach wielkich. Chowem bydła i koni od niepamiętnych wieków szlachta polska bawiła się. W tym też celu, w wielu okolicach kraju, na Mazowszu np. do końca XVI wieku i dłużej, pilnie przestrzegano, aby wsie miały pastwiska, tworzące własność wspólną, własność niczyją. Obszary te, nigdy nieuprawiane, niekoszone, wybornem były polem dla chowu bydła, przeważnie zaś koni. Niektóre wsie Piastowskiej epoki wyłącznie złożone były z osadników trudniących się pasterstwem. Ślad tych osad pasterskich do dziś przetrwał w nazwach wiosek, które podczas prastarej doby naszej przeszłości stanęły wśród owych pastwisk obfitych w trawę, wśród bezpańskich pustkowi. Obory, Skotniki, Kobylniki, Koniuchy, są to nazwy przypominające wielki rozwój pasterstwa za owych dni Piastowskich, gdy Polska była «polaną» otoczoną lasami, gdy niewiele jeszcze roli wydarto w zaczynających się przetrzebiać kniejach, a uprawa na nowinach była tak bardzo małą, iż kraj raczej pasterskim, niż rolniczym mógł się nazwać.

Wojewoda sieradzki, posiadający podolskie dobra, i wciąż w stronę tą mając myśli i usiłowania zwrócone, by tam własność zabezpieczać i rozszerzać, niewiele troszczył się o znikające już nad Wartą wspólne pastwiska. Naddniestrzańskie obszary dawały mu dość obszerne pole do chowu koni. Wspomina on z chlubą o tamecznych stadach końskich, lubo i w Sieradzkiem stajnie i pastwiska Koniecpolskich roiły się rozmaitymi końmi, to wierzchowcami, to cugowymi. Koń ówczesny był rzeczą bardzo

cenną, chociaż zapewne nie był już tak rzadkim darem jak w wieku XIV, gdy królowie umierając, legowali klasztorom i katedrom swe wierzchowce. Katedra gnieźnieńska dwa takie konie, otrzymane na mocy testamentu króla Kazimierza W., przyjęła jako wspaniały i drogi upominek monarszej pamięci, a jak go ceniła, świadczy o tem późniejsze zajście kapituły tejże katedry z rycerzami, którzy łupieżczym, średniowiecznym obyczajem uprowadzili byli i rzeczone konie. Arcybiskup klątwą ukarał czyn ten wcale nierycerski.

Jeżeli w XIV wieku były jeszcze w Wielkopolsce duże obszary łąk, na których pasły się stada Kazimierza W., to już o parę wieków, i nieco później, tam było zaciasno; na Podolu tylko i w głąb stepów, ku południowschodowi, spotykają się obszary zdolne wypasać większe stada.

Koniecpolscy byli w tej pozycyi, iż łacniej od innych mogli hodować duże stada, bo własność ich w kierunku rzeczonym rozrastała się. Wojewoda sieradzki rozdarowuje przed śmiercią dużo cugów i wierzchowców, pewien, że po niejakim czasie z łatwością te szczerby zapełnią się okazami branymi z licznych stad, szczególniej podolskich.

Włosi, od których czerpaliśmy wiele wzorów w ciągu całego XVI wieku, byli dla nas wybornymi mistrzami w sztuce hodowania koni. Stajnie książąt i panów włoskich wzorowo utrzymywane, wielekroć były zwiedzane przez naszą, wówczas we włoskich akademiach kształcącą się, młodzież. Dzieło Krzysztofa Dorohostajskiego (Hippika), mówiąc o umiejętnej hodowli koni (wydane w Krakowie w 1603 roku), głównie opiera swe twierdzenia na studyach autora odbytych w stajniach włoskich. Zgromadził autor Hippiki na karty swej księgi wszystko, co kiedykolwiek o koniu i jego pielęgnowaniu mówili greccy, rzymscy i włoscy pisarze.

Jeżeli jednak od Włochów uczyliśmy się wytwornego

pielęgnowania koni, jeśli im zawdzięczamy umiejętne urządzanie stajni wzorowych, nie mieliśmy wszakże od nich koni, nie szły do nas konie z italskiej ziemi: otrzymywaliśmy je ze Wschodu, posiadaliśmy własną rasę, o której powiada nam i wojewoda sieradzki, kładąc wielki nacisk na konie z Podola sprowadzane. W obronie kraju, w tej przedniejszej owych wieków rycerskiej trosce, koń stanowił główną podstawę działań, stając zawsze razem z człowiekiem w szranki bojowych zapasów. Dla tych ważnych celów obrony swej ziemi, dla ciągłego obcowania z sobą, gdy koń był towarzyszem życia, wiernym przyjacielem wśród przygód, nie wybierano go z ras obcych, ale używano wierzchowców własnego chowu. Na wierzchowcu swojskiej rasy rycerz czuł się bezpieczniejszym, pewniejszym siebie i zwycięstwa.

W starem, hetmańskiem Koniecpolskich gnieździe lubowano się również w koniach własnej, polskiej rasy. Wojewoda sieradzki, rozdając synom wierzchowce, przeważnie daje im konie własnego chowu. Utrzymywano ich tam według miejscowego, dawnego obyczaju, nie słuchając mody, która w one lata zalecała malować konie, jak nakazywały wzory obce. Był czas, iż za Zygmunta III jaskrawemi barwy malowano konie wierzchowe i tak zwane «woźniki», to jest cugowe. Biały koń np. malowany bywał na barwę żółtą. U wojewody nie spotykamy wcale malowanych koni. Wzgląd rycerski, praktyczny, wykluczający wszelkie nowinki cudzoziemskiego obyczaju, był głównym przewodnikiem przy pielęgnowaniu stad sieradzkiego wojewody. Rzeczywisty pożytek a nie paradę miał on na celu. Ten zmysł praktyczny, gospodarczy, zapobiegliwy, przebija się tu u niego, również jak we wszystkich gałęziach pracy domowej... «Koło stad mieć pilne opatrzenie i staranie — pisze on — mogą dzieci i do jazdy i do wozu koni nie kupować i nimi przyjacielowi służyć: jedno się trzeba dojrzeć...»

Według tej praktycznej rady postępowano snadź, gdyż stada Koniecpolskich później wzrosły w ilość i do najpierwszych w kraju należały; ale to już było w czasach znacznie późniejszych, kiedy ich majętności sięgały od jednego do drugiego krańca Rzeczypospolitej, kiedy można było, jak twierdzono w ostatnich latach XVII w., dobrami Koniecpolskich Polskę całą przejechać, od szląskich granic do wód Sieniuchy i środkowego biegu rzeki Bohu, w południowych okolicach Bracławskiego województwa, na kończynach ziem uprawnych na granicach «Pól Dzikich...»

Widzieliśmy zewnętrzną niejako stronę owego hetmańskiego gniazda; przypatrzmy się teraz, o ile możność mamy po temu, jaką jego wewnętrzna była ozdoba.

Prostota, praktyczność, zapobiegliwość — przeważne znamiona gospodarki wojewodzińskiej — przejawiały się i w wewnętrznem urządzeniu domu i rodziny. To, co tworzyło najcenniejszą wartość sprzętów, posiadało trwałość, można rzec, wiekową. Na pierwszym planie były zbroje i rynsztunki. Zbroja tworzyła własność niepodzielną, własność całej rodziny; ze zbrojowni jak ze wspólnego skarbca rycerskiego gniazda, czerpano wszelki rynsztunek według potrzeby. Sprzęt ten rycerski pomnażać trzeba było i zachowywać w całości, by mógł służyć ku obronie. Ta niepodzielność zbroi trwać zapewne miała do czasu, aż każde z dzieci wojewodzińskich oddzielne wytworzyłoby gniazdo rodzinne, gdzie stanąćby mógł nowy zawiązek zbrojowni. Zanim jednak trudem, krwią, zasługą, zapracowaćby zdołali na owę niezależność, zanim postawiłby ich czas na czele rodziny, zbroja ta miała pozostawać w dawnem, starem gnieździe. Wyraźnie o tem mówi wojewoda, wyrażając się w następujący sposób: ...«rynsztunkami wojennymi

nie dzielić się, chować to porządnie, zanim któremu tego potrzebaby było — i to zaś, z potrzeby przyjechawszy, chować, nie trwonić, oczyścić, żeby tego, gdy potrzeba będzie, dochowano i przyczyniono....» Tak, zawiłym nieco stylem, wojewoda zaleca wspólność rycerskiego mienia, które w jednej dłoni, nierozpraszane, porządnie schowane mogłoby przynieść pożytek, obronę, bezpieczeństwo.

Ilość rozmaitego rynsztunku wojewodzińskiego domu była, jak na prywatne środki, wielką. Była tam niemała mnogość śmigownic, strzelb rozmaitego gatunku, hakownic, muszkietów, rusznic różnego miana i prochów ogromne zapasy. Były przytem zbroje, które jeszcze wdziewał wojewoda, i w których później jeszcze walczyli jego synowie; miano również łuki z kołczanami, i w naciąganiu łuku umiejętnem a silnem celował tak dalece pierworodny syn wojewody, późniejszy hetman Stanisław Koniecpolski, że umiał z daleka puszczoną strzałą przeszywać żelazną zbroję.

Sprzęt inny, domowy, składały srebra liczne. Były to rzeczy niemniej od zbroi i rynsztunku trwałe i na wartości nic nigdy nietracące. W izbie stołowej, w Ruszczu, wisiał ogromny świecznik srebrny, składany, który z czasem przyozdabiał takąż izbę stołową na zamku w Koniecpolu; wówczas jednak jeszcze ów zamek nie był skończony, a dopiero po zgonie wojewody miano go wykończyć. W innych izbach kosztownych sprzętów nie widzimy, oprócz obić, makat i jakiejś cennej, czarnej szkatuły wojewody, która znać była jego ulubionym sprzętem, bo zapisał ją przyszłemu hetmanowi. Lecz skarbczyk domowy miał sreber podostatkiem. Spotykamy tam nalewki, miednice srebrne, konewki, puhary srebrne, większe i mniejsze, garniec srebrny, «czarki białe» ze srebra, snadź pozostałość z wiana wojewodziny, bo miały na sobie herby jej rodu, herby Sroczyców, którzy już byli wygaśli; solniczki, lichtarze i łyżki ze srebra, a te ostatnie w malej liczbie bardzo, bo słyszymy tylko o dwóch — uzupełniały

zbiór sreber domowych. Mała stosunkowo liczba srebrnych łyżek, przy znacznej ilości konewek, nalewek, puharów, miednic srebrnych, niech nas nie dziwi. Łyżki u nas były aż do XVI wieku cynowe, niekiedy drewniane, dopiero podczas doby Zygmuntów zaczęto i srebrnych używać, ale tak niewiele ich tam wówczas miewano, iż wytworny Zygmunt August, który wiele kosztowności posiadał, a wśród innych widziano w jego sypialnej izbie szesnaście pudełek z klejnotami, miał zaledwie dwadzieścia sześć łyżek srebrnych. Łyżki Koniecpolskich ozdobione były herbami samej wojewodziny; jeżeli więc tworzyły zabytek jej wiana, które jeszcze za dni Batorego lub Walezego sporządzano, to tem samem należy je zaliczyć do najpierwszych łyżek wyrabianych u nas ze srebra. Pospolicie w owe lata zaczęto używać napisów na łyżkach srebrnych. Sentencye tworzące napisy niezawsze były godne zachowania w pamięci. Często dość zwyczajną, trywialną nawet, treść ich była. Tak np. czytano na nich: «Bez łyżki zła sprawa, chociaż dobra potrawa», lub też: «Nie przebieraj, gdy ci dadzą, kiedy za stół cię posadzą...» i t. d. Meble składały się tylko ze sprzętów koniecznego użytku. Stały tedy «poławia» to jest ławy z materacami, okryte jakiemiś oponami, grały one tam naówczas rolę dzisiejszej kanapy; widziano również almaryą — tak się zwały szafy, — obicia zaś i makaty, niekiedy u okien firanki z ciężkiego czarnego płótna, to cały ówczesny zbytek. O wygodzie nadzwyczaj mało myślano. Łóżka nawet dopiero w początkach rządów Zygmunta Starego weszły u nas w użycie, i to maluczkie, wązkie, ubożuchne. Sam król Zygmunt I, gdy dla syna łóżko kupuje, nie wydaje nań większej sumy nad 27 złotych polskich dzisiejszych. Zamiast łóżek, do XVI jeszcze stulecia, mężczyźni zamożnych nawet domów, używali skór niedźwiedzich, a niewiasty poprzestawały na siennikach i nader skromnych tapczanach.

Lecz za to co za przepych w zbroi, w rynsztunkach, w rzędach na konie i siodłach! Niektóre z siodeł są tak wspaniałe, że wraz z całym rzędem na wierzchowca zaleca je wojewoda zostawić przy całej masie fortuny, nie dzielić się niemi a «używać na licznych zjazdach i na miejscach takich — jak się wyraża — gdzieby tego uczciwa potrzeba była». Wogóle, zasada utrzymywania niepodzielnie w największej ilości wspólnego mienia całego rodu, nader często tam się spostrzega; u nas była ona widocznie upowszechnioną w owej epoce; jest odbiciem prastarego obyczaju, którym się rządziły rody, zanim nie utworzyły z siebie plemion i narodu.

Szaty mieszkańców prastarego gniazda odznaczały się trwałością, która je czyniła szatą wielu pokoleń. Chociaż Batorowska epoka zaledwie zamykała się, niemniej jednak wśród szatni wojewodzińskiej nie widzimy śladu hołdowania modzie strojów węgierskich, które przy Batorym upowszechniły się u nas. Koniecpolscy w tym razie, jak w innym, odznaczali się pewnego rodzaju konserwatyzmem. Stary obyczaj u nich we wszystkiem panował: zawsze przeważał kontusz, i pasy wojewodzińskie nie różniły się niczem od takichże strojów bardzo dawnej epoki. Jeżeli mnogość tych szat była niewielką, to w każdym razie trwałość ich nie pozwalała rozpaczać, by one mogły rychło potrzebować uzupełnienia. Ongi, przed wielu laty, uszyte szaty przechodzić mogły do odległych pokoleń. Z ciężkich brunatnych lub czerwonych materyj widzimy tam delie, podbite sobolem lub rysiem futrem, albo też aksamitem ciemnej barwy, z guzami złotymi. Były i delie z czarnego gładkiego aksamitu, które służyły za zwierzchnie okrycie, a spodnią suknią był żupan długi z atłasu, bądź czerwonego, bądź innej barwy.

W jaskrawych barwach kochano się wielce i nawet po zgonie nakrywać siebie kazano «czerwonym, szkarła-

tnym kopieniakiem» [1]). Takie polecenie co do swego ciała wydał był wojewoda sieradzki; dla nas jest to zarazem wskazówką, że istniał wtedy w Polsce, do dziś używany we wschodniej Europie, obyczaj ludów cywilizacyi oryentalnej, okrywania ciał, ubranych już do trumny, oponą mniej lub więcej kosztowną. Oprócz delij, ferezyj, żupanów i t. p. szat, wojewodzińska szatnia posiadała tak zwane jupki, które sobolami podbite były. Delie wdziewano na zbroje — płaszcze to kosztowne, wielekroć bogato bramowane; w taką delią ubrane było do grobu ciało Zamoyskiego wielkiego kanclerza i hetmana; takich delij, świadczących o dużych zasobach domu, a niemniej i jupek (szat spodnich, obwisłych, z rękawami lub bez, a zawsze podbitych kosztownemi futrami), dość znaczną ilość widzimy w szatni tego starego gniazda.

W bogatych strojach, o barwach jasnych, najczęściej występowano konno; powozy były tylko dla niewiast. W powozach więc niezbyt się kochano i niewiele ich widzimy na wojewodzińskim dworze. Są jednak «karety i altanka»; tem ostatniem mianem określano jakiś wykwintny wojewodziny powozik. Nazwa karet, którą wojewoda nadawał «kolebkom» swej żony, później znacznie spotyka się w powszechnem użyciu. O Batorym, jadącym na pskowską potrzebę, wyrażano się: «król kotczem bieży...» Powozy dla niewiast wyłącznie służące nazywano wtedy zwykle kolebkami; były to powozy wielekroć zbyt kosztowne. Złocono je zewnątrz, a wewnątrz obijano aksamitem; «wsuwki» — to jest poduszki w powozie — robiono z atłasu i adamaszku; niewiasta jadąca w kosztownej kolebce, okryta pospolicie była szkarłatną, cenną nieraz

---

[1]) Kopieniak — płaszcz od deszczu; krój i nazwa jego turecka, przybyły do nas z węgierskiej ziemi, za dni Batorego. Wspominali o nim różni pisarze dawni i nowi, począwszy od Bartosza Paprockiego, kończąc na K. Wł. Wójcickim i profesorze Muchlińskim.

oponą, niby kołdrą. O zbytkach niewieścich kolebek czytamy u starożytnych pisarzy naszych: gdy królowa Bona posiadała srebrną, i inne z zamożnych domów białogłowy, starały się jej o tyle, o ile mogły sprostać. W ciągu kilkudziesięciu lat zbytek ten w niewieścich zaprzęgach tak wzrósł, iż w dniach, które kończyły wiek XVI a XVII zaczynały, Skarga woła następującemi słowy do niewiast zbytkujących: «Te białogłowy polskie końca swojej pychy nie znają; jedna drugiej nie ustąpi w szacie, w kolebkach, w sześci koniach i w służebnicach. Pychę tę poniży Bóg pogańską niewolą, w której was, miasto złotych kolebek, na kolasach powloką». Wcześniej nieco, u Reya z Nagłowic spotykamy również wskazówki o zbytkach w zaprzęgach: «Już czerwony rząd musi być, nawoźniki — powiada Rey — a niedźwiedzie do kolan, a kobierce z kolebki wywieszaj z obu stron, a gałki, aby się ze wszech stron błyszczały...»

W starem Koniecpolskich gnieździe nie widzimy śladów nadzwyczajnego zbytku. Wszędzie przyświeca dostatek, bogactwo nawet, ale nie może się nazywać zbytkiem: nic nie prześciga środków tej rodziny, która, acz już stała na podniosłej drabinie zamożności, jeszcze się wyżej dźwigała, i rychło mienie jej, pracą, zapobiegliwością a wytrwałą dążnością w jednym kierunku, przy oszczędności, przy blaskach szczęścia wciąż świecących, miało się tak potężnie rozróść, iż granice Rzeczypospolitej małemi dla niego już były. Przysparzając ziem dla siebie, Koniecpolscy przysparzali ich tem samem dla Rzeczypospolitej, dla wolności, dla cywilizacyi.

O życiu myśli, wobec materyalnych zabiegów, nie zabaczano. Są wskazówki, iż był księgozbiór jakiś w gnieździe tem wspaniałem. Co w księgach tych było, nie wiemy dokładnie (są tylko wzmianki szczegółowe o Historyi Długosza), lecz łatwo odgadnąć, iż dobór ksiąg był dobry, zważywszy na chwilę dziejową, tak pomyślną dla rozwoju

piśmiennictwa. Był to czas, kiedy już spotykano w druku wszystkie owoce piśmienniczej działalności epoki Jagiellońskiej. Wojewoda, jak sam pisze, «księgi kupował i dostawał»; zaleca dzieciom, by ich nie rozpraszali, dzieląc się niemi, ale zatrzymali niepodzielnie, wszystkie razem w całości, podobnie, jak to polecił uczynić ze zbroją. «W domu niech to zostaje» — pisze wojewoda, dodając o Długoszu, którego dzieje posiadał w rękopiśmie, następującą, nader charakterystyczną uwagę: «Księga ta (to jest Historya Długosza), księga zacna i godna, za skarb jeden być może miana, i godna ta tu księga uszanowania».

Pełna prostoty pochwała szacownych «Dziejów» Długoszowych jest dla nas światłem uwydatniającem postać naczelnika owego rycerskiego gniazda, który swe pisklęta zaprawiał wcześnie do służby społeczeństwa. A właśnie wzory dobrej, poczciwej służby społecznej czerpać mogli jego synowie z tej księgi, «która za skarb jeden mogła być mianą». Długie lata życia obozowego, lata gospodarczych zabiegów, nie wyziębiły w rycerskiej jego piersi prawdziwego poczucia piękna. Myśl wzniosła, wzory szczytne cnót obywatelskich, nie przestają ożywiać go do ostatnich chwil życia. Wychowanie dobre dzieci uważa on za najwyższe dobro, «które przenosi skarby i dostatki wszelakie».

Takiemi pojęciami postępu, miłości wiedzy i cnoty, przesiąkła była istota hetmańskiego rodzica, starego Batorowskiego rycerza i rolnika. Spracowany po długich dniach znoju, złożony niemocą, w przeczuciu bliskiego zgonu, kreślił on swe wspomnienia, rady ostatnie, z których czerpaliśmy rysy do konturów, bodaj ogólnych, tego gniazda, gdzie się urabiały owe prastare typy, nie mówiące nic o sprawach swych, o czynach, o przywilejach, ale o obo-

wiązkach. Do pracy, do miłości swej ziemi, do ofiary, wzywa on swe dzieci, swój ród — i powolni głosowi temu idą oni: idą na bój, na stracenie, do jassyru, idą ze spokojem, z karnością, w późniejszych latach zatraconą, zapomnianą...

Rzeczpospolita osypywała niekiedy swych synów bogactwy, zaszczyty, ale też i wiele wymagała. Skarbiec prywatny senatorski, skarbcem był publicznym. Składano na tym ołtarzu ofiarnym wszystko: jeszcze bowiem w owe lata gorzał ogień poświęcenia w sercach szlacheckiej rzeszy narodu. Koniecpolscy szybko wzrastali. Tak — lecz ileż to ofiar poniosło gniazdo owe, ile przedniejszej dało krwi: czy pamiętamy o tem?... Zaledwie zamknął powieki stary Batorowski rycerz, niedorośli jego synowie pociągnęli na boje i niewczasy. Wdowa osamotniona, żałobna, nie zatrzymuje ich, nie waha się do świeżych ciosów dodać sobie cios nowy — cios najsroższy dla matki — obawę o los, o życie synów. Młodziutki Stanisław, przyszły braniec turecki, przyszły niewolnik w Jedykulu, a zarazem i przyszły hetman, przyszły założyciel Kudaku, wyprowadza, wnet po pogrzebie ojca, duży oddział, bo 200 konnych kopijników i stu pieszych, i wraz ze swym bratem Przedborem idzie pod Smoleńsk, gdzie król już był założył obóz.

Zaledwie pół roku upłynęło od zawarcia się podwoi grobowych nad trumną wojewody sieradzkiego, a już nowa żałoba nad rycerską rodziną zawisła. Przeczucia zbolałej, lecz mężnej matki ziściły się: młodzieniaszek Przedbor pod Smoleńskiem poległ (13 czerwca 1611 roku). Na rannego obaliły się mury obleganego grodu. Ciało zabitego przywieziono do rodzinnego gniazda, do Koniecpola, i tam w grobach rodzinnych złożono...

Potrzeba było mieć wielki hart ducha, aby znieść mężnem sercem cios nowy; przeniosła go jednak ta żałobna wdowa i matka rycerzy, czerpiąc moc w tej kraju

miłości, która u nas wówczas stała wnet po miłości Boga. Dla Boga i ziemi swej, a braci i społeczeństwa, niczego nie żałowano. Obowiązek tego wymagał, stara tradycya tak nakazywała: było więc już dość tych pobudek, by duchem uróść, ból w sercu zamknąć i ze spokojnem obliczem przewodniczyć przykładem życia i spełniania obowiązków ofiary, pozostałym pisklętom rycerskiego gniazda.

I wojewodzina, jak tysiące innych niewiast naszych w owej epoce, spełniała swą powinność. Bóg tylko widział jej boleść, jej łzy, i on je otarł. Ze stali były serca niewiast ówczesnych. Boleścią, zaparciem się siebie, wzniosłą ofiarnością, bo ofiarą najdroższych istot, składanych hojnie na całopalnym stosie obowiązku, brały one udział w życiu społecznem, i każda z nich, stojąc jedynie u kolebek i ognisk rodzinnych, spełniała najszczytniejsze z zadań życia: była mistrzynią przyszłych pokoleń.

Odessa d. 16 grudnia 1881 r.

CZARNIECKI W DANII.

CZARNIECKI W DANII.

Jeszcze nie ubiegło pierwsze dziesięciolecie po zgonie Władysława IV., co zgasł prawie nagle w maluczkiej kamieniczce na mereczańskim rynku, dnia 21 maja 1648 r., a całe zastępy klęsk przeróżnych uderzyły olbrzymią ławą o prastare zręby Rzeczypospolitej. Nie było miesiąca, tygodnia, dnia prawie, by w ciągu owego dziesięciolecia, upływającego od śmierci drugiego Wazy, nie lała się krew hojnymi strumieniami na tym lub owym węgle spuścizny Jagiellonów, by orężne lub bezbronne gromady nie kładły swych głów to w harcu z wrogiem, to na polu chwały, na wałach rzekomo obronnych zameczków, to u «taborów mocnych i ognistych», to wreszcie wśród sromotnej ucieczki, gdzie dawał swe gardło spokojny mieszkaniec wiosek i grodków. Nieorężny mieszkaniec dawał gardło tłumnie, bo padał tysiącami. Wojna domowa — oprócz licznych zewnętrznych inwazyj — owa najstraszniejsza z mnogich trwóg i burz, miotających nawą Rzeczypospolitej, srożyła się na południowo-wschodnich skraiskach państwa. Rolnicze narzędzia, zamienione na oręż, zgładzały wszystko, co spotykano na szlaku hord bratobójczych. Wszystko, co nie było siermiężnem, co używało przywileju, co po łaci-

nie, a nie w innej mowie, Boga chwaliło, lub czciło Jehowę wedle ustaw Mojżesza, padało pod ciosami roznamiętnionych tłumów gminu.

Izraelskie mogilniki nadsłuczańskiego gródka Ostropola, kędy masami ścinano bezbronne tłumy, resztki obronnych wałów Połonnego, przeglądające się w wodach Chamaru, wśród niemałej mnogości innych ułamków grodów i osad, ongi bogatych a ludnych, składają świadectwo, jak okropną była tamtoczesna doba dziejowa. Z wyżyn skandynawskich, z zakarpackiej ojczyzny Rakoczego, z piasczystych równin Brandeburgii, z północy i południa, ze Wschodu i Zachodu, nadpływały zbrojne drużyny, to kolejno, to razem, jakby naznaczyły sobie roki obozowej biesiady na płaszczyznach wschodniej Europy. I zaiste, biesiada była sutą; bogata w one lata stara Rzeczpospolita mogła skutecznie nasycić najwięcej łaknących: starczyło jej łupów dla każdego z wrogów, los o żadnym z ucztujących godowników nie zabaczył. Podczas gdy Rakoczy dźwiga tak potężne skarby, iż koła wozów podolskich łamały się pod ich ciężarem na równinach Czarnego Ostrowia, Szwed przeładowuje swą zdobyczą pokłady mnogich okrętów, uwożąc również sprzęt domowy, ozdoby dworów i zamków, jak niemniej opróżnia skarby świątyń, ogałaca ołtarze z prastarych wotów, nie zapomina o wywożeniu nagrobków, o rabunku bibliotek i archiwów prywatnych i publicznych. Gdyby nie poważne świadectwa dziejowe, któżby uwierzył, iż mszały i utensylia ubożuchnych kościołków z okolic Szkłowa, Oszmiany, rzeczy nie przedstawiające żadnej wartości, unoszono o tysiące mil; że gdy pokój zawierano, obce potencye, na znak swej wysokiej uprzejmości, chcąc uwięzione mszały zwrócić, szukały ich w Jenisejsku [1]).

---

[1]) Porów. Edykt cara Aleksego Michałowicza w »Ogólnym Zbiorze praw« i Słoncewa »Histor. Syber.« — (dzieło ros.).

Do dziś okruchy onej wrażej biesiady widzieć może przechodzień w dalekich miastach rozmaitych krajów Europy, w muzeach i bibliotekach, w skarbczykach prywatnych i wśród regalij państwowych. W drugiej połowie przeszłego stulecia, biskup Albertrandi, wysłany przez króla Stanisława Augusta do Szwecyi dla wyszukania naszych źródeł dziejowych w tamecznych bibliotekach i archiwach, powiadał, że spotykał wiele zabytków naszej przeszłości w zamkach szlachty szwedzkiej, że oglądał wśród innych łupów pozostałych z orężnych zagonów Karola Gustawa, posągi rycerzy i biskupów wzięte z grobowców kościołów polskich i użyte za flizy, pokrywające niezmierne ich kominy [1]. Później nieco (w roku 1797) Julian Niemcewicz widział w Sztokholmie i Drottingholmie kosztowne łupy «zdarte na królach i magnatach polskich» [2]. Nie pogardzał ówczesny obyczaj wojen łupieżczych takim nawet rabunkiem, jak zabranie marmurowych posadzek, któremi były wyłożone korytarze zamku królewskiego w Warszawie [3]...

Miecz i ogień dzierżyły długie lata berło grozy nad całym krajem. Zamęt pojęć i uczuć, zatracenie poczucia własnej godności, wyziębienie wszelakiej samowiedzy czynów częstokroć zbrodniczych, szerzyły moralne rozprzężenie, smutniejsze od pożogi, wśród której cały kraj płonął... Ogniska obozowe różnojęzycznych wrogów wciąż prawie podczas owego dziesięciolecia, które się rozpoczęło w dniu zgonu Władysława IV., ba i później, przez cały lat szereg, tworzyły jedną łunę, zlewając się z blaskiem pożarów wiosek, miast, dworów i gródków, które złupione, wycięte dłonią Szweda, mieczem żołdaków Rakoczego, lub przez łupieżcze gromady, służące wojnie do-

---

[1]) Niemcewicz, Pamiętniki.

[2]) Tamże.

[3]) Rudawski.

mowej, zapełniały Polskę pustkowiem na mnogie dziesiątki mil.

Już w drugim roku Władysławowego zgonu przybytek sejmów rozlega się głosem gościa, chwilowego posła obcej potencyi, który dobitnie malując jaką pustynią była dla oka przybysza wschodnia część owoczesnego państwa Wazów, powiada: «...ludzie wasi od głodu umierają i do hospodarstw naszych Chrześcijanie przedają się, o gospodę i karmę prosząc» [1]).

Pośród owych klęsk mnogich, które zachwiały aż do podstaw gmachem Rzeczypospolitej, zniszczyły dawną jej cywilizacyę i zadały śmiertelne rany społeczeństwu, grożąc zupełnym rozkładem państwowego organizmu, nader rzadko widzimy pomyślniejszą chwilę dla oręża polskiego; nader rzadko, wobec ogólnego tamtoczesnego rozprzężenia, występowali ludzie, co obcy prywacie i ambicyi, pracowali jeno gwoli dobru społecznemu, nie żałując ni krwi, ni mienia, ani osobistego spokoju i słodyczy życia rodzinnego, ni gardła wreszcie, by ocalić wewnętrznymi warchoły i obcemi inwazyami skruszoną nawę Rzeczypospolitej. Zastęp ludzi prawdziwego poświęcenia, zaparcia się siebie, mógł jeszcze w oną złą godzinę burzę zażegnać; tacy tylko mogli ocalić od ostatecznej zagłady spuściznę Jagiellonów: i acz ów zastęp był szczupły, jemu tylko zawdzięcza stara, rycerska a rdzą się już pokrywająca potęga Zygmuntów i Batorych, iż wiek siedmnasty nie był dobą jej skonu. Wśród szczupłego zastępu mężów, co ocalili ówczesną Rzeczpospolitę, wśród zastępu onych orężnych odkupicieli zdruzgotanej nawy państwowej, w gronie ludzi jaśniejszych głów a obywatelskich uczuć, Stefan Czarniecki podnieślejsze zdobywa stanowisko, szerszym i trwalszym cieszy się rozgłosem u swoich i obcych. Uzna-

[1]) Relacya owoczesna »Rozhowor posłów moskiewskich z senatorami, dnia 22 marca 1650«.

nie to sprostać wszakże nie mogło jego wielorakim a wysokiego znaczenia zasługom, zasługom męża, «który — wedle słów uchwały narodu, spisanej w sto dwadzieścia trzy lat po jego zgonie — w najgorszych Rzeczypospolitej czasach, gdy wszystko stracone zdawało się, mężnie i radząc i czyniąc, Rzeczpospolitą zbawił» [1]). Jeżeli badania dziejowe, acz się wielokrotnie o to kuszono, nie uwydatniły dotąd potomnym wszystkich rysów tak posągowej postaci, jaką był Stefan z Czarncy, który najdzielniejszy śmiał stawić opór «wylewowi okropnych nieszczęśliwości» — jak się wyraża przywilej Jana Kazimierza, nadający mu prawem dziedzicznem Tykocin — to cóż rzec o innych pracownikach, którzy upadłą «chwałę królestwa podźwignęli?». Inni mężowie z owego zastępu odkupicieli Rzeczypospolitej mało znani są pamięci narodu. Sława Czarnieckiego ich zaćmiewa. A były tam wszakże, wśród owoczesnych pogromców Szweda, wśród bojowników z Rakoczym i innymi wrogami wcale niepowszednie animusze, co krwawo pracowały i wiele się uznoiły, nie myśląc o zachowaniu od zagłady swego imienia, o pamięci i czci potomnych pokoleń. Gdybyśmy wspomnieniom dzisiejszej doby naszemi nieudolnemi siłami zdołali wskrzesić imiona innych zapomnianych pracowników, pamięć Czarnieckiego nie byłaby osamotnioną; stanęłaby ona w tłumnym poczcie, acz mało znanych lub nieznanych, niemniej atoli dobrze zasłużonych owoczesnej Rzeczypospolitej.

Jasnogórski zakonnik — wzór chrześcijańskiego rycerza i obywatela — wytrwale stojący u szląskich kresów na wyłomie murów Częstochowy; Zygmunt Przyjemski, co ginie pod Batowem, słynny ze swej wiedzy i biegłości w wojskowem rzemiośle, której to jedynie, nie zaś

[1]) Odezwa wzywająca Stany Rzeczypospolitej zebrane na sejmie 1788 roku, by uchwalono pomnik Czarnieckiemu.

niesfornym kupom pospolitego ruszenia, zawdzięcza Jan Kazimierz zwycięstwo beresteckie; Krzysztof Grodzicki, wytrwały obrońca Kudaku, bohater stepowy niedość dotąd oceniony, «mąż zrodzony do oręża, wychowany wśród wojen, w znoszeniu obojej fortuny wyćwiczony, ulubiony królowi, szacowny swej ojczyźnie» — jak o nim powiada głos współczesny [1]); gromady kmieci zbrojne w kije i kosy, którym szlachta wstydziła się przewodniczyć, ubiegające zameczki zajęte przez Szweda, ścigające wroga na całej przestrzeni zachodniej połaci państwa, od równin Pałuk [2]) do wyżyn podkarpackiego Sącza; pełni przedsiębiorczego ducha przewódcy kup orężnych, jak Michałko młynarz z Tucholi [3]) zwany «Ślepy», jak Walenty Kołacz wieśniak z ziemi wieluńskiej, i inni mnodzy — tworzą poważny poczet mężów, którzy na swych uznojonych barkach wydobywają z otchłani ostatecznej niedoli strzaskaną nawę państwową.

Jak owa nieszczęsna chwila dziejowa nie była ubogą w niepospolite postacie, tak niemniej długi i bolesny dramat upadku i obalenia Rzeczypospolitej przepełniony jest licznemi scenami dziwnego męstwa, wysokich poświęceń, to szczytnego heroizmu, to znowu zupełnej moralnej nicości. Jedną z owych scen wielkiego dziejowego dramatu,

---

[1]) Kochowski.

[2]) Pałukami nazywano okolicę północno-zachodnich kresów Rzeczypospolitej, między rzeką Wełną, prawym dopływem dolnej Warty, a Notecią i poza prawym brzegiem tej ostatniej. Stare to miano spotyka się już w kronice Archidyakona gnieźnieńskiego.

[3]) Tuchola miasto w byłem województwie pomorskiem, nad rzeką Brdą (Brahe), u Niemców zowie się Tuchel, leży na skraiskach puszczy, co sięgała rzeki Czarnej wody *(Schwarzwasser)*, gdzie pierwsze było pole odznaczeń się młynarza z Tucholi, dowódcy zbrojnych gromad podjazdowych Michałka, który niemało się odznaczył w wojnie szwedzkiej za dni Jana Kazimierza.

obraz pobytu Czarnieckiego w Danii — pragniemy roztoczyć przed okiem współczesnych.

Rok 1656 nie przyniósł ostatniemu z polskich ukoronowanych Wazów zapowiedzianych przez francuskich astrologów nieskończenie wielkich sukcesów; nie wyrugował Szweda z zajętych przezeń i dzierżonych, bez nadziei zwrotu, grodów i całych prowincyj; nie zagoił głębokich ran społecznych. Powołał wszakże do życia uspioną część narodu: ocknięto się z letargu i zaczęto przychodzić stopniowo do pewnej samowiedzy upadku i nicości moralnej.

Sromotna ugoda kiejdańska na północy państwa, a niemniej haniebny tak zwany «akord» pod Ujściem, zawarty w Wielkopolsce na brandeburskich kresach, rozwarły szerokie wrota objawom małoduszności i prywaty, sprzymierzonej z zabaczeniem o obowiązkach obywatelskich. Germanizm dążący ku Warcie w ciągu wielu wieków, to w postaci okutych w żelazo hufców walczących z Bolesławami nad Odrą i Łabą w ziemiach milczańskiej i łużyckiej, to odziany w płaszcz krzyżacki, to wreszcie wkraczający na lechickie niwy pod szwedzkim sztandarem Gustawa Adolfa — zawsze był przyzwyczajony do krwawych zapasów, do twardego oporu, z którемi go zniewalano mocować się długo. Tym razem tylko, gdy Germanizm stanął do walki pod szwedzkimi proporcy, hetmaniony przez dawnego księcia teutońskiej Rzeszy, a dziś króla Szwecyi, bez boju cała Wielkopolska nad brzegiem Noteci do stóp mu padła. Kości teutońskich rycerzy, użyźniające niwy płowieckie, Grünwaldu, Koronowa, od siedmiu wieków usypane nad Łabą mogilniki bojów Bolesławowych, grobowce Psiego-pola i prochy mistrzów, spoczywające w podziemiach Malborga, zadrżały wielką radością na odgłos łacnego tryumfu szwedzkiego pod Ujściem. Zdawało się, iż Jagiełłowe dziedzictwo nigdy już nie wyjdzie z objęć teutońskich. W szwedzkim obozie nad bagnistemi porzeczami Głdy i Noteci, przedniejsze z rodów wiel-

kopolskich wesołymi okrzyki i ucztą a licznemi libacyami obchodziły dzień najezdniczego tryumfu, własnej zaś sromoty. Była to kulminacyjna wyżyna moralnego upadku w onej dobie niefortunnych rządów Kazimierzowych... Odtąd spostrzega się pewien zwrot pojęć, niejakie rozglądanie się we własnych opłakanych sprawach.

Rok 1656 jest zapowiedzią zwrotu ku pracy nad otrząśnięciem się ze wszystkich gospodarzeń. Nie wróżby francuskich astrologów, acz im chętnie ucha dawano na tułającym się ponad Odrą dworze króla polskiego, ale pojedyncza inicyatywa głów jaśniejszych, a serc większych, zapowiedzią była lepszego jutra. W Małopolsce Stefan Czarniecki, naówczas kasztelan kijowski, na Litwie Paweł Sapieha, w Wielkopolsce zaś Krzysztof Żegocki starosta babimojski, pierwsi dali hasło do odparcia najazdu, który, acz nosił miano szwedzkiego, acz szwedzkie herby świeciły na najezdniczych sztandarach, acz król szwedzki mu przewodniczył i pułki ze Szwecyi przybyłe tworzyły rdzeń Karolowego obozu — mienić się raczej mógł teutońskim najazdem. Niemcy zapełniali szeregi Karolowe, on zaś sam, opiekun Protestantyzmu, otoczony Niemcami na wszystkich szczeblach wojskowej hierarchii, niedość iż zaboru dokonał, posiłkując się niemieckiemi najemnemi siły, ale i w posłuchu kraj ten nieszczęsny miał trzymać dłonią Germanizmu. Nie mówiąc o tysiącach zawerbowanych żołdaków niemieckich, którzy nie mieli pola dla swego rzemiosła po ukończeniu wojny trzydziestoletniej i zapełniali szeregi szwedzkiego króla, cały tłum teutońskich książątek, hetmaniący tym niemieckim szykom, pociągnął za rydwanem Karolowej sławy. Widzimy tedy w szwedzkim obozie księcia Anhalt, Jana Jerzego, który w drugim roku szwedzkiego gospodarzenia (1656) wyparty został z obronnych Chojnic; widzimy Karola, książątko meklemburskie, co zaledwie z pod Warki uniósł życie, a zdruzgotane ramię do ostatnich dni żywota przypomi-

nało mu niezbyt fortunne wojowanie nad Pilicą; widzimy Fryderyka landgrafa heskiego, spowinowaconego ze szwedzkim monarchą, który niedługo cieszył się wielkopolskiem wielkorządztwem, jakiem go Karol Gustaw uposażył, gdyż legł od kuli drużyny zbrojnej Żegockiego, starosty babimojskiego.

Ów heski władzca tak się już był ze swymi niemieckimi orężniki na dobre usadowił w Kościanie, iż zabaczając o wojnie i ufając w zupełny spokój ziem nadwartańskich, dawał wodze swym łowieckim upodobaniom, trawiąc czas na gonitwach za zwierzem, na ściętych mrozem obrzańskich bagnach i w sosnowych kościańskich borach. A lasy to były podówczas nader rozległe i dla namiętnego myśliwego, jakim mienią landgrafa, wielce ponętne. Ciągnęły się one ku dolnej Warcie, a zlewając się z wielkiemi puszczami Sierakowa, Międzychodu i Nowodworu, przekraczały Odrę, gdzie już biegły po piasczystych nizinach przed wiekami zgermanizowanych siedzib Słowian [1]).

Na owym nieszczęsnym łowcu hesseńskim, który wracając z myśliwskiej wycieczki, niespodzianie zginął pod Kościanem, nie zamyka się wszakże szereg książąt Rzeszy niemieckiej, którzy walczyli pod szwedzkim proporcem i swą obecnością na lechickich niwach świadczyli, iż myśl germanizacyi przewodnią była gwiazdą Karolowego najścia. Stoją bowiem u steru spraw szwedzkiej inwazyi, oprócz wyżej wymienionych, markgraf badeński Fryderyk, wraz z falcgrafem Janem Adolfem, bratem szwedzkiego króla. Hetmanienie pierwszego z nich otrząsa wawrzyny z wieńca łacnych tryumfów skandynawskich hufców. On to przewodzi pod Warką (1656 roku), kędy Czar-

---

[1]) Sieraków i Międzychód (dzisiaj u Niemców zowią się *Zirke* i *Birnbaum)* leżą w międzychodzkim powiecie, ponad dolną Wartą. Nowodworskie lasy i obecnie są jeszcze obszerne, leżą w międzychodzkim powiecie, a miano swe biorą od wsi Nowydwór *(Neuhaus)*, będącej teraz własnością Treskowych.

niecki, położywszy trupem kilka tysięcy Szwedów, odniósł walne zwycięstwo i zmusił markgrafa do sromotnej ucieczki z pola krwawej rozprawy. Co zaś do falcgrafa Jana Adolfa, to imię jego niemniej aureolą bolesnych wspomnień wyryło się w umyśle współczesnych. Krwawe zdobycie Gołańczy, kędy kmiecie w szczupłej garstce, bo «w liczbie jeno dwunastu», z niewielu szlachty, bronią się w zamku i giną wszyscy — dziełem jest hetmanienia falcgrafowego, że przemilczemy o szeroko rozpostartych jego zagonach a wielekroć ponawianych w rozmaitych kierunkach, zawsze z mordem i rabunkiem, zawsze oświetlonych pożogą grodów i zagród wieśniaczych [1].

Jeżeli tłumnie książątka Rzeszy cisnęły się do Polski pod szwedzkim sztandarem, cóż rzec o gminie orężnym niemieckim? Nie było mu liczby w szwedzkim obozie; tak tam gromadnie widziało go oko współczesnych, iż źródła owej doby bolesnych wspomnień głoszą, że w szeregach Karolowych na dziesięciu zbrojnych zaledwie jeden był Szwed — inni zaś wszystko to Niemcy. Niedość, iż wśród hufców orężnych brzmiała mowa niemiecka, ale i skraiska obozowisk rozlegały się echem gwaru germańskiego. Niewiasty, kupczące u opony namiotów, były to wyłącznie Niemki. Tatarzyn, sprzymierzony w one lata z Rzecząpospolitą, niemało owych cór ziemi teutońskiej popędził z innymi szwedzkimi jeńcy do Krymu, ku ozdobie haremów Bakczyseraju.

Słowem, gdzie wówczas spoczęło oko wśród szeregów inwazyi, wszędzie teutońskie typy spotkać musiało. Jeżeli okrzyk doleciał ze szwedzkich obozowisk, był on nie innym, jeno okrzykiem teutońskiej mowy. Wobec owych tak wydatnych znamion Germanizmu, już podczas epoki

---

[1]) Gołańcz (u Niemców *Golantsch)*, mieścina wielkopolska, o 10 mil na północ Poznania położona, a 30 kilometrów od powiatowego miasteczka Wągrowca.

inważyi spotykamy orzeczenie ze wszechmiar słuszne, że najazd Karola Gustawa prowadzi za sobą germanizacyą kraju. Akt konfederacyi tyszowieckiej wyraźnie to wypowiada, gdy wzywa do odstąpienia od Szweda, «póki jeszcze tak ciężki i niesłowny pan dalej nie rozszerzy się i fortec koronnych w sekwestr swój nie weźmie, póki wojska i narodu polskiego w ciężkie jarzmo zwyczajów niemieckich nie zaprzęże....» [1]).

Rok 1656 — jako się wyżej rzekło — stał się pierwszą chwilą wyzwolenia się z owych «zwyczajów niemieckich», pod których brzemię dobrowolnie nierozważni, a wygórowaną wolnością zepsuci synowie Rzeczypospolitej karki swe nagięli. «Gdy bowiem nieprzyjaciel szwedzki z ludem nastąpił — są słowa króla Jana Kazimierza pisane na szląskiej tułaczce, podczas dni zimowych 1655 r. — to w tak krótki czas tak wiele posiadł, o coby potężnym wojskom przez lat wiele potrzeba wojować, nie tak cnotą i dzielnością swoją, jako niektórych oziębłością, niektórych przewrotnością [2]). Bo jedni z nim od lat kilku (jako on sam zeznawa) o poddanie tej korony traktowali; drudzy, gdy przyszedł, mogąc mu dać odpór, a przynajmniej zabawić na sobie do większych posiłków, przez przeprawy do przebycia ciasne i ignące łatwie go przepuścili; drudzy z nim pakta jakieś zawarli i onemu wiarę poprzysięgli. Drudzy, kiedyśmy się już ruszyli, choć od nas wcześnie wiciami o pospolitem ruszeniu obwieszczeni, do boku naszego nie przybyli; drudzy, przybywszy, deklarowali, że się bić nie będą, ale stać w szyku, w imprezie wojennej, zamiast wstręt czynić nieprzyjaciołom. Mało zaś takich było, coby zamków, od przodków ich dobrze ufortyfikowanych, dobrowolnie nie poddawali, albo do swych majętności załóg

---

[1]) Patrz Akt konf. tyszowickiej, w Ks. pamiąt. Mich., str. 786.

[2]) Patrz Uniwersał Jana Kazimierza, pisany dnia 20 listopada 1655 r. w Opolu.

nieprzyjacielskich nie brali...» Słowa królewskie, acz brzmią dość szorstko, wiernie odtwarzają ówczesne położenie i w rzeczywistem świetle stawiają przyczyny tak łacnych sukcesów szwedzkich. Położenie to ze wszechmiar mienić się mogło bez wyjścia.

Jedna ze sroższych zim, jaką w Polsce podczas XVII wieku widziano, zima 1655 r.[1]), przyniosła chwilę opamiętania. Maluczcy a ubodzy, kmiecie i mieszczanie, przeważnie lud wiejski, podnieśli oręż na Szweda. Wieśniak widział w nim jeno obcego wdziercę, wroga jego wiary i obyczaju, i jako z takim szedł na ostre... «Akord» pod Ujściem przez wielkopolskich senatorów sromotnie zawarty, na mocy którego bez boju Szwedom kraj oddano, dla kmiecia niezrozumiałą był rzeczą; on go nie czytał, bo czytać nie umiał, i nic go owe układy nie obowiązywały, gdyż wprzężonym już się widział w jarzmo poddańcze, a głosu w Rzeczypospolitej nie miał.

A przeto, kiedy po podpisaniu «akordu» feldmarszałek Karola Gustawa, Wittenberg, w lipcową niedzielę 1655 r., zastawiał dla rycerstwa i senatorów Rzeczypospolitej bankiet suty «na stole na pół staja w ziemi wyrzniętym», gdy «na obrusie kosztownym, jedwabnym», rozstawiał srebrne półmiski i na nich sute dania, «potrawy wymyślne, wety od pasztetów kosztownych genueńskich i cukrów lodowatych»; gdy wino tam wbród każdemu dawano, a piwa, kto chciał, za wielkiem je musiał mieć uproszeniem; gdy wreszcie na owym bankiecie — wedle słów naocznego świadka — «nikt się z naszych nie wadził, choć się wszyscy bardzo popili» [2]); — wieśniak, podczas onej sromotnej godziny upadku, w cichości narzędzia rolnicze przedzierzgał na oręż, którym owych gospodarzy godów pod Ujściem rychło miał wyrzucić poza miedzę ziem lechickich.

---

[1]) Porównaj w Rzączyńskiego dziele: Historya natur.

[2]) Owoczesna relacya. Patrz Księgę pam. Jak. Michał. str. 763.

Za nadejściem srogiej, wielce pamiętnej zimy 1655 r., zaświtały dla Szweda dni twardego losu. Uganiano się za nim, niby za zwierzem, po obszarach ówczesnej Rzeczypospolitej. Bój, chociaż dorywczo, acz bez ogólnego planu, trwał wszakże zacięty na olbrzymiej przestrzeni, co dzieli kurlandzkie pogranicza od karpackich wyżyn. Sroga zima z r. 1655 na 1656, nie stanęła temu na zawadzie; była owszem sprzymierzeńcem walczących gromad, przeważnie z kmieci złożonych. Wszystkie celniejsze wypadki, świadczące o przebudzeniu się samowiedzy narodowej, a wstrząsające potęgą szwedzkiego najścia, miały miejsce podczas onej «twardej zimy», jak ją nazywa jedno z owoczesnych świadectw dziejowych. Bohaterska obrona Częstochowy, usiłowania kmieci w Wielkopolsce, ich napady na szwedzkie załogi w Górce miejskiej, Jutrosinie, Krobi, wzięcie Sącza przez lud okoliczny, uderzenie na Szweda w Ciechanowskiem, podniesienie sztandaru walki przez Pawła Sapiehę, który swe mienie i życie niósł w ofierze upadłej sprawie narodu, zaprzęganego «w ciężkie jarzmo zwyczajów niemieckich», wreszcie zwołanie przez Czarnieckiego miłujących ojczyznę obywateli na północne bełzkie pogranicze do Tyszowiec, gdzie wiążąc się w konfederacyą, poprzysiężono «zgodną wolę i jednostajne serce nieść na obronę Rzeczypospolitej» — wszystko to stało się jednocześnie podczas tej «twardej zimy», a mianowicie w ostatnich tygodniach 1655 i pierwszych 1656 roku.

Czarniecki, znany już z obrony Krakowa, chlubnej acz bezowocnej, staje się duszą usiłowań zupełnego otrząśnięcia się z «protektoratu» Karola Gustawa; «protektoratem» bowiem mienili jarzmo szwedzkie ci z możnych rodzin narodu, którzy go wprzęgli w takowe pod Ujściem, spisując tak zwany «akord» z najezdzcą. Uderzającą jest rzeczą, iż bez uprzednich porozumień, w kraju obszernym, przepełnionym nieprzyjacielem, w kraju zniszczonym, dobrej komunikacyi pozbawionym, na różnych a odległych

punktach jednocześnie naród składa dowody przychodzenia do pewnej samowiedzy swego głębokiego upadku. W chwili bowiem, kiedy na pograniczu Bełzkiego z Chełmskiem, w małoznanych w Rzeczypospolitej Tyszowcach, spisywano akt konfederacyi, wypowiadającej jawnie posłuszeństwo Karolowi Gustawowi w pamiętnych słowach: «że go ni mieć, ni cierpieć nie chcą» — ze szwedzkiego obozu w Krakowie, a zatem na przeciwległych kończynach Rzeczypospolitej, w tymże dniu «ostatnim» 1655 r. wychodzi uniwersał Karolowego feldmarszałka Wittenberga, wzywający umysły do spokoju i poddania się smutnemu losowi. Doszła już znać była do Wittenberga wieść o obronie skutecznej okopów Częstochowy, dobiegły do Krakowa szwedzkie niedobitki z odebranego przez lud okoliczny Sącza; cóż tedy dziwnego, że szwedzki wódz spieszy uniwersałami uspokajać umysły, zalecając wdzięczność dla władzy swego monarchy i napominając wszystkich wobec i każdego z osobna «pod surową karą, ażeby nie wdając się z niewielu niespokojnych ludzi zuchwalstwem, w większym raczej szacunku mieli pokój, aniżeli niebezpieczeństwo w majętnościach swoich; aby w pokoju pozostawali, gospodarstwa pilnowali...» [1]).

Niedość jednak, iż słowem i uniwersałami zachęcał feldmarszałek szwedzki do «pilnowania gospodarstwa», niedość, iż słowo groźby, zapowiedź «prześladowania, surowości i ostatniej zguby» spotykała się w jego okólnikach, ale wszystkie te pogróżki w czyn zamieniano. Ze zgrozą, trudną do opowiedzenia, ujrzała szlachta wielkopolska «w one zimowe gody» 1655 roku, czterdzieści ciał swych współbraci kontuszowych, zawieszonych pod Kościanem u szubienic. «Protektor» znać zapomniał o hojnych obietnicach, jakiemi nad Notecią obdarzał przedniejszych panów wielkopolskich; zapomniał o przyrzeczeniach szano-

[1]) Patrz Księgę pam. Michał. str. 798.

wania miejscowych swobód, wygłaszanych przezeń w lipcu (1655) pod Koninem, gdzie z Wittenbergiem połączył się był i zatwierdził «akord» pod Ujściem zawarty. Zapomniał, bo i spełniać ich nigdy nie myślał. Zaledwie jedno lato i jedna jesień upłynęły od ucztowania pod Ujściem znakomitych wielkopolskich rodów ze szwedzką starszyzną i germańskim najazdem, a już się ziściły słowa Krzysztofa Przyjemskiego, wyrzeczone w kolskim zamku [1]), na posłuchaniu u Karola Gustawa:.... «Nie sądź, najjaśniejszy panie — mówił doń ów poseł Jana Kazimierza — nie sądź, że te upragnione zjednoczone rządy w dobry sposób będziesz mógł sprawować; przyjdzie ci się uciekać do topora i szubienicy...» [2]). Niedługą jednak być miała owa krwawa swawola. Nie jeden stan wśród narodu, stan olśniony własną pomyślnością, tudzież złudnemi namowy kilku zbłąkanych chwilowo, ale naród cały ujmował za miecz. Jeżeli udział w przedsiębranem oswobodzeniu kraju z mocy skandynawskiego najazdu zdumiewał ówczesny świat, niemniej godne było podziwu kiełkujące już wtedy poczucie wśród szlacheckiej rzeszy, iż ludowi sprawiedliwość powinna być wymierzoną. Już na szerokiej przestrzeni dają się słyszeć głosy, wzywające do uznawania braci w siermiężnym gminie. Za dni batowskiej klęski, wśród innych wielu głosów,

---

[1]) Koło, mieścina na prawym brzegu Warty, co je wkoło otacza, słynna ongi «generałami», to jest generalnemi sejmikami dziewięciu województw i dwu ziem. — Zamku, gdzie posłuchanie miał Przyjemski, są tam jeszcze ruiny. Szwedzki obóz roztaczał się wówczas na polach sąsiednich wiosek Powiercia i Nagórnej, zajmując wyniosłe nad Wartą stanowisko.

[2]) Piękny przekład tej mowy, po łacinie wypowiedzianej, gdzie spotykamy wielkie prawdy, przydatne dla statystów wszystkich wieków, umieścił J. Moraczewski w swych Dziejach Rzeczypospolitej Pol. (ks. XXVIII, str. 165 i nast.). Próżnemi się stały te słowa głęboko pomyślane. Ich treść obcą była owym umysłom, zwróconym przeważnie w kierunku zaborczym; nie dla wielu nawet z otoczenia Karolowego zrozumiałą.

Żórawski, szlachcic z Rusi, woła do Jana Kazimierza łacińskimi rymy: «aby baczył na litość nad ubogim ludem, jeżeli upadnąć całkiem nie chce...» «Porzućcie dumną władzę, karzcie lud z litością...» pisze do króla we wspomnianych rymach ów szlachcic, który, wedle owoczesnych świadectw «z gwiazd czytał...» Nie potrzeba było wszakże być astrologiem, nie potrzeba było «z gwiazd czytać», żeby dojrzeć, iż niewola ludu ciska całe społeczeństwo w otchłań zagłady. Akt konfederacyi tyszowieckiej, otwierający bramy swobód osobom wszystkim niższego stanu «ktoby jedno wedle możności swej w tej usłudze Rzeczypospolitej i związku zostawał i przysługiwał się...» wyraźnie wskazuje, iż myśl podniesienia z ciężkiego upadku braci siermiężnej zaczynała ogólnie rozszerzać się wśród herbowej części społeczeństwa. Myśl ta ujawnia się w aktach spisanych w Tyszowcach. Całe tłumy szlachty przystępującej do konfederacyi, jednoczyły się z ową myślą; wchodziła ona do takich nawet serc i umysłów, dokąd niedawno wstęp dla niej był zaparty. Wielka niedola rzucała społeczeństwo na nowe drogi: lud, jakby w przeczuciu zmian stanowczych, które na jego korzyść dokonać się miały, gromadnie garnie się i skupia pod sztandarem marszałka Lubomirskiego, regimentarza Wojniłowicza i innych, co Szweda wyrzucali poza granicę Rzeczypospolitej.

Obraz to nowy, a pełen majestatu, roztacza się w onej epoce. Góral rzuca wyżyny, których dotąd nie opuszczał; Kurp ze swych borów wychodzi, żeby wśród równin zadać cios stanowczy temu, co przed pięciu miesiącami obwołany był głosami przedniejszych «protektorem» narodu. Szlachta zdobywa przeto sprzymierzeńca w ludzie i to sprzymierzeńca znać nie podrzędnego, kiedy o owych «góralach» zbrojnych pisze wielekroć sekretarz Maryi Ludwiki, Des Noyers, nazywając ich «goralis». Lud szlachtę wyprzedza w dziele odkupienia, bo pierwszy zaczyna się wiązać w orężne gromady; już wówczas ciągnie na ode-

branie Sącza, kiedy jeszcze szwedzki generał Duglas zapędza szlachtę «z Wiślickiego, Pilznieńskiego, Radomskiego, Opoczyńskiego, Chęcińskiego i Stężyckiego», aby się zjechała do Sandomierza, dla złożenia hołdu Karolowi Gustawowi, czyli jak Duglasa uniwersał głosi, «do aprobacyi», grożąc opieszałym lub opornym konfiskatą dóbr [1]).

Dziwny, dotąd niewidziany ruch objął masy ludu na całej przestrzeni ziem Rzeczypospolitej, już nie kwitnących, jak w dniach potęgi, ale biednych, zaludnionych przez wieśniaków, jęczących pod dłonią przewodniczącej w narodzie warstwy społecznej. Ten ucisk społeczny powinienby był stłumić w sercu ludu wszelkie poczucie wspólności swej z ziemią, co była jego kolebką, a gdzie on w nędzy, ciemnocie i ucisku życie trawił. Stało się jednak inaczej. I jakże smutnemi barwy maluje nam jeden z naszych dziejopisów stan owej kolebki uciśnionego ludu!... «Owa murami zasadzona ziemia Kazimierza Wielkiego — mówi ów historyk — gdzie chłop doznawał jakiej takiej opieki, stała się za królów ostatnich, gdy chłopa uciemiężano, jakby szkieletem niegdyś świetnego kraju; pomiędzy borami rozciągały się pola, na nich chatki z mniejszą sztuką, niż bobrów osady budowane bez dachów, dróg bezpiecznych, z połamanymi płotami, z ludźmi biednymi. Te wioski przegradzały miasteczka, tem tylko od wsi różne, że większą miały liczbę rozwalających się chatek, że brudniejsze od chłopów uwijały się po nich Żydy — a wszystkiego jedna tylko główna przyczyna: — ucisk najliczniejszej klasy narodu...» [2]).

«Religii tylko — pisze w innem miejscu powołany przez nas historyk — religii tylko podziękować należy, że przy owej wyuzdanej władzy, a małem rozumieniu wla-

---

[1]) Uniwersał generała Roberta Duglasa, w Księdze pamiąt. Michał. str. 780.

[2]) Starożytności Pol. t. I, str. 134. J. Moraczewski.

snego interesu, lud chłopski całkiem nie wyginął, a szlachta w znacznej większości oglądała się na sumienie i odpowiedzialność przed Bogiem...» [1]). Bo też nie zbywało jej i na kapłanach-obywatelach, co wzywali do opamiętania wyższe warstwy społeczne. Głos Skargi w sprawie uciśnionego ludu rozlegał się wielekroć w kole obrad krajowych. Wymowne słowa wielkiego obywatela nie wszystkie szły na marne; gdzieniegdzie padały na umysły światlejsze, i owo to ziarno, którego wiatr nie rozniósł po świecie, wydało, po upływie mnogich lat, pamiętną chwilę w Tyszowcach, wydało chęć wymierzenia sprawiedliwości uciśnionemu ludowi... Podnosił Skarga sprawę pognębionego kmiecia z całą odwagą bojownika, walczącego w imię prawdy.... «O wielmożni panowie!» — napomina ów natchniony rzecznik na jednym z sejmów — «o ziemscy bogowie! miejcie wspaniałe i szerokie serce na dobro braci swojej i narodów swoich wszystkich dusz, które to królestwo ze swemi państwy w sobie zamyka. Nie cieśnijcie, ani kurczcie miłości w swoich domach i pojedynkowych pożytkach; nie zamykajcie jej w komorach i skarbnicach swoich, niech się na lud wszystek z was, gór wysokich, jako rzeka w równe pole wylewa» [2]). I zaiste, po upływie pół wieku od dnia wygłoszenia słów powyższych, «wylać się miała jako rzeka» sprawiedliwość dla kmiecych pokoleń. Konfederacya tyszowiecka stała się rodzicielką tej sprawiedliwości, za natchnieniem jej owoczesnych kierowników. Jan Kazimierz przybywszy ze szląskiej tułaczki do kraju, we Lwowie, dnia 1 kwietnia 1656 r. ślubował znieść niewolę ludu. W gronie senatorów, kiedy król u fary słuchał mszy świętej, celebrowanej przez Piotra Vidoniego nuncyusza stolicy apostolskiej, miało miejsce owo głośne w swym czasie *Votum* królewskie. Jan Kazimierz oddał

---

[1]) Loco citato, str. 132.

[2]) Kazania sejmowe Skargi. Wyd. Turow. str. 28.

uroczyście kraj pod opiekę Bogarodzicy, obiecując ulżyć losowi kmieci [1]).

Tysiące szlachty i gminu, zapełniające świątynię, słyszały głośno i dobitnie wymawiane słowa owego «solennego *Votum*» — jak je tamtocześni mienili. Jan Kazimierz temi wyrazami kończył swój ślub uroczysty: «Wielka Boga-człowieka Rodzicielko i Panno najświętsza! Ciebie patronką moją i moich państw Królową dzisiaj uznaję.... Gdy zaś z wielką boleścią jasno widzę, że dla płaczu i uciemiężenia ludzi prostego stanu, na królestwo moje zesłana od Twego Syna, sprawiedliwego sędziego, plaga morowej zarazy, wojen i nieszczęść przez te siedem lat: przyrzekam i nadto ślubuję, że odtąd ze wszystkimi stanami, po odzyskaniu pokoju, wszelkich użyję sposobów, aby od nadużyć i ucisków lud mój wolny pozostał... [2]).

Senat również u stopni ołtarza poprzysięgał spełnienie owego *Votum*; szlachta polska, jak rzekł tamtoczesny dziejopis Rudawski, w owej chwili «pierwszy raz przyznawała się do grzechu ściągającego gniew Boży» [3]). Był to kulminacyjny punkt ruchu, co się objawił wówczas na korzyść uciśnionego ludu i poczynił pewne dlań obietnice w akcie konfederacyi tyszowieckiej, gdzie otwierano, jak się wyrażał uniwersał o pospolitem ruszeniu rzeczonej konfederacyi, «plac każdemu z gminnego stanu... okazyą przystępu i nabycia honorów, prerogatyw i dobrodziejstw, któremi cieszy się stan szlachecki». Lecz poza temi współczucia objawy, poza uroczystem *Votum* królewskiem, nie widzimy innych faktów, któreby, bodaj w części, one obietnice urzeczywistniały. Pewna ilość głów jaśniejszych nie zdołała rozniecić światła wśród całej szlacheckiej rzeszy; prywata jeszcze w znacznej części tłumiła uczciwsze po-

---

[1]) Rudawski. t. II, str. 98.

[2]) Kochowski: Climacter II, Ks. II, str. 106.

[3]) Rudawski, t. II, str. 93.

pędy indywiduów, krępowała działania królewskie. Opozycya, stawiana urzeczywistnieniu ślubu królewskiego, była znać nie małą, kiedy nawet uroczystość chwili wstrzymać nie zdołała jej wybuchów zuchwałych. Nie zamilkło jeszcze pod sklepieniem świątyni echo słów króla, ślubującego uwolnienie ludu «od wszelkich niesprawiedliwych ucisków», a krnąbrnie już podniosła głowę prywata i zagrzmiał we lwowskim kościele niesforny głos z tłumu szlacheckiej rzeszy, grożąc rubasznemi słowy, iż przeszkodzi ziszczeniu owego ślubu królewskiego.... Współczesna relacya powiada, że głos ten wyszedł z ust niejakiego Kazimierskiego, herbu Biberstein. Butny ów wichrzyciel miał wyrzec tak głośno, że słyszeli mnodzy: «Zje djabła, jeżeli to wykonać dozwolimy». Nie był to głos pojedyńczy: mienić go możemy wyrazem znacznej większości tamtoczesnej szlachty, która ani wtedy, ani znacznie później, nie dorastała do potrzeb epoki.

Szwedzki monarcha, co nie zaniedbywał na każdy krok działań króla polskiego i konfederacyi zwracać pilnej uwagi, umyślił wznieceniem walki kmieci przeciw szlachcie skruszyć całe wrażenie, wywołane «ślubem królewskim», i unicestwić wszystkie jego następstwa. Rudawski przytacza edykt Karola Gustawa wydany w tym celu w Malborgu, w niespełna pięćdziesiąt dni po dopełnionem we Lwowie «*Votum*» Kazimierzowem. Zważywszy odległość, trudne komunikacye, wczesną bo kwietniową porę roku, gdy śniegi ledwie tajały po wyjątkowo srogiej zimie, zdumieć się zaprawdę potrzeba, jak czynną była działalność Karolowa. Oto bowiem co głosiła odezwa z podpisem króla szwedzkiego, pod d. 19 maja 1656 r. «Którykolwiek włościanin — pisano w onym edykcie — mieszkający na wsi, czy też w mieście, szlachcica i pana swego, mającego udział w buncie, żywcem albo też głowę jego dostawi, taki nietylko dla siebie i dzieci swych zyska wolność osobistą i na wieczne czasy rolę, którą posiada, ale także

dochody przez sześć lat z dóbr odstawionego lub zabitego buntownika. Będziemy się zaś starali, żeby za swój czyn i usłużność swą miał to wynadgrodzenie tak pewnem, jak gdyby mu pod ślubem przyrzeczone było» [1]).

Próżnemi atoli były rzeczone Karolowe poduszczania: kmieć polski nie okazał się powolnem narzędziem w ręku wroga, nie skłaniał ucha ku Kainowym podszeptom; acz one nietylko ze szwedzkiego pochodziły obozu, lecz niekiedy i z fakcyi domowej. Od księcia Janusza Radziwiłła, hetmana wielkiego litewskiego, trzymającego z najezdcą, biegły z Kiejdan po Litwie, na ośm miesięcy przed malborskim edyktem, zachęty do krwawych i zdradzieckich czynów, gwoli wytępieniu tych, co z onym możnowładcą, a więc ze Szwedem, nie trzymali. Była to pono wielka polityka rzeczonego pana, oparta na zawiściach prowincyi; sam Janusz Radziwiłł w liście do stryjecznego brata swego, Bogusława Radziwiłła, to wyznaje, pisząc: «U Boga i u świata wytłumaczeni będziemy, żeśmy tę przyjęli protekcyą, kiedy nas, Litwę, wydano... a my z biedy do czegoż mieliśmy się rzucić? Wszakże jeszcze nie koniec, i ratować nas mogą, i nam ustąpić wolno... A co mówią, że się to dawno przez mię kłuło — niech dyabeł wykłuje moją duszę, jeślim kiedy o to znosił się dawniej od tego czasu, jakośmy z Wilna list pisali. Zaczęło się to dzieło, kiedy inaczej ratować się sposobu nie było. Wszak czas wszystko odkryje...»

Wszedłszy raz na drogę ratowania siebie kosztem kraju, nie rachowano się ze środkami, co miały posłużyć dla dopięcia celu. Prywata zagłuszyć tu musiała wszystkie względy dobra publicznego. Każdy z nieprzyjaciół Szweda mieni się u Janusza Radziwiłła «zdrajcą», i owych to zdrajców, co się skupiali pod chorągwie królewskie, proponuje, a wreszcie nakazuje książę hetman litewski

[1]) Rudawski w Ks. VI.

«znosić»; nie sądzimy jednak, żeby jedynie w odkrytem polu, ale są ślady, że każe ich znosić podstępem, uzbraja dłoń wieśniaczą, dłoń skrytobójczą przeciw własnym ziomkom [1]. — Wśród takiego chaosu pojęć i labiryntu spraw, wynurza się prawdziwie rycerska postać Stefana Czarnieckiego, naówczas kasztelana kijowskiego, któremu okoliczności raczej, niż król i naród, oddają naczelne dowództwo nad tą garstką kwarcianych, co pozostała wierną sprawie Jana Kazimierza, będącą zarazem i sprawą narodu. Wracający ze szląskiej tułaczki król, wiążąca się w konfederacyą szlachta w Tyszowcach, uważają Czarnieckiego za naczelnego wodza. Skupia się pod chorągiew kasztelana kijowskiego wszystko, co pragnęło otrząść się z pleśni jarzma szwedzkiego.

Samą nawet konfederacyą tyszowiecką nie komu innemu, tylko zabiegom i powadze Czarnieckiego przypisują. Grądzki wyraźnie to wypowiada, iż zjazd do Tyszowiec — miejscowości niejako obronnej, bo mieściny tej przedmurzem była twierdza zamojska, broniona przez Jana Zamojskiego podczaszego koronnego — wywołany został przez Czarnieckiego. Dziwi się temu powołany tu historyk, wyrażając się w następujący sposób: «Niesłychaną było rzeczą w Polsce, ażeby człowiek prywatny do prywatnej narady poważył się zwoływać stany, i to na miejsce bynajmniej nieuprzywilejowane. Wszakże gdy uczynił to w nadzwyczajnem położeniu Rzeczypospolitej mąż wielkich zasług, nie ulegający żadnemu podejrzeniu o osobiste zabiegi, licznie zjeżdżają się obywatele z różnych stron, a zwłaszcza od których Szwedzi byli oddaleni» [2]. — Słowa powyższe, pochodzące z ust człowieka niechętnego sprawie krajowej, a więc i jej obrońcom, najlepszem świadectwem

---

[1]) Moraczewski z Grądzkiego dzieła pod napisem: *Historia belli Cosaco-polonici, authore Samuelo Grondzki de Grondy conscripta, an. 1676.*

[2]) Loco citato.

mienić się mogą onej wielkiej powagi, jakiej wśród swoich zażywał Stefan z Czarncy, bez względu, czy ten głos pochodzi z obozu tych, co udając głębiej wnikających w okoliczności i zasłaniając się świętą miłością ojczyzny, bronili nietykalności «surowych i potężnych rozkazów» króla szwedzkiego.

Nie znikły jeszcze śniegi, nie prysnęły lody rzek polskich podczas późnej wiosny 1656 r., nie dojechał ze szląskiego Opola do Lwowa tułający się król, a Czarniecki już rozpoczął walkę ze Szwedem, walkę dorywczą, podjazdową, jaka u niego pospolicie we zwyczaju była, szarpiąc nieprzyjaciela na każdym kroku. Wyćwiczony w szkole hetmana Koniecpolskiego, pod którego buławą walczył na dwu przeciwległych krańcach Rzeczypospolitej — nad dolnym Dnieprem i dolną Wisłą — mistrzem był Czarniecki w wojnie podjazdowej, i obecnie stosował onę wypróbowaną już swą sztukę z wyćwiczonymi szyki Karola Gustawa. Żołnierz, który pod jego chorągwią bił się, należał zawsze do najlepszych żołnierzy Rzeczypospolitej. Karność obozowa tak rzadka pod proporcami, które wiódł Orzeł biały, zaszczepiona w jego szeregach jeszcze pod hetmańską buławą Koniecpolskiego, niedość iż dlań wiła laury zwycięstw, ale dla owych szeregów zdobywała szacunek wroga i sprzymierzeńców. Sam Czarniecki powiada nam o tem w liście swym z doby nieco wcześniejszej (z dnia 7 lutego 1655 r.), pisanym z głębi Ukrainy, gdzie w owych czasach toczył boje w sojuszu z hanem tatarskim.

Otóż kiedy Czarniecki chciał na jakiś czas z obozu odjechać «ku swoim», «spocząć też sobie, jak się wyraża, bo niejedna kula była w zaskórzu...» Tatarzy mocno się tem zaniepokoili. «Sułtan — są słowa Czarnieckiego — dowiedziawszy się o moim umyśle, przysłał dwóch murżów

do j. w. p. hetmana wielkiego, prosząc pod rozerwaniem związku przyjaźni, aby Czarniecki nie odjeżdżał; tak mnie sobie upodobali, i najmniejszego ciurę z moich pułków bardzo szanują...»

Jeśli tak obcy, wpółdzicy, oceniać umieli szeregowców znakomitego wodza, tem większej sławy, wziętości używali u swoich owi szeregowcy, gdzie i «najmniejszy ciura» był szanowany. Wódz stanowił tu przykład; a za jego przywodem «nigdy nie żałowali gardła ci, co pod tymże proporcem zwodzili bitwy i urywali siłę nieprzyjacielską».

Starcia podjazdowe, niespodziane napady, zasadzki kunsztowne, umiejętnie prowadzone a z klęską nieprzyjaciela, swoich zaś małą stratą, tworzyły przedniejszy wojskowy przymiot Czarnieckiego, który już przed trzydziestu laty celował w wojnie podjazdowej, kiedy w latach 1626, 1627 i 1628 uganiał się w ziemiach pruskich, pod wodzą hetmana Koniecpolskiego za najezdniczym Sudermańczykiem [1]).

Nie naszą tu jest rzeczą biedz za chorągwią Czarnieckiego w ciągu prawie trzech lat, które oddzielały zjazd tyszowiecki od duńskiej potrzeby; nie do nas to należy, kiedy jeno o bojach Czarnieckiego w Danii mówić mamy, szczegółowo opowiadać wszystkie koleje losu walk, toczonych przezeń z różnem szczęściem, acz głównie z przewagą swego, a klęską szwedzkiego oręża, podczas ciężkiej, krwawej dla kraju doby, od roku 1656 do 1658.

Zamilczymy o całym tym szeregu walk prawie trzyletnich, podczas których zachodnie i środkowe okolice państwa z niezrównaną szybkością przebiegał, gromiąc nieprzyjaciela tak długo — wedle słów przywileju królew-

---

[1]) Patrz: Dyaryusz albo summa spraw i dzieł wojska kwarcianego w Prusiech na usłudze jego król... (wydanie Przyłęckiego we Lwowie).

skiego, nadającego Tykocin Czarnieckiemu — «aż głowie króla koronę, królestwo stanom, ojczyznę obywatelom, mieszkańców miastom, miasta prowincyom, prowincye królestwu i wielkiemu księstwu litewskiemu przywrócił...» [1]).

Zanim jednak podążymy za hufcami Czarnieckiego do Danii, przypatrzmy się bliżej nieco dyplomatycznym rokowaniom owoczesnego rządu Rzeczypospolitej, z których wywiązała się «duńska potrzeba».

Już w pierwszych miesiącach szwedzkiego najścia były czynione zabiegi, głównie przez królową Maryę Ludwikę, o wynalezienie sprzymierzeńców dla upadającej Rzeczypospolitej. Z Opola szląskiego biegli gońcy na wsze strony, szukając przymierzy i posiłków. Najprzód w Głogówku, później w opolskim zameczku, dokąd w listopadzie 1655 r. Jan Kazimierz zwoływał na radę wiernych sobie senatorów, powstały zawiązki przyszłych przymierzy.

Poza zakresem rady owej, królowa prywatnie, ale nader czynnie i skutecznie prowadziła rokowania. W Opolu przesiadywał hrabia Potyngen, poseł cesarza Ferdynanda, i tam zawiązywano pierwsze, bliższe porozumienia o posiłki z dworem rakuzkim; stamtąd wyjechał poseł do Chmielnickiego, Lubowidzki, przez którego wysłała Marya Ludwika list nietylko do Chmielnickiego, ale i do jego żony, kobiety prawdopodobnie niepiśmiennej. Był to jeden z manewrów niewieściej dyplomacyi królowej, nigdy jej niezawodzącej. W Opolu, gdzie przebywał wówczas na tułającym się polskim dworze, i Jędrzej Leszczyński prymas, i Piotr Vidoni nuncyusz stolicy apostolskiej, uradzono również wysłanie poselstw do innych, cudzoziemskich potencyj. Posłami owymi mianowano ludzi najzupełniej oddanych królowi. Wyruszył tedy do Siedmiogrodu sekretarz w. k. Mikołaj Prażmowski, późniejszy prymas, postać w dziejach głośna, poufny

---

1) Przywilej ten umieszczony w Historyi Stefana na Czarncy Czarnieckiego... p. x. Mich. Krajewskiego S. P.

doradca królowej; do Frankfurtu na sejm niemiecki otrzymał przeznaczenie Andrzej Olszowski, również człowiek z najbliższego otoczenia króla, mąż wysokiego wykształcenia; na wschód, do cara Aleksego Michajłowicza podążył Jan Ignacy Bąkowski, herbu Ryś, podkomorzy chełmiński, znany ze swych pojęć anti-republikańskich, obywatel ziem pruskich, będący zawsze stateczną podporą tronu; do Danii pojechał Jan Gniński, herbu Trach, starosta gnieźnieński, wraz z przemożnym u dworu Morsztynem [1]).

Celem ostatniego z tych poselstw było uzyskanie od króla duńskiego Fryderyka III. interwencyi na morzu, jeżeli nie posiłków na lądzie. Pomysł był dość trafny; Dania bowiem z trwogą patrzyła na rozrost szwedzkiej potęgi i skłaniała się do zrobienia na morzu dywersyi nieprzyjaznej Szwedom. Nie na tem wszakże był koniec owych poselstw, które ze szląskich zameczków, będących chwilowem schronieniem Jana Kazimierza, bądź wyruszyły, bądź też tam zostały uchwalone. Albowiem Jan Leszczyński wojewoda łęczycki i Jan Wielopolski kasztelan wojnicki, otrzymali poselstwo do cesarza Ferdynanda. Był im zaś przydany w charakterze doradcy czasowego, który poruczoną miał misyę oddzielną, a niemniej ważną, do Anglii i Holandyi, Hieronim Pinocci, Krakowianin, kupiec świeżo

---

[1]) Tenże Jan Trach Gniński i później do rozmaitych misyj dyplomatycznych bywał używany. Kiedy w r. 1667 przybył on w poselstwie do sułtana, dla ratyfikowania traktatu żurawińskiego (z dnia 17 paźdz. 1676 roku), przepych jego orszaku zdumiewał Konstantynopol. Podkowy srebrne, umyślnie lekko przytwierdzone odpadały od nóg koniom poselskim, służąc za łup gawiedzi ulicznej podczas uroczystego wjazdu, odbytego dnia 17 stycznia 1678 roku. — Kara Mustafa, ówczesny wezyr sułtana Mustafy IV., słysząc o przepychu polskiego poselstwa, wyrzekł te pamiętne słowa: »Ci niewierni mają podkowy srebrne, ale głowy ołowiane; bo będąc posłami Rzeczypospolitej, nie wiedzą jak lepiej użyć srebra...«

nobilitowany, człowiek obrotny, władający wybornie nietylko łokciem, ale i piórem [1]).

Ze wszystkich tych rokowań, których wątkiem były projekta przez królowę na Szląsku usnute, najwyższej doniosłości i stanowczego wpływu na późniejsze losy Rzeczypospolitej stały się rokowania z elektorem brandeburskim Fryderykiem Wilhelmem, nazywanym «wielkim kurfirsztem» *(der grosse Kurfürst)*, lennikiem Polski z Prus książęcych. W pierwszych miesiącach wojny szwedzkiej wahał się on, co ma uczynić: — trzymać ze Szwedem, czy też stawić się jako lennik ze swymi posiłki na pomoc upadającej Rzeczypospolitej. Pomoc owa, acz z natury stosunków prawnych płynąca, nigdy naprawdę nie postała w myśli przebiegłego Brandeburczyka, wciąż dążącego do wyzwolenia się z więzów lenności i ujarzmienia Prus królewskich. Widząc wreszcie stanowczą przewagę Szweda, który nietylko iż władał dużą przestrzenią Polski, od wartańskiego porzecza po Zamość, ale reprezentował wówczas w Europie, wraz z Kromwellem protektorem Anglii, potęgę protestancką, jawnie przychylił się elektor na jego stronę i zawarł przymierze z Karolem Gustawem w styczniu 1656 roku. Na miesiąc przedtem królowa Marya Ludwika z Opola tajemnie kołatała do kurfirszta, obiecując mu lennictwo Prus książęcych i «całe dolne Powiśle», byle nie wchodził w ściślejszy sojusz ze Szwedem [2]). Kołatania okazały się próżnemi. Karol Gustaw, o którego przyjaźń ubiegał się stary Kromwell, znajdował w nim

---

[2]) Hieronim Pinocci, sekretarz królewski, metrykant koronny, w późniejszych latach życia spisywał wypadki, których był świadkiem i wielekroć uczestnikiem. Praca jego dziejowa, bo i inne były, nosi tytuł: *Notizie storiche della Pollonia dell. 1655 all. 1668*. Przyczynek ów dziejowy dotąd spoczywa w rękopiśmie.

[1]) Porównaj nader ciekawe tegoczesne dzieło niemieckie p. t. Urkunden u. Actenstücke zur Geschichte des Kurf. Friedr. Wil. v. Brandenburg.

sprzymierzeńca w danej chwili pewniejszego i bardziej blizkiego sercu swemu, niż tułająca się po szląskich grodach Marya Ludwika [1]). Na wszelki zresztą przypadek kurfirszt najzupełniej był zabezpieczony; gdyby bowiem Szwed musiał za morza umykać z Polski, to i w takim razie pan brandeburskich piasczystych pól nad słowiańską niegdy Sprewą, miał od ośmiu już lat w ręku tajemne zobowiązanie Jana Kazimierza, zwalniające go z lennictwa Prus książęcych. Zobowiązanie owo, zrobione w czasach, kiedy Jan Kazimierz o tron się ubiegał i ku temu poparcia kurfirsztowego szukał, wskazywało, iż potęga Brandeburczyka urosła już o tyle, że z nią rachować się należało, a więc wiele mu przebaczonem będzie. I zaiste, przebaczonem mu wszystko było; bo gdy elektorskie wojska, zalawszy Wielkopolskę, nielepiej w niej od Szwedów gospodarzyły, w samym Poznaniu Brandeburczycy, pod dowództwem generała Jerzego Dörflingera konsystujący, spalili czternaście kościołów i pięć klasztorów, nie mówiąc o mnóstwie gorszących bezprawi, dokonywanych w innych

---

[1]) Jeden z listów Kromwella, winszujący mu zwycięstw Protestantyzmu, z d. 7 lutego 1656 roku, wspomniany jest u Rudawskiego. Rozpasanie fanatyzmu protestanckiego było zaprawdę olbrzymie. Oto co podaje źródło ówczesne o pobycie Szwedów w Poznaniu:... »Księży bili (Szwedzi), despektowali. W nocy, tak księży świeckich jak i Jezuitów na zamek brano, kijmi bito; a to o skarby kościelne, które choć pobrali, jednak jeszcze więcej chcieli. Klucze od wszystkich kościołów odebrali, tylko samą farę do nabożeństwa katolickiego zostawili. A oni sami kilka zborów po kamienicach sobie uczynili, i na ratuszu także zbór i na wadze. Przed Wielkanocą (1656 roku), kazali Szwedzi zwołać wszystkich księży i zakonników (których jeszcze było w Poznaniu 60), porabowawszy wprzód wszystkie kościoły i klasztory, których to księży zaraz wszystkich wygnano z miasta. Trzej tylko Jezuici ocaleli, którzy się uprosili, żeby mogli zostać dla usługi wiernych...« (Ustęp z kroniki klasztoru Benedyktynek poznańskich, umieszczony przez J. Moraczewskiego w Starożytnościach polsk. T. II. str. 287).

miejscowościach. W one dni brandeburskiego ucisku wciąż biegali gońcy od króla i królowej do elektora, uspokajając go i upewniając, iż Rzeczpospolita dla niego jest wyrozumiałą, gdyż znać okoliczności zmusiły go do sprzymierzenia się ze Szwedem. Elektor niekiedy udawał markotnego, zwłaszcza małżonka jego — niewiasta wyższego ukształcenia, w rymopisarstwo nawet bawiąca się — ale w rzeczy dalekim był od smutku. Źle mu się nie działo. Żołdacy jego w Poznaniu i innych grodach żywili się rekwizytami licznymi i rabunkiem, rozpościerającym po dworach szlacheckich i chatach wieśniaczych szerokie zagony; on zaś sam zawarł w Labiawie [1]) dodatkową umowę z Karolem Gustawem (d. 30 paźdz. 1656), na mocy której szwedzki król zwalniał kurfirszta od stosunku lennego do Rzeczypospolitej, co wytworzyło dla Brandeburgów państewko zupełnie niepodległe, a jak dalszy bieg wypadków dziejowych wskazał, trwalsze od szwedzkiego na Polskę najazdu.

Rokowania tymczasem Rzeczypospolitej prowadzone z innymi dworami, przybierały w znacznej części obrót przyjazny dla Polski. Dania zawarła z nią zaczepno-odporne przymierze, za pośrednictwem wspomnianego wysłańca polskiego, Jana Tracha Gnińskiego, i na mocy owego przymierza król duński Fryderyk III. zobowiązał się wypowiedzieć wojnę Szwecyi; śmierć zaś cesarza niemieckiego Ferdynanda III wytwarzała najniespodzianiej nadzieję pomocy ze strony domu rakuzkiego. Syn jego bowiem i następca, Leopold, zanim obrany został cesarzem, objąwszy trony węgierski i czeski, tudzież rządy ziem rakuzkich, oświadczył się za Polską. Przybyli na jego żądanie do Wiednia pełnomocnicy Jana Kazimierza zawarli traktat z Leopoldem, zapewniający nam posiłki przeciwko Rakoczemu, który w Polsce zaczął grasować. Posiłki ra-

---

[1]) Labiawia (u Niemców *Labiau)* mieścina w Prusiech wschodnich, blizko ujścia do Kuryjskiej zatoki jednego z ujść Pregla.

kuzkie miały być w liczbie siedmnastu tysięcy i otrzymywały prawo okupacyi Krakowa, Poznania i Torunia.

Pogrom Rakoczego, wdanie się zbrojne Leopolda, wypowiedzenie przez Danią wojny Szwedom, zamanifestowanie się Holandyi na rzecz Polski, ustąpienie wreszcie z wielkopolskich ziem Karola Gustawa — skłoniły elektora, iż porzucił swego dotychczasowego sprzymierzeńca, Szweda, i rozpoczął układy z Polską.

Układy elektora, kurfirsztem pospolicie u nas zwanego, rozpoczęte z Polską, a mające się skończyć umową welawską, tak zgubną dla przyszłości Rzeczypospolitej, prowadzone przeważnie były przez królowę Maryę Ludwikę. Pani ta, co nie zabaczyła nawet o takim stosunku w razie potrzeby, jakim była żona Chmielnickiego, niewiasta żadnego wpływu nieposiadająca, tembardziej wciąż na myśli miała żonę «wielkiego kurfirszta», Ludwikę, z rodziny książąt orańskich pochodzącą. Kurfirsztowa, jakeśmy rzekli, była niewiastą nader wykształconą na swój wiek, dorównywającą wiedzą mężowi, który wprzód odbywał w Lejdzie kursa akademickie, zanim objął rządy swego elektorstwa, miała więc pewien głos u steru spraw mężowskich [1]). Układy przeto uprzednio w umysłach niewiast dojrzały, a dopiero potem wniesiono je na welawskie obrady. Kurfirszt miał już wprawdzie w zanadrzu zwolnienie od lennictwa, uznanie niezależności Prus tak zwanych królewskich; lecz na owym akcie był podpis Karola Gustawa — bo o tajemnych zobowiązaniach króla przez dyskrecyę kurfirszt zamilczał; Rzeczpospolita nic o tem nie wiedziała, lub mogła udać, iż nie wie. Szwedzkie rządy w Polsce ustawały; ustalenie zatem niezależności Brandeburgów

---

[1]) Pieśni układu Ludwiki orańskiej rozpowszechnione były w Niemczech. Jej pieśń szczególniej: *Jesus meine Zuversicht* (Jezu moja ucieczko) znaną i śpiewaną była w protestanckich kościołach Niemiec północnych.

w Królewcu od Rzeczypospolitej jedynie teraz i jej prawowitego rządu zależało. Rzeczpospolita, a przynajmniej niektórzy jej statyści, rozumieli całą doniosłość i zgubne następstwa tego aktu zrzeczenia się na rzecz niemieckich władców z Brandeburga, swych baltyckich wybrzeży. Wiedziano, że to zrzeczenie się jest «ucięciem sobie głowy», wedle wyrażenia się niektórych; przytem zaś nie było żadnej konieczności wynagradzać zdradę tak sowitą zapłatą. Rzeczpospolita, podpisując traktat w Welawie, oddający Prusy królewskie w ręce domu brandeburskiego, niesprawiedliwą się okazała wobec ludności tego litewsko-mazurskiego Pomorza, co połączone z nią było węzłami federacyi. Oddanie na pastwę Brandeburgom ziem pruskiego pojeziorza było wówczas o tyle czynem nielegalnym, o ile na przykład ustąpienie teraz przez rząd centralny Stanów Zjednoczonych północnej Ameryki któregokolwiek ze Stanów ościennemu państwu, mienionoby faktem depcącym wszelkie prawa międzynarodowe. Z tego też punktu zapatrywały się na welawski traktat owe nieszczęsne ludy, odrywane od całości Polski wbrew ich woli. Wyraźnie mówi nam o tem, oprócz innych świadectw, uczestnik tych układów z kurfirsztem, sekretarz królowej Piotr Des Noyers (1659 r.) ...«Wrzeszczą oni (t. j. pruskich ziem mieszkańce) i dowodzą — pisze ów sekretarz — żeśmy wcale nie mieli prawa bez ich wiedzy stanowić o ich niewoli, bo byli członkami, nie zaś poddanymi polskiej Rzeczypospolitej...»

Opór ów jednak, również jak i świadomość niektórych polskich statystów, iż «nigdy nie ucina się głowy dla ocalenia komu życia» — co w onej dobie wyrzekł jeden z polskich pełnomocników — nie wstrzymały biegu układów, oddawna uprojektowanych przez królową.

Dnia 27 września 1657 roku traktat welawski został podpisany. Biegły w przewrotnej polityce kurfirszt stał się odtąd panem Prus królewskich. Dłoń polska rzuciła w dniu owym nieszczęsnym węgielny kamień przyszłej

potęgi niemieckiej. W kilka tygodni później umowa welawska ostatecznie zatwierdzoną została przy osobistem widzeniu się Jana Kazimierza z kurfirsztem, który z małżonką swą przybył do Bydgoszczy, dla widzenia się i zamknięcia rokowań z królem polskim. Wynikiem tego zjazdu, wśród oznak wielkiej uprzejmości dla Brandeburgów odbytego, było zaprzysiężenie przez obie strony umów welawskich. Król puszczał w niepamięć całe uprzednie przewrotne postępowanie Fryderyka; nadskakiwał dotychczasowemu lennikowi, mówiąc doń, iż więcej «doznał przychylności z jego strony, niż nieprzyjaźni z koniecznej potrzeby...»

Były to bez zaprzeczenia chwile bolesnych upokorzeń dla narodu, tem smutniejsze, iż bardzo maluczka jego cząstka świadomą była rzeczywistego stanu rzeczy. Mniemano, iż zmuszono kurfirszta do ustępstw; gdy tymczasem sprawy się miały odwrotnie: Rzeczpospolita to bowiem poczyniła większe nad konieczność ustępstwa i biła czołem przed dotychczasowym hołdownikiem...

«Nasi — pisze tamtoczesny polski pamiętnikarz — wpadłszy w pomorską ziemię po dwa razy, i wiele wsi i miast napaliwszy, około Anklam, Pazwalku, Szczecina i wszystką prawie pomorską i margrabstwo spłądrowawszy, przywiedli do tego, że królowi Imci *homagium* (hołd) znowu w Bydgoszczy czynił i przeciwko każdemu nieprzyjacielowi być obiecał...» [1]).

Nie było to, jak widzieliśmy, *homagium*, ale owszem tryumf brandeburskiego książątka, który tanim kosztem przerzucania się z obozu do obozu, zmieniania sztandarów stosownie do własnych widoków, zapewniał sobie zwycięstwo i państwo budował na trwałych podstawach, bo na prawie miecza.

---

[1]) Pamiętniki Łosia towarzysza chorągwi pancernej i t. d. z rękopisu współczesnego wydane, str. 32.

Zobowiązał się kurfirszt rzeczywiście do dawania posiłków w razie potrzeby i w zamian miał je sobie przyobiecane. Dotrzymywanie zobowiązań było mu tym razem potrzebne; wywiązał się więc z nich dość dobrze. Polska była w przymierzu z Leopoldem, który został cesarzem i gotował się do sojuszu z Danią, żeby wspólnemi siłami poskramiać rozrost nadmierny Szwecyi. Iść razem w sojuszu z cesarzem i innemi państwy — bo i Holandya i hanzeatyckie grody nieść tej koalicyi pomoc obiecywały — dla Brandeburga, dorabiającego się dopiero potęgi, rzeczą było pożądaną; nie stał się przeto na ten raz wiarołomnym.

Dania po zawarciu kopenhagskiego traktatu z Polską, znagloną była pod naciskiem szwedzkim, na początku 1658 r., do połączenia się ze Szwecyą, na warunkach nader przykrych. Pokój wymuszony w Roëskilde, okupiony mnóstwem ofiar ze strony Duńczyków, gdyż tracili część posiadłości, mienić się mógł tylko rozejmem, i w istocie zawiesił on jedynie na półrocze kroki nieprzyjacielskie.

W ostatnich dniach sierpnia 1658 roku, znowu Szwecya, chcąca z Baltyku zrobić swe jezioro, rozpoczęła walkę z Danią. Było to hasłem dla północnej koalicyi, aby drogą niesienia pomocy Duńczykom zadać cios wojowniczym zachciankom Karola Gustawa. Wzięcie udziału w tej koalicyi, zrobienie dywersyi Szwedom w Danii, leżało w interesie Polski, która jeszcze nie pozbyła się w zupełności szwedzkiego najazdu. Całe dolne Powiśle wraz z Toruniem, oprócz Gdańska, którego ani siłą, ani podstępem Szwedzi wziąć nie mogli, zostawało w rękach Karola Gustawa; w Inflantach, na Żmudzi, w drodze ku Kurlandyi również podówczas spotykano te wojska, szerzące krwawe zagony, niecące płomień pożogi tam, gdzie jeszcze przypadek

oszczędził trochę niedopalonych miast, świątyń i dworów. Były to jednak już tylko resztki owej orężnej powodzi co od nizin żuławskich po Karpaty zalewała kraj w ciągu przeszło trzech lat. Resztki te trzymały się jeszcze silnie; nie myślały opuszczać obronnego Torunia; podstępnie targnęły się na Jakóba księcia kurlandzkiego (którego uwięziono z całą rodziną), i opanowały Kurlandyą, kraj hołdujący Rzeczypospolitej, lecz neutralny. Wszystko więc wskazywało, że najazd niezupełnie jeszcze zraził się niepowodzeniami, i przy zabezpieczeniu się zupełnem na Bałtyku od strony Danii i jej sprzymierzeńców, wezbrać może nową falą klęsk i ucisku.

Zadanie ciosu szwedzkiemu królowi na wyspach bałtyckich było krokiem dobrze obmyślanym i mogło dla Polski pomyślne przynieść następstwa. Potrzeba było jednak spieszyć z odsieczą Duńczykom, gdyż król ich, Fryderyk III, oblężony w Kopenhadze, niedługo już mógł się trzymać. Skoro przeto od rezydenta Rzeczypospolitej w Kopenhadze, Jana Jerzego Morsztyna, nadeszła wieść, iż znowu rozpoczęły się kroki nieprzyjacielskie między Szwecyą i Danią, którą Karol Gustaw chciał teraz posiąść i oddać ją teściowi swemu, księciu holsztyńskiemu, wnet wyruszyła wyprawa sprzymierzonych do Danii.

Wyprawa owa przygotowaną znać była oddawna, bo jednocześnie prawie z rozpoczęciem w Danii kroków nieprzyjacielskich, wyrusza z granic polskich odsiecz sprzymierzonych. Cesarz niemiecki Leopold, kurfirszt brandeburski i Polska łączą się w jeden sojusz niosący pomoc najechanej i znękanej Danii.

Polska dawała Danii najlepsze swe, jakie wówczas posiadała, szyki i najdzielniejszego wodza. Czarniecki niezmordowany pogromca Szwedów, prowadzi swą dywizyą złożoną z dwunastu chorągwi ciężkiej jazdy i dwóch oddziałów lekkiej kawaleryi, tak zwanych «Semenów» i «Wołochów», tudzież oddziału «dragonów» (czyli drabantów),

co tworzyli jazdę zbrojną w muszkiety i potykającą się pieszo w razie potrzeby.

Na wieść o organizowaniu wyprawy do Danii, wielu, powodowanych rycerskim animuszem, bądź chęcią błyśnięcia wśród obcych, potworzyło chorągwie nowozaciężne; lecz te naprędce sklecone szyki w znacznej części nie dalej doszły, jak do granic Rzeczypospolitej. Brakło im spójni wojskowej i karności, którą wytwarza dłuższy pobyt w szeregach, pod dowództwem energicznem i umiejętnem. Wojska więc tylko te, co, jak się wówczas wyrażano, «chodziły pod Czarnieckim», tworzyły rdzeń polskich sił regularnych, i one też zaważyły najbardziej na szali losów duńskiej potrzeby. Liczba ich dochodziła zaledwie do sześciu tysięcy, a hetmanił im głównie Stefan Czarniecki, który od roku już przeszedł był na wyższe krzesło w senacie, objąwszy po dotychczasowej kasztelanii kijowskiej województwo ruskie, nosił zaś, przy tytule wojewody, i tytuł regimentarza. W gronie przedniejszego rycerstwa, które go otaczało, widzimy Piotra Opalińskiego wojewodę podlaskiego, Adama Działyńskiego z ziem pruskich, starostę bratyańskiego, Michała Wojniłowicza starostę krośnińskiego, Franciszka Czarnkowskiego starostę osieckiego, Kazimierza Piaseczyńskiego starostę ostrołęckiego i innych doświadczonych w bojach, jak Borzęcki, Polanowski, Pasek znany pamiętnikarz, Łoś towarzysz chorągwi pancernej, co również zostawił roczniki swych wypraw, Pągowski, Samuel Kobyłecki rotmistrz Semenów, Skrzetuski, Jan Tetwin i inni. Sprzymierzeni wówczas z Rzecząpospolitą Rakuszanie, pod wodzą generała Montekukulego, liczyli czternaście tysięcy, którym przewodził sam kurfirszt Fryderyk, mający przytem nadaną sobie od Jana Kazimierza władzę najwyższą nad całą wyprawą związkową.

Kiedy nadszedł do dywizyi Czarnieckiego, przy końcu sierpnia 1658 r., rozkaz wymarszu do Danii, konsystowała

ona na pograniczach Poznańskiego z Pomorskiem, na bujnych pastwiskach Drahima, będąc gotową uderzyć na stanowiska szwedzkie, rozrzucone po całem dolnem Powiślu. Szybki w swych obrotach Czarniecki, nie zwlekając ani chwili, zostawia cięższe tabory w Czaplinku i lekko a chyżo, jak zwykle, ciągnie ku środkowej Odrze krajem wielkopolskim, dla połączenia się około Międzyrzecza, poza rzeką Obrą u zachodnich kończyn Rzeczypospolitej, z hufcami sprzymierzeńców. Zanim doszły do wielkopolskiego pogranicznego Międzyrzecza pułki Czarnieckiego, przyłączały się do owego rdzenia sił polskich nowozaciężne chorągwie; ale ów żołnierz młody, który boju nie zaznał, obawiał się walki w krajach dalekich. «Trwożyło to niejednego — pisze Pasek, uczestnik duńskiej potrzeby — iść za morze, iść z sześciu tysięcy wojska przeciwko temu nieprzyjacielowi, do jego własnego państwa, któregośmy potęgi w ojczyźnie naszej wszystkiemi siłami nie mogli wytrzymać....» [1]. — Wkradło się więc rozprzężenie do nowozaciężnych chorągwi. Ci i owi z towarzyszy, tłumy ciurów i pachołków tajemnie opuszczali szyki, i szerzono popłoch w szeregach, gromadnie z nich się wynosząc; zanim przeto doszły wojska do brandeburskich kresów, znacznie przerzedziły się hufce. Nad Notecią i Wartą, gdy się posuwano własnym jeszcze krajem, mniej odbiegano sztandarów; lecz nad błotnistą Paklicą, kiedy znikły z oczu ubogie domki wielkopolskiego Międzyrzecza, a jedna już tylko mila oddzielała od granic Marchii brandeburskiej, wszystko co trwożliwsze odpadło i sromotnie pierzchało do domów. Z «dobrze okrytych chorągwi» pozostały wśród niektórych nowozaciężnych jeno maluczkie resztki. Jechał zatem tu i owdzie chorąży ze sztandarem nowozaciężnego znaku samotrzeć tylko, lub samoczwart; inni, zamiast iść za morze, z nad

---

[1]) »Pamiętniki Jana Chryzostoma Paska«, wydane w Poznaniu, str. 8.

Paklicy umknęli, i «tak oni tchórzowie – mówi naoczny świadek, Pasek — i dobrym pachołkom serce byli zepsuli, że niejeden wodził się myślami» [1]).

Na międzyrzeckich polach mógł ostatecznie Czarniecki sprawić swe szyki, obejrzeć żołnierza i liczbę jego porachować. Zostało mu ze sześć tysięcy jeszcze wyborowych hufców, z którymi zwykł był po kraju chadzać i zwycięskie boje zwodzić. Ludzie niewieściego serca, tak zwani ongi przez Skargę «wozownicy, podusznicy, pierzchnicy, co z łóżkami i pierzynkami jadą» w kraju zostali. Wiedziano dobrze, iż z Czarnieckim «w kolebkach i koczach» jeździć nie można [2]). Wódz ów miękkiej rozkoszy znieść nie mógł, a bojownicy z pod jego chorągwi nie wzgardzali «staropolskiem życiem żołnierskiem»; miał on tedy o nich wszelkie prawo rzec w następujący sposób, w jednym ze swych listów z dnia 7 lutego 1655:... «Przez ten miesiąc będziemy o jednej wierze, o jednej koszuli, o wodzie, mrozie, lata siejąc...» «dla tej miłej ojczyzny...» [3]).

Wszystko więc, co pozostało z Czarnieckim u brandeburskich miedz, było zahartowanem w boju, było jego dawnym, w ogniu tysiąca niebezpieczeństw wypróbowanym żołnierzem. Bo czy rzucimy okiem na Kazimierza Piaseczyńskiego, który podczas burz kozackich ubiegał zameczki i własną dłonią wiele dokazywał: czy na Skrzetuskiego, niezmiernej odwagi człowieka, który do wojska ze Zbaraża, tak od nieprzyjaciela «obłożonego, iż ani ptak od nich i do nich nie przeleciał» (1649 r.), przeniósł listy do króla pod Toporów; czy wreszcie spojrzymy na Paruszewskiego towarzysza pancernego, co w hełmie i ciężkiej zbroi «ze skrzydłami u ramion, z kopią na dziesięć stóp długą», wyprawiał harce podziw budzące — wszystko to

---

[1]) Loco cit.

[2]) «Kazania sejmowe skargi», wyd. Turows., str. 103.

[3]) List Czarnieckiego w Księdze pam. Michał., str. 747.

są bohaterowie, zabytki dawnej epoki, kiedy Rzeczpospolita nietylko swą jednomyślnością i swobodą, lecz i męstwem swych synów groźna była ościennym. Postacie te w żelazo odziane, nielicznemi już się stawały, nadszedł bowiem, niestety, czas, iż rzec trzeba było z wielkim obywatelem, a natchnionym mówcą: «Zbrojny i jedyny pachołek zginął i siła męska rozkoszami struchlała...»

Były to ostatnie dni września 1658 roku, kiedy stanąwszy o milę za Międzyrzeczem, ujrzały wojska polskie poraz ostatni ze wzgórza piaski i bory ojczyste; kiedy ten i ów, rzuciwszy okiem poza siebie, żegnał zagon rodzinny i blizkich mu sercem. «Jakaś tęskność ogarniała zrazu» — pisze Pasek. Lecz oto są już na miedzach Rzeczypospolitej; z tysiąca piersi zagrzmiał hymn: *O gloriosa Domina*... myśl obowiązku góruje nad innemi uczuciami, i skrzydlate rycerstwo Czarnieckiego, z rozwiniętymi sztandary, o marsowem obliczu, skąpane w promieniach słońca, osnute pajęczyną babiego lata, wchodzi w granice Marchii brandeburskiej...

Podobnie na sześć wieków przed nimi wchodziły Bolesławowe hufce na nadodrzańskie porzecze, skąd słowiański żywioł nie był jeszcze przez Niemców wyparty; nietylko nad obu brzegami Odry, ale i dalej ku zachodowi, w Łużycach, nad Łabą, rozumiano mowę rycerzy Bolesławowych... «Szeroko za Odrą król Bolesław znaczył zagony swoje — pisze nasz pracowity badacz dziejowy [1]) — z orężem polskim pokazywał się w krajach słowiańskich, pomiędzy ludami, które już zapomniały braci...»

Tak było na półsiodma wieku przed Czarnieckiego duńską potrzebą. W 1658 r., podczas doby opowieści naszej, rzeczy rdzennie się zmieniły. Chorągwie Czarnieckiego w Marchii brandeburskiej już się nie spotykały z ludno-

---

[1]) J. Bartoszewicz w Encykl. powsz. Orgelbr., t. II, str. 933.

ścią, co mowę ich rozumiała — germanizm wszystko zagłuszał.

Czarniecki, wszedłszy na obcą ziemię, podwoił rygor wojskowy w swych hufcach; karność, porządek, zawsze ciężkie dla Polaka, gdy one nie przychodzą z obcej dłoni, zbyt twardemi dla wielu się zdały. Że jednak wódz był powszechnie lubiony, więc szemrania słyszeć się nie dały; owszem, żołnierz szedł ochotnie; żywiono go dobrze i bez wszelkiej dlań troski, wszystko doń dochodziło, do czego w swym kraju wcale nie był przyzwyczajony. Kurfirszt, główny wódz wyprawy, mocno zapobiegał, żeby wojskom sprzymierzonym na niczem nie brakło. Żywiono ich dobrze, szczególnie w krajach kurfirszta, który pomny na układy z Maryą Ludwiką zawarte, spodziewał się zostać z czasem królem polskim. Korzystał on tedy z możności, żeby pozyskać serca domniemanych poddanych; «bardzo się grzecznie stawiał, we wszystkich okazyach akomodował się, częstował, po polsku chodził...»

Nie na tem wszakże kończyły się względy kurfirsztowe; bo oto co dalej mówi tenże prawdomówny a naoczny świadek: «Kiedy wojsko polskie przechodziło, więc zwyczajnie ten tego, ten też tego powita; ten (kurfirszt) wyszedł przed namiot lub też przed stancyą, jeżeli w mieście stał, i trzymał tak długo czapkę, póki wszystkie nie poprzechodziły chorągwie» [1]). Widząc takie względy kurfirszta dla polskiego żołnierza, i inni niżsi niemieccy dowódzcy i sam generał Montekukuli, tudzież panowie i książątka na burgach różnych siedzący, okazywali wiele szacunku dla hufców wojewody ruskiego. Sam zaś wojewoda stale się cieszył poważaniem elektora, który szczerze go szacował i pierwszeństwo mu dawał we wszystkiem; aczkolwiek, jak to niżej ujrzymy, w głębi serc niemieckich, nie wyłączając Montekukulego i kurfirszta «Polakom czap-

---

[1]) Pamiętniki Paska, str. 14.

kującego», kryła się zawiść ku polskim chorągwiom i ich wodzowi. Pomyślność oręża polskiego zawiść tę pomnożyła.

Przez Odrę przeprawiały się wojska sprzymierzone częścią pod Kiestrzynem, częścią pod Frankfurtem, gdzie główne siły polskie i sam regimentarz Czarniecki, acz był tam most, wpław rzekę przebyli, ku podziwowi Niemców. Poza Frankfurtem podzielono związkową armię na kilka części, aby wygodniej i prędzej dotrzeć mogła do celu; jedni spieszyli wprost ku Meklemburgowi, inni zawadzili o ziemie saskie, przez które przejście było otwarte, ze względu na cesarza Leopolda i gwoli prośbom elektora. Część polskiej jazdy przechodziła przez owe ziemie i nader sympatyczne znalazła tam przyjęcie. Skrzydlate rycerstwo, o licznych bliznach, wymownem świadectwie męstwa i długich bojowych prac, niezwyczajny, a nader przytem imponujący tworzyło obraz dla Niemców, zajętych w swych grodach i połabskich wioskach pokojowym trudem około roli i przemysłu. Garstka Słowian-Łużyczan, nad Łabą spotkana, przyczyniła się wielce do rozniecenia uczuć sympatyi dla wojsk wojewody ruskiego. W Meklemburgu zabiegło drogę Czarnieckiemu książątko tameczne, Karol meklemburski, «który był w strachu pod Warką» (1656 r.), gdzie go, jak wspominaliśmy, w ramię postrzelono, gdy ze Szwedami brał udział w najściu na Polskę. Witał on teraz ze czcią Czarnieckiego, który pierwszy swem zwycięstwem pod Warką zachwiał pomyślnością germańskiego najazdu, spadającego na Polskę pod szwedzkim sztandarem. Wczorajsi wrogowie witali dziś polskiego wodza ze czcią rzekomą, bo siłę w nim szanowano.

W Holsztynie wszystkie prawie zamki w ręku były Szwedów, ale wojska związkowe oporu tam nie znalazły: gdyż szwedzkie załogi spiesznie, bez wystrzału — znać takie były instrukcye — opuściły Holsztyn. Jeden tylko zamek Gottorp, rezydencya teścia króla szwedzkiego, stawić poważniejszy opór miał zamiar; lecz i on odemknął

swe bramy sprzymierzonym, którzy bez wytchnienia zdążali w kierunku północnym. Odsiecz Kopenhagi główny cel ich stanowiła.

W północnej okolicy Szlezwigu, czy też raczej w południowej Jutlandyi, naznaczono miasteczko Hadersleben na miejsce ogólnego zebrania wszystkich rozproszonych sił sprzymierzeńców. Tam miano zająć stanowisko jako podstawę dalszych działań. Skoro rozmaitemi drogami ciągnące oddziały zeszły się w Hadersleben, postanowiono zostawić na onem stanowisku Rakuszan, żołnierza nie nader bitnego, z generałem Montekukulim, aby tworzył rezerwę i wysyłając podjazdy ku szwedzkim owoczesnym posiadłościom, zdobywał żywność; oszczędzało się w ten sposób ziemiom króla duńskiego konieczności żywienia wszystkich wojsk. Do Rakuszan przyłączono później oddział jazdy wojewody podlaskiego, Piotra Opalińskiego.

Kurfirszt tymczasem z naszym regimentarzem i głównemi tego ostatniego siłami wyruszył dalej nieco w głąb Jutlandyi; szwedzkie zaś załogi, wyparte z holsztyńskich obronnych stanowisk, schroniły się w liczbie czternastu tysięcy do Frideriksoddu, obronnej przystani na jutlandzkiem wybrzeżu. Zająwszy tam — wedle słów patrzącego na to Łosia — przylądek w morze wdający się, zawarowały się one w nim, jak Polacy mawiali, «niby w jakim Malborgu...» Była to dzisiejsza Friderycya, wtedy nazywająca się «Frideriksodde». Dwadzieścia dwa szańce, od strony lądu usypane, broniły ich nader skutecznie. Mogli oni ztamtąd dać pomoc wyspom zajętym przez ich wojska, a zarazem zagrażać tyłom sprzymierzeńców, lub ich ze skrzydeł niepokoić.

Na radzie wojennej, zabaczając o tych Szwedach obwarowujących się znacznie ku północy, uchwalono co najśpieszniej przeprawić się na wyspę Alsen, którą opanowawszy, miano przejść do Fionii i dać tą drogą odsiecz na wyspie Zelandyi oblężonej Kopenhadze.

Zostawienie obronnej Koldyngi, chociaż nieco na uboczu, lecz górującej nad północnem przejściem Małego Bełtu, nie mogło być rzeczą bezpieczną; Czarniecki przeto, z właściwą sobie szybkością, podstępuje pod ufortyfikowane miasto. Zatoka morska, Koldingfiord zwana, była tu dla zamku główną warownią. Chcąc szturm do murów przypuścić, należało przepłynąć zatokę pod strzałami dział zamkowych. Warunki to były zbyt ciężkie dla sprzymierzeńców oblegających, zwłaszcza, iż posiadano niedostateczną ilość statków przewozowych. Kurfirszt prowadził już swoich i oddział Rakuszan na kilku wielkich łodziach, gdy tymczasem Czarniecki czekał jeszcze na dokończenie przygotowań przeprawy. Kozacka drużyna z ziem ukrainnych, tak zwani «Semeni», przyboczna straż naszego regimentarza, pracowała nad urządzeniem środków dostania się na ląd Koldyngi. Byli to Rusini z dnieprowego Niżu; kilkunastu z nich, z okolic «Kamiennego Zatonu» pochodząc, znało się wybornie na żegludze, bo z siczowymi mołojcy odbywali wyprawy na Turków, rzeczne i morskie [1]. Przygotowania jednak przedłużały się zadługo, a nieprzyjaciel raził tymczasem garstkę Rakuszan, którzy na statkach przeprawiwszy się, pozbawieni wsparcia większej siły, wystawieni być mogli na zupełną zagładę. Kurfirszt niecierpliwił się. Widząc to Czarniecki, zwraca się do swych weteranów i w kilku gorących wyrazach wzywa ich, aby, nie czekając na statki, korzystali z kilku czółen i prze-

---

[1]) Kamienny zaton, przystań rzeczna na dolnym Dnieprze wyżej katarakt tej rzeki, leży na jej lewym brzegu. Dzisiaj to wieś ekaterynosławskiej gubernii, pow. nowo-moskiewskiego (dawnego Tamanu) o kilka kilometrów od miasta gubernialnego Ekaterynosławia, wyżej tylko nieco i na przeciwnym brzegu rzeki. Kamienny zaton (pierwotna nazwa, którego była zapewne Kamienny-zator, bo już tam zaczynają się zapory i zatory ze skał podwodnych, żeglugę wstrzymujące) teraz nosi nazwę Kamionki. I dziś wyborni sternicy wieś tę zamieszkują.

prawili się przez morską zatokę z taką śmiałością, jak to na polskich rzekach wielekroć uskuteczniali. Wódz z siebie dawał przykład i tym razem, jak zawsze. Zdejmuje on kulbakę ze swego wierzchowca, rzuca ją do czółna, sam w nie siada i od brzegu odbija, trzymając konia za cugle. Sposób ów przeprawy naśladują inni, i wkrótce polskie szyki przebyły Koldingfiord, mocno wówczas wzburzony, gdyż jesień to już była głęboka i morze szalało groźnemi burzami. Niemcy osłupieli z podziwu. Sposób ów był im nieznany. Czarniecki, który długie lata strawił na południowo-wschodnich skraiskach Rzeczypospolitej z Tatarami, od nich nauczył się tego rodzaju śmiałych przepraw, który również powszechnie u Niżowców był w użyciu, o czem naoczny świadek Beauplan pisze szeroce, dodając nawet stosowne ryciny do swych opisów Ukrainy [1]).

Koldynga, dzięki śmiałości, rzec można zuchwalstwu natarcia Czarnieckiego, o którem nader słusznie spółcześni mówili, «że wrodzoną cnotą tego kawalera była prędkość przy rozumie», otwiera bramy sprzymierzonym. Szwedzi opuścili warownię i na statkach odpłynęli na wyspę Alsen, wprawdzie również zagrożoną, lecz strzegły ich tam znaczniejsze siły szwedzkie pod dowództwem pułkownika Aschenberga, i zresztą cieśnina morska, acz wązka, głęboka jednak i u brzegów już wtedy zamarzająca, bardzo wątpliwem czyniła rychłe opanowanie tej wyspy.

Listopad miał się ku końcowi; morze było burzliwe, u wybrzeży uformowały się lodowe zapory, dalej ku środkowi cieśniny fale przerzucały bryły lodu, a wiatr od pełnego morza ciskał w oczy zabójczą szarugą. Warunki klimatyczne stawały się chwilowo potężnym Szwedów sprzymierzeńcem. Zdawało się, iż wylądowanie na Alsen wojsk dążących na odsiecz Duńczykom odroczy się jeszcze

---

[1]) *Description d'Ukrainie etc., p. le Sieur Guil. Le Vasseur de Beauplan,* wyd. 2, w Rouen 1650 r.

na długo, tembardziej, iż i statków przewozowych nie było. Morsztyn rezydent Rzeczypospolitej w Kopenhadze, uwiadomił już był wprawdzie króla duńskiego Fryderyka, o potrzebie wysłania statków dla przewiezienia wojsk związkowych przez cieśninę, ale wykonanie tego naglącego żądania łatwem nie było. Kilka wojennych statków rząd duński wysłał wreszcie; burze morskie jednak opóźniały ich przybycie.

Pomimo tak nieprzyjaźnych okoliczności, sprzymierzeni postanowili nie tracić czasu; obawa bowiem o Kopenhagę z każdym dniem wzrastała, a jej upadek zagrażał istnieniu duńskiego królestwa. Po zamarznięciu kopenhagskiego portu, szturm do murów duńskiej stolicy nader ułatwionym się stawał, a wówczas niepodległość Danii lada dzień runąćby mogła, i Baltyk, wedle dawnych pogróżek Karola Gustawa, stałby się «szwedzkiem jeziorem».

Brak duńskiej eskadry przewozowej zastąpiono pościąganymi naprędce kupieckimi statkami i rybackiemi większemi łodziami, na których kurfirszt wysłał na wyspę Alsen swoją piechotę. Przybicie do brzegu, pod ogniem dział szwedzkich, niezmiernie utrudnionem było dla owych statków; wszystkie jednak przeszkody wytrwałość przezwyciężyła, i chociaż z wielkiemi ofiarami, wszakże zdołała wylądować piechota.

Po niej miała iść jazda polska; lecz tu powtórzyły się dzieje przeprawy przez Koldingfiord. Czarniecki ze zwykłą swą chyżością uderzyć zamierzył na wyspę; oczekiwanie bowiem na przewozowe statki, których liczba zbyt szczupłą była, mogło cały plan unicestwić. Nie tatarską tedy sztuką, jak pod Koldyngiem, ale wedle własnego wypróbowanego nieraz na polskich rzekach, pomysłu, postanawia Czarniecki wpław przebyć cieśninę.

Kochowski podaje słowa, któremi wzywał swe hufce ten nieporównanej śmiałości wódz do czynu zuchwałej odwagi. Wyrazy te, acz prawdopodobnie z niezbyt pewnej

tradycyi zapisane, brzmieć miały w ten sposób: «Pokazawszy w ojczyźnie — zawołał Czarniecki — iż odwaga nie potrzebuje mostu do przeprawy, pokażmy teraz i tu, że mężne serce nie lęka się niebezpieczeństwa wód morskich...»

Źródła dziejowe, jak w wielu szczegółach tej duńskiej potrzeby, tak i co do rodzaju przeprawy przez cieśninę dzielącą ląd od wyspy Alsen, mocno się różnią. Prawdopodobnie owo przebycie «wpław» cieśniny morskiej u wybrzeży Alsenu, powtórzeniem tylko było sposobu przebrnięcia Koldingfiordu. Przypuszczenie to nasze nie zmniejsza zasługi wielkiego męża, bliższem tylko nam się wydaje prawdy dziejowej, o którą się przedewszystkiem starać należy. Było to w istocie przeprawienie się «wpław», ale nie konno, lecz w łodzi, trzymając konie za cugle. Pasek znać pozostawał w jednym z oddziałów w głębi lądu konsystujących, nie był tedy dokładnie świadomym rodzaju przeprawy na Alsen. Przepływał on z Czarnieckim «konno wpław» Pilicę, mniemał przeto, iż tegoż samego rodzaju przeprawa miała miejsce i na morskiej cieśninie pod Alsen. Opisuje ją nawet w sposób malowniczy. Wrażenia, jakie zachował z przeprawy przez Pilicę, przenosi nasz pamiętnikarz do Danii; każe nawet żołnierzom «pistolety zatknąć za kołnierz, a ładownicę uwiązać u szyi...» Tak się rzecz widać miała na przeprawach przez leniwie płynące polskie rzeki i to na wiosnę (pod Warką 7 kwietnia 1656 r.), nie zaś w drugiej połowie listopada, na morskich burzliwych cieśninach, kiedy już lód ścinał fale nadbrzeżne. W Danii nie potrzebowano zapewne ładownic uwiązywać u szyi, a pistoletów trzymać za kołnierzem, gdyż jechano «w łodzi», wątłej wprawdzie, kruchej, rybackiej, lecz «nie konno» ale «wpław...»

Tak twierdzi wyraźnie Kochowski[1]) i taką jest prawdo-

---

[1]) Kochowski: *Annalium Poloniae ab obitu Vladislai IV,* Climacter II, pag. 324, 325.

podobnie rzeczywista istota faktu dziejowego. Że Pasek nie był naocznym świadkiem przeprawy, najlepiej o tem świadczy jego nieświadomość, kiedy mianowicie zdobyto wyspę Alsen. Twierdzi on, że to miało miejsce w 1659 r., kiedy tymczasem dziejopis Kochowski, badający owe wypadki z całą skrzętnością kronikarza, i pamiętnikarz Łoś, naoczny świadek wyprawy, podają czas zajęcia wyspy Alsen znacznie wcześniej, bo na koniec listopada 1658 r. Najpoważniejszem z tych wszystkich świadectw, jako dokument urzędowy, usuwający wszelką wątpliwość, jest reskrypt króla duńskiego Fryderyka III [1]. Królewski reskrypt, dziękujący Czarnieckiemu, iż dał dowód prawdziwie bohaterskiej cnoty w różnych potyczkach... a «niedawno w odzyskaniu wyspy Alsen» — nosi datę 24 grudnia 1658 roku, z zamku królewskiego w Kopenhadze; Alsen zatem była zajętą przynajmniej na miesiąc przed datą reskryptu. Wobec tak poważnego świadectwa, ani na chwilę wątpić nie można, iż Pasek nie należał do tych chorągwi, które brały udział w przeprawie na Alsen. A zatem ów fakt przeprawy wpław, na łodziach, który jako obyczaj od Tatarów i Zaporożców przeszedł do polskiej chorągwi, podaje on mylnie, acz malowniczo. Powtarzamy, wsparci powagą urzędowego duńskiego dokumentu, iż Czarniecki brnął przez morskie fale nie konno, ale w łodzi. Twierdzenie nasze, wysnute z zestawienia kilku źródeł, innem jak jest być nie mogło i stawia fakt w świetle prawdy dziejowej.

Wylądowanie na Alsenie, przy tamtoczesnej artyleryi, wcale nie było łatwem. Dalekonośne działa, któremiby

---

[1]) Patrz u Rudawskiego. Jest ów reskrypt królewski również w Historyi Stefana na Czarncy Czarnieckiego, p. X. M. Krajewskiego, w dosłownym przekładzie.

obstrzeliwano wybrzeże bronione od nieprzyjaciela, znanemi nie były. Przytem Szwedzi, dobrze widać, świadomi miejsca, gdzie chcieli sprzymierzeni wylądować, ściągnęli na ów punkt wszystkie swe siły. W takich warunkach mogli sprzymierzeni stracić całą armię, zanim zdołaliby wylądować. Szybkość działania, którą współcześni podziwiali w Czarnieckim, mieniąc ją «wrodzoną mu cnotą», wszystko ocaliła. Zuchwalstwo natarcia wprawiło wroga w osłupienie, które prędko w przestrach przeszło.

Oto takimi słowy towarzysz chorągwi pancernej margrabi Myszkowskiego, naoczny świadek tej przeprawy, Łoś, opowiada jej dzieje w swym, pełnym prostoty pamiętniku... «Szwedzi — pisze on wielką mocą bronili przeprawy przez kanał, a nasi też lubo mieli armatę, szańca dla zmarzłej ziemi ukopać nie mogli; i tak wojsko nasze, którego nie było tylko cztery chorągwie kozackie [1]) to jest króla Imci pancerna, pana margrabi pancerna, pana krajczego koronnego (Wacława Leszczyńskiego) pancerna, Wołochów sto, Semenów sto, dragonów 200, wpław przy barkach puścili się przez kanał tak szeroki, że go zaledwie z dobrej fuzyjej (tak) mógł przestrzelić, w tak ciężki mróz, że konie w wodzie od zimna nie pływały, ale jako deski napłask leżąc, przeciągane były, a skoro z wody wyszły, jako w żelezie omarzały. A tak nasi, osiodływając chyżo, harcowali dla zagrzania koni, śmiele na Szwedów nacierając, których było komunika 600, a pod 3000 pieszych... [2])

Kiedy siły sprzymierzonych dobijały do brzegu, nieprzyjaciel uważał za stosowne nie stawić im w polu czoła, lecz cofnąć się do obronnych stanowisk, Sonderborg i Norborg. Ruiny ostatniego do dziś jeszcze przetrwały, jako

---

[1]) Pod wyrazem chorągwie kozackie potrzeba rozumieć to, co zawsze u nas pod tem mianem rozumiano, to jest chorągwie konne.

[2]) Patrz »Pamiętniki Łosia«, z rękopisu dochowanego w zamku podhoreckim, wydane w roku 1858, str. 35.

jedyne już świadki owej chwały polskich, pancernych rycerzy; chwały, co szeroką łuną płonęła na europejskim Zachodzie, aż ją w ćwierć stulecia później zaćmiła aureola wiedeńskiej odsieczy. Obie te potrzeby — duńska i wiedeńska — są to jednakiej natury fakta dziejowe, dwa ostatnie odblyski dawnego życia, co już dobiegało kresu swego istnienia. Czarniecki, który we wszystkiem dawał przykład swemu rycerstwu, skoro stanął na lądzie, wnet na czele przedniej straży posuwa się w głąb wyspy, ścigając ustępującego nieprzyjaciela. Szwedzi cofali się dwiema kolumnami. Pierwsza, pod wodzą Aschenberga, udawała się w kierunku Sonderborga; druga, której niejaki Knuth przewodniczył, cofała się do Norborga. Garstka z czterdziestu rycerzy złożona, otaczając wodza, co dzielił z nimi zawsze najsroższe niebezpieczeństwa, posuwa się jako przednia straż z nadzwyczajną rączością za pierwszą z uchodzących kolumn.

Doścignięty nieprzyjaciel ku wieczorowi staje ławą, odstrzeliwa się; ale wobec gwałtowności nacisku, idzie w rozsypkę, sądząc snadź, że po za tą garstką i za cieniami nocy, która następowała, znaczne stoją siły. Nikogo tam wszakże nie było, oprócz Czarnieckiego i czterdziestu polskich rycerzy. Piechota brandeburska i rakuzka, polskie chorągwie, dragoni kurfirszta pod generałem Sparrem, sam wreszcie kurfirszt, byli jeszcze u wybrzeża, gdzie sprzymierzeni wylądowywali, już bezpieczni od kul nieprzyjaciela, który pierzchnął w głąb kraju. Artylerya i bagaże dopiero nazajutrz miały zacząć przebywać morską cieśninę.

Czarniecki w tem gwałtownem starciu z dokonywającym odwrotu Aschenbergiem, złożył dowody wielkiego osobistego męstwa, uderzywszy bowiem w centrum nieprzyjacielskiej ławy, jednego ze szwedzkich kapitanów «własną dłonią obala», trzech innych żołnierzy bierze w niewolę, reszta pierzcha i nie może wśród ciemności

i w nieznanej okolicy być ściganą [1]). Czarniecki stał się panem pobojowiska... kiedy na niem stanął, aby odpocząć, i gdy rozniecono ognie czat, przybieżał doń goniec kurfirszta, mówiąc, iż jego pan mocno zafrasowany i strwożony nieobecnością polskiego generała, prosi go nie narażać się na jawne niebezpieczeństwo. Poseł odwiózł księciu odpowiedź, iż polski regimentarz już szczęśliwie starł się z wrogiem.

Nazajutrz przystąpiono do zdobywania Sonderborga. Oblężenie szło twardo: gdyż, oprócz warowni, pawężą tej twierdzy była morska cieśnina, oblewająca mury dokoła; a przytem szwedzka eskadra, wpłynąwszy do cieśniny, ostrzeliwała z dział wybrzeże i srodze raziła sprzymierzonych, oblegających mury zamkowe... «A tak — powiada Łoś, który stał pod ogniem statków nieprzyjacielskich i pocisków z zamku — z onych okrętów z dział, piechocie naszej, ani jeździe ukazać się nie dano i już przyszło było do desperacyi naszym, bo w żadnym budynku zostać się nie mogli dla kul, które wskróś przechodziły»... Chwila była krytyczna zaiste; tu już i męstwo jazdy Czarnieckiego nic pomódz nie mogło. Szwedzi pod osłoną swych dział próbowali wylądować; nasza zaś armata, jak się wyraża powołany wyżej pamiętnikarz, żadną miarą szkodzić nie mogła (owym statkom), bo zamek, «który był jakoby na kopcu, w morze się wdając, zasłaniał je»...

Kurfirszt, nie napróżno «wielkim» zwany, wedle którego modelowali się późniejsi Brandeburgowie tak w rzeczy wykrętnej polityki, jak i co do surowej karności wojskowej, okazał wiele energii w danym razie. Sam bowiem «przewiózłszy się w barce z jednym pikinierem (mówi naoczny świadek), cesarskiego generała Montekukulego zbeształ, swoim dostało się i po kapeluszach szpadą; dopieroż

---

[1]) Kochowski: Climacter II pag. 325.

odważnie poszedlszy, ludzi szwedzkich, którzy już byli na ląd wysiedli z okrętów, nazad wpędzili»...

Załoga sonderborska, widząc, że zamiary wylądowania wojsk posiłkowych spełzły na niczem, umknęła z twierdzy na statki i popłynęła do głównych sił, Kopenhagę oblegających; pozostał więc tylko Norborg, gdzie odwaga wojsk Czarnieckiego głównie się przyczyniła do wyparcia z warownego stanowiska nieprzyjaciela i opanowania tem samem całej wyspy.

Przewaga nietylko na placu boju, ale i na radach wojennych, jaką Czarniecki posiadał w gronie sprzymierzonych, sprawiła, iż przyjęto jego plan natychmiastowego oblegania Norborga. Była to forteczka na owe czasy niedostępna prawie, bo wody zewsząd ją oblewały. «Norborg wszystek był w wodzie», pisze Łoś, jakby się tłumacząc, iż go odrazu wziąć nie zdołano, i «pod nim kilka dni zabawili»... Zabawianoby się i dłużej, gdyby nie nowy sprzymierzeniec — mróz, który ściął lodem wodne tonie, zamek norborski oblewające, co ułatwiało przystęp do murów warowni.

Sprzymierzeni podzielili między siebie fortyfikacye norborskie na trzy części; każde z wojsk związkowych miało sobie wskazany pewien dział do zdobywania, czyli, jak wtedy mówiono, «kwaterę». «Po przypuszczeniu szturmu, nasi najpierwej swoją wzięli kwaterę — pisze spółczesny — a Niemców mnóstwo nawaliwszy się na lód, załamało się i wiele ich potonęło; a tak Polacy ostali się na swej kwaterze wcale, i już Szwedzi nie mogąc ich spędzić, poddali się na dyskrecyą».

Tak nam opowiada w krótkich słowach wzięcie Norborga towarzysz pancernego znaku margrabi Myszkowskiego. Lecz przyłączyły się tu i inne pobudki, przyspieszające wzięcie przez kapitulacyę Norborga, których on, jako żołnierz, może nie mógł być świadom i dlatego nie wniósł ich na kartę swych cennych notat dziejowych.

Wiemy bowiem, iż wówczas komendantem twierdzy norborskiej był oficer zbiegły niegdyś z obozu brandeburgskiego do Szwedów; otóż po zrobieniu wyłomu w murach przez Polaków, posyła doń kurfirszt żądanie natychmiastowego poddania się, pod groźbą szubienicy, czekającej go jako zbiega z szeregów. Niemiec przerażony, chcąc całą przynajmniej głowę unieść, poddaje twierdzę — i w ten sposób wyspa Alsen dostaje się sprzymierzeńcom.

Niezmordowany Czarniecki zamiast zażyć wczasu, słusznie mu należnego po ośmiodniowych krwawych zapasach, trwających wciąż od chwili wylądowania na wyspę, wziąwszy sobie do pomocy brandeburskiego generała Sparra, ściga z nim na czele dragonów i swych dzielnych «Semenów» niedobitki szwedzkie i z mnóstwem jeńców wraca do obozu. Dragonia polska, która przeważnie składała się z cudzoziemców, zapełniła swe bojowe straty owymi jeńcami z pod szwedzkich rozbitych chorągwi.

Po wzięciu Alsenu byłoby można wnet rozpocząć blokadę wyspy Fionii, wedle słów «pojmanych języków», silnie przez Szwedów osadzonej, lecz brak zupełny floty, brak — jak widzieliśmy — nawet statków przewozowych, wreszcie zaś porażka, co naszych pod Koldyngą spotkała, a tem samem wzmacnianie się nieprzyjaciela na tyłach sprzymierzeńców, wstrzymały ich dalsze posuwanie się.

Wyspa, odzyskana z rąk szwedzkich, została natychmiast oddaną władzom miejscowym duńskim, a nakazany pobór wojskowy miał wytworzyć na Alsenie nowe duńskie zaciągi dla obrony wyjarzmionych okolic.

Szwedzi, którzy w liczbie 14.000 zajmowali obronne stanowisko w Fridriksoddzie, korzystając z pobytu na Alsenie większych sił sprzymierzonych, uderzyli na Koldyngę, gdzie mała zostawała załoga, z naszych wojsk złożona, i ubiegłszy miasto i zamek, «sromotnie stamtąd naszych spędzili...» Czarnieckiego jak gromem wieść ta ogłusza; opuszcza spiesznie Alsen, pędzi dniem i nocą do Kol-

dyngi, pragnąc ją coprędzej odzyskać i pomścić zniewagę swego sztandaru. Kurfirszt dawał mu swą piechotę, która zdawała się niezbędną dla odebrania Koldyngi; ale Czarniecki, nie chcąc krwią niemiecką zmywać plam na proporcach orła białego, nie przyjmuje piechoty brandeburskiej, wymawiając się, iż z nią większy kłopot mieć będzie, niż pomoc, lecz bierze tylko cztery działa od kurfirszta, gwoli kruszenia murów, i na czele swej pancernej jazdy, otoczony wiernymi a bitnymi Semenami, leci raczej niż idzie na Koldyngę.

Do oblężonej Kopenhagi doszła tymczasem wieść radosna dla Duńczyków, iż nieprzyjaciel prawie zupełnie wyparty został ze Szlezwigu i Jutlandyi, że wyspa Alsen odzyskana i że największe w tem wszystkiem zasługi położył «generał polski« Czarniecki. Wieść ta pierwszą szczęśliwą chwilą była dla duńskiej stolicy oblężonej i dla króla duńskiego Fryderyka III, który już tracił nadzieję utrzymania się w swem królestwie, zalanem przez liczną armię Karola Gustawa. Dzień 24 grudnia, tak uroczyście zwykle obchodzony nietylko u naszych ognisk rodzinnych, ale i w Danii, dzięki owym bardziej radosnym wieściom przybyłym do Kopenhagi, mógł i w tym 1658 roku weselej upłynąć, niż się spodziewano. Po raz pierwszy od dni wielu, w onym dniu godowym zaświecił uśmiech nadziei na wybladłych licach biednych Kopenhażan. Nędza rozwielmożniła się była u nich na dobre. Nie miano nietylko chleba, ale i drzewa, ani też torfu; gdyby była nawet mąka, nie było przyczem chleba upiec. Tak nieszczęsne miasto było ścieśnione przez Szweda, iż, jak donosił rezydent polski Jan Jerzy Morsztyn z Kopenhagi, «budynki wszystkie drewniane rozebrano i prawie drożej drzewo, aniżeli chleb przedawano...»

Wobec takiej ostateczności, wiadomość o czynach bohaterskich Czarnieckiego napełniała zbiedzonych Kopenhażan otuchą, iż jak dla Sonderborga i Norborga, i dla

nich zaświta dzień wyzwolenia, przy pomocy dzielnego oręża «polskiego generała», tak bowiem nazywano za Bałtykiem naszego regimentarza. Od nędznej lepianki, której dach już rozebrano i spalono na kominie, co ogrzewał liczną zgłodniałą rodzinę miejskiego proletaryatu, do wspaniałych izb królewskiej rezydencyi Christiansborgu, gdzie Fryderyk pełen troski oddawał się eksperymentom ku wynalezieniu filozoficznego kamienia, wszystko w onym dniu uroczystym folgowało nadziei weselszego jutra. Pod wpływem onej nadziei, jako echo radosnych wieści z Alsenu, co się przedarły przez obóz oblegających do alchemicznej pracowni króla, w dniu tym uroczystym pisze Fryderyk do Czarnieckiego reskrypt dziękczynny. Dokument ów cenny, który do dni naszych przeszedł na kartach dziejów, najlepszym jest probierzem uczuć wdzięczności dla naszego kraju i wodza, które wówczas ożywiały Fryderyka III i jego naród. Pisze doń król, iż odzyskując wyspę Alsen — «osobliwie zaś w spotkaniu z nieprzyjacielem, trzy razy liczniejszym od wojska swego» — dał on «dowód prawdziwie bohaterskiej swej cnoty przez klęskę uczynioną w nieprzyjacielskiem wojsku, z niewypowiedzianem zadziwieniem wszystkich...» Kończąc ten tak pochlebny list, dodaje król Fryderyk życzenie «z serca», aby sława imienia wielkiego wodza «przez pomyślne zawsze powodzenia, nietylko znana ojczyźnie (jego), ale i krajowi (duńskiemu), codzień się bardziej szerzyła...»

Dziwnym zbiegiem wypadków, ów dzień 24 grudnia 1658 roku, kiedy najszczytniejszy spotykał tryumf Czarnieckiego, bo zamiast laurów łza wdzięczności duńskiego narodu spadała na przebiegany przezeń gościniec, był dla niego dniem troski, ciężkich trudów i przedświtem walki bardzo stanowczej.

Kiedy, spiesząc dniem i nocą z Alsenu do Koldyngi, przybył Czarniecki do naszych obozowisk na lądzie szlez-

wickim w Hardersleben — była to właśnie wigilia Bożego Narodzenia, tenże dzień 24 grudnia, gdy go uczcił swym listem dziękczynnym król duński, a naród osypał pamięć bohatera tysiącem błogosławieństw. W innych okolicznościach wódz bezwątpienia w chwili tak uroczystej nie poszedłby dalej; ale wtedy zbyt mu na sercu leżała sromota nasza koldyngska, i pragnął ją zmyć co prędzej. Przypomniano przy ogniskach obozowych gniazda rodzinne, przypomniano owe uczty bratnie, uczty miłości, przy stołach sianem usłanych, kędy wszyscy zasiedli, oprócz owych towarzyszów pancernych, rycerzy krwawego znoju i twardego obowiązku, którzy ponad dalekim Bełtem, osłonięci, miasto strzechy rodzinnej, gwiaździstymi stropy mroźnego nieba północy, oczekiwali godziny walki, co dla nich być mogła zarazem i godziną zgonu. I w tych piersiach żelazem okutych powstało pragnienie przepędzenia z braćmi owej chwili «godów». Doba jednak walk nie znała wytchnienia. Pobożne rycerstwo «pasterki» mieć nie mogło, acz dwóch kapelanów, X. Agapit Dąbrowski i X. Piekarski, wciąż było obecnych w obozie regimentarza. Czas naglił — uderzono w trąby, i w onę noc uroczystych wspomnień pociągnęło rycerstwo odbierać powtórnie Koldyngę od Szwedów.

Spieszne wyciągnięcie regimentarza w noc wigiliową z Hadersleben niepomału zdziwiło naszych rycerzy, gdyż nawet Łoś w sposób kronikarski notujący wypadki, nie zaniedbał o tem wspomnieć w następujących słowach:

...«Pan wojewoda ruski dniem i nocą bieżał do Hadersleben, a tam w wigilią Bożego Narodzenia stanąwszy, i ledwie konie popasłszy, na całą noc poszedł ku Koldyngowi...»

Czeladź obozowa i niejeden zapewne z towarzyszów pancernego znaku, wsiadając na koń w Hadersleben, aby święto «zimowych godów» w znoju i prywacyach bojo-

wych przepędzić, przypomniał i rzekł do siebie to stare nasze przysłowie: «Nie zawsze gody, bywają i głody».

Ciężkie to, zaiste, były dni dla wojsk naszego bohatera; znużeni podczas bardzo twardej zimy, jaka była z roku 1658 na 1659, kiedy Bełty nawet krą się pokryły, inne zaś mniejsze przesmyki i morskie fale u brzegów niby mur stanęły, wytrzymując nacisk dział, musieli oni długie i nużące marsze odbywać z nieodzownemi przytem prywacyami. Podczas gdy Czarniecki był na Alsenie, Opaliński posunął się aż do Aarhusu, miasteczka znacznie dalej ku północy niż Koldynga położonego, i przed przybyciem regimentarza niepokoił Szwedów, którzy Koldyngą byli owładnęli. Owe wycieczki na Szwedów przedsiębrali Polanowski i Piaseczyński z rozkazu Opalińskiego, który po odejściu Czarnieckiego dowództwo naczelne miał na lądzie. Wycieczki te kilkakrotne nie sprowadziły atoli innych rezultatów, oprócz odbicia naszych jeńców, zabranych w Koldyndze.

Przybycie Czarnieckiego zmienia postać wypadków. Zbliża się on pod Koldyngę niespodzianie; spada na nieprzygotowanych nagle, przed świtem, i szturm przypuszcza gwałtowny. System piorunujących, gwałtownych najść zawsze mu się udawał. Używa go i tym razem. Spieszona jazda, trzymając przed sobą snopy zamiast tarczy, wdziera się na wały. Szturm, po dwakroć odparty, za trzecim razem udał się wybornie, z dość małemi nawet stratami. Imiona Jana Tetwina i Jana Chryzostoma Paska, znanego pamiętnikarza, zapisały dzieje w onym dniu pamiętnym powtórnego zdobycia Koldyngi. Ich przytomność umysłu i odwaga sprawiły, że gdy inni spadali gromadnie ze ślizkich wałów, oni pierwsi wyrąbali wyłom w murze, przez który najprzód dragoni, którymi Tetwin

dowodził, wpadli, a potem «prawie wszystko wojsko i towarzystwo hurmem na wały się cisnęło, Szwedzi zaś, kiedy podołać im nie mogli, uciekać zaczęli...» Nie koniec to jednak był owego koldyngskiego dramatu. Przypadkiem rzucona iskra do prochów sprowadza straszliwy wybuch; zwycięzcy i zwyciężeni, w liczbie przynajmniej półtora tysiąca, znajdują tam śmierć pod rumowiskiem części zamku [1].

Łoś, którego świadectwo jeszcze raz umieszczamy, poczytując je za jedno z pewniejszych źródeł do owej duńskiej potrzeby — w kilku wyrazach kreśli pełen grozy obraz tej krwawej katastrofy. ....«Widziałbyś tam na murach *ex opposito* (z przeciwnej strony) będących weroniki (odciski twarzy), wybite krwią lecących od impetu prochowego; a ci których rum przywalił, ruszali owym rumem, jakoby się jaka trzęsawica albo bagnisko trzęsło, a krew z rumu sączyła się jak woda ze źródła...» [2]). Ogromne to, znać, wrażenie sprawiło na obecnem tam naszem rycerstwie, kiedy zwykle bardzo lakoniczny Łoś pofolgował swej chęci szerszego wypowiedzenia się i popuścił nieco wodze wyobraźni.

Ostatnie były to już w onym 1658 roku zapasy naszego rycerstwa w Danii. Niewiele dni, co jeszcze oddzielały ich od roku 1659, spędzili oni, używając zasłużonego wczasu. Zima zawiesiła na czas jakiś dalsze prace bojowe. Koldyngi wzięcie zamknęło pierwszą dobę duńskiej potrzeby. Kończąc swe opowiadanie o tym szturmie pomyślnym, naoczny świadek tak swą naracyą zamyka: «Tak tam nasi zakończyli rok z żywotem; a my, których Pan Bóg uchował tej plagi, w polu przy ścianie murowanego kościoła pustego mszy świętej słuchali i Panu Bogu tak

---

1) Kochowski: Climacter II, pag. 332 — Pasek, str. 20. — Łoś, str. 39.

2) Pamiętnik Łosia, str. 39.

za wiktoryą, jako za żywot dziękowali...» Inny świadek naoczny, jeden z tryumfatorów dnia, a do mszy służący przy onem nabożeństwie, powszechnie znany Pasek, dorzuca do obrazu chwili po zwycięstwie te jeszcze szczegóły: ....«Nagotowano do mszy na pniaku ściętego dębu, i tam odprawiło się nabożeństwo, napaliwszy ogień do rozgrzewania kielicha, bo mróz był tęgi. *Te Deum laudamus* śpiewano, aż się po lesie rozlegało...»

Od owej chwili zdobycia Koldyngi zaczynają się dni wczasu dla naszego rycerstwa, które wszakże długimi nie były i być nie mogły. Nieprzyjaciel wciąż stał w obronnem stanowisku we Frideriksodde, dzisiejszej Fryderic yi, u Bełtu, i przeszkadzał wyprawie na wyspę Fionią, przez którą jedynie można było przerzucić dłoń pomocy oblężonej Kopenhadze. Brak floty coraz dotkliwiej uczuć się dawał. Rzeczpospolita, niegdyś dorywczo troszcząca się o nią, a raz ostatni, niezbyt jeszcze dawno za dni Władysławowych — teraz nie posiadała ani jednej zbrojnej nawy. Czekano na eskadrę holenderską, na duńskie statki wojenne, a tymczasem wojska sprzymierzone rozstawiono na zimowe leże. Szeroko ku północy, poza Aarhus, zajęły stanowiska znaki naszych towarzyszy pancernych; brandeburskie chorągwie miały swe leże na południu Koldyngi, a dalej jeszcze, w kierunku Holsztynu, więc bardziej na południe, legły wojska rakuzkie z generałem Montekukulim. Rozstawienie sił sprzymierzonych oddzielne było koniecznem z powodu rywalizacyi i swarów, co często między polskim żołnierzem a sprzymierzonemi wojskami i dowódzcami wynikały. Teraz sprzymierzeńcy — przed niewielu miesięcy byli jeszcze wrogami. Na brandeburskich mieczach nie oschła jeszcze krew polska, którą kurfirszt przelewał, będąc ze Szwedem w sojuszu, nietylko na polu walki, ale wśród spokojnych miasteczek i wiosek; jeszcze na równinach wielkopolskich nie opadł dym z popalonych przezeń wiosek, miast i świątyń; rumowiska czternastu

kościołów, w samym Poznaniu przez brandeburską gawiedź wojskową spalonych, zalegały ulice miasta zrabowanego przez posiłkujących Rakuszan. Krzywdy doznane od niedawnych wrogów zbyt głęboko naród odczuwał, aby patrzano obojętnie na kurfirszta i jego szeregi. Również do brandeburskich, jak do rakuzkich wojsk wyniesiono z kraju głęboką nienawiść. Posiłki rakuzkie łupiły Polskę, również jak Szwedzi.

«Wprowadziłeś do nas cesarskich, pod pozorem posiłków, żeby nas gorzej od Szwedów wyniszczali — wołała raz w Poznaniu, tłumnie zastępując drogę Janowi Kazimierzowi, rozżalona szlachta wielkopolska. — Jeżeli, królu, nie masz litości nad utrapieniem naszem, i gdy nas w oczach twoich bardziej niż Żydów odzierają, to odjedź tylko, a my ich tak jak Szwedów wtedy z naszej ziemi wypłoszymy....» [1]. Polskie chorągwie nie były najemnym żołdakiem, niewolnikiem, który nie wie po co i kto go prowadzi pod paszcze dział. Byli to obywatele kraju, rozumiejący stosunki Rzeczypospolitej i sprawujący w niej rządy. Przymusowe tedy braterstwo z Niemcem nie szło im w smak; chociaż, jak wspominaliśmy wyżej, kurfirszt «akomodował się im we wszystkich okazyach, częstował, po polsku chadzał...» Podczas marszu do Danii i pierwszej doby walk, która się skończyła zdobyciem przez Polaków Koldyngi, stosunki polskiego rycerstwa ze sprzymierzonymi, acz niekiedy szwankowały — uskarżano się bowiem, że «Niemcy na pierwszy ogień, na podjazdy ich wysyłają, a co lepsze kwatery sobie biorą i kraj sami rabują, jak komisarze duńscy świadczyć mogą, a na Polaków to spędzają; nawet polskie wozy łupią» [2]) — nie rozogniały się do ostatecznej niechęci i zerwania. Dopiero

---

[1]) Moraczewski: Dzieje Rzeczypospolitej polskiej, ks. XXVII, str. 316.

[2]) Tamże, str. 334 i 335.

dni wczasu na leżach zimowych, skłóciły ostatecznie polskie chorągwie z niemieckiemi. Wynikły zajścia, do których najniepotrzebniej kapelani obozowi dorzucali żar niechęci religijnej. Wśród jeńców zabieranych u Szwedów, spotykano często Polaków, bądź wziętych gwałtem w Polsce przez Karola Gustawa, bądź tych, co doń przeszli z kwarcianymi, czy też dobrowolnie, gdy go okrzykiwano «protektorem». Teraz ci zbłąkani i zabrani wracali do obozu polskiego, kiedy się okazya zdarzyła; ciężko im znać u obcych było; inny obyczaj, karność im nieznana, tęsknica do swoich gromadnie ich zapędzały z pod szwedzkich sztandarów pod skrzydła naszych pancernych rycerzy, na których widok, na obcej ziemi, serca im drżały i dusze się radowały. Kurfirszt, który był naczelnym wodzem całej wyprawy i «reprezentował króla polskiego», a przeto miał głos stanowczy, rozkazał wszystkich tych polskich brańców i zbiegów «uważać jako jeńców», nie pytając co zacz są i po co przychodzą. Polacy, przeciwnie, mienili ich braćmi; kurfirszta nie słuchali; z otwartemi rękoma ich przyjmowali i do swych szeregów wcielali. Kurfirszt mocno się obruszał, iż jego ordynansu nie wykonywano, i zresztą zrozumieć nie mógł, dlaczegò Polacy o tych ziomków nieznanych, z rozmaitych Rzeczypospolitej węgłów pochodzących i po części z krajem skłóconych, tak mocno się ubiegają. Wypływały te wręcz przeciwne poglądy z różnicy charakterów narodowych. Rysy swojskie, dźwięk mowy rodzinnej, spotkanie na obcej ziemi, radością wstrząsały serca naszych. Niemiec tego zrozumieć zdolnym nie był — i nic w tem dziwnego.

Zajścia stąd wynikłe wywołały niechęć ku kurfirsztowi, a raczej wzmogły dotychczasową. Przed Czarnieckim i Opalińskim stawały kilkakroć delegacye wojskowe, domagające się, żeby wojowano dalej w Danii na własną rękę, a ze sprzymierzeńcami rozłączono się. Kurfirszt, który dla własnych widoków nietylko że nie dotknął nigdy

polskich rycerzy słowem zniewagi, (acz miał to we zwyczaju i z pospolitą Niemcom gburowatością, lubo w Lejdzie się kształcił, «beształ» generała cesarskiego Montekukulego, a swoich bił szpadą po kapeluszach), lecz nawet Polakom czapkował, nie mógł atoli się wstrzymać, aby nie rzec, iż «opisze ich przed królem Janem Kazimierzem jako ludzi zuchwałych i swawolnych....» «U nas król nie absolut, narzucać nam niewoli nie może.... — rzekli mu na odpowiedź polscy pancernicy. — Nie przysięga się u nas do śmierci, ale tylko od wyprawy do wyprawy. Dosyć naszego poświęcenia dla ojczyzny, że bez zapłaty nieśliśmy pomoc królowi duńskiemu. Będziemy go nawet ratowali i na raz drugi, ale nie w waszej komendzie i nie z wami w gromadzie...» [1]). Odpowiedź była zuchwałą; kurfirszt atoli, biegły polityk, gniew hamował. Wdanie się czynne Czarnieckiego, który w wielkim u sprzymierzonych był szacunku, a nawet pewien wpływ na kurfirszta wywierał, zażegnało burzę na drodze pojednawczej. Marzenie kurfirsztowe o polskiej koronie przyczyniało się wielce do hamowania jego gniewu i dawania ucha pokojowym przedstawieniom polskiego wodza.

W one czasy nadbiegły kresy z Rzeczypospolitej, przynoszące wieści dobre z kraju, co stało się również nader skutecznym balsamem, kojącym wewnętrzne swary w obozie. Znany wielu uczestniczącym w duńskiej potrzebie pułkownik Paweł Cellari, który odbywał pod Czarnieckim wojnę w ziemiach ukrainnych, wszedł był 30 grudnia 1658 roku, na czele 900 zbrojnych do Torunia, gdzie Szwedzi kapitulowali. W dniu zaś nowego 1659 roku król zajął miasto, będące przeszło dwa lata w ręku Karola Gustawa; a włóczące się po okolicy resztki szwedzkich chorągwi wciąż rozpraszał pełen odwagi partyzant, wieśniak Michałko, młynarz z Tucholi, którego rycerskim

---

[1]) Tamże, str. 331.

czynom w znacznej części zawdzięczano zdobycie Torunia przez kapitulacyę. Odpoczynek na wygodnych leżach i dość pomyślny obrót rzeczy i spraw wszelkich publicznych uspokoiły umysły. Czarniecki przytem gnuśnieć nie pozwalał. Z Frideriksoddu czynione przez Szwedów wycieczki nie pozwalały na długie wczasy. Zresztą niektóre chorągwie załogą stały w zajętych przez naszych miejscowościach obronnych. Potrzeba więc było pilne mieć oko na powierzone sobie stanowiska, by ich nie stracić, zwłaszcza iż Szwedzi i wśród owej ciężkiej zimy wcale nie próżnowali, a ścięte mrozem liczne wody w tym kraju nizin dawały im więcej pola do czynienia skutecznych napadów. Najważniejszą taką obronną miejscowością, powierzoną pieczy pancernych zastępów, była Koldynga, która zaraz po zajęciu została osadzoną przez Czarnieckiego polską załogą, a jej komendantem mianował regimentarz Wąsowicza.

Przerwy we wczasach zimowych, spowodowane wycieczkami Szwedów z Frideriksoddu, którzy, wedle słów Paska, «często wychodzili i dawali pole przy fortecy, a potem do okopów wracali, kiedy im było ciężko» — niezbyt znać znużyły rycerstwo Czarnieckiego. Bo oto co inny uczestnik tej potrzeby powiada: «Niceśmy przez całą tę zimę nie robili, tylko tak we dnie i w nocy podjazdami owych Szwedów w Frideriksoddzie infestowali, częścią pikietami, częścią, gdy tego była potrzeba, i całem wojskiem, któremu, począwszy od Bożego narodzenia aż do Wielkiej nocy, ani dla paszy, ani dla drew wychylić się nie dano...» Tak widać zaprawni byli do boju owi «Czarnieczczycy» — pod tem mianem słynęły chorągwie wojewody ruskiego — iż te «ciągłe infestowania» uważali za nic nierobienie. A przecież wszystkie owe szwedzkie wycieczki krwią okupywano. Każdy dzień krwawą pamięcią zapisywał się w umysłach uczestników duńskiej potrzeby.

Dla nich atoli, ludzi żelaznego hartu i niewyczerpa-

nych sił, było to igraszką. «Z wielkich tylko kartanów okrutnie nam dokuczali» — uskarża się pamiętnikarz współczesny, lecz mówi o tem ze zwykłym spokojem. «Na każdy dzień koniom i ludziom dostawało się, bo w tamtem miejscu przenosi kula z długiego działa prawie wszędzie...» [1]) Powyższe słowa wyraźnie wskazują, że to zimowe bezrobocie (wedle Łosia) było krwawem żniwem raczej niż odpoczynkiem. Inaczej też być nie mogło. Okopawszy się mocno we Friederiksoddzie (Frideryсyi) jeszcze w jesieni, nieprzyjaciel zniewolony był czynić wycieczki, jeśli nie chciał być w ciągu zimy zupełnie osaczonym i stać się jeńcem polskiego wojska, które w półkole otaczało to najmocniejsze ze szwedzkich stanowisk, uznawane za niezdobyte. Od lądu bowiem broniły go mocne szańce, a z jednej strony morze było warownią.

Trzy miesiące upłynęło na tych dorywczych walkach, podczas których i straty nieraz były obfite, i dużo prawdziwie bohaterskich czynów stało się udziałem polskich hufców. W jednej z takich potyczek ranny był młodziutki Stefan Czarniecki, starosta kaniowski, synowiec, a zarazem ulubieniec regimentarza, który nie miał synów i całą miłość swą skupił na owym młodzianie, posiadającym już doświadczenie w bojach nad lata, bo w czternastym roku życia odbywać zaczął wyprawy. Regimentarz ze smutkiem otrzymał wiadomość o ranie synowca, gdyż całe życie walk nieustannych nie wyziębiło w sercu bohatera uczuć tkliwych. Kiedy raz bowiem, podczas innej potrzeby, przyniesiono listę w walce poległych, boleść nie pozwoliła mu długo ani słowa powiedzieć. Po długiej dopiero przerwie

[1]) Nazywano u nas w XVI i XVII wieku kartanem, a niekiedy kartaną, dzieła mniejsze oblężnicze, do których używano kul ważących po ćwierć (quarta) centnara. Były jeszcze przytem dupelkartany, to jest 48-funtowe działa do rozbijania murów.

rzekł jakby do siebie: «Tak to bywa, na wojnie ludzie się nie rodzą... [1])

Podczas innego z tych zimowych epizodów walk, Samuel Kobylecki, z Semenami, którymi dowodził, wpadł był na nieprzyjacielską redutę, gdzie — dodaje kronikarz tamtoczesny — «i osiedziałby się był, by mogli byli tak prędko posiłkować go armatą, odstrzeliwając; ale dość i tak męstwa i odwagi okazał tam z taką małą liczbą ludzi lekkich..» [2])

Ku wiośnie (1659) losy Frideriksoddu pogorszać się zaczęły. Głód, choroby, dezercya więcej niż dziesiątkowały szeregi. Zapasy wyczerpywały się; żyto surowe funtami dawano żołnierzom. a i tego było bardzo mało, według świadectw dziejowych. Mnogość przytem trupów i koni zabitych podczas zimowych potyczek, leżała niepogrzebana i szerzyła zarazę. Żołnierz, wycieńczony głodem i chorobą, pozbawiony wszystkich koni, co padły dla braku karmu, nie był w stanie dłużej bronić całej przestrzeni wałów. Z czternastu tysięcy przed siedmiu miesiącami zawartych w Frideriksoddzie, zaledwie pozostało 600, jak donosiły o tem do naszego obozu «liczne języki na jedno zgadzające się». Wytrwałe osaczenie widocznie cięższą klęskę zadało Szwedom, zamkniętym w warownych okopach, niż niepokojenie ich podczas zimy u wałów, lub odpieranie ich wycieczek.

Spędziwszy zimę ponad wodami Wielkiego i Małego Bełtu, na ciągłych utarczkach z załogą Frideriksoddu, spodziewano się w obozie Czarnieckiego, że wiosna przyniesie możność dostania się na Fionią. Statków jednak nie było.

[1]) Kochowski: Climacter III. pag. 145.
[2]) Pamiętniki Łosia, str. 46.

Ściągnięto wprawdzie parę naw duńskich, zebrano kilkaset barek, lecz wszystko to niczem było wobec potrzeby chwili. Potrzebą zaś naglącą bardzo była flota wojenna, której Dania dać nie mogła. Oczekiwanie próżnem się stawało. Szwed tymczasem, acz wszędzie porażony na lądzie, na morzu rozwijał duże siły. Admirał Karola Gustawa, Wrangel, z siedmnastu zbrojnemi nawy wpłynął na Bełty, skoro kra ustąpiła i żegluga możliwą się stała, niosąc pomoc wojskom, co się okopały w Frideriksoddzie, i broniąc też zarazem wstępu na Fionią. Pomoc jednak dla warownego szwedzkiego obozu okazała się spóźnioną. Zbyt przetrzebioną była załoga, nietyle orężem, co chorobami i głodem, aby mogła jeszcze stawić poważniejszy opór. Dłużej pozostawać w Frideriksoddzie mienić się mogło skazaniem siebie na zupełne wytępienie, już nie od oręża, lecz od chorób, które szerzyły się w powietrzu zakażonem wielką ilością ciał niepogrzebanych. Ziemia oddawna krwią tam była przesiąkła, bo 20.000 liczono strat obustronnych już wówczas, kiedy jeszcze twierdzę tę «brał Szwed królowi duńskiemu... jako sami duńscy komisarze o tem powiadali», nie mówiąc o poległych w zimie z roku 1658 na 1659. Na tak olbrzymich zgliszczach ciał ludzkich jeszcze jedną stanowczą bitwę miał stoczyć Czarniecki. Skoro się dowiedział, iż Wrangel, przybywszy do wybrzeży, wylądowywa z posiłki, ściągnął więc coprędzej swe chorągwie szeroko na leżach stojące po całej północnej Jutlandyi, gotując się do stanowczej rozprawy, i zatoczył obóz pod miastem Ripen, blisko Frideriksoddu. «Przy rozkazach do ruszenia wydanych taka była ordynacya — czytamy w dyaryuszu owoczesnym — aby wszystkie pułki jednego dnia stanęły w obozie, co też tak się stało ze zbudowaniem wojsk cudzoziemskich...» Piękne to świadectwo dla obozu naszego regimentarza, dowodzące wymownie, iż gdy żołnierz Rzeczypospolitej był płatny i dobrze żywiony, wódz miał zapewnioną karność zupełną, która jest pod-

stawą organizacyi wojskowej. Lecz w Rzeczypospolitej już o tem zapomniano. Wojsko niepłatne wiązało się w konfederacyę i przez usta Stefana Janiny Biedzińskiego w te słowa, pełne prawdy, do króla Jana Kazimierza przemawiało: «Należałoby się ulitować nad wojskiem, a zarazem nad biednym kmiotkiem, któremu wojsko zniewolone być ciężarem. Niech tylko król płaci, to będzie mógł karność utrzymać, nieposłusznych rozstrzelać i z pewnością dostateczną siłę na nieprzyjaciela wywieść» [1]).

Kiedy w Rzeczypospolitej takie rozprzężenie było w szeregach, gdzie «nietylko żołnierze się popsowali, z drapiestwa ubogich żyć się nauczyli, ale hultajstwa i próżnujących i desperatów do nich się przymieszało»; [2]) i już tak było oddawna, boć są to na pół wieku przedtem wyrzeczone słowa — tymczasem w dalekiej Jutlandyi rzeczy się działy inaczej. Żołnierz polski dobrze żywiony, dobrze przez Duńczyków płatny, okazywał się karnym ze «zbudowaniem» cudzoziemców: bo na «ordynans» wodza wojsko nasze «w jednym dniu, jako z rękawa, wysypało się; cesarskie zaś półtorej niedzieli się ściągało...» Oprócz sprzymierzonych, co «o milę» od Czarnieckiego obozem stanęli, przybyły pod Ripen nowe zaciągi duńskie, które z rozkazu swego króla do naszego regimentarza ściągały się i od niego «brały ordynansy» [3]).

Dowodząc sprzymierzonemi siłami polskiemi i duńskiemi, wspierany przez posiłkujących Brandeburczyków i cesarskich, Czarniecki rozpoczął obleganie formalne Frideriksoddu. Pościągane z różnych miejscowości działa duńskie, wraz z działami brandeburskiemi i rakuzkiemi, z kartanami murów Koldyngi, kędy wciąż Wąsowicz dowodził,

---

[1]) Moraczewski: Dzieje Rzeczypospolitej polskiej, ks. XXVII, str. 353.

[2]) Skarga: Wzywanie do pokuty obywatelów korony polskiej, wyd. K. Turowskiego, str. 132.

[3]) J. Chryz. Pasek, str. 39.

dały olbrzymią, jak na owe czasy, artylerye z 300 dział, jeżeli w ich liczbie nie pomylił się towarzysz pancernego znaku margrabi Myszkowskiego, na którego twierdzeniu tym razem opieramy się. Zaczęło tedy nasze rycerstwo robić przekopy, sypać szańce i bić z dział do Friderikssoddu, co szło naszym dość składnie, bo mieliśmy sporo biegłych «w sztuce puszkarskiej». Podpadając, strzelając, niepokojąc i wywabiając z wałów nieprzyjaciela, nasi coraz bliżej posuwali się pod twierdzę; aż wreszcie — mówi Pasek — »wzięli się do podszańcowania i usypali nocą szańczyki tak blizko, że i z muszkietu, nietylko z dział, doniosło...» Roboty oblężnicze wojsk regimentarza szły pomyślnie, gdy w jedną noc majową, Szwedzi czyniąc od strony lądu rzekomą obronę, a maskując tem jedynie własny odwrót, wsiedli na statki przygotowane przez admirała Wrangla i odpłynęli do Fionii.

Niespodziany odwrót Szwedów w dniu Wniebowstąpienia Pańskiego 1659 r., oddał w moc naszego regimentarza twierdzę, uważaną za niezdobytą. Zdradliwy Szwed przygotował w niej miny, których wybuch, acz nazajutrz nastąpił, był dla nas nieszkodliwy: bo, świadom wybornie wszystkich forteli wojennych, Czarniecki zabronił «pod gardłem» wchodzenia do fortecy.

We trzy dni później z obozu regimentarza, w tryumfie wprowadzono załogę duńską, którą nasz wódz uroczyście instalował w zajętej przez siebie twierdzy. Szczęście tak wytrwale towarzyszące polskim hufcom, wzbudzało zawiść w niemieckim obozie; nie był od niej wolny i generał Montekukuli, i sam nawet kurfirszt, chociaż ten ostatni, domniemany pretendent do polskiej korony, zawiść swą zawsze umiał i starał się ukryć, wiedząc o wielkiem zachowaniu, jakie posiadał w Rzeczypospolitej wódz tych walecznych szeregów. Po wzniesieniu polskiego sztandaru, obok chorągwi duńskich, na wałach Frideriksoddu, «kurfirszt winszował wojewodzie tej szczęśliwości — mówi

naoczny świadek — ale jawną mu znać była z oczów zazdrość Niemców, że Pan Bóg Polakom sławną fortecę oddał».

Na niewiele przed wzięciem Frideriksoddu, przybyły na wody duńskie floty wielkich morskich potencyj, Holandyi i Anglii, w celu pośredniczenia w mających się zawiązać pokojowych układach między Szwecyą i Danią.

Wszystkie usiłowania wzięcia Kopenhagi okazały się dla Szwedów płonnemi. Duńczycy z bezprzykładnym heroizmem przetrwali liczne prywacye i klęski oblężenia swej stolicy; odparłszy zaś wreszcie (19 lutego 1659) generalny szturm szwedzkiego króla, znaglili go, w pierwszych dniach marca 1659 r., do cofnięcia się z pod wałów Kopenhagi. Postradanie Frideriksoddu było dla Karola Gustawa ciosem stanowczym; rozkazał on wprawdzie bronić Fionii, lecz w istocie rzeczy pragnął pokoju za jakąbądź cenę. Nadzieje na Zachód i Wschód europejski stanowczo go zawiodły. Obiecywano mu przyjazne pośrednictwo, nic nad to. Straty w ludziach były ogromne.

Z owych szeregów, co słyszały z ust Karola Gustawa w nocy z 19 na 20 lutego te pamiętne słowa: «Po wzięciu Kopenhagi świata panami będziecie...» pozostały tylko resztki znużonych żołdaków. W Polsce szły rzeczy nielepiej dla Szweda. — Toruń odemknął swe bramy Janowi Kazimierzowi; Grudziądz został również przez hetmana polnego Lubomirskiego odebrany; Malborg oblegano; na Żuławach wielkiego ducha, acz małej postawy, Michałko z Tucholi upędzał się za szwedzkimi rajtarami i dławił ich srodze; w Kurlandyi i na żmudzkiem pograniczu Samuel Komorowski z regularnymi litewskimi regimenty, a słynny Walenty, ślepym przezwany, ze zbieraną drużyną, z wielorakiem szczęściem, lecz uparcie, ze wszystkich kątów Szwedów wymiatali «czyniąc im wstręt i zawadę» — jak się o owej dobie w kilkadziesiąt lat później,

Hylsen wyraża [1]. Aureola bojowej sławy Karola Gustawa wszędzie, a szczególniej nad duńskiemi wodami, bladła i wkrótce wraz z jego życiem zniknąć miała.

Niepowodzenia szwedzkie nie zdołały uśpić czujności naszego regimentarza. Wyjarzmiwszy Alsen i całą Jutlandyę, układał on plany zajęcia Fionii. W całej tej duńskiej potrzebie wszystko spoczywało na Czarnieckim i jego chorągwiach. Kurfirszt trzymał się zdala od pola walk, w głębi Jutlandyi; oprócz na Alsenie, gdzie «bił szpadą po kapeluszach» swych dowódców i żołnierzy, pędząc ich do boju, nigdzie nie narażał on swego cennego żywota. Generał Montekukuli jeszcze mniej sprawił. Przed upadkiem Frideriksoddu był on wysłany ze znaczną siłą na kilku holenderskich statkach dla zmierzenia się z admirałem Wranglem na morzu, i sforsowania, jeśli można, przeprawy do Fionii; lecz nic tam nie zdziałał; był lekko ranny i wrócił z porażką. Mówiono, iż Montekukuli jest poetą, człowiekiem światłym, biegłym w teoryi sztuki wojskowej, przytem zaś nader wymownym [2]. Brakło mu jednak ponoć cnoty bojowej, a «wymowa bez cnoty, z łyków forboty» — mówi przez usta Reja z Nagłowic prastare przysłowie [3]. Ambicya tego Niemca przewyższyła ambicyę księcia brandeburskiego i górowała nad jego wysokiem ukształceniem. Wcale on się nie «akomodował;» owszem z zawiścią na Czarnieckiego pątrzył, i gdy do laurów polskiego wodza przybyło jeszcze tak wielkie poważanie króla duńskiego, iż złożył hetmanienie nad swymi pułkami w ręce naszego regimentarza, wówczas dumny Niemiec, nie mogąc nad sobą dłużej panować, wielkim gniewem wybuchnął; zaj-

---

[1]) Patrz Inflanty etc. przez J. A. Hylsena. Wyd. 1750 r. str. 358.

[2]) Rajmund Montecuculi (Montekukuli) Włoch pisał Uwagi dla wojskowości; wyszły one w r. 1704, wydane przez Huyssena, który naszego Długosza wydawał. Są i późniejsze wydania tych studyów i pamiętników ciekawych.

[3]) Forboty — koronki, tak je w XVI wieku u nas mieniono.

ście tak się nawet rozogniło, że Czarniecki wyzwał go na rękę; lecz wdanie się kurfirszta burzę tę zażegnało [1]).

Od wiosny aż do końca lata, w drugim roku tej duńskiej potrzeby, czyniono usiłowania sforsowania przeprawy do Fionii. I tu Czarniecki występuje na główną widownię działań. Bo podczas kiedy kurfirszt zdala od wybrzeży pędzi z małżonką, układającą rymy, ciche dni żywota, zajęty bardziej dyplomacyą, środkami łacniejszego ujarzmienia królewieckich Niemców i mazurskiego w Prusiech pojeziorza; kiedy Montekukuli pisze pod mglistem niebem Danii sonety, zabaczając w swem orężnem rzemiośle: na barki Czarnieckiego spada praca przeprawy na Fionią, strzeżoną — niedość na lądzie, ale i na Bełtach — przez szwedzkie wojska i floty. Wynikiem tych usiłowań były wielekrotne wycieczki na morskie zwiady mężnych Semenów i dragonii regimentarza. «Osobliwie Semenowie cudownych rzeczy dokazywali» — pisze Pasek, dodając, że ci ludzie byli tak dobrani, niby bracia rodzeni. Szlachcic z Rawskiego, z głębi Korony, Pasek, nie zdaje sobie sprawy, kto są ci Semeni, tylekroć przez tamtoczesne świadectwa dziejowe wspominani, i dlaczego oni tylko, mała z 300 ludzi złożona garstka, sami jedni tylko pośród szeregów regimentarza zdolni są do morskich wycieczek. Są to dzieci ziem ukrainnych, dzieci Niżu, co chadzali na ujścia Dnieprowe, docierali na małych łodziach do wybrzeży w rękach niewiernych będących, i dlatego z falą morską i walką na kruchych nawach oswojeni byli. Pomoc ich w okolicznościach, w jakich się znalazł Czarniecki, nieocenioną mienić się mogła. Rozporządzał on dwoma tylko dużymi statkami duńskimi, na których niedość iż morskie większe zwiady sprawiano, ale na nich sprowadzano z Gdańska polską pszenicę do ogłodzonej przez Szweda Kopenhagi. Otóż oba te statki szwedzka

---

[1]) Pamiętnik Paska, str. 39.

flota wraz z okrętową załogą podejściem uprowadziła. — Klęska była straszną i niepowetowaną — nie miano dużych naw do ścigania szwedzkich żeglarzy. Wówczas Semenowie, nieustraszeni w boju synowie Ukrainy, obeznani z morskiemi falami, «nazbierawszy co mogli barek», wezwali «ochotników» z dragonii wojewody ruskiego, z towarzystwa, jakoteż i czeladzi, i w pogoń na morze pójść się odważyli; wieść bowiem krążyła, że Szwedzi z zabranymi okrętami są o dwie mile na jakiejś wysepce, gdzie w żywność prowidują się.

Przedsięwzięcie było niebezpiecznem nawet dla Duńczyków, dla których łódź jest kolebką, lecz nie dla dzieci Niżu, co sami, lub ich ojcowie, docierali w wątłej czajce do bram Trebizondy. Żaden też z duńskich żeglarzy im nie towarzyszył; sami sobie na obcych wodach radzili, a radzili skutecznie: wytwarzała się przeto nad Bełtem niespodzianie, samorzutnie niestety chwilowo — wyłącznie polska flotylla. Czego nie umiano dokonać w domu — acz było potrzeba — dokonywano na obczyźnie, pod naciskiem nieubłaganej konieczności. Późniejsze dzieje wielekroć toż samo stwierdziły, iż zdala od gniazd własnych, pod naciskiem losu, bądź obcej dłoni, byliśmy zdolni do prac i czynów przerastających zwykłą miarę.

«Dziwowali się wielce Duńczykowie odwadze Polaków — pisze przy tej okoliczności naoczny świadek — dziwowali się odwadze, na którą się sami zdobyć nietylko nie chcieli, ale nam to srodze odradzali, przekładając jawne niebezpieczeństwo w tak małych statkach puszczać się tak daleko na wodę....» Bez względu jednak na złowróżbne przepowiednie duńskich żeglarzy, wyprawa się powiodła polskim ochotnikom. Okręty odebrano, i Bóg tak poszczęścił pogody» — dodaje współczesny — «że je do swoich wybrzeży pomyślnie przyprowadzono» [1]).

---

[1]) Pamiętniki Łosia, str. 45, 46.

W innej znów morskiej potrzebie, kiedy sam Czarniecki wsiadł na okręt, żeby się rozejrzeć osobiście po wybrzeżach Fionii, Semenowie obecni na pokładzie i nieco «towarzystwa», złożyli również dowody swej odwagi na morskiej toni: bo niespodziewanie spotkawszy część szwedzkiej floty, zamiast pierzchnąć, lub poddać się losowi, stawili jej zuchwałe czoło. Mężne stawienie się, przytomność umysłu wodza, którego nigdy zimna krew nie opuszczała, a był przytem szybki w pomysłach, tudzież w wykonywaniu, i męstwo załogi okrętowej, złożonej z polskich ochotników i Semenów, wybawiły go z niebezpieczeństwa [1]).

Dzieje nie mówią, czy patrząc na to zuchwałe stawienie się naszych niżowych korsarzy — jakimi byli Semeni - przyszła Czarnieckiemu myśl, iż Rzeczpospolita popełniła czyn samobójczy, zamykając dla tych duchów burzliwych wolną drogę do morza. Gdyby nie owo polityczne krótkowidztwo statystów XVII wieku, nie topionoby we własnej krwi domowych swarów i zawiści; nie potrzebowałby wielki skądinąd Czarniecki pisać tych słów, które czytamy w jednym z jego listów, iż «Dniepr tak pełen zdrady i złości, jako i wody» [2]).

«Owa złość i zdrada», owa krew burzliwa, szukająca pola działalności, znalazłyby ujście wraz z dnieprową falą do morza; do dziedzin poganina, gdzie mogłyby przynieść dużo pożytku dla pomyślności Rzeczypospolitej, dla dobra Słowian, którzy za onem morzem dźwigali ciężkie brzemię podboju. Lecz wiek XVII nie wydawał już w Rzeczypospolitej statystów dorastających do potrzeb chwili — i ruiny zaległy przestworza Jagiellońskiej dziedziny... Mocowanie się ze Szwedem miało się w Polsce ku końcowi;

---

[1]) Kochowski: Climacter II, pag. 369.

[2]) Patrz list Stefana Czarnieckiego, pisany w r. 1655, z ziem ukrainnych, umieszczony w Księdze pam. Mich., str. 746.

gorzały jednak jeszcze wschodnie węgły Rzeczypospolitej, grożąc nieuchronnem zniszczeniem całej wspaniałej ongi budowy. Dłoń Czarnieckiego mogła jedynie podołać cięż·kiemu zadaniu zaradzenia wojnie, która płomieniem coraz szerszym rozlewała się na wschodnich skraiskach Polski. Jan Kazimierz postanowił przeto odwołać Czarnieckiego z Danii.

W chwili morskich wycieczek i ucierań się na wodach Bełtu ze szwedzkiemi morskiemi siły, w chwili przygotowań do wylądowania na wybrzeżach Fionii, do czego przyjść miało pod jesień, w sierpniu już 1659 roku, otrzymał nasz regimentarz rozkazy z kraju, polecające mu być w pogotowiu do powrotu wraz z większością swych sił. Mała garstka Polaków, hetmaniona przez kogoś postawionego z ramienia regimentarza, miała pozostać w Jutlandyi do czasu zawarcia pokoju między Szwecyą i Danią. Doba pokoju była blizką tak dla Danii, jak i dla Polski, niosąc tej ostatniej wraz z pokojem zapowiedź rychłego rozpadnięcia się. Jan Kazimierz znać wybornie czytał w księdze przeznaczeń, kiedy 3 maja 1660 roku, ujmując pióro dla podpisania w oliwskim klasztorze traktatu z kurfirsztem i Szwecyą, łzami się zalał [1]). «Kresy« z Polski przybyłe wzywały Czarnieckiego do powrotu. Zostawiwszy więc pułkownika [2]) Kazimierza Piaseczyńskiego starostę ostrołęckiego i mławskiego, męża «w rycerskiem rzemiośle prawie sobie równego», dowódzcą półtora tysiąca rycerstwa, które miało dalej walczyć w Danii ze Szwedem, z resztą zaś swych sił wyciąga Czarniecki do Polski z powrotem, w końcu września 1659 roku.

Kazimierz Piaseczyński chlubnie się wywiązał z za-

---

[1]) Oliwa: Opactwo niegdyś cysterskie, w byłem województwie pomorskiem, o milę od Gdańska.

[2]) W ówczesnych polskich wojskach najwyższym był stopień pułkownika.

dania, gdyż przy pomocy floty holenderskiej, która wreszcie przystąpiła do kroków jawnie nieprzyjacielskich przeciw Szwecyi, wraz z pułkami rakuzkimi i brandeburskimi przeprawił się do Fionii «prawie na zgonie» tegoż 1659 r., gdzie szczęśliwie walczono ze Szwedem. Znakomita bitwa pod miastem Nyborgiem, na brzegu wschodnim Fionii, dnia 14 listopada 1659 roku stoczona, zamyka szereg bohaterskich wystąpień naszego rycerstwa w Danii. Był to dzień pogromu ostatecznego Szwedów, dzień chwały dla naszego rycerstwa, którego tam padła część trzecia, przeddzień zaś zgonu Piaseczyńskiego. Postrzelony w tej bitwie, wkrótce ów mąż rycerski umarł, «i tę wojnę — jak się wyraża Joachim Jerlicz — krwią zapieczętował...» «a gdyby nie onego odwaga z tą małą garstką ludu polskiego — dodaje tenże rocznikarz — musieliby te wszystkie (t. j. pułki sprzymierzonych) ze wstydem odchodzić» [1]).

Kiedy Kazimierz Piaseczyński otaczał Fionią i już był blizki wylądowania na jej wybrzeża, pełne chwały bojowej polskie rycerstwo, z Czarnieckiem na czele, wracało do Polski przez Hamburg, księstwo meklemburskie, Pomorze, zmierzając ku wielkopolskim województwom. Był to pochód pełen karności: ale rycerstwo — jak mówią wyraźnie pewne wskazówki — już się oddawało bardziej wczasom i rozrywkom, niż trudom obozowym. Na pograniczach wielkopolskich towarzysze pancerni, stając we dworach szlacheckich, puszczali wodze swym upodobaniom pokojowym. Nie byli to już groźni Szwedom «skrzydlaci rycerze», podziw Duńczyków, którzy ich czyny «do swych kronik zapisywali», lecz spokojni rolnicy, sejmikująca szlachta, miłujący sprawy publiczne i księgi mężowie. W jednej z ksiąg, która światło dzienne ujrzała w XVII wieku, w lat niewiele po duńskiej potrzebie, znaj-

---

[1]) Latopisiec Joachima Jerlicza, wydanie Wójcickiego, Tom II, strona 40.

dujemy stwierdzenie naszego zdania o rodzaju powrotu polskich szyków z Danii.

Oto co pisze w rzeczy owej jeden «z Czarniecczyków, wracających z zamorza», mało światu znany Franciszek Glinka, herbu Biała, z Rafałów...[1]. «Służąc w wojsku, w dywizyi jegomości pana Stefana Czarnieckiego, wojewody natenczas ruskiego — pisze ów Glinka — a wychodząc z Danii, trafiło się wielu nam wstąpić do jednego na pograniczu wielkiego polskiego zamku; gdy ten tego, ów czego innego upatruje, ja dobrym trafunkiem, przechadzając się, napadłem na prochem przytrzęsioną bibliotekę, gdzie mianowicie znalazłem *manuscripta antiquitatum...*» «Miło mi było — dodaje niżej — nietylko czytać, ale i staroświeckie pisma tłumacząc, prędko przepisywać, co mi się teraz (1670 roku) do tej lichej pracy przydało...»

Tak więc, próżne wszelkiej troski bojowej, wracało rycerstwo z Danii do własnej ojczyzny... do biednej, znękanej, zagrożonej z innej już strony nową, krwawą powodzią... Witano ich radośnie w domowych progach, witał król bawiący wówczas w Poznaniu; ale na przyjęcie zamorskich tryumfatorów nie czyniono żadnych przygotowań; czas nie był potemu. Uczucie spełnionego obowiązku, iż chociaż w części pomścili się na Szwedach klęsk zadanych ich ojczyźnie, wystarczyć im musiało i wystarczyło za tryumf najwyższy.

---

[1]) Patrz nader rzadkie teraz dziełko pod napisem: «Zwierzyniec jednorożców, z przydatkiem różnych mów sejmowych« i t. d. przez Fr. Glinkę zebrany i ogłoszony.... we Lwowie 1697 roku.

Pisałem na Niżu Dnieprowym 1877 r.

MIŁOŚĆ WIEKÓW UBIEGŁYCH

studyum z przeszłości.

MIŁOŚĆ WIEKÓW UBIEGŁYCH

studyum z przeszłości.

To jest największy rozum, możesz temu wierzyć,
Kto się umie w swych sprawach nadobnie rozmierzyć.
Mik. Rej.

Dni drugiej połowy XVII wieku, dni ostatniego z naszych Wazów, acz pełne smutku i nieustannej trwogi, acz dymiące się pożogą, nie zdołały jeszcze były zatracić cnót starych i obyczaju, któremi rośliśmy w przeszłości, któremi staliśmy i rozwielmożniali się za Jagiellonów. Spuścizna umysłowa i społeczna pozostała po Jagiellonach znać była niemałą, gdy się nią żywił jeszcze i wiek późniejszy. Poczucie obowiązku było wielkie; nie zapominano nigdy i nigdzie, że jednostka cząstką jest całości, że w życiu prywatnem i publicznem, chwilowe bodaj zabaczenie o tej obszerniej całości naraża ją na straty. Tradycya wśród stanu górującego i rządzącego w kraju była jeszcze żywą, mówiła mu wciąż o obowiązkach; ciągnęła ku wyżynom i zachęcała wzorami dziejów minionych i przykładami naocznymi, by zdążał ku ideałom. Niezawsze dościgano do wyżyn, niezawsze sprostać umiano ideałom, niemniej jednak wzory, przykłady, tradycya, wołająca

z poza grobów ubiegłych wieków, prowadziły ku owym wyżynom, przypominały obowiązki względem społeczeństwa...

— ———

...Zamorska, duńska potrzeba, którą podejmowano pod Czarnieckim w latach 1658 i 1659, niemało przyniosła naszemu rycerstwu nowych wrażeń. Potrzeby wojenne rzadko przenoszone u nas bywały tak daleko, jak owa duńska. Zetknięcie się z nowym obyczajem, z odcieniami innej kultury, podczas tej duńskiej potrzeby zbyt krótkiem było, aby mogło wywrzeć wpływ bardziej stanowczy na nasze rycerstwo, zbyt długiem jednak, by tu i owdzie nie zawiązały się bliższe stosunki zażyłości, przyjaźni, by się nie wraziły w pamięci, w umyśle, bądź w sercu obrazy osób, miejscowości lub zdarzeń. Wrażliwy polski umysł idealizował często dziewice duńskie, widział wcielone swe ideały, wcielone w niewiastach o jasnych włosach i modrych oczach, jakiemi się roją zielone łąki wysp duńskich. Lecz również i dziewice duńskie nieobojętnem okiem patrzyły na polskie rycerstwo, dzielne a wytrwałe, pełne rycerskiego animuszu, umiejące na mocnych ramionach unieść ciężką zbroję, umiejące iść w zapasy nie dość iż ze szwedzkim mieczem, lecz i z twardą a nieubłaganą w swej srogości przyrodą północną. Skrzydlate to rycerstwo, mocujące się z wrogiem i przykrymi klimatycznymi warunkami, wydawało się dla cór Północy czemciś dziwnie uroczem, niezwyczajnem. Opuszczały one, jak się wyraża jeden z uczestników owej wyprawy, lub gotowe były opuścić rodzinne gniazdo i iść za takim rycerzem do nieznanej a dalekiej Polski.

»Białogłowy (rozumie się duńskie) gładkie i zbyt białe« — mówi ówczesny świadek duńskiej potrzeby, świadek, którego nie dotknął cios szwedzkiej rusznicy, ale go srodze zraniły oczy niewiast duńskich. »Białogłowy — dodaje tenże rycerz, opowiadający o duńskich obyczajach —

stroją się pięknie, ale w drewnianych trzewikach chodzą wiejskie i miejskie kobiety; gdy po bruku w mieście idą, to taki czynią kołat, iż nie słychać kiedy jeden do drugiego mówi«...

Te pobieżne uwagi o stroju i gładkości lica duńskich niewiast nie wyczerpały wszystkich wrażeń naszych rycerzy, jakie ich spotkały w obcowaniu z duńskiemi niewiastami. Rycerze owi, był to lud o dziwnie zapalnym umyśle, wrażliwem sercu, szybko tającem pod promieniami czułych spojrzeń modrookich dziewic Północy.

Niedość iż towarzysze pancerni, młódź bardzo młoda, ale i poważniejsze grono rotmistrzów nie mogło się oprzeć wrażeniom, które wywołały owe duńskie białogłowy »gładkie i zbyt białe«, według określenia przytoczonego wyżej rycerza, pamiętnikarza, ponoszącego trudy duńskiej potrzeby [1]. — Niejeden ze szczupłego grona owych mężnych, »Czarniecczyków« — jak nazywano walczących pod wodzą Stefana Czarnieckiego — chociaż się oparł i naciskowi Szweda i nie przeraził się fali rozszalałej morza, składa broń u nóg duńskich niewiast, lub unosi na polskie niwy odźwierciedlenie silnych wrażeń uczucia, które wylewał w mniej lub więcej udatnych erotycznych rymach. Takim poetą, takim piewcą erotycznych uczuć, był jeden z wodzów owych »Czarniecczyków« walczących w Danii, był Imcipan Aleksander Polanowski, rotmistrz pod pancernym znakiem, obok Pągowskiego, Borzęckiego, Kazimierza Piaseczyńskiego starosty ostrołęckiego, Franciszka Czarnkowskiego starosty osieckiego, Michała Wojniłowicza starosty krośnińskiego, Adama Działyńskiego starosty bratyańskiego i wielu innych rycerzy, będących sławą i zaszczytem narodu [2]. Wiersz Polanowskiego, kreślony w roku duńskiej potrzeby (1658), przechował się w licznych owo-

---

[1]) Jan Chryzostom Pasek; patrz jego »Pamiętniki«.
[2]) Kochowski: *Climacter* II.

czesnych zbiorach; ujawnia on zbyt erotyczne usposobienie Polanowskiego, który należał do grona poważniejszych i tych, co się wyróżniali »męstwem i cnotą« [1]. Nie wiemy dokładnie, przy jakich okolicznościach wylewał na papier rotmistrz pancernego znaku Polanowski dzieje zawiedzionej miłości niewieściej; nie wiemy czy przemawiająca przez jego usta ofiara zdeptanego uczucia była Polką, czy też Dunką, chwila, w której to kreślił, data »1658 roku« umieszczona na rękopiśmie prastarej erotyki, naprowadza nas na myśl, że są to rysy obrazu owych duńskich, łacno zawiązujących się i łacno zrywanych stosunków. Wśród szybko wystrzelających i bujnie rozrastających się uczuć w orężnem otoczeniu duńskiej potrzeby, nasi rycerze składali dowody nader lekkich usposobień, gdy tymczasem dziewice Północy, które, wedle współczesnego świadectwa, były »w faktach nie tak powściągliwe, jak Polki«, stawały się ofiarą swej łatwowierności.

Zapał ich wrażliwości w odwrotnym był stosunku do srogości zimnych prądów, które przeciągały ponad ich wyspami. Dziewice skandynawskiego szczepu, jak o tem mówi naoczny świadek, łatwe były do uniesień... »Bo lubo zrazu jakąś niezwyczajną pokazują wstydliwość — dodaje tenże świadek — ale zaś za jednem posiedzeniem i przemówieniem kilku słów, zbytecznie i zapamiętale zakochują się i pokryć tego nie umieją«. Korzystano z tej wrażliwości. Przy szczęku oręża brzmiała wielekroć i godowa kapela. Stawały często związki małżeńskie między rycerstwem, tudzież naszą czeladzią obozową a hożemi wyspiarkami różnych warstw społecznych. Towarzysze pancerni, ba i czeladź obozowa, wzdychali do córek mieszczan i szlachty duńskiej, i z wrodzoną szczepowi naszemu lekkomyślnością, z nieoględnym pospiechem, ku kobiercowi godowemu dążyli, nieraz pochopniej nawet niż w kraju.

[1] Tamże.

W ojczystej bowiem ziemi, jak się wyrażał jeden z pisarzów XVI wieku, jeden szukał sobie żony »z wielkich stanów, nadziewając się z tego (spodziewając się) i powagi i tytułów, i rozmnożenia jakiego domowi swemu dostać. Drugi zasię nie dba ani o miłość, ani o powagę, ani o urodę, ani się żadnym obyczajom przypatrując, kiloby miał ze dwie wsi a w trzeciej połowicę, by też była i garbata i żadna i głupia« [1]. W Danii na to wszystko wcale się nie oglądano. Czeladź obozowa i rozmaici pacholicy mniej czasu zużywali na wzdychania, lecz z dziwną szybkością czynili postanowienia. Pamiętnikarz nasz Pasek, który sam przechodził przez niebezpieczne morza wrażeń i swe własne przygody miłosne, przebyte podczas duńskiej potrzeby, skrupulatnie zapisał w swym raptularzu, nie zaniedbał dodać, iż niektórzy z podrzędniejszych ludzi wojskowego rzemiosła naprędce pojęli sobie żony. Znać nie czytali ani moralizowania p. Mikołaja Reja, który rzekł o wyborze żony: »Wierz mi, iż tu nie o rękaw chodzi, ale o całą suknię, bo to nie do jutra ma być« [2]. Wśród takich ludzi podrzędniejszych stanowisk w wojskowem rzemiośle, pojął żonę w Danii i został tam »czeladnik« p. Jana Chryzostoma Paska, Wolski, szlachcic z pod Brzezin; ożenił się on był — dodaje pamiętnikarz — z poddanką pewnego szlachcica, córką gbura [3]. Wolski ten, acz szlachcic, nie nader szlachetnie z gburami duńskimi postąpił, gdyż po niejakim czasie »uciekł od żony i wyjechał do Polski«.

Znać odstępstwa takie i ucieczki z gniazd rodzinnych, naprędce wśród obcych pobudowanych, nie były podczas owej potrzeby zamorskiej rzeczą rzadką, Pasek

---

[1]) Mikołaj Rej z Nagłowic: Żywot człowieka poczciwego.

[2]) Loco citato.

[3]) Pamiętniki J. Chryz. Paska. Wydanie Raczyńskiego 1840 r., str. 37.

bowiem, mówiąc o Wolskim dodaje: »i on słowa nie dotrzymał«...

Zrywający ze świeżo zaciągniętemi w Danii obowiązkami, zawsze znajdowali wymówkę wobec siebie, innych, i przed własnem nieraz sumieniem. Niektórzy z nich przed sobą i światem radzi się usprawiedliwiali skrupułami religijnego sumienia. Związek z dziewicą duńską, a więc protestantką, uważali za zbrodniczy, grzeszny. Tenże sam przeto pana Paska »czelada« Wolski, który uciekł z Danii od żony, tłómaczy się wyrzutami sumienia, niedającymi mu spokoju.

Lekkomyślność, prowadząca do zabaczenia o swych obowiązkach, prowadząca również rycerstwo, jak i ich czeladź, ów gmin rycerski, liczny, bo każdy z pancerników występował »zbrojno, czeladno i dostatnio«, była chwilową. Wprędce, gdy minęła godzina uniesień, żałowano swego kroku, zastanawiano się nad jego następstwami; powstawały skrupuły, obawy, walka z sobą, z sumieniem, z poczuciem społecznych obowiązków, o których nie zabaczono, owszem przechowywano je w głębinach ducha i nimi się rządzono. O obowiązkach tych niewiele pisano, wcale nie rozumowano, nie widziano potrzeby chwalić się z ich spełnienia — wszakże je spełniano. To wrodzone poczucie obowiązków społecznych, niezapisane w żadnym statucie, leżące w obyczaju i jeszcze wówczas nieulatniające się, spotykało niemały szkopuł w przypadkowo wyrobionych stosunkach życia obozowego w Danii, podczas owej wyprawy.

Obowiązek społeczny nakazywał pilnować całości gniazd rodzinnych, nie kazić ich obcym obyczajem, zabraniał wprowadzania nowych żywiołów wychowawczych, jaki bez zaprzeczenia narzuciłaby zawiązującej się rodzinie matka pochodząca z rodu obcego. A tu tymczasem, pod mglistem niebem duńskiem tysiące pokus stawało. We własnym kraju łatwiej było o stoicyzm, o powtarzanie

z Rejem starej przepowieści: »Stańże mocno przy cnocie, niech kto chce szaleje«, łatwiej o urzeczywistnienie mocnego stania przy cnocie; lecz wśród obcych rzeczy się miały inaczej: zdarzały się rafy na nurtach życia, o których we własnym kraju nie słyszano, spotykały się zbiegi różnych okoliczności, kolizye przetrudne — szalano więc, i o mocnem staniu przy cnocie nie mogło być mowy.

Wrażliwość serc naszego szczepu po wsze czasy tak była wielką, iż już Dantyszek, opisując w łacińskich rymach swe miłośne przygody spotykane poza krajem, niezbyt ufa swej odwadze odparcia pokus, lecz ze średniowieczną naiwnością tak się wyraża: »I czy lądem czy morzem zawiniesz gdzie w gości — zmienny Amor do nowej pokusza miłości«.

Jedynem tu lekarstwem była odsiecz rozwagi, rozumu; lecz nie każdy mógł się tej odsieczy spodziewać, nie każdy miał w zapasie tego rodzaju cennych sprzymierzeńców. Ludzie o mniejszych zasobach umysłowych padali ofiarą pokus, zagłuszali w sobie na chwilę głos wzywający do szanowania obowiązków społecznych, i taki »czelada« Wolski niedługo się namyślając, staje na kobiercu godowym z duńską dziewicą, gotując dla rodu swego temsamem zupełnie zatracenie. Później żałowano spiesznego kroku, cofano się; ale to było zapóźno. Matka cudzoziemka zcudzoziemczyć mogła, i zaiste pospolicie zcudzoziemczała całe rodzinne gniazdo. Rycerstwo wyższego umysłowego polotu czerpało siłę oporu w głębszem, bardziej wyrozumowanem poczuciu obowiązków społecznych.

Bolano nad tem koniecznem zrywaniem z ułudnemi marzeniami, które się unosiły nad morską falą wód duńskich, niemniej jednak zrywano. Poczucie obywatelskiego obowiązku było tarczą, dodawało męstwa, słodziło ciężką dobę przełomu.

Niejeden towarzysz pancernego znaku srodze tę chwilę przebolał, niejeden opuszczając duńskie wybrzeża, a na

nich cel swych uczuć, mógł wyrzec słowami Dantyszka: »Czy podobna bez bolu, komuś, co ma duszę, pisać się dobrowolnie na takie katusze«... Pisano się jednak na nie, targano węzły świeżo zadzierzgnięte na obczyźnie, spieszono do kraju rodzinnego: powoływały tam bowiem obowiązki, a miłość wyższa nad inne, miłość swej ziemi, nakazywała rozbrat czynić z uczuciem, które w sprzeczności być mogło z pożytkiem kraju. Jednostka poczuwała się do solidarności z ogółem, każdy bodaj maluczki, nic nieznaczący atom wobec ogromu narodu, mierzył bezwiednie swe kroki ze skalą potrzeb i pomyślnej przyszłości kraju, urzeczywistniając tę myśl pełną prawdy, którą już w naszem stuleciu poeta wyraził następującemi słowy:

»Drobiazg nie jest błahością. Drobna w kroplach rosa rzeźwi ziemię i w sobie odbija niebiosa«...

Z pośród tłumu takich cichych walk wewnętrznych, które wrzały w głębiach niejednego z naszego rycerstwa a doszły do nas w ogólnych tylko konturach, jedna z nich zarysowuje się wyraziściej. Widzimy parę jej chwil, widzimy je zapisanemi w pamiętniku Paska; on sam bowiem przechodził przez owe katusze walki uczucia z obowiązkiem i kilku rzutami pióra odtworzył blady konterfekt smutnych dziejów swej duńskiej miłości...

Nie uczy nas pan Pasek, gdzie i przy jakich okolicznościach poznał on duńską dziewicę podczas tej potrzeby na wyspach Danii, gdzie nasz oręż wspierając Duńczyka, niósł krwawy odwet Szwedowi aż na skandynawskie wody. Zdaje się, iż wojskowe kommissoryum poruczone mu było w celu ściągnięcia pewnej ilości żywności i kontrybucyi na żołd dla naszych chorągwi. Pokojowe to zajęcie, przebywanie dłuższe w domach duńskiej szlachty, dały mu możność bliższego zetknięcia się z zamożniejszemi warstwami krajowców i poznania ich rodzin. W gronie jednej z nich miał miejsce cichy i niedługi dramat miłośny naszego rycerza-pamiętnikarza. Pan Pasek

zapewne długo gościł pod rodzicową strzechą swej duńskiej bogdanki, gdyż dał się poznać jej krewnym, a nawet zdobył uczucie życzliwości domowników i czeladki. Dobrodusznie opowiada on nam, iż taki »affekt do niego urościli«, niedość bogdanka w nim zakochana, ale rodzice i domownicy, że cała czeladź domowa i poddani za własnego syna pańskiego mieli go [1]). Nie wiemy dokładnie, jak długo to trwało. Podobno jednak kilkomiesięczny okres zabrała owa duńska miłość pana Paska, okres więc stosunkowo zbyt długi, by ją można zaliczyć do szeregu pospolitych przelotnych obozowych miłostek.

Życie obozowe nasuwało zwykle rycerstwu dużo roztargnień. Czas się nadzwyczajnie dłużył żołnierzowi, który był zmuszony jakąś nieco bardziej przewlekłą dobę spędzać zdala od szczęku oręża.

Wówczas rycerz — jak nam mówią wcześniejsze nieco, ale pewne świadectwa przeszłości — wówczas rad dni spędzał wśród wspólnych biesiad, szukając wypoczynku w gronie ludzi również orężnego rzemiosła. Ale ponieważ biesiada niezawsze wystarczającem była czasu strawieniem, zużywano go tedy i innymi sposoby, gdyż tam, jak Rej powiada, »żadny czas bez jakiej krotofili być nie może«... Kiedy bowiem zdarzały się umysły podnioślejszych potrzeb, to nie poprzestawano na »dzbanie i żołędnym tuzie«, lecz wybierano szlachetniejsze rozrywki... Były to ścigania się, gonitwy, szermierka, łowy, strzelanie z łuków do celu, rzucanie kamieniami z procy, nie mówiąc już o wesołej, zapełnionej dowcipem pogadance.

Takich dni wczasu miał stosunkowo dość pan Pasek podczas ostrej duńskiej zimy z r. 1658 na 1659, i wtedy to właśnie ściągając jakieś wojskowe rekwizyta, na Jutlandzkim półwyspie poznał on swą bogdankę, dziewicę

---

[1]) Pamiętniki J. Chr. Paska.

duńską, która ku niemu — o czem sam nam mówi — wielki »affekt urościła«... Nazwisko jej nieznane. Imię tylko przechowała pamięć przeszłości. W pamiętniku Paska jest przytoczony jej list, z którego widzimy, iż się podpisywała: »Eleonora«. Pasek prawdopodobnie o wiele lat później spisujący wrażenia dawnej miłości, z naciskiem mówi o jej wyższym umyśle. Miała ona umysł ukształcony i »niezwyczajną naukę«. Opieramy się tu na świadectwie zakochanego pamiętnikarza, świadectwie, które w każdym razie tylko w pewnej części może być przesadnem. Pasek nie zna miary dla pochwał jej, i mieni ją dziewczyną, której »gładkość niewypowiedzianą była«... Patrzał on oczami zakochanego. Promienie wzroku przez pryzmat uczucia przechodzące, olśniewały go. Sam on nie wiedział, jak się to działo, iż oczy jego wciąż się zwracały ku owej skandynawskiej dziewicy. Pan Pasek wybornie zeznawał, iż tysiące przeszkód legło między nim a tą jego duńską, ukochaną bogdanką; długo walczył z uczuciem, przywoływał na pomoc rozwagę: wszystko to było napróżnem... Jednego dnia po modlitwie, w której rycerz ówczesny pociechy szukał, już postanawia nasz pamiętnikarz stargać węzły uczucia przywiązujące go do wysp duńskich, zapomnieć o ukochanej i wracać do Polski ze swymi hufcami, gdy na powrót w obozie zatrąbią: lecz niestety, nazajutrz wszystko się zmienia. Pasek zapomina o walce i postanowieniach doby poprzedniej, i wołać gotów do swej narzeczonej wraz ze współczesnym mu Jędrzejem Morsztynem:

»Obrazie bóstwa, nieśmiertelny wzorze
Urody gładszej nad rumiane zorze,
Jasna godności gwiazdo, z którą ani
Porówna słońce, ni jej miesiąc zgani...
Najdoskonalsza natury roboto,
Pociecho oczu, serc ciężka ochoto,
Śniegu na pozór, ogniu w samej rzeczy«...

Tak w swych »Erotykach« śpiewał J. Morsztyn: Pasek toż samo mógł za nim powtórzyć, gdyby władał »mową bogów«, gdyby wieszcze natchnienie mogło doń zstąpić... Pasek jednak nie był poetą, i rubasznie, w sposób niekiedy zbyt lakoniczny, po kronikarsku zapisuje swe walki wewnętrzne i pasowania się wybujałego uczucia z obowiązkiem.

Nie mając żadnych wskazówek bardziej uwydatniających jego ból serca, walkę uczuć naszego rycerza, który oprócz takich wzmianek, jak »pasowałem się z myślami, niby z niedźwiedziami«... nie sięgał po głębszą analizę miłości, zapożyczamy słów Jędrzeja Morsztyna, współczesnego mu poety, w dziwnie obrazowy sposób zarysowującego powstawanie i rozszerzanie się uczucia w piersi owoczesnych pokoleń. Piewca miłości tamtoczesnych ludzi tak opiewał zarzewie budzącego się i gwałtownie szerzącego uczucia.

»I jako kiedy lecie zajmie się przędziwo
W piekarni lub świetlicy, kiedy śpi, co żywo,
Samo się w sobie dusi, niż się ściana sucha
Zajmie, potem płomieniem wybucha,
Próżno wtenczas gospodarz o ratunek woła,
Cała gromada zgasić pożaru nie zdoła;
Tak we mnie miłość potajemnie tlała.
Teraz na wierzch przez obie oczy, okna ciała,
Łzami się pokazuje; wewnętrzne zapały
Ten wilgotny dym pędzą i ten perz zetlały.
Próżno wołać ratunku, rozum nie pomoże«...

Ze starej tej Morsztynowskiej erotyki wytryska myśl wieku, roztacza się przed nami wstęga uczuć prastarych pokoleń, których miłość była gwałtowną, burzliwą, rozsadzającą, niby mina podziemna, szeroką pierś rycerza okutą w zbroję, pod którą biło serce zdolne równie namiętnie kochać, jak nienawidzieć... Dni zobojętnienia jeszcze nie były wówczas nadeszły; nie przeczuwano, że wieki na-

stępne miały powołać do życia pokolenia o bladych licach i bladem uczuciu...

Zdawało się w pierwszych chwilach owej zamorskiej miłości pana Paska, iż jego losy popłyną tąż cichą falą bijącą o wybrzeża Jutlandyi, jaką płynęły losy jego duńskiej bogdanki, iż nic im nie stanie na przeszkodzie, by wspólnie iść drogą życia. Ona mieniła go swoim, jej rodzice mieli go za syna; domownicy, czeladka, całe otoczenie domowe, wszystko, co było związanem tymi bądź owymi węzłami z ową bogdanką, patrzało już nań, jako na członka rodziny swych panów. Gdy Pasek opuścił jej okolice, a w nieco dalszej z obozem przebywał, »listy — jak sam się wyraża — latają często stamtąd«... W listach tych Eleonora nie ukrywa swej miłości. Mówi o niej wyraźnie: znać wiek ówczesny i obyczaj narodu duńskiego nie wymagały niezwyczajnego doboru wyrazów, by ukryć bodaj pozornie w słowach to, co gorzało całą pełnią życia w sercu. A więc pisząc do Paska, mieni ona siebie »do zgonu najprzywiązańszą« i upewnia go szczerze w wyrazach znamionujących prostotę, dalekich od przesady i sentymentalizmu późniejszej epoki, iż »miłość tkwić będzie niezmiennie w jej sercu«...

Pomimo tak wyraźnego oświadczenia swej miłości, zdaje się, iż Eleonora mniemała, że coś jeszcze nie jest przez nią wypowiedzianem, że co do siły jej uczuć może jej ukochany mieć jakieś wątpliwości; spieszy przeto dodać następujące słowa, pełne nieudanego zapału:... »O gdybyś, Panie, mógł czytać w sercu mojem te dowody moich uczuć ku tobie«...

Wątpliwości tu żadnej nie było i być nie mogło. Pasek uwierzył w szczerość, podziwiał ogrom i siłę uczucia swej bogdanki, oświadczył się już był jej od dawna — o czem sama mówi nam w jednym ze swych listów — i będąc pewnym jej przywiązania, dziwi się wciąż, skąd tak »wielki affekt ku niemu urościli«... Tych zapewnień

miłości, słów, przysiąg, łez, listów, odbierał nieustannie niezmierne mnóstwo. Wszystko to wprawiało naszego rycerza w dziwne upojenie szczęściem, w pewnego rodzaju radosne zakłopotanie. Obie strony zapominać się zdawały, że może nad niemi zawisnąć chwila niepowodzenia, która rozwieje marzenia zakochanych, niespostrzegających, że ciernie spotykają się na każdym szczęścia gościńcu, że i najpiękniejszy kwiat w krainie rzeczywistości pada pod mroźnymi powiewy... Zakochani o tem nie myśleli, nie zatruwali pomyślności chwili obecnej przypuszczeniami burzliwego jutra: ale inni zdala na nich patrzący ostrzegali zapewne, że i szczęście ma swój kres, że rycerz jak przybył niespodzianie skądciś zdala, z zamorza, tak również za morze do swej dalekiej ojczyzny kiedyś odpłynie, i godzina rozłąki, godzina rozwiania najśmielszych rojeń jest nieuniknioną. Sprowadza nas na myśl, iż głosy ostrzegające, głosy zimnej rozwagi brzmiały niekiedy nad tą spokojną napozór dziedziną zakochanych, naprowadza nas na tę myśl jedno zdanie Eleonory, przez nią w jej liście wypowiedziane.

»Gdy mnie kto zapytuje — pisze ona — pocóż to wszystko — ja mówię: serce odpowiedz za mnie... Serce moje — dodaje tuż zaraz — nie jest już mojem, jest twojem; opuściło mię, tobie towarzyszy«... »Cóż mam począć? — pisze dalej — poradź mi«... Ostatnie wyrazy zdradzają już pewną trwogę. Eleonora powodowana niewieścim instynktem, widzi zbliżający się zdala maluczki obłoczek, który rychło może kirową oponą burzy okryć widnokrąg ich szczęścia i niczem dotąd niezamąconego spokoju... Lecz nietylko instynkt niewieści był tu przeważnym czynnikiem; prawda, która powinna przyświecać we wszystkich, by najmniejszych badaniach, każe nam wyznać, iż Eleonora kreśliła przytoczone wyrazy już pod wrażeniem zbliżającego się nieszczęścia. Rozległa się była wówczas właśnie wieść, iż polskie skrzydlate rycerstwo

wraca do swych siedzib, do dalekiej Polski, która dla ówczesnych Duńczyków była krainą nawpół mityczną.

Dla obu stron zakochanych cios to był straszny a chwila nader stanowczą. Ponure wieści dochodziły z Polski. Wschodnie jej ziemie zostały wówczas najechane, i szczupłe siły broniące Rzeczypospolitej, domagały się odsieczy. Najskuteczniejszą w danym razie odsieczą mienić się mogły hufce pod Czarnieckim w Danii Szwedów gromiące, górowały one nie liczbą, ale wyższością moralną. Odwołano więc je z poza morza do kraju.

Pewna maluczka cząstka owych »Czarniecczyków« miała chwilowo pozostać na jednej z wysp duńskich pod wodzą Kazimierza Piaseczyńskiego, starosty ostrołęckiego, reszta zaś naszych duńskich szyków wracała spiesznie do Polski. Na czele wracających dążył Czarniecki, którego król powoływał, aby nim zasłonić ojczyznę [1]).

Rozkaz powrotu do kraju stał się dla pana Paska gromem budzącym go z uśpienia. Sny na jawie, marzenia wielkiego uczucia, wobec rzeczywistości prysnęły. Potrzeba było obrać jedną z dwóch dróg: wracać do kraju, iść za głosem obowiązku, który nad wszelkimi względy powinien górować; lub zdala od swoich pozostać, połączyć swe losy z losami ukochanej, przyjąć tę rękę ofiarowywaną mu poniekąd nawet natarczywie, zagłuszyć w sobie głos obowiązku, obojętnie patrzeć na szerzenie się obcego pierwiastku we własnem gnieździe, na wychowywanie przyszłych pokoleń pod cudzoziemskimi wpływami. Pan Pasek nie rozumował, ale instynktownie niejako odgadywał, że pierwiastek obcy do swojskiego gniazda wprowadzony, zamąci równowagę atmosfery, wśród której on ma nadal istnieć, a co ważniejsza, stanie się zgubnym czynnikiem rozwoju przyszłych pokoleń. Uczucie tymczasem górę brało, walczyło z rozwagą, i wtedy to właśnie Pasek

---

[1]) Kochowski: *Climacter* II.

wyrzekł: iż się pasował z myślami »jako z niedźwiedziami«. Pasowanie się tem przykrzejszem było, iż piękna córa Północy kochała go miłością wielką, stałą, głęboką, nieprzypominającą uczucia rasy germańskiej, o którem w owej epoce pisał Jędrzej Morsztyn, mieniąc je martwem uczuciem: »Ta (t. j. niemiecka) zimna miłość i jakby umarła [1]). Uczucie Eleonory wcale nie zasługiwało na powyższe miano; posiadało ono dodatnie znamiona skandynawskiej miłości — stałość do grobu i za grobem, jej właściwości, jej hasło niezmienne... »O gdybyś, Panie — pisała ona w tych chwilach stanowczych — gdybyś mógł czytać w sercu mojem te dowody moich uczuć ku tobie! Wyznaję teraz, com długo taiła, że dla żadnego mężczyzny, prócz ciebie Panie, serce moje bić nie będzie. Musi to pochodzić z woli boskiej«... W słowach tych brzmi echo stanowczości; nie dziwmy się przeto, iż wobec takiego nacisku wszelkie jego rozumowania musiały runąć. Bywały chwile, że nasz rycerz zamykał oczy na przyszłość, starał się oswoić z myślą zostania w Danii, a nawet wtedy takie postanowienie cieszyło go; uczucie znać uważało chwilę wahania się za dobę tryumfu. Wyraźnie nam w pamiętnikach swych spowiada się on z tego psychicznego stanu. »Kiedy myśl ta przypadnie, żeby zostać — czytamy w rzeczonych pamiętnikach — to jakaś wesołość garnie człowieka«. — Chwilę zwycięstwa obowiązku opłacał Pasek niemałym bolem wewnętrznym, który zawsze usprawiedliwiał skrupułami różnymi. »Mnie wielką czyniło dystrakcyą, pisał on o tej ciężkiej chwili — owe affektów zawzięcie... skoro zaś nastąpi myśl, aby nie zostawać, to w człowieku powstaje wzruszenie, żałując affektu owych ludzi i biorąc przed oczy, że wpadnę u nich w podejrzenie o nieszczerość i niewdzięczność«...

Walka ta krótką być nie mogła; listy przeto, jak

[1]) J. Morsztyna »Psyche«.

Pasek powiada: »latają często stamtąd i odemnie«; wchodzą tu przytem w grę i inne środki; używają krewni Eleonory osób wpływowych w celu skłonienia Paska do pozostania. Są wskazówki, iż jakiś Duńczyk »generalny komisarz królewski«, bywał pośrednikiem stosunków zakochanych i ich rokowań; woził on listy od naszego rycerza do narzeczonej, woził i jakieś »dowody jego pamięci«. Spotykamy wzmiankę w liście Eleonory o jednej takiej wizycie owego pośrednika. »Generalny komisarz królewski — pisze ona — wielmożny Rychald, przywiózł mi dowody twojej miłości ku mnie«. Te dowody miłości składały się zapewne z upominków, których wartość a niemniej i jakość, znanemi nam nie są. Wiek ówczesny, wiek XVII miał ustalone pod tym względem wymagania, dziś wyszłe z użycia, zapomniane. Wśród wyższych sfer towarzyskich w Polsce śpiewano serenady pod oknami ukochanej, posyłano przy listach miłośnych »wieńce i marcypany«. Te ostatnie dary tak dalece u nas wśród warstw szlacheckich uważały się za rzecz konieczną, iż tylko ludzie obcego pochodzenia wymówić się od nich mogli.

Znać nie przebaczano krajowcom, bądź możniejszym, zabaczania o obyczaju rzeczonym, usprawiedliwiając tylko cudzoziemców, gdy nie składali »marcypanów« na swych godowych stołach, albowiem posiadamy nawet przysłowie prastare o tem świadczące. »Obejdzie się wesele tatarskie bez marcypanu«, mówiło to przysłowie, a mówiło bardzo dawno, bo jeszcze w XVI wieku. Za dni Paska obyczaj składania narzeczonej w darze marcypanu, istniał w całej swej mocy. Drużba wiózł to słodkie ciasto do ukochanej starającego się i przy mowie mianej, jak się wyrażano, »okrągłemi słowy«, życzył tyle słodyczy w ciągu dni przyszłego życia, ile jej zawierały marcypany... W szeregu darów i owych »dowodów miłości« wędrownego rycerza, jakim był wtedy pan Pasek, wątpimy, by się znajdował marcypan. »Czarniecczyków« obóz odznaczał się

skromnością potrzeb, nie mając nic wspólnego z tym osławionym zbytkiem niektórych naszych obozów, jaki w XVII wieku spotykano w oddziałach obozujących pod Pilawcami, Korsuniem lub Żółtemi Wodami, o których to zbrojnych taborach, odznaczających się przepychem, mówiono pówczas:

Aż i w obozie, wszystkiej nędzy szkole
Nie inszych wetów ujrzy kto na stole,
Tylko od cukrów i faryny złotej [1]).

Czarniecki tego nie znosił; ówczesne słowa: »Nie w tych rozkoszach, ani w strojnem ciele, Polacy starzy dokazali wiele« [2])... wciąż mu były obecne, wciąż surowem życiem i siebie i swe szyki zbrojne on hartował; przetrudną tedy rzeczą było dla pana Paska mieć tam »marcypany«. Dary jego pamięci składały się z przedmiotów bardziej licujących z życiem obozowem. Ani czas, ani też miejsce po temu były, żeby się upędzać za rzeczami kosztownemi, lub obyczaj dawny, swojski, przenosić na glebę duńską. Zresztą nie darów, nie wieńców, nie serenady tam pragnęła owa w miłości wielka a stateczna dziewica wód północnych... »Przyjedź tylko — pisze ona — nie pragnę nic więcej, tylko twojej przytomności... oczekuję niecierpliwie«...

Ten przyjazd, którego tak mocno pożądano, którego oczekiwano »niecierpliwie«, mógłby się stać mieczem rozcinającym węzły przeszkód. Pasek nie jechał, bo kto wie, czy mógłby się ostać wobec uroku jej słów, jej oczu... Lecz i tu nadeszła chwila słabości; zakochany zawahał się, i rzekłszy: »Już teraz jakoby kajdany włożyła na me serce« — pojechał.

---

[1]) Patrz »Wiersze na pogrom Hetmanów pod Korsuniem«, umieszczone w »Księdze pam. Michałowskiego« str. 475.

[2]) Loco citato.

Groza wojny szerzyła się z całą mocą. Rodzice Eleonory mieszkali na jutlandzkiem wybrzeżu. Fala morza i szeregi szwedzkie oddzielały obozowisko Paska, zatoczone na jednej z duńskich wysp, od rodzicowej siedziby jego przyszłej; podróż więc zarysowywała się w jego umyśle najeżona niebezpieczeństwami. Nie zważa on jednak na niebezpieczeństwa, na przeszkody. Niemasz dlań złej drogi. Spieszy — i nieopowiadając się nikomu, opuszcza obóz.

Stary polski obyczaj wymagał, aby w uroczystych chwilach życia, a wstęp do godów do najbardziej solennych chwil zaliczano, tak porady w kole rodzinnem zasięgano, jak niemniej pytano o zdanie dalszych a życzliwych, szukano towarzystwa i przyjaznego udziału dziewosłębów i drużbów. W sąsiednim posterunku naszych obozów posiadał pan Pasek krewnego i przyjaciela. Był nim Rylski, który »chorągiew trzymał« w hufcach Imci pana Kazimierza Piaseczyńskiego starosty ostrołęckiego.

Do niego tedy spieszy Pasek i ze zdziwieniem a niemałą radością spostrzega, iż ów krewniak Rylski, znać człowiek doświadczony i wiedzący jak z zakochanymi poczynać, nie sprzeciwia się w niczem jego myśli; owszem namawia go nawet — chociaż namawianie było zbytecznem — aby jechał do narzeczonej i »nie rzucał okazyi«... Zachęta krewnego, człowieka bardziej poważnego i wiekiem i urzędem, który sam nawet obiecuje towarzyszyć zakochanemu w charakterze dziewosłęba, rozwiała chwilowo wszystkie skrupuły.

Jeszcze dni kilka, a zdawało się, marzenia zakochanych zostaną ziszczone. Wszelkie nawoływania do spełnienia obowiązków społecznych, nawoływania wewnętrznego głosu sumienia narodowego, nikły... kryły się w głębiach sumienia. Trwogi, niebezpieczeństwa zamykające mu drogę — jak sam się wyraża — liczył na »mendle«, wszakże jechał wraz z owym dziewosłębem Rylskim. U wód oddzielających wyspę od lądu Jutlandyi, dowiadują

się oni o całym zastępie nieprzyjacielskich hufców, które opanowały pobrzeże jutlandzkie. Wylądowanie stało się niemożliwem. Dwaj z tysiącami walczyć nie mogli: cofnęli się więc. Zapory ze stali i mieczów szwedzkich silniejszemi znać mienił argumentami Rylski, niżeli to wszystko, co mógłby rzec w tej sprawie wbrew chęciom zakochanego. Zostawiał przeto argumentacyą więcej działaniom losu i okoliczności, które w istocie nie omieszkały wyrzec swego słowa. Los wojny wtedy właśnie oddawał jutlandzkie pomorze do rąk Szweda, który się tam umacniał, sypał wały i warownie, a zbrojno od morza zamykał się. Największy animusz miłośny i siła miecza bodaj najprzeważniejsza, podołać tu nie mogły, gdy dwóch miało do walczenia z całymi zastępami Szwedów. Cofnięto się, lecz nie dano za wygraną. Pasek mniemał, że wróg opuści wprędce półwysep, droga przeto do ukochanej stanie otworem; siła uczucia widocznie jeszcze raz brała górę nad rozwagą i obowiązkiem. Pamiętnikarz ze zwykłą sobie rubasznością i prostotą niezrównaną opowiada nam o tem: »A ja — powiada on — po staremu zamierzam, jak Szwedów z tamtego miejsca wykurzą (z Jutlandyi), zaraz jechać«...

Głos trąby bojowej wzywający nasze wojsko z Danii do Polski, był tu stanowczą przeszkodą do owego jechania ponownego. Tak przynajmniej sam Pasek o tem rozwianiu swych zamiarów powiada; lecz bliższe wpatrzenie się w stosunki chwili i usposobienia zakochanego rycerza wskazuje inne pobudki, niepochodzące właśnie ze zbiegu okoliczności zewnętrznych, niewysnute z sieci zdarzeń i zawikłań losu niezależnie od niego oplatających, ale wprost będące wynikiem walki wewnętrznej...

Obowiązek wziął górę nad uczuciem, walka długa skończyła się zwycięstwem rozumu i powinności obywatelskich. Rycerz nasz, acz zbolały, szukający chwilowego uspokojenia i ratunku na swe sercowe utrapienie w kole-

żeńskiej, wesołej uczcie, rzekł, iż wszystko skończone; a rzekł to z rezygnacyą, w której brzmiały dźwięki poważnej nader pobudki. O pobudkach tych nie mówi wprawdzie Pasek na tej karcie, co zamyka opowieść o losach jego miłości; niemniej jednak wobec opowiadań szczegółowych o walce wewnętrznej uczucia z obowiązkiem, niepodobna ani na chwilę wątpić o pobudkach, które go skłoniły w ostatniej chwili do stanowczego zerwania nici swych marzeń i wyrzeczenia, że jego zamysły w niwecz się obróciły. Pobożny rycerz XVII wieku, każdą sprawę życia rozpoczynający od modlitwy i zwracający nieustannie wzrok ku nieziemskim przestworzom, gdzie szuka natchnienia, pomocy, gdzie widzi źródło wszelkich spraw ziemskich, i w tej ostatniej chwili, chwili stanowczego lecz wśród ciężkich i bolesnych wahań się otrzymanego zwycięstwa, wśród tryumfu opłaconego wyrzeczeniem się rojeń najmilszych, woła: »Miły Boże, podobno to do mojej intencyi nie masz twojej świętej woli«... Nie przypisuje on sobie tu żadnej zasługi, nie rozszerza się nad swem cierpieniem, którem zwycięstwo okupił. Przytoczone przed chwilą wyrazy były ostatnim okrzykiem bolu kochającego serca. Od owej chwili znika wszelkie wahanie się. Rycerz nasz już nie czyni ani jednego kroku na drodze możliwego poniekąd połączenia się ze swą ukochaną, acz okoliczności składają się po temu; nie pragnie wejść do szeregu hufca, który czas jakiś miał jeszcze w Danii pozostać, lecz spieszy, by coprędzej opuścić rodzinną ziemię swej ukochanej. Tem większa tu zarysowuje się moc ducha, iż znowu zaczynają się około niego słyszeć rady i namowy do pozostania. Człowiek mniejszej woli i bardziej podatnych usposobień, chętnie poddałby się tym namowom, zachętom; wszedłby na pośrednie drogi, rzekomo nie wiodące do połączenia się z ową ukochaną cudzoziemką, a zaszedłby za daleko, aż do zerwania z krajem, aż do wprowadzenia innych pierwiastków do gniazd ro-

dzinnych. — »Pozostań z półtoratysiącznym hufcem Imci pana Piaseczyńskiego; będziesz miał jeszcze szerokie pole odznaczenia się, zasługi, — pozostań jeszcze z nami« — mawiali liczni przyjaciele, doradzcy. I krewniak Rylski wśród tych doradzców się znalazł. I on namawiał do pozostania w obozie; miał tu na celu i wypróbowanie stałości charakteru towarzysza broni i powinowatego zarazem, i może przezeń mówiły po trosze zamiary egoistyczne. Rylski bowiem należał również do szeregów Piaseczyńskiego, które miały tam jeszcze czas jakiś próbować siły miecza swego na szwedzkich karkach.

W słowach tego powinowatego, a brata po mieczu, brzmiały, zdaje się, nuty zachęty jedynie do pozostania w jednych hufcach, do walczenia pod tymiż samymi proporcami; niemniej jednak Pasek i tych pośrednich dróg się obawiał. W umyśle jego już tryumfującym nad uczuciem, brzmiały jakimś dźwiękiem niesfornym słowa krewniaka. Środkowcem oszukującym siebie, wchodzącym z sobą w rokowania, człowiek XVII wieku być nie chciał... nie umiał...

»Będzie jeszcze wiele okazyj — mówił ów Rylski, gdy wchodził na tor namów — tam możemy być i postanowić o dalszem, a potem wolno będzie czynić z tem, co chcecie«...

To tajemniczo wyrzeczone »tam« zadźwięczało w głębi piersi rycerza. Zwycięzca samego siebie w głębi ducha swego jeszcze raz się zawahał. Był to ostatni strzał ustępującego z pola zwyciężonego uczucia. Zawahał się, lecz się nie cofnął, i żadnem, by najmniejszem słowem nie zdradził swego samotnego wahania się. Tylko »myśl nachyliła się do tej perswazyi«; lecz lot myśli szybkim jest: nadpłynęła ona, »nachyliła się«, wnet jednak i zniknęła na szybkiej fali rozumowania. Tryumfujący rozsądek nie pozwolił jej gościć w swej zwycięskiej dziedzinie.

W niewiele dni później już otrąbiono odejście »Czar-

niecczyków« do Polski. I Pasek szedł z nimi, acz boleść wyciskała mu łzy na rycerskie jego oblicze. Lecz on się nie wstydził, bezwiednie bowiem odgadywał, że te łzy dorzucają laurów do jego moralnego zwycięstwa. — »Poszliśmy tedy — pisze on o sobie po wielu latach — poszliśmy tedy szczęśliwie ku granicy, pożegnawszy się z owymi, co tam pozostawali, i zapłakawszy, poglądając w tamtę stronę, gdzie się mnie na zimę spodziewano«...

Szczerze Pasek o łzach swych mówi, o łzach niezniszczonych rojeń miłości. Nie wstrzymywał on ich, dawał im wodze, by płynęły całym strumieniem. Nie wstrzymywał swych łez, ani też wzroku, który wciąż znaglał go do oglądania się, bo biegł wstecz, przebywał na łodzi wyobraźni cieśniny wód duńskich i stawał u bram ukochanej. Lecz wzrok ten, acz wciąż cofający się, nie doścignął owych gońców, których ku niemu słała ukochana, acz gońców tych było kilku; wieźli listy, zaklęcia, wezwania do powrotu. Czyby się im poddał, gdyby go dościgły? Czy nie dość, iż swą myśl, wzrok, ale i stopy wsteczby cofnął? Nie wątpimy, iż i tym razem wyszedłby zwycięsko. Nie szukał on walki z miłością, lecz wszedłszy w te szranki, umiał zawsze na wodzy trzymać wyobraźnią i uczucie, a przeto umiał i zwyciężać, nigdy nie przestawał być sobą. Ponad miłością kobiety górowała w nim miłość ku społeczeństwu, górowało wysokie poczucie swych obowiązków: i te to czynniki były jego puklerzem i sprzymierzeńcem zarazem. Im to, nie sobie, zawdzięczał zwycięstwo; one sprawiły, iż był sobą, sobą pozostał, i w chwili ciężkiego bolu, gdy poświęcał miłość dla obowiązku, mógłby był z Dantem zawołać: — »Wielką miłością swoich ja kochałem — dzisiaj ta miłość tu się doskonali«...

Pisałem na Zadnieprzu, u źródeł Końskich-Wód,
d. 18 Lipca 1882.

JEDEN DZIEŃ Z ŻYCIA PIOTRKOWA

w XVIII wieku

JEDEN DZIEŃ Z ŻYCIA PIOTRKOWA
w XVIII wieku.

W połowie XVIII wieku, głębokie uśpienie, w jakiem zostawała Rzeczpospolita pod rządem Sasów, przerywanem było jedynie ucztowymi wiwaty, biesiadnymi okrzyki, lub szczękiem oręża wojsk cudzoziemskich, które wzdłuż i wszerz przeciągały przez jej obszary, niszczyły jej niwy, ogładzały znękanego swą niedolą kmiecia, a wnosiły zepsucie pod dachy szlacheckich dworów. Tamtoczesna Rzeczpospolita, patrząc na to, widzieć w tem zła nie zdawała się. Strzelano rzęsiście z moździerzy na całej przestrzeni kraju, z powodu zaślubin znanego rodu wojewodzianki, lub wjazdu do starościńskiego grodu nowomianowanego starosty. Na opędzenie się zaś od łupieżczych gromad hajdamaków, od czambułu Tatarzyna, od pruskich werbunków, od zniewag i nieustannego lekceważenia przez ościenne mocarstwa, nie było ani jednego działa, ani garści prochu, ani jednej dłoni do rusznicy lub lontu. Gwar uczt wesołych, mów inauguracyjnych, okrzyków zbytkownie podejmowanych przyjaciół, stronników, klientów, zagłuszał wszelką świadomość rzeczywistej niedoli. Ówczesny »Kuryer polski« nieprzebrany daje nam materyał do odtworzenia owych chwil życia dość hałaśliwego, lecz zarazem, poza tymi

pozorami pomyślności, życia bez treści, a rzeczywistej niedoli i łez wielu milionów wieśniaczej rzeszy. Cieszono się widokiem wokoło dawnych instytucyj, wyrobionych wielowiekową pracą licznych pokoleń; ale były to już tylko formy: duch, który ożywiał je ongi, od dawna uleciał. Rzeczpospolita była już wtedy na poły martwą, acz nie dotknął jeszcze jej czoła anioł zniszczenia, nie nadeszła doba zgonu, będąca jutrzenką moralnego odrodzenia się narodu... Nędza w one dni saskie, poza miedzą obejść szlacheckich, była dokoła; nędza spotyka się i w kmiecych lepiankach, i w dworach średniej szlachty; braki moralne i materyalne przeświecały z poza błyszczących pozorów; ogół jednak brzmiał okrzykami bezmyślnego wesela, jakby doba największej pomyślności roztaczała się przed narodem. Gazeta ówczesna przepełniona jest wiadomościami o festynach blaskiem swym oślniewających, o »ingresach« biskupich, odbywanych z przepychem monarszym, o świetnych wjazdach starostów na urzędy grodzkie, do mieścin ongi zamożnych, a wówczas już ubożuchnych i grodów rzekomo obronnych, które, dzięki niedbalstwu starostów, w proch się rozsypały. Bieda wieloraka, co kraj wówczas trapiła, miejsca znaleźć nie mogła na pobieżną bodaj wzmiankę w »Kuryerze polskim«, tamtoczesnej, nader popularnej gazecie. Rozpisując się o festynach, bankietach, o nieustannem biciu z dział i »rezonancyi kapeli«, nie mieli znać wiele miejsca na wzmiankę o biedzie. Gdy huczały działa jednocześnie wzdłuż całej Rzeczypospolitej — od równin nadstyrzańskiego Beresteczka, po piaszczyste ławy baltyckiego wybrzeża — w dniu nader ważnym, bo w dniu imienin pani Zofii z Sieniawskich, wdowy po Denhoffie, dziedziczce dóbr wielomilionowych, któż mógł dosłyszeć jęku rzeczywistej niedoli? Pilnie musi się wpatrywać oko badacza w tamtoczesny materyał dziejowy, by snuć szarą nić prawdy śród wzorzystych barw łudzących pozorów. Są jednak te szare nici tu i owdzie

rzucone i we wspomnianej przez nas gazecie. Obok nowin z Poznania, iż »wojewoda kaliski Działyński wyjeżdża (w lutym 1758 roku) z dóbr swoich Konarzewa do Racata, dóbr księżnej Imci Jabłonowskiej, wojew. rawskiej, na zakończenie karnawału« [1]), obok wzmianki »z Glinian« o weselu pani oboźnej koronnej, z Dzieduszyckich Błędowskiej, wychodzącej za mąż *secundo voto* za Potockiego starostę nowosielskiego — spotykamy niekiedy, chociaż nader rzadko, i wieści bardziej oddziaływające na losy społeczne, niż bale i »karnawałowe maszkary«... W tymże bowiem numerze tamtoczesnej gazety czytamy, iż... »wojsko rosyjskie, które rozłożone było w Litwie, za ordynansem Imci pana feldmarszałka Fermera, rozmaitymi traktami maszeruje do Prus, dokąd już w przeszłym miesiącu kilkadziesiąt tysięcy innego wojska ze Żmudzi i Kurlandyi weszło i prawie cały kraj pruski opanowało« (1758) [2]). — Były to wieści znaczenia wielkiego, a groźne; zamykając Baltyk i ujścia Wisły zbrojnymi szeregi, niszczono jedyną drogę zbytku produktów rolnych Rzeczypospolitej, której całe bogactwo oparte było na roli i handlu zbożowym z Gdańskiem. Niektóre umysły znać dobrze rozumiały, jak dalece brzemienną jest smutnemi następstwy wówczas właśnie tocząca się wojna Rosyi z Prusami i zajęcie dolnego Powiśla przez wojska rosyjskie, gdyż w pierwszych dniach 1758 roku, ręka jednego z ziemian skrzętnie notuje w domowym raptularzu posuwanie się kolumn wojsk cesarzowej Elżbiety w głąb posiadłości pruskiego Fryderyka i do Gdańska, który lada chwila mógł być odciętym od ziem polskich. »Do Malborga i ekonomii tamecznej już także weszło kilka tysięcy Moskwy« — pisze ów ziemianin ku pamięci potomnych... »W dobrach zaś Bystrskich Imci

---

[1]) Kuryer polski, Anno 1758, Nr. VII.

[2]) Mówi się tu o Prusach ongi książęcych, a wówczas już wcielonych do Brandeburgii, tytułującej się Królestwem Pruskiem.

p. wojewody chełmińskiego, i w starostwie gniewskiem — dodaje tenże raptularzysta — rozłożyło się 2000 Kozaków dońskich [1]). Do powiatu Bytowskiego weszła także komenda rosyjska, domagając się kilkuset podwód, »*quo fine* z regencyi i magistratu tamecznego kilku zastawników zabrali«... »Jest odgłos — czytamy dalej w tymże pamiętniku — iż Rosya zabiegając temu, aby królowi pruskiemu żadnych zbóż z Gdańska nie dowożono, żadnych szkut ze zbożem, za otwarciem Wisły do tegoż Gdańska nie dopuści. Co, jeżeliby się sprawdziło, tedy przez zatamowany handel takowym sposobem cała prowincya nieznośną poniesie szkodę«... Przewidywania ziemianina, nieznanego z imienia pamiętnikarza, iściły się z dziwną szybkością. Nie szanowano neutralności Rzeczypospolitej i nie poprzestając na przechodach wojsk przez jej kraje, zajmowano polskie grody, rugowano garnizony z fortec, zastępując takowe własną załogą. Czyniło to mocarstwo w przyjaznych z Rzecząpospolitą stosunkach wówczas zostające, a czyniło bezkarnie, bo słaby rząd tamtoczesnej Polski nic nie mógł przedsięwziąć, nad czcze protestacye i »usilne rekwizycye« — jak się wyrażano naówczas prosząc, »aby Rzeczpospolita, nieimplikująca się *nullo praetextu* (pod żadnym pozorem) do teraźniejszej zagranicznej wojny, w pożądanej zostawiona była spokojności« [2]).

Umysły rzeszy szlacheckiej niepomału zdawały się być tem odcięciem od dolnej Wisły zaniepokojone. Interesa ich rolnicze, główne źródło dochodu w kraju niemającym przemysłu, brzydzącym się łokciem i kwartą, zachwiane być mogły i zachwiane zostały stanowczo. Nie

---

[1]) Starostwo gniewskie było niegrodowem, brało zaś miano od miasta Gniewa (przezwanego przez Niemców *Mewe*), które położone przy ujściu rzeki Ferży do Wisły, zaliczało się do województwa pomorskiego. Starostwo to więc, leżąc w »Prusach królewskich« (dziś zwanych »Zachodniemi«), wchodziło do składu Rzeczypospolitej.

[2]) Tamże.

sądząc więc, iż obawy krajowe dostatecznie zostały uspokojone powyżej przytoczoną wzmianką o protestacyach i »usilnych rekwizycyach u jednego z dworów wojujących«, o szanowanie neutralności Polskie — tamtoczesny rząd Rzeczypospolitej z bardziej szczegółowemi wystąpił zapewnieniami, iż żegluga na dolnej Wiśle wstrzymaną i na szwank narażoną nie będzie... »Podaje się *publico* do wiadomości — pisano w »Kuryerze polskim«, pod datą 22 marca 1758 roku — że lubo wojska rosyjskie po Nadwiślu rozciągają się, jednak ministrowie tegoż dworu, tu rezydujący, upewniają, iż w defluitacyi do Gdańska żadnej od nich nie będzie przeszkody; gdyż szczególnie zakupować mają zboża od tych, którzy dobrowolnie im sprzedać oneż za cenę umówioną zechcą, lecz gwałtem przytrzymywać, ani do sprzedaży przymuszać szyprów nie będą« [1]. Deklaracya ta wziętą była za rzecz najzupełniej uspokajającą. Ówczesny czytelnik »Kuryera polskiego«, ziemianin z województwa wołyńskiego, podkreślił powyższe wyrazy, i postawiwszy około nich »Nb.«, w błogim spokoju pędził dalsze dni żywota... W tymże numerze rzeczonej gazety, nieco wyżej, umieszczona jest wzmianka o gwałtownem zajęciu miasta Elbląga przez wojska z królem pruskim Fryderykiem walczące. Wiadomość to wagi pierwszorzędnej, ale nie robi ona na naszym czytelniku wołyńskim żadnego wrażenia; nie zwraca na nią uwagi, acz to fakt dziejowej doniosłości, bo obalenia filaru nietkniętego jeszcze wtedy w swej całości ogromnego gmachu Rzeczypospolitej. Nie podkreśla on tej wieści w gazecie, nie stawia przy niej »Nb.«, gdyż nie rozumie jej doniosłości... Uczono go pilnie łaciny, lecz snać zapomniał o starem przysłowiu mowy Rzymian: *„Hodie mihi, cras tibi“*... Daleki Elbląg stawał się obcym dla wołyńskiego szlachcica wprzód, zanim kordony oddzieliły go odeń. Za-

---

[1]) Patrz Kuryer polski z roku 1758, N. XVII., str. 3.

czynało się już u nas szerzyć krótkowidztwo polityczne; egoistyczna, powiatowa polityka przeważała w głowach, które nie umiały się podnieść myślą ponad walące się płoty własnego obejścia. Troski domowe, nierząd pod rodzinną strzechą, często dorównywający nierządowi, co kwitnął w kraju, doszczętnie zabijały wszelką myśl poważniejszą o strzeżeniu pomyślności i nietykalności państwowej. Usuwano przedniejsze filary z gniazda uwitego wielowiekową ojców pracą, a nikt na to i uwagi nie zwracał. Sklepienia, pozbawione głównych podpór, runąć już były gotowe na głowy godowników; pomimo to wszakże ani na chwilę nie milkły biesiady, uczty, nie miała wytchnienia »rezonancya kapeli«... Korzystano z lada sposobności, aby popisać się czczą deklamacyą i nieustannem biciem z dział zagłuszyć wszelkie obawy, jeśli kiedy takowe budziły się na dnie sumienia narodowego. Cudzoziemiec przejeżdżający przez Polskę w oną dobę powszechnego obałamucenia rzekomą pomyślnością kraju, zdumiałby się niemało, na każdym spotykając kroku objawy niezwyczajnej radości w grodach, mieścinach i szlacheckich zamkach Rzeczypospolitej. Przypatrzmy się jednemu z tych hałaśliwych festynów, który się odbywał w trybunalskim Piotrkowie, z powodu wjazdu na tameczne grodowe starostwo nowomianowanego starosty, Imci pana Jacka Małachowskiego kanclerzyca w. kor., a mieć będziemy bodaj przybliżone pojęcie o tamtoczesnem skrzętnem korzystaniu z lada powodu, aby olśnić bliższą i dalszą okolicę świetnością wystąpień, niczem poważniejszem nieusprawiedliwionych.

Dzień 19 czerwca 1758 roku był chwilą owego wjazdu odznaczającego się tak wielkim przepychem, wspaniałością i tłumnem zebraniem szlachty z Sieradzkiego i innych przyległych województw, iż na długo utkwił w pamięci trybunalskiego grodu. Długo o owym dniu gwarnym wspominano w Piotrkowie, acz nie zostawił on po sobie

żadnej trwalszej pamiątki, jak niemniej nie istniały żadne godne uwieńczenia powody, co wywołały tę chwilę hałaśliwą. Był to objaw ducha czasu i obyczaju epoki; i jako taki tylko, jako jeden z drobnych a barwnych okruchów mozaiki dziejowej, godzien jest zapisania na kartach wspomnień przeszłości narodu.

W pierwszych tygodniach powołanego 1758 roku starostą grodowym piotrkowskim był Imci pan Paweł Mostowski, mąż światły, ojciec słynnego Tadeusza Mostowskiego, późniejszego ministra królestwa kongresowego. Tadeusz Mostowski dopiero w ośm lat później miał przyjść na świat, gdy rodzic jego na senatorskiem krześle województwa mazowieckiego zasiadał, w epoce zaś naszego opowiadania Imci pan Paweł Mostowski marzył dopiero o senatorskiej godności. Marzenia wprędce urzeczywistnić się miały. W dalekiem pomorskiem województwie, schorzały od dawna wojewoda pomorski Jakób Narzymski nie rokował dni długich. Od kilku lat czekano jego zgonu, gdy nagle, na początku 1758 roku, rozeszła się wieść, że stary, niemocą złamany, wojewoda pomorski, Narzymski, dobrowolnie w ręce królewskie złożył swą godność senatorską. Niejeden sięgnął skwapliwie dłonią po ono krzesło, rad będąc przesiąść się z jakiej drążkowej kasztelanii na poczesne, bo w pierwszym szeregu leżące miejsce w senacie. Zabiegi jednak Pawła Mostowskiego, starosty piotrkowskiego, okazały się skuteczniejszymi od innych; Mostowski posiadał prawo obywatelstwa ziem pruskich i posiadłości w onych ziemiach — co stanowiło nieodzowny warunek otrzymania urzędu w ziemiach pruskich — był tedy kandydatem posiadającym szanse bardziej go zbliżające do krzesła pomorskiego, niż inni z nim współubiegający się. I rzeczywiście, król August III. w połowie kwietnia 1758 r., »mając wzgląd na zasługi w ojczyźnie i wypróbowaną wierność ku osobie swojej — jak się naówczas wyrażano —

dobrotliwie konferował toż województwo Imci panu Pawłowi Mostowskiemu, staroście piotrkowskiemu«.

Pozostałe po Mostowskim starostwo grodowe piotrkowskie, ani na chwillę mienić się nie mogło wakującem. Jednocześnie bowiem z podniesieniem do senatorskiego krzesła Mostowskiego, gród piotrkowski oddał król młodziutkiemu kanclerzycowi koronnemu, Jackowi Małachowskiemu. Ojciec nowokreowanego starosty, Jan Małachowski, postać bardzo wydatna w dziejach Polski XVIII w., od lat dwunastu był już kanclerzem w. k. i miał zachowanie niepoślednie u Augusta III, do którego obioru w swoim czasie mocno się przyczynił. Nic tedy dziwnego, że pan wpływów tak szerokich i wysokiego dostojeństwa w Rzeczypospolitej, skorzystał z możności osadzenia na grodowem piotrkowskiem starostwie jednego z licznych swych synów.

Kanclerz w. k., ożeniony z Izabellą Humiecką, córką wojewody podolskiego Humieckiego, kilkanaścioro dzieci posiadał, o których byt dobry i szybkie promowanie w świecie starał się zbyt gorliwie. Jednym z owoców tej rodzicielskiej pieszczotliwości kanclerza było wystaranie się u króla o piotrkowskie grodowe starostwo dla Jacka.

Jacek ów -- Hiacyntem niekiedy zwany — był młodzieniaszkiem, któremu czterech miesięcy brakowało do ukończenia dwudziestego roku życia, gdy gród trybunalski jego pieczy oddano. Pierwszy to nań urząd spadał, ale nie pierwszy tytuł i nie pierwsze starostwo, lubo niegrodowe. Pan kanclerz posiadał po całej Polsce mnóstwo starostw i dóbr noszących rozmaite tytuły własności. Wśród tych olbrzymich obszarów dóbr kanclerza, było na Rusi Czerwonej niegrodowe starostwo grodeckie, ustąpił on je synowi Jackowi, chociaż ten był jeszcze — jakeśmy to rzekli — młodzieniaszkiem o dwudziestej pierwszej wiośnie życia. Obejmując starostwo grodowe piotrkowskie, pan Jacek Małachowski, późniejszy kanclerz wielki koronny,

późniejszy nieprzyjaciel ustawy majowej, tytułował się starostą grodeckim — od niegrodowej mieściny Gródka na Czerwonej Rusi — chociaż gazeta ówczesna (z r. 1758) parę razy o nim wspominając, nie nazywa go tem mianem, zabacza o owym tytule. Znać na bardzo niewiele przedtem ustąpił mu ojciec to starostwo i jeszcze wieść o cesyi nie mogła dojść do wspomnianej gazety, która głównie, jak wiadomo, zajmowała się sprawami domowemi szlachty [1]. Radości, smutki, nadzieje wielkiej rodziny szlacheckiej, jej interesa ściśle domowe, prywatnej natury, znajdowały w tylekroć przez nas wspomnianym »Kuryerze polskim« wierne odbicie; był on jej domowym kronikarzem. Spokrewniona z sobą cała prawie szlachta Rzeczypospolitej, szanująca związki krwi, rodu, aż do najdalszych stopni, aż do gasnących, że tak rzekę, cieni powinowactwa, w rzeczonej gazecie miała wierne odzwierciedlenie stosunków domowych tej lub owej rodziny, dowiadywała się o domowych dziejach członków swego rodu, lub tych gniazd szlacheckich, z któremi ją łączyły rzeczywiste czy urojone węzły koligacyi. Około pierwszych dni lipca numera tej gazety, przybyłe na Ruś, na naddniestrzańskie wybrzeża, do województw pruskich i do dalekich w cieniu wielkich jeszcze podówczas borów leżących siół litewskich, przyniosły liczne szczegóły o wjeździe Imci pana Jacka Małachowskiego na starostwo grodowe piotrkowskie. Czytano tę wiadomość z wielkiem zajęciem, bo nie było zakątka Rzeczypospolitej, żeby ktoś nie był, lub żeby mu nie zdawało się, iż jest spowinowacony z kanclerzem, który przez ożenienie się z Humiecką sporo sobie przysporzył na Rusi i Litwie koligacyj. Bracia żony kanclerza, miecznik i stolnik Humieccy, pożenili się z Rzewuskiemi i Pociéjównami; a jej siostry weszły

---

[1]) Gródek ten nazywał się dawniej Słonym-Gródkiem. Starostwo grodeckie objął kanclerz Małachowski w roku 1757.

w domy Ogińskich i Krasińskich, z któregoto ostatniego gniazda poszedł po kądzieli, dziś we Włoszech panujący ród królów zjednoczonej Italii.

Kanclerz, rojący dla syna przyszłość pełną świetności, nie omieszkał pierwszemu jego wystąpieniu na widownię służby publicznej nadać co najwięcej blasku. Z rezydencyi kanclerskiej, która stale była od lat już wielu w Końskich, z ziemi Opoczyńskiej, została wysłana do Piotrkowa chorągiew nadworna węgierska, aby »przy hucznych moździerzach z ręcznej strzelby dawała ognia«. Chorągiew nadworna piechoty, tak zwanej węgierskiej, jedyną reprezentowała wtedy w owej okolicy siłę zbrojną. Przybyła ona do trybunalskiego grodu na dni parę przed wjazdem nowego starosty i była świadkiem przygotowań wielorakich. W Piotrkowie spostrzegał się ruch zwiększony i przypływ ludności z okolicy, jakby chodziło o wjazd nowego monarchy, lub przyjęcie znakomitego poselstwa jakiej pierwszorzędnej potencyi, nie zaś o zwykłą instalacyą grodowej jurysdykcyi, konferowanej młodzieniaszkowi »ze szczególnej łaski jego królewskiej mości«. Cechy przygotowywały swe chorągwie, puszkarze kręcili się na miejskich wałach około dział, a z kominów klasztoru OO. Franciszkanów, położonego na żydowskiem przedmieściu, buchały kłęby dymu, świadczące, iż nie na samem strzelaniu, nie na huku moździerzy i szumnych »gratulacyach« zakończy się ingres Imci pana kanclerzyca, ale wielkie tłumy szlachty województwa sieradzkiego zostaną *honeste* uraczone z kuchni kanclerskiej, która wraz z chorągwią nadwornej piechoty, przybywszy z Końskich do Piotrkowa, ulokowała się w murach Franciszkańskich.

Kanclerz nie był człowiekiem przesądnym, bo poniedziałek naznaczył na dzień wjazdu syna, bez względu na panujące jeszcze wówczas wśród mas szlacheckich uprzedzenie co do dni feralnych. Na sto dziesięć lat przed ową datą. wjazdu piotrkowskiego, hetman wielki koronny Mi-

kołaj Potocki tak mocno wierzył w szkodliwość rozpoczynania wszelakiej czynności w poniedziałek, iż opóźnił się ze swem wystąpieniem przed naciskającemi go siłami Chmielnickiego, sprzymierzonego z Tatarami, i tem spowodował wielki swój pogrom korsuński [1]).

W Piotrkowie, dnia 19 czerwca 1758 roku, acz to był poniedziałek i czasy nader sprzyjały krzewieniu się przesądów, krzątano się mocno od świtu. Pan Jacek Małachowski, od dnia tego najczęściej Hiacyntem zwany — znać to imię lepiej się nadawało do wysokich urzędów, niż pospolite Jacek — już w przededniu uroczystej chwili zjechał pod Piotrków, i o kilka staj od miasta stanął taborem we wsi Bykowie.

Stara siedziba Wężyków, panów na wielkiej Rudzie, ościenny trybunalskiemu miastu, Byków — dziś Bykami zwany — bardzo się nadawała do pomieszczenia w murach obszernego i już półtorawiekową dawnością okrytego pałacu tłumów szlachty, która z całego Sieradzkiego i z ościennych, a dalekich nawet województw, przybyła na zapowiedziany wjazd Imci pana starosty Małachowskiego [2]). Takie ulokowanie się w przededniu wjazdu w sąsiedniej miejscowości było naśladownictwem wjazdów monarszych, lub wielkich zagranicznych poselstw. Kanclerzycowi zapewne się zdawało, że jest naprawdę udzielnem książątkiem. Natłok szlachty w małej, podmiejskiej wioszczynie i w starym dworze Wężyków nagle stał się tak wielkim, iż pomieścić ową ciżbę wśród ścian obszernego pałacu niepodobieństwem się stało. W cienistych wirydarzach ogrodu, na podwórzach pałacowych, pod strzechą stodół włościańskich, obozowali i gwarzyli przez całą krótką noc czerwcową ci ze spóźnionych Sieradzian, co

---

[1]) Pamiętnik S. Maszkiewicza.

[2]) Byki leżą o cztery kilometry na północny zachód od Piotrkowa trybunalskiego.

nie zdołali się docisnąć do progów domostwa, lub których ubożuchne stanowisko wśród braci szlachty, onieśmielało cisnąć się między możnych panów, skoligaconych z domem kanclerskim lub mu życzliwych, którzy aż z pięciu województw pospieszyli na starościński ingres kanclerzyca. Szlachta zawsze chętnie skupiająca się, zawsze żądna wrażeń i obozowego gwaru, a od półwieku pola ku temu niemająca, bo duch spokoju powiał nad rycerskiemi gniazdy ongi bitnego szczepu, korzystała z możności wspólnego obcowania bodaj w taborze, co dążył na gody weselne brata-szlachcica, albo, skupiony w konne szeregi, towarzyszył jakiemu paniątku wjeżdżającemu na gród starościński, jak to w tej właśnie chwili stać się miało.

Oprócz rzeczonych upodobań ciżby szlacheckiej, istniały i inne jeszcze powody tak gromadnego szlachty przybycia na inkrutowiny piotrkowskie młodziutkiego kanclerzyca. Stary kanclerz, wróg możnowładców i wszelkich reform, usuwających lub modyfikujących przynajmniej dotychczasowe objawy nierządu krajowego, schlebiał szlachcie, szeroce mówił o równości szlacheckiej, co chodzić miała w parze z nierządem i wszelkimi objawami rozprzężenia i wyuzdanej swawoli. Po całej Polsce porozrzucane starostwa, wójtostwa, sołtystwa, rozmaitych nazw donatywy i dobra kanclerskie stały się posterunkami, werbującymi do szeregów jego stronnictwa niezliczone zastępy szlachty. Zewsząd prawie kędy sięgał wpływ kanclerza, szlachta czuła się w obowiązku pospieszyć na piotrkowską uroczystość, która była raczej rodzinną uroczystością domu Małachowskich, niż sprawą publiczną. Promienie tego wpływu od Końskich rozbiegały się długimi szlaki na wsze strony, najdłuższą wszakże linią przebiegając ku wschodowi, przez Ruś Czerwoną i do Zabuża sięgając, gdzie od dwunastu lat miał kanclerz zięcia, Szczęsnego Czackiego, podczaszego wiel. kor., męża jednakich z nim przekonań. Popularność wśród gromad szlacheckich Wo-

łynia posiadana przez podczaszego, była wodą na młyn kanclerski. Zastępy szlachty, oddane na Wołyniu i na bełzkiem pograniczu podczaszemu, nadawały się bardzo kanclerzowi na sprzymierzeńców dla jego stronnictwa, tamującego wszelkie wejście reformom i utrzymującego dawny porządek rzeczy. Ruś Czerwona była zbyt odległą dla Piotrkowa okolicą, aby z niej mógł kto przybyć; lecz lewa połać równin nadwiślańskich, od Sandomierza po Kujawy, dostarczyła sześciuset braci szlachty, z większymi lub mniejszymi orszaki.

Malowniczy więc zaiste był to widok, gdy różnobarwne tłumy zatoczyły swe tabory wśród pałacowych podwórzy Bykowa, na ulicach wioski i daleko poza jej miedze. Patrząc na wesołej szlacheckiej drużyny obozowisko z wałów swego grodu, Piotrków cieszył się nadzieją takiego widowiska, jakiego od dawna nie oglądał w swych murach. Ogniska obozujących Sieradzian, Krakowian, Łęczycan, Sandomierzan i szlachty rawskiej, wielką łuną biły ku pogodnym horyzontom czerwcowego nieba. Noc ta przeszła szybko i spokojnie. Zjadano skrzętnie domowe zapasy, przygotowując się do jutrzejszej uczty. W Bykowie kanclerzyc stołów nie zastawiał, bojąc się o spokój i ład dnia następnego. Zastawianie stołów pociągnęłoby za sobą pijatykę, ta zaś znowu oddając szlachtę w ręce Morfeusza, opóźniałaby rozpoczęcie uroczystości, naznaczonej na godzinę dziesiątą zrana.

Kanclerz nie zjechał z Końskich na starościński ingres syna. Nie zgadzało się to z jego powagą ministeryalną, której pilnie przestrzegał, acz ze szlachtą rad się bratał, podobnie jak to czynił na Wołyniu pan podczaszy w. kor., Szczęsny Czacki, jego zięć a ojciec Tadeusza Czackiego, który dopiero w osiem lat po opowiedzianej przez nas dobie na świat przyszedł. Przybyli więc z panem Jackiem na ów ingres tylko bracia jego starsi i młodszy. Wśród tych starszych braci był Mikołaj, późniejszy woje-

woda sieradzki, był i Stanisław Małachowski, brat rodzony Jacka, także jeszcze młodzieniaszek, gdyż o rok jeno od Jacka starszy, ale już zaszczycony rotmistrzostwem pancernego znaku i noszący tytuł starosty sandeckiego! Ow Stanisław, późniejszy marszałek sejmu czteroletniego, szeroce zasłynął w narodzie i stale innemi rządził się zasadami, niż uroczystujący wtedy Jacek, który całe swe życie z niezłomnym uporem wyznawał wsteczne pojęcia, z jakiemi wzrósł z Końskich, i dzięki tym dążnościom, wręcz niekiedy przeciwnym zasadom wywieszanym na sztandarach narodu, niepochlebnemi głoski zapisał swe imię w pamięci potomnych.

Wczesna doba dnia 19 czerwca 1758 r. zastała cały tabor, obozujący w Bykowie, czuwającym i przygotowującym się do solennego wystąpienia.

Na pierwszym planie programatu był pochód uroczysty do miasta. Zanim jednak ruszono z Bykowa, wszystko co tam było przedniejszego, składało powinszowania nowemu staroście. Powinszowania długo nie trwały; odpowiedział na nie młody Małachowski w krótkich słowach, gdyż czekały nań w tym dniu liczne odpowiedzi, a zresztą godzina dziesiąta, chwila rozpoczęcia uroczystości, zbliżała się i na bruku pałacowego dziedzińca już rozlegał się turkot »kilkudziesięciu karet poszóstnych«, któremi dążyć mieli przedniejsi, »co się zjechali w licznej frekwencyi« — jak tamtoczesny korespondent piotrkowski, piszący do gazety, wyraża się [1]).

Pochód do miasta rozpoczynały owe »poszóstne« karety w liczbie kilkudziesięciu, otoczone służbą, dworzanami i pacholikami. Ostatnia z nich, nader suto przybrana, »paradną« nazywana, nikogo nie wiozła. Należała ona do młodego starosty piotrkowskiego, który jechał konno wraz z braćmi, we wspaniałym orszaku znakomitszych obywa-

---

[1]) Patrz Kuryer polski z r. 1758, N. XXVI.

teli pięciu województw. Orszak ten kilkuset jezdnych powiększony dwakroć, jeśli nie wyższą liczbą ich dworzan i służby, dla patrzących z wałów miasta Piotrkowian zdawał się bezbrzeżną smugą, której czoło zbliżało się ku przedmieściom, koniec wraz z gęstymi obłokami kurzu ginął na dalekim widnokręgu. Skoro widzialnymi już były dokładnie dla tłumów zalegających miejskie okopy pierwsze szeregi owych »poszóstnych« karet, rozległ się huk dział »na salwę« z wałów trybunalskiego grodu i nie ustawał, pokąd cały ten pochód mnogiego ludu nie wtoczył się do wązkich ulic Piotrkowa.

»Miasto tutejsze — pisze wyżej powołany naoczny świadek — mocno na salwę z armat, na szańcu wystawionych, dawało ognia«... »Cechy miejskie z chorągwiami — dodaje dalej — *more militari obviam* (wedle wojskowego zwyczaju naprzeciw) wyszły«... U wejścia do bramy grodu pochód się wstrzymał, a przynajmniej dalsze jego szeregi, wśród których jechał instalujący się starosta. Prezydent miasta powitał go tam długą przemową i wręczył klucze od trzech bram grodu. Prezydentem ówczesnym Piotrkowa był »szlachetny« jak go mieniono, Leszniewicz, któremu starosta odpowiedział »wymowną przemową«, dziękując z »oświadczeniem« przytem, wedle tamtoczesnego wyrażenia się »manutencyi (przestrzegania) praw i przywilejów miasta«.

Po tak uroczystem przestąpieniu progów grodu, gdzie nowokreowany starosta długie lata miał sprawować swą jurysdykcyą, podążył pochód do fary, owej macierzy świątyń piotrkowskich, gdzie cały ten tłum, pomnożony »wielkim konkursem« ludu, niepamiętającego tak wspaniałego wjazdu, słuchał mszy o Duchu św., po której nastąpiły znowu przemowy powitalne i życzenia, w formę panegiryków ubrane.

Długa chwila upłynęła, zanim koniec tych przemów napuszonej treści, a obficie upstrzonych łaciną, nastąpił.

Były bowiem oracye nietylko duchownych, ale i świeckich rzeczników. Wśród pierwszych dały się słyszeć głosy oficyała, z sąsiadującego z Piotrkowem Wolborza, ks. Grochowalskiego, miejscowego profesora szkół jezuickich ks. Rychlewskiego i kilku kapłanów zakonu kaznodziejskiego Dominikanów. Po duchownych rzecznikach, wystąpiła młódź szkolna z powinszowalnymi panegirykami, których treść i forma urobioną była na wzór oracyi ks. Rychlewskiego, gdyż pod jego kierunkiem kształciły się na piotrkowskiej szkolnej ławie upodobania i uzdolnienia owych młodzieńców, co mieli przeżyć nie tylko epokę panegiryków, lecz i dobę samodzielności Rzeczypospolitej.

Kiedy umilkły wreszcie liczne rzeczników głosy, pochód wylał się gromadną ławą różnobarwnego ludu z fary do zamku. Wszystko co żyło w Piotrkowie, wyległo na ulice, przypatrywać się niezwykłemu widokowi. Szczupła przestrzeń owych ulic wązkich nie mogła zmieścić ciżby mnogiego ludu, klaskającego i wydającego okrzyki na znak radości. Dachy wyniosłych domów, otwarte drzwi i okna kamienic, mieściły ów gmin radujący się z jaskrawego widowiska, bo na ziemi, wśród zacieśnionych przecznic starym obyczajem zabudowanego gródka, brakło miejsca dla tych mas ludzi, koni, kolas... Porównywając tameczną przestrzeń, nader maluczką, z tą ilością tłumów co płynęły jedną wielką ciżbą od bramy miejskiej do fary i stamtąd na zamek, zdumieniu naszemu niema granic; niezdolni jesteśmy przedstawić sobie, jak mogły się zmieścić owe zastępy obywateli kilku województw, owe ich pociągi i »poszóstne« karety na dziesiątki liczone, owe sute poczty im towarzyszące i wreszcie ów lud klaskający, przy którego okrzykach wszystko to jechało na zamek.

Zamek piotrkowski, dziś zdeptany starej sławy przybytek, nie przedstawiał jeszcze wtedy tak smutnego obrazu zniszczenia, acz już widać było na jego czterowiekowych

murach, iż społeczeństwo, co go ongi wzniosło, weszło w okres upadku; gdzie wszystko dokoła w proch się rozsypywało; gdzie gwar chorobliwej radości rozwijającą się wszędzie sromotę zagłuszał, a fałszywe blaski starały się okryć ową z pajęczyn utkaną szatę łachmanami rzeczywistej niedoli.

Zamek otoczony był jeszcze wówczas fosą, przez którą wązki most prowadził. Poza mostem, w obejściu zamkowem, wzdłuż fosy, stały szeregi przysłanej z Kozienic nadwornej chorągwi węgierskiej piechoty kanclerza. Piechota owa zagłuszała okrzyki ludu, dawała bowiem nieustannie ognia z ręcznej broni. Do starego przybytku obrad narodu, do siedziby królów, do świątyni tylu wzniosłych myśli, co stały się ożywczem światłem swobody dla wielkich obszarów wschodniej Europy, pieszo wchodził młody kanclerzyc, a za nim drużyna szlacheckiej rzeszy. Nie poczucie wszakże świętości wspomnień, przywiązanych do tych murów, skłoniło owe panięta do zostawienia rumaków zdala od zamku i wchodzenia pieszo na jego dziedziniec, lecz wązkość mostu była ku temu jedyną przyczyną... Skarłowaciałe, a harde w swej ciemnocie, pokolenie doby saskiej nie przypuszczało nawet, by mogło się mienić niższem od tych ojców narodu, co prawie przez półtora stulecia, za dni Jagiellonów, pracowali pod onemi sklepieniami swą głową.

W jednej z izb starego sejmowego gmachu odbył się obrzęd przysięgi na urząd starościński. Mała tylko liczba przedniejszych zdołała się docisnąć do wnętrza komnat zamkowych; inni wsparci o wspaniałe odrzwia — zabytki świetności i dobrego smaku doby Jagiellońskiej, która odnowiła i ozdobiła tę siedzibę, pamiętającą dni Kazimierza Wielkiego — lub zalegając dziedziniec i most, gwarnie a wesoło przysłuchiwali się i przypatrywali obrzędowi przysięgi starosty na swą jurysdykcyą, co wedle praw i obyczaju, wobec kasztelana sieradzkiego zostało wykonanem.

Nie na tem jednak był koniec obrzędu, nader zwyczajnego gdzieindziej i w innej epoce, któremu starano się tu nadać znamię podniosłego aktu. Młodociany starosta wystąpił z oracyą wymowną, jak ją mienili zawsze gotowi do zachwytu liczni przyjaciele domu Małachowskich. Było to hasłem do całej powodzi dłuższych lub krótszych przemówień, nastrzępionych napuszystymi zwroty, zaprawnymi łaciną. W każdym wyrazie było przesady pełno, tak w formie jak w treści. Pan Jacek Małachowski oświadcza, iż »świętą sprawiedliwość« wymierzać będzie i łaskawie ofiaruje swe »przychylne usługi« powiatowi piotrkowskiemu; a oświadcza to młodzieniec tak wyniośle, jakby wymierzanie sprawiedliwości nie było jego obowiązkiem, lecz jeno łaską. Przemówienia dalsze Im. pp. Tymowskiego sędziego, Starczewskiego pisarza, Mostowskiego regenta sądów grodzkich piotrkowskich — nie przedstawiały pamięci godnych okazów wymowy piotrkowskich rzeczników...

Do czczej deklamacyi zaliczyć również wypada i przemowę p. Magnuszewskiego, wojskiego czerskiego, który w wyrazach nader szerokich rozwodził się nad »precedencyą i dziełami starożytnego domu Małachowskich«, którego zawiązki widział mówca omal nie za dni króla Popiela i w epoce jego smutnej z myszami katastrofy; stanowczo bowiem twierdził, że za Mieczysława I. ród Małachowskich był znakomitym.

Gdybyśmy mogli dać wiarę wszystkim relacyom naocznego świadka tego obchodu, to należałoby zaznaczyć, iż Magnuszewskiego mowa »z ukontentowaniem wszystkich była wysłuchaną«. Wskazówkę tę jednak podajemy w wątpliwość, zważywszy, iż uroczystość przeciągała się nad miarę; mowa wyszukująca Małachowskich za Bolesławów i Mieczysławów, przypisująca panom z Końskich główne zasługi przy zawarciu karłowieckiego traktatu, krótką być nie mogła; gdy tymczasem żołądki owej generacyi, co lubiła ucztować z popuszczaniem nawet pasów,

jak mówi przysłowie, domagały się posiłku. Wysłuchawszy przeto jeszcze kilku panegiryków młodzi szlacheckiej, w szkołach miejscowych, pijarskich kształcącej się, i jej przewodnika ks. Dzierzkowskiego, udały się te tłumy, zaproszone przez starostę piotrkowskiego, do konwentu OO. Franciszkanów, gdzie przy kilkunastu stołach rozstawionych w refektarzu i na korytarzach kościelnych, podejmowano ich, a przy hojnych libicyach strawiono w klasztorze resztę czasu do późnego wieczora dnia owego, poniedziałkowego, oraz nazajutrz, w dniu wtorkowym, bo młody starosta piotrkowski miał, jak wtedy mawiano, »dla każdego otwarte serce do ukontentowania i stoły do nasycenia«. Biesiada przeto u OO. Franciszkanów trwała dwie doby.

Obyczajem było wieku, że starosta nowokreowany wprowadzany zawsze bywał przez ustępującego swego poprzednika. Pomnażało to mów i toastów mnogość, w niczem się nie przyczyniając do ułatwienia ciężkich zadań grodowej władzy, rozpoczynanej przy huku dział, przy nieustannem z ręcznej broni strzelaniu, wśród mów pochwalnych, panegiryków i owacyj ogłuszających, sprawowanej zaś najczęściej z lekceważeniem i niedbalstwem, przekraczającem wszelkie granice. Tym razem atoli poprzednik kanclerzyca na piotrkowskiem grodowem starostwie, pan Paweł Mostowski wojewoda pomorski, nie przybył na ingres Małachowskiego. Spodziewano się go jednak, i Mostowski rzeczywiście dążył z ziem pruskich do Piotrkowa, dla niezdrowia jednak spóźnił się i zastał tylko opróżnione antały wina i opadający dym z salw moździerzowych. Był to znać dobrodziej Jezuitów zakonu, bo go witało owo zgromadzenie i czyniło mu szczególne honory. Nie sądźmy wszakże, aby z Pomorza Mostowski tę podróż do Piotrkowa przedsiębrał, chociaż w owej dobie u możniejszych i tak daleka podróż dla błahej przyczyny rzadkością nie była. Odległość, koszta znaczne, trudy niemałe,

nieodłączne od tamtoczesnych podróży, jeśli o zadosyćuczynienie ambicyi lub nawet fantazyi chodziło, nikogo nie odstraszały. Zresztą nasz wojewoda, acz pomorskim się mienił, zdala od morza się trzymał, bo mieszkał w swym Ostromęcku, majętności blizko Torunia leżącej, co także znamieniem jest zwyczaju tamtoczesnej epoki. Wojewodowie, kasztelani, starostowie grodowi zdala mieszkają od swych urzędowych rezydencyj; siedzą na roli lub w stolicy; omijają prowincyonalne miasta, zostawione na łup Żydów, nędzy i ciemnoty. Mostowski wojewoda pomorski w Ostromęcku przemieszkuje i tam wyprawia galę na królewskie imieniny, które pospolicie 3 sierpnia obchodzono. Współczesny naszej opowieści, Woronicz kasztelan kijowski, jeszcze dalej bawi od swego grodu (Żytomierza), bo w dobrach czerwonoruskich[1]) i tylko gdy sejmik miano składać w stolicy województwa kijowskiego, w Żytomierzu, przyjeżdża na dni kilka do województwa kijowskiego, do miasteczka Trojanowa, swej majętności ościennej Żytomierzowi, i stamtąd na dni parę zagląda do grodu: co tamtoczesne gazety, za zasługę mu nawet licząc, mienią »poświęceniem się dla dobra pospolitego«... Inni także w wiejskich zaciszach radzi przesiadywali. Surmy bojowe wtedy wcale nie grzmiały, sejmy nie dochodziły, pocóż się więc miano ruszać? Chyba na bankiet do sąsiada, na inkrutowiny do starościńskiego grodu, na pogrzeb, odpust lub koronacyą cudownego obrazu do poblizkiej świątyni. Drzemano w swych zacisznych dworach w najlepsze, drzemano aby się ocknąć dopiero wówczas, gdy już było zapóźno... gdy dachy osłaniające ową drzemkę, nad głowami się im obaliły... Wychylanie się z gniazd rodzinnych na tego rodzaju uroczystości, jak opowiedziana przez nas w Piotrkowie, na uroczystości zabarwione dwudniowemi

---

[1]) *Addytament* do »Kur. pol.« r. 1758, Nr. 36.

libacyami, nie było przebudzeniem się, ale jeno sennem marzeniem owej drzemki społecznej.

Po takiem marzeniu, które im się wydawało pracą, spełnieniem obowiązku, było zaś tylko objawem chorobliwym wielkiej niemocy narodu, wpadano w sen coraz głębszy, z którego następne pokolenia otrząść się miały — acz niezupełnie.

Po dniach gwarnych 19 i 20 czerwca 1758 r., po libacyach i ucztowaniu, zaprawnem wypróżnianiem wielu beczek wina, nastąpiły dla Piotrkowa chwile ciszy, powszedniej biedy i codziennej apatyi, wstrzymującej wszelkie pojedyncze usiłowania wybrnięcia z bagnistych topieli, w których kraj tonął. Duże sumy, wydane na podejmowanie wesołego grona braci szlachty z pięciu województw przybyłej, proch zużyty na »rzęsiste strzelanie«, mogły chociaż w malutkiej cząstce przyczynić się do obrony krajowej, której nie było... Dochodziły zewsząd skargi na hajdamaków, w południowych województwach grasujących, niszczących również sioła, jak i miasta i większe nawet handlu ogniska, rabujących wśród dnia wojewódzkie grody, a nie było zbrojnej ręki, coby się stała puklerzem uciśnionych; nie miał kraj ani prochu, ani dział, ani żadnego sprzętu wojennego na swe usługi, gwoli obronie. Wszystko posiadali prywatni, nic rząd, nic państwo; wszystko było w ręku paniąt, którzy, niepomni ile winni tej miłej macierzy, trwonili dobro pospolite i dobro prywatne, i nieznając nieraz miary w swym szale, lecieli ku przepaści, snadź dla tego, aby się spełniły słowa natchnionego kapłana-obywatela [1]), wyrzeczone na półtora wieku przed dobą naszego opowiadania... »Miła matka dała wam — mówił on — taki pokój, jakiego wiele królestw nie mają, za którym napełniły się komory wasze i rozszerzyły pożytki wasze... A u nas pokój i dostatki, które z niego rosną,

---

[1]) »Sejmowe kaz. Skargi« wyd. Turowskiego, str. 20, 21 i 15.

w próżne się utraty obracają, w zbytki i gnoje; a zamki puste, wieże próżne, drugie się obalają i gniją — na przyszłe wojny, i niepokoje oka nie macie... Co rozumem, pilnością a cnotą stanęło, to się nierozumem, niedbałością i złością ludzką obala«...

Pisałem na Niżu Dnieprowym
w r. 1877.



JAN DŁUGOSZ,

PIERWSZY DZIEJOPIS POLSKI

(1415—1480).

JAN DŁUGOSZ,

pierwszy dziejopis polski

(1415—1480).

Studyum biograficzne, wykończone na czterechsetną rocznicę jego zgonu.

»Satis colueris, si imitatus fueris« ...
»Dość dla mnie czci, gdy mię naśladować będziesz« ...
(Epitaph. S. Joan Can.).

Wiek XV nietylko na Zachodzie europejskim, ale i u nas, był dobą nader stanowczą. Była to chwila rodzącego się światła, wiek uczonych, statystów, mężów podniosłego ducha i szerokich poglądów. Dojrzewały wówczas i wydawały owoce prace i pomysły tych, co żyli i zgaśli w ostatnich poprzedzającego wieku latach, na rubieżach dwóch epok. Legły wtedy właśnie podwaliny porządku rzeczy nowego, który miał stać wieki i być wyobrazicielem innej, młodszej doby. Ludzkość ówczesna wychodzi z mrocznych cieniów średniowiecznego życia na szersze i jaśniejsze szlaki, opromienione blaskami odradzającej się cywilizacyi. Wielkie wynalazki stają się potężną dźwignią krzewienia się światła... Podczas epoki zmian

wielkich, przeobrażeń zupełnych, potrzebni byli ludzie wyżsi nad otaczające ich rzesze, którzyby wiedli owe tłumy, trzebili im drogi, wskazywali kierunek dalszej wędrówki. Takich przywódzców na drodze naszego dziejowego rozwoju w XV wieku dość znaczny zastęp spotykamy. Jedne z tych imion znane są szerszym kołom dzisiejszych, inne zapoznane lub zupełnie nieznane, a są i takie wreszcie, którym przypisują tylko jedno pole działalności, zobaczając, iż oni przykładali rękę do pracy na wielorakich niwach trudu gwoli dobru publicznemu. — Jan Długosz, pierwszy nasz dziejopis, należy właśnie do tego ostatniego zastępu. Znane są powszechnie jego zasługi na polu historyi, gdy tymczasem inne, niemałej doniosłości prace na arenie tamtoczesnej dyplomacyi i zabiegi około rzeczy publicznej, w bardziej ścieśnionym zakresie, nader wszakże pożyteczne dla kraju, pozostają w cieniu zapomnienia.

I.

Rok 1415, chwila przyjścia na świat Jana Długosza, był chwilą wielkiego ruchu na Zachodzie, do którego i Polska się przyłącza. Sobór konstancyeński, orzekający prawdy naówczas nowe i wyższe nad swój wiek, ogłasza je przez usta naszego ziomka, Mikołaja Trąbę, arcybisk. gnieźnieńskiego; wtórują mu głosy i innych synów naszej ziemi, na której czele widzimy Pawła z Brudzewa, rektora akademii krakowskiej [1]). Jedną z prawd wielkich, tam wygłoszonych a powszechnie przyjętych, była zasada, wprowadzona na konstacyeńskim soborze przez Pawła z Brudzewa i tam przez niego obroniona, że »pogan mieczem nie należy nawracać«. Doktryna krzyżacka temsamem

[1]) Paweł z Brudzowa (inaczej zwany Paulus Wladimirus), zm. 1435 r., poruszał w mowach swych i pismach wysokie zagadnienia z dziedziny prawa politycznego dla obalenia doktryn krzyżackich.

upadła; i Polska, która zgromiła przed kilku laty Krzyżaków na polach Grunwaldu, otrzymała drugie nad nimi zwycięstwo na widowni rozpraw w areopagu najwyższych umysłów tamtoczesnego świata. Tak więc Jan Długosz, który pracami swemi niemało się przyczynił do wyświetlenia, iż Krzyżacy nie posiadali żadnej prawnej podstawy do panowania na dolnem Powiślu, przychodzi na świat właśnie w chwili, kiedy ludzie nauki zrzucali szatę obłudy z krzyżackiego zakonu, i przekonywali ówczesną Europę, iż Polska, mieczem swym obalająca potęgę krzyżacką, więcej czyni dla cywilizacyi, wiary i pokoju świata, niż zdziałał zakon, noszący godło krzyża.

Nadwartańskie błonia, miasteczko Brzeźnica, były kolebką przyszłego historyka. Ojciec Jana Długosza, również imieniem Jan, człek rycerski, mieszkał wówczas jako urzędnik »rządzca królewskiego miasta« *(praefectus)* na zameczku brzeźnickim. Sąsiadująca z Wieluniem niedaleka od Brzeźnicy, stara osada, Niedzielsko, była własnością owego rządzcy Brzeźnicy. W Niedzielsku więc upływały pierwsze lata dzieciństwa Długosza, i Niedzielsko znać najżywiej zapisało się w jego pacholęcej pamięci, gdyż w późniejszej dobie życia pisze się on Janem z »Niedzielska«. Później nieco otrzymuje od króla Władysława Jagiełły starostwo w Nowem Mieście Korczynie i tam z rodziną osiada. Brzeźnica zatem, Niedzielsko i Korczyn tworzą jedną niwę wrażeń, wśród których rozwijał się umysł, kształciło się i uszlachetniało się uczucie pacholęcia, co w bardzo wczesnej dobie lat urastało na człowieka pracy i zasługi, na miłośnika ziemi rodzinnej i pożytecznego jej obywatela. Dwie pierwsze z rzeczonych miejscowości najbardziej wyrazistemi głoski zapisały się w pacholęcej pamięci młodziutkiego Długosza, i były zarazem najmilszą dobą jego wspomnień. W izbach brzeźnickiego zameczku szczęk oręża, opowieść o niedawnych walkach z Krzyżactwem, o ich krwawych napadach i ucisku do-

lnego Powiśla, o tryumfie grunwaldzkim i trudach obozowych ojca, obijały się po raz pierwszy o ucho i myśl dziecięcą chłopczyny, który nader wcześnie przyzwyczajał się do patrzenia na życie jako na twarde brzemię obowiązku. Wraz z bojowemi opowieści ojca spływały ku umysłowi pacholęcia głos troskliwej matki i jej pełna serca opieka. Pobyt rodziców przyszłego dziejopisa nie był stałym w brzeźnickim zameczku; dzielono go między Brzeźnicą i Niedzielskiem. W tej ostatniej miejscowości, wśród sielskiej przyrody, myśl chłopięcia rozrastała się bujniej i swobodniej, niż w murach ponurego i barwnego zameczku. Tam zapoznał się z pracowitą rzeszą ludu; tam umiłował tę ziemię, której później na wielorakich polach tak wiernie a pożytecznie służył w ciągu więcej niż ćwierci wieku. Korczyn przyniósł inne, nowe, nieznane mu dotąd wrażenia. Myśl chłopięcia już nie na szerokich błoniach, nie na roli, użyźnionej znojem rolnika, nie wśród zielonych gajów, lub w przeźroczu strumieni, czytała o losach spraw bożych, które to sprawy tak umiejętnie spisywać miała ku pożytkowi przyszłych wieków — lecz spoczęła na zwojach pergaminu, na kartach ksiąg, skąd czerpać zaczęła wiedzę. Korczyńska szkoła stała się pierwszą mistrzynią chłopięcia. Był on jeszcze maluczkim, a już uczył się życia i jego obowiązków, już na ławie szkolnej, w Korczynie, zawiązał pierwsze stosunki przyjaźni, zażyłości, braterskiego sojuszu na życie całe z tymi, których los dał mu za współtowarzyszy nauki. Korczyn przyniósł młodziutkiemu Długoszowi, oprócz początków nauki i możności zawiązania stosunków z uczącą się młodzieżą na długie pasmo życia, całe brzemię trosk i niedoli. Matka Długosza, Bożenna Długoszowa, odumarła go w owym czasie, co odemknęło młodemu pacholęciu nową, ciężką dobę istnienia. Stosunki domowe, rodzinne wikłać się dlań zaczęły. Ognisko domowego zacisza płynęło wprawdzie, ale już młode pacholę nie zaznało tam odtąd ani rodzinnego

ciepła, ani spokoju. Starosta korczyński, rodzic przyszłego dziejopisa, wszedł w nowe związki małżeńskie. Obca niewiasta stanęła w korczyńskim zameczku na straży rodzinnego ogniska, które już za własne przestało uważać pacholę; życie pod rodzinnym, tak ukochanym dachem, stawało się odtąd do nieznieśienia; potrzeba było ująć kij pątniczy i pójść w świat, by sobie uwić nowe gniazdo; w dotychczasowem było już za ciasno.

Chwila to wielkiego przełomu w życiu Długosza, chwila orzekająca o przyszłym lat jego kierunku.

Pospolity umysł wytknąłby sobie blizkie i łatwe do osiągnięcia cele, zadowolniłby się maluczkimi owocami zabiegów, lub skarłowaciałby i zmarniał. Z Długoszem miało się stać stać inaczej, gdyż uzdolnienie pacholęcia górowało nad całą rzeszą rówienników, a dążności jego były nader podniosłe. Cisza, powszedni bieg życia, zagrzebanie się gdzieś w zakątku kraju, nie były właściwe dla tej żelaznej woli, dla tego jasnego umysłu, który w chłopięcej dobie lat już czuł się na siłach, iż sprosta bodaj najcięższym zadaniom życia.

Opuszczając dach rodzinnego domostwa, opuszczał tem samem Długosz ławy korczyńskiej szkoły. Akademia krakowska miała się odtąd stać jego uczelnią, a szerokie przestworza tak wcześnie przezeń umiłowanego kraju, zastąpiły mu miejsce utraconego rodzinnego gniazda. Jeszcze nie wyszło pacholę z lat prawie dziecinnych, a już odbywa studya w akademii krakowskiej, którą kończy w siedemnastym roku życia.

Młodociana wówczas akademia, bo otwarcie jej kursów stałe i porządne zaledwie na lat trzynaście przyjście Długosza poprzedza, dawała całą dziedzinę wiedzy swym uczniom, jaką można było w one lata w kraju zdobyć. Po resztę udawano się już i wtedy na Zachód europejski. Teologia stała najwyżej w owoczesnej akademii krakowskiej, której uczniowie, jako biegli jej znawcy, sze-

roko słynęli w całym tamtoczesnym, chrześcijańskim świecie, bywali wielokroć radą dla papieży, zasiadali na soborach powszechnych, dzierżąc tam niekiedy pierwszeństwo miejsca, zawsze zaś pierwszeństwo wiedzy, myśli i słowa.

Po ukończeniu studyów akademickich nie wrócił Długosz do Korczyna lub Niedzielska. Wrząca, pełna miłości nauki, wiary i kraju, myśl młodzieńca kierowała jego krokami, wskazując mu chlubną, lecz długą i nużącą drogę przyszłości. Była to droga pracy, zdobywania co największych zasobów nauki, z którą mógłby pożytecznie służyć swemu społeczeństwu. Nie wahał się ani chwili młody akademik, gdy przyszło do wyboru drogi życia; wszedł na twardy gościniec pracy piśmienniczej i obywatelskiego żywota, co miał go doprowadzić do podwoi nieśmiertelnej sławy, wśród wielu pokoleń gorąco przezeń umiłowanego narodu.

Nauka tamtoczesna istniała, rozwijała się, krzewiła w murach Bogu poświęconych, pod sklepieniem klasztorów, u stopni ołtarzy. I owe stopnie były najczęściej drabiną, wiodącą do podnioślejszych stanowisk w życiu obywatelskiem w pracy około dobra publicznego. Ludzie chcący się wyłącznie poświęcić nauce, pracować z piórem w dłoni, nasycać się tworami mędrców przeszłości, chcący uczyć się, lub uczyć, wdziewali suknię duchowną, stawali w szeregach kapłanów, stróżów w owej epoce, również wiary jak i wiedzy. Ludzi świeckich poświęcających się nauce, było niewielu: Jan Ostrorog, postać znana chlubnie w dziejach naszych, należał do szczupłego zastępu wyjątków. Gdy w r. 1453 przybył do ziemi naszej Jan Kapistran, i w niej rozkrzewiać zaczął swój zakon, tłumy młodzieży najzdolniejszej opuściły ławy akademii, profesorowie zstępowali z katedr, aby przeoblec się w szaty nowej reguły. Nie przeszkadzało to im jednak do dalszych prac na polu nauki, gdyż ćwiczenia ducha, żywot kontemplacyjny jednoczyły się z pracą myśli, ze studyami na niwie wiedzy.

Długosz przeto, poświęcając się zawodowi naukowemu, rozpoczął go od przeobleczenia się w suknię duchowną. Stając u stopni ołtarzy, przyszły dziejopis poślubiał na cały żywot pracę piśmienniczą; miała mu ona towarzyszyć przez długi szereg lat, aż do chwili zgonu. Księga i pióro, praca długich, nużących rokowań, praca zabiegów dyplomatycznych, pilne spisywanie dziejów, kształcenie pacholąt rodziny Jagiellońskiej na przyszłych władzców Polski, zapełniały prawie pół wieku życia niezmordowanego dziejopisa, kapłana, statysty i zarazem wielkiego miłośnika swej ziemi.

Wytrwać bodaj na jednem z rzeczonych stanowisk, bodaj na jednem z zadania sumiennie się wywiązać, zasłużyłoby na dank narodu, zapisałoby jego imię na dziejów karcie — Długosz umiał być wszechstronnym; na każdej z tych niw wielorakiego trudu zdołał stać się pożytecznym, godnym wiekopomnej czci pracownikiem.

Działalność Jana Długosza obywatelska, dyplomatyczna, pedagogiczna i dziejopisarska zlewają się w jedną całość tak stanowczo, tak ścisłymi węzły zdają się z sobą kojarzyć, iż niepodobna mówiąc o jednej o innych zabaczać: wszystkie one bowiem pochodziły z jednego źródła — wielkiej miłości wiary i własnego społeczeństwa. Praca wsparta na tak potężnych filarach dwojakiej miłości była niby dąb, co się rozszczepił na mnogie konary, a wszystkie one biorą swe soki pożywne z jednego pnia; burze mogą strzaskać jego gałęzie i hardzie strzelające ku niebu wierzchołki, lecz pień wieki przetrwa i da życie nowym latoroślom.

Nie mniemajmy jednak, by Długosz odrazu urósł na męża tak posągowego, jakim go życie później urobiło. Młodzieniaszkiem siedmnastoletnim wszedł on na widownię szerszą, nie mógł tedy w pierwszych chwilach rozwinąć całego zasobu sił, hartu woli, wiadomości. Pierwsze urastały dopiero i dobiegały wyżyn rozkwitu: — wiedzę zaś

swą wzbogacał on wciąż wytrwałą, nieustanną pracą, wprowadzoną od pierwszych dni młodości do ostatniej życia godziny. Wytrwałość tę zdumiewającą, poświęcenie się bezbrzeżne dla badań dziejowych, znajomość stosunków krajowych, wiedzę dyplomatyczną i pole do zużytkowania takowej, zdobył Długosz na dworze biskupa krakowskiego, Zbigniewa Oleśnickiego, męża przemożnego wpływu i właściwie rzec, głównego kierownika nawy państwowej przy Władysławie Jagielle.

Po ukończeniu studyów akademickich, obleczony w suknię duchowną, wszedł Długosz na Zbigniewa dwór, który mienić się mógł wyborną szkołą życia dla młodzieży wogóle, przeważnie zaś dla tych, co pragnęli siebie poświęcić usługom publicznym. Skupiał biskup Zbigniew z Oleśnicy około swego kapłańskiego tronu wszystko, co świetniejszem, zdolniejszem, większą rękojmię nadziei dającem było w kraju. Młodzież żądna była nauki, szybszego posuwania się na wybranych przez się ścieżkach życia, ochoczo garnęła się do podwoi biskupa krakowskiego, gdzie ją spotykały chętne przyjęcie, rada, opieka i możność przypatrzenia się wielkiemu światu, jakim był bez zaprzeczenia dwór Zbigniewa. Biegli tam ci, co pragnęli się uczyć, i ci, co wzdychali do szybkiego wyniesienia się. Długosz należał do pierwszych. Wyniesienie się nie nęciło przyszłego historyka; wielokroć w życiu spotykał on możność po temu, lecz stale od niej stronił. Dążył do coraz wyższych szczebli wiedzy, ale uciekał od wyższych godności i zaszczytów. Wiedzy, której mógłby pragnąć tamtoczesny statysta, podostatkiem zaczerpnąć można było na dworze Oleśnickiego. Długosz tedy czasu nie tracił, rozszerzając zakres swych wiadomości i czyniąc pierwsze kroki na arenie życia publicznego.

Pierwociny prac swych składał przyszły dziejopis gwoli sprawom publicznym ukochanej przezeń ziemi ro-

dzinnej. Nowicyat pobytu na dworze biskupa z Oleśnicy upływał dlań w kancelaryi biskupiej, gdzie skupiały się wszystkie ważniejsze owoczesne sprawy krajowe. Izba Zbigniewa właściwiej mienić się mogła ogniskiem spraw publicznych, niż komnaty królewskie na Wawelu. Zbigniew bowiem w onej dobie był kierownikiem rządów Władysława Jagiełły. Niepiśmienny, mało oświecony, starzejący się król chętnie się powodował Zbigniewową radą, wolą, umysłem...

Kancelarya przemożnego biskupa z Oleśnicy, ześrodkowując pod swem sklepieniem ważniejsze sprawy tamtoczesnego świata, posiadała listy papieży, cesarzy, władzców dalszych i bliższych, mężów przedniejszych, mistrzów słowa i nauki, ludzi miecza i wziętości.

Z onej kancelaryi wybiegali gońce we wsze świata strony, wychodziły listy pisane tak dziwnie piękną łaciną, iż w italskiej ziemi, nad Tybrem, podziwiano wytworność ich stylu, potoczystość mowy, dziwną zręczność układu. Były to w pewnej części prace Długosza. Oleśnicki, starzejąc się, a ufając mu, wyręczał się wiele obiecującym młodzianem [1]. Biskup widząc w nim zdolność nad laty rozwiniętą i pracowitość prawdziwie dojrzałego męża, acz jeszcze był to jeno młodzian wychodzący z pacholęcej doby, zaczął mu poruczać ważne, zawiłe, zaległe sprawy. Młodociany Długosz sumiennie i umiejętnie ze wszystkich tych zadań się wywiązał i tem położył fundament swej wziętości u Oleśnickiego. Sprawy publiczne, tyczące się Polski, Litwy, Czech, Węgier, Krzyżaków coraz jaśniej mu zarysowały się w umyśle, coraz lepiej począł je rozumieć i wśród nich kierować się; ścieżki dyplomacyi, tajemnice rokowań stały się mu znane; zbadał tajniki owoczesnej polityki, dążąc do możności corychlejszego osobistego wzię-

[1] Niektóre listy Oleśnickiego do Stolicy Apost. w manuskrypcie porządnie skopiowanym były w zbiorach biskupa Woronicza.

cia w nich udziału. Oczekiwania, lata próby i przygotowań do publicznego zawodu przeszły szybko dla Długosza na Zbigniewa dworze. Władysław Jagiello żyć przestał; rządy młodocianego króla-rycerza, Władysława III., nazwanego później Warneńczykiem, przemknęły ponad Polską niby meteor; panował on tylko, rządził zaś po dawnemu, jak za czasów starego Jagiełły, biskup Zbigniew z Oleśnicy.

W epoce zgonu Warneńczyka zaczyna się doba samodzielnych wystąpień w życiu publicznem Długosza. Dobiegał on męskiego lat rozwoju; trzydziesty rok życia już mu upłynął, kiedy poraz pierwszy widzimy go występującym na widowni wypadków poza orszakiem biskupiego otoczenia.

Były to dni bezkrólewia po Warneńczyku; naród opłakiwał przedwcześnie zgasłego króla rycerza; na tron osierocony wzywano brata jego Kazimierza, który długo się wahał z przyjęciem korony, i z Wilna na Wawel nie przybywał. Podczas wahań się Kazimierza i namysłu narodu, komuby oddać koronę, powstaje myśl powołania na tron mazowiecką latorośl starego szczepu Piastów, w osobie »Bolesława księcia mazowieckiego«, piszącego się »na Warszawie, Wyszogrodzie i Czersku«. Myśl tę niespodzianą, strącającą naród z drogi nowych przeznaczeń, wypowiadano najprzód na zjeździe w Kole, później zaś podniesiono nader poważnie w Piotrkowie (w dniach rozpoczynających wiosnę 1446 roku). Wniosek usunięcia od tronu rodziny Jagiellońskiej i wrócenia do Piastów podnosił Paweł Gozdawa z Giżyc, biskup płocki, mąż w którego umyśle dwa prądy górowały: zacieśnienie pojęć ojczyzny do granic ziem mazowieckich i zamiłowanie wszystkiego, co bliższe nam, podczas gdy sojusz z Litwą był jeszcze nieustalony i obcy w niej język, inny obyczaj wielu odstręczały. Długosz obecny na owej elekcyi w Piotrkowie, gorąco popierał wybór Bolesława, ks. Mazowiec-

kiego, acz ten wniosek miłym być nie mógł i nie był Zbigniewowi z Oleśnicy.

Długosz stając w roku 1446 w Piotrkowie jako rzecznik w sprawie upadłej dynastyi Piastowskiej, występował nader samodzielnie. Miłość przeszłości głęboka, otaczanie aureolą schodzącej na zawsze z widowni dziejowej dynastyi Piastów, to przeważne przyczyny, iż Długosz popiera mazowieckiego księcia, męża skądinąd godnego berła ziem obszernych. Są fakta dziejowe wymownie świadczące, iż to pierwsze wystąpienie Długosza na widowni polityki, aczkolwiek nader zgubne mogłoby przynieść dla Polski następstwa, obalając unię z Litwą, było najzupełniej samodzielnem wystąpieniem. Historyk nie staje tu przed nami jako stronnik fakcyi politycznej; owszem, sam on tworzy oddzielny odłam fakcyi; nie jest narzędziem w ręku Pawła z Giżyc, którego dość lekko ceni, mówiąc o nim, iż »miał umysł zaniedbany i wiadomości zbyt błahe chociaż w Pradze czeskiej się uczył«; ani też nie powodował się Janowi z Czyżewa, jednemu z potężnych rzeczników mazowieckiej kandydatury. Jak samodzielnem było wystąpienie Długosza, tak niemniej nie dla czyichciś widoków, nie przez wzgląd na stronnictwo, do którego należał, zrzeka się on swej ulubionej myśli wówczas właśnie, gdy zdawało się, iż urzeczywistniać się ona zaczęła; Bolesław bowiem został obrany, i prymas, Wincenty Kot z Dębna, miał już go koronować. Cofnięcie się Długosza pochodziło z innych pobudek; znowu tu źródłem miłość ziemi rodzinnej. Walka domów książęcych nieuniknioną być mogła, gdyż i Kazimierz posiadał znaczne stronnictwo. Długosz przeto wyrzeka się swej ulubionej myśli ujrzenia na tronie Piasta; patrzy jak ów zacny Piast, próżen wszelkiej prywaty, daleki od mącenia, acz ominęło go berło, dąży w orszaku 2000 orężnych na koronacyę Kazimierza Jagiellończyka, i sam wreszcie staje w szeregu tych, co wspierali długoletnie, a tak świetne rządy trzeciego z na-

szych Jagiellonów. To wyrzeczenie się dla dobra ziemi rodzinnej własnych przekonań charakterystycznem jest znamieniem Długosza. Wielokroć ono się spotyka podczas jego wielorakiej działalności, a wymownie świadczy, jak wielką była miłość ziemi rodzinnej owego przedniejszego obywatela Polski XV stulecia.

Mąż nauki niemałej, pracowitości niezmiernej, niejednokrotnie tłumi w sobie dawne a wyrobione przekonania; aby, wprowadzając je, w życie, nie stanąć w przeciwności z dobrem kraju, aby mu w ten, lub ów sposób ujmy nie przynieść.

Po tej pierwszej próbie wystąpień na polu życia publicznego, czynność Długosza w rzeczonym kierunku wzrasta. Zdawało się, że z latami, z pomnożeniem trosk, z rozwarciem się szerszych kół działalności, nowe prądy młodzieńczego zapału, większy jeszcze hart woli stają się jego udziałem. Wprędce po koronacyi Kazimierza Jagiellończyka, udaje się Długosz do Rzymu w celu przywiezienia stamtąd kapelusza kardynalskiego dla Zbigniewa z Oleśnicy, mianowanego już od lat kilku księciem Kościoła.

Podróż do Rzymu Długosza otwiera mu nową dziedzinę stosunków, czyni imię jego bardziej głośnem w kraju, zbogaca jego umysł nowymi zasobami wiedzy.

Pomimo ciągłego przebywania na dworze Oleśnickiego, pomimo wzrastającego wzięcia i rozgłosu imienia, Długosz poprzestawał na skromnym tytule kanonika krakowskiego i kustosza wiślickiego. O inne dostojeństwa nie ubiegał się nigdy, ani w kościele, ani też przy królewskim dworze, gdzie wprędce stał się znanym, poszukiwanym i nader wielce cenionym. Kazimierz Jagiellończyk, daleki od poddania się wpływom Zbigniewa z Oleśnicy, wielekroć szukał rady Długosza, używał go do ważnych poselstw i na zdaniu jego wielce polegał, chociaż nie zawsze. Kanonik krakowski niekiedy opór stawiał królowi, gdy chodziło o sprawy duchowne, o krępowanie wolności obrad kapituł,

o przewagę władzy świeckiej i niemieszanie się Rzymu do wewnętrznych spraw kraju.

Głośnem było w owe czasy zajście Kazimierza Jagiellończyka z władzą duchowną, która nie chciała przyznać królowi prawa obsadzania posad biskupów bez względu na obiór kapituł. Długa, stąd wynikła kwestya sporna mąciła wewnętrzny spokój kraju i ściągnęła nawet na historyka gniew królewski. Po zgonie biskupa krakowskiego, kardynała Zbigniewa Oleśnickiego, kiedy i jego następca Tomasz ze Strzępina (w r. 1460) zstąpił do mogiły, zaczęły się owe rozterki króla z kapitułą krakowską. Kazimierz Jagiellończyk swego utrzymywał kandydata, gdy tymczasem kapituła krakowska innego obrała. Kandydat królewski, Jan Gruszczyński, biskup kujawski, na elekcyi kapituły krakowskiej zaledwie trzy głosy otrzymał od obecnych, 3 zaś od nieobecnych głosujących. Znaczna większość kapituły (bo 22 głosami) oświadczyła się za ulubieńcem królewskim, Janem Lutkiem z Brzezia. Król niby przeciw temu nie miał, gdyby to nie było narzuceniem mu biskupa, a temsamem i senatora doradzcy. Wybór Gruszczyńskiego nie mógł być miłym duchowieństwu z wielu względów. I osobistość Gruszczyńskiego, jako kapłana, miała swe strony ujemne, i w charakterze kanclerza, on, jako mąż popierający całą siłą pracy i zabiegów wyjarzmienie się dolnego Powiśla z pod krzyżackiego ucisku, nie był miły Rzymowi.

Rządzący wówczas kościołem papież Pius II., który bawił przedtem w Polsce i miał osobiste urazy do króla, a zresztą bardzo niechętny Polsce, tak ze względu na toczącą się wojnę Kazimierza Jagiellończyka z Krzyżakami, jak i z innych powodów, mianował biskupem krakowskim Jakóba z Sienna. Tak więc aż trzech kandydatów ubiegało się o pastorał krakowski. Wielka waśń domowa, która stąd wynikła, wprowadziła w wir wypadków historyka Długosza.

Staje on w tej sprawie przeciw królowi, broniąc praw kościoła, broniąc starego obyczaju obierania biskupów przez kapituły. Prześladowanie, któremu ulegli oporni członkowie kapituły, trwało długo, najbardziej daje się uczuć naszemu dziejopisowi; gdyż wielu duchownych, poważnionych z władzą królewską, wprędce pogodziło się z koniecznością, uległo żądaniom Kazimierza Jagiellończyka, wróciło do swych dóbr zasekwestrowanych i praw zawieszonych. Długosz jedynie czas niemały tułał się poza murami Krakowa. Zbyt szczerym on był wyznawcą swych przekonań, zbyt mocno wierzył, iż Kościół wolnym w swych działaniach być powinien, aby się łatwo mógł pogodzić z koniecznością uznania stanu rzeczy, jaki się w rzeczonej kwestyi utworzył sam przez się. Kandydat królewski, Jan Lutek z Brzezia, złożył swą godność, dobrowolnie zrzekł się obioru kapituły; Jakób z Sienna, chociaż pragnął, nie mógł długiego stawiać oporu wobec stanowczości króla, który posunął Gruszczyńskiego na arcybiskupstwo gnieźnieńskie, a Lutka uznał biskupem krakowskim, oddając jednocześnie kujawski pastorał Jakóbowi z Sienna.

Chociaż wypadki i stanowczość Kazimierza Jagiellończyka ku zadowoleniu stron wszystkich, wielką tę waśń domową zakończyły, niemniej jednak uważał Długosz, że zasada wolności Kościoła jest zachwianą, i dlatego z tułaczki swej poza murami stolicy długo nie wracał.

»Wielka ta dusza — jak mówi jeden z badaczy dziejowych — nie ugięła się, ani przed łaską, ani przed ciężkiem prześladowaniem. Kiedy inni kanonicy z niedostatku, ze strachu, lub z innych przyczyn zwracali się do dworu, Długosz jeden wytrwał do ostatka, lubo przez to narażał się na stratę wolności i życia, przed zawistnikami ukrywać się musiał na zamku w Melsztynie«.

Zajścia władzy królewskiej z duchowną, której wynikiem było zupełne zwycięstwo pierwszej z nich, odtąd bowiem królowie polscy mianują biskupów, spadły cię-

żkiem brzemieniem na Długosza już po śmierci Zbigniewa z Oleśnicy, a zatem w czasie, gdy nasz dziejopis opuścił dwór Zbigniewa.

Pobyt na dworze przemożnego kardynała Oleśnickiego trwał dwadzieścia parę lat, i jak z jednej strony przyniósł mu możność kształcenia się i zdobycia doświadczenia w rzeczach publicznych, tak niemniej przyczynił się niemało, iż Oleśnicki niejedną rzecz ważną, dla ojczyzny pożyteczną dokonał, o czem wielekroć zabaczyłby może starzejący się kardynał.

Do tych spraw pożytecznych, z natchnienia Długosza przez Oleśnickiego dokonanych, zaliczyć należy nabycie ziemi Siewierskiej, która będąc cząstką Szląska, od dni Krzywoustego odpadła była od całości narodowej. Oleśnicki nabył Siewierz i wcielił go do biskupstwa krakowskiego. Szczerze radował się Długosz z owego przyrostu ojczyzny, acz spadały na niego za to gromy niechęci zawistnych, pragnących skierowania wydatków kardynalskiego skarbca w inną stronę, gwoli osobistym, poziomym celom prywaty. Niechętny dla Długosza gwar tłumu, mało świadomego przeszłości narodu, zapominającego, że Szląsk jest kęsem ziemi polskiej, dążącego zaś jedynie do urzeczywistnienia własnych widoków osobistej ambicyi lub łakomstwa, przetrwał żywot Oleśnickiego, i po zgonie kardynała echem zawiści Kraków napełniał. Nie zrażał się on jednak owymi okrzyki niechęci tłumów, sumienie bowiem wciąż mu świadczyło, że nigdy nie chodził krzywemi drogami; lecz jak podaje głos tamtoczesnej przeszłości, »przetrzymał wszystko łagodnością i cierpliwością, przy prawdzie i pokorze, i rozbroił w końcu rozstrojone na siebie umysły«...

Zgon Oleśnickiego głębokiemi bruzdy boleści wyrył się w pełnem miłości sercu dziejopisa, gdyż stracił w nim człowieka, który silną a troskliwą dłonią otoczył go w dniach młodości, był jego przewodnikiem, radą, wzorem...

był statecznym przyjacielem [1]). Zbigniew odemknął Długoszowi szranki szersze działania i zachęcił go do pisania dziejów. Szczery więc żal brzmi z ust Długosza, gdy zstąpił do mogiły ów »czuły strażnik Rzeczypospolitej — jak się Kromer wyraża — i stateczny jej miłośnik, a niebezpieczeństwa zasię i pogróżek nieustraszony gardziciel«. Wyrazy żalu Długoszowego, skreślone po zgonie Oleśnickiego, nie wydadzą się nam grzeszącymi pewną jaskrawością barw, jeśli przypomnimy owo doniosłe stanowisko, zajmowane wówczas w Polsce przez Oleśnickiego, i czyny najwyższego dziejowego znaczenia przezeń dokonane.

Oto jest dosłowne brzmienie tych pamiętnych narzekań Długoszowych na śmierć kardynała Zbigniewa z Oleśnicy: »Spadła korona nasza z głowy — pisze dziejopis — Polska postradała ozdobę swoją. Niema kędy schylić się już po zdrową radę; Rzeczpospolita stoi bez sternika; wnuki błąkają się bez opiekuna, a złe obyczaje i szpetny występek, które rozbijały się o wierną pierś jego, podniosły głowę bez hamulca dla siebie«.

II.

Najważniejsza doba działalności Długosza przypada na epokę po zgonie kardynała Zbigniewa. Są to prace obywatela, statysty, nauczyciela pacholąt królewskich i wreszcie dziejopisa.

Jeszcze przed zgonem Zbigniewa ze zdumieniem ówczesny świat spoglądał na śmiałe targnięcie się mieszkańców dolnego Powiśla, w celu skruszenia więzów krzyżackiej niewoli. Hasła rokosznicze, co zabrzmiały na murach licznych grodów pomorskich i dolnego Powiśla, uja-

---

[1]) W listach kardynała Oleśnickiego do Długosza, które zachowały się dotąd, nazywa on przyszłego dziejopisa »jedynym przyjacielem«.

rzmionego przez wrzekomych apostołów wiary, radośny oddźwięk znalazły w całem państwie Jagiellończyka. Serca Rzeczypospolitej zadrżały radością, gdy pod sklepieniami izb królewskich na Wawelu stanęło poselstwo proszące o przyjęcie całego Pomorza i dolnego Powiśla do całości narodowej. Po więcej niż dwuwiekowem rozjednaniu, ziemie: pomorska, michałowska i chełmińska — domagały się powrotu na łono swej macierzy.

Potęga krzyżacka już na zaraniu XV w. stanowczo zachwianą została. Dzień Grunwaldu był zwiastunem upadku Germanizmu na dolnem Powiślu. »Świetny ten kolos — jak się wyraża jeden z pisarzy niemieckich, mówiący o potędze Krzyżaków — świetny ten kolos przez męstwo zbójeckie na ruinach ludzkości podeptanej i bezwstydu urosły, napełniony złotem wydartym ludom, książęcymi herbami upstrzony, został obalony potęgą piorunu, ciśniętego ze szpon orła polskiego, i już od tej chwili ze zwalisk swych nie powstał«[1]... Po grunwaldzkim pogromie otucha wstąpiła w serca mieszkańców dolnej Wisły, czyli tak zwanych Prus, iż się rychło otrząsą z krzyżackiego ucisku. Nie mówimy o masach tamecznego ludu, który jak wszędzie w one wieki biernie się zachowywał i oprócz cichego jęku, innego głosu nie mocen był podnieść i nie podnosił: nietylko jednak lud ten, od Drwęcy po Bałtyk, niemniej wtedy jak i dziś polskim był wzdłuż wiślanych porzeczy, miasta jeno i zamki dłonią krzyżacką wzniesione rozlęgały się gwarem niemieckiej mowy, lecz nawet ziemianie i rycerstwo nielicznie pozostałe, istniejące na dolnem Powiślu, bez zaprzeczenia polskiem jeszcze było. Germanizm nie zdołał tam był jeszcze ostatecznie zagłuszyć wszystkiego, co miejscowem mienić się mogło, wzrastało zaś od wieków z rodzinnej gleby. Prawdziwość słów naszych stwierdza

---

[1]) Kotzebuego »Preussens ältere Geschichte«.

bardzo wymownie memoryał ziemian owych krajów podany do krzyżackiego zakonu w r. 1411, domagający się, aby z Polską w spokoju rycerstwo żyć mogło. Na cennym owym, dziejowej wartości dokumencie czytamy długi szereg polskich nazwisk, które napróżno Germanizm starał się zeszpecić niewłaściwem wymawianiem. Nazwiska Zyszków, Stępskich, Samborskich, Grzymałów, Tomaszczyków, Kraskowskich, Zapolskich i wielu innych, stając przed nami w owej petycyi ziem pruskich niemieckiemu zakonowi podanej, świadczą i dziś jeszcze wobec Boga i prawdy dziejowej, że Germanizm był tylko — jak i dziś jest — wdziercą i ujarzmicielem na porzeczach dolnej Wisły.

Pogrom na niwach Grunwaldu zapewnił nadzieję wyzwolenia dolnej Wisły z objęć Germanizmu, w których ona od dwóch wieków konała, lecz samego wyzwolenia nie przynosił. Kolos krzyżacki zachwiał się, ale nie runął w dniu Jagiełłowego zwycięstwa. W chwili gdy zachodziło słońce na grunwaldzkiem pobojowisku, co cmentarzem się stało wszystkich ówczesnych znakomitości niemieckiego zakonu, »zakończył się dzień wielki dla zakonu — jak mówi świadectwo historyka, Niemca nam współczesnego — zakończył się dzień największej jego sławy, waleczności rycerskiej i bohaterskiego ducha... lecz zarazem ostatni dzień jego wzrostu, kwitnienia i potęgi. Od jutra już się liczyć zaczynają dni nędzy zakonu, zguby i upadku po wszystkie czasy [1])...

Upadek ów »zguba i nędza«, na które narzeka niemiecki pilny badacz dziejowy, trwać miały nader długo, zanim nie strąciły Zakonu w otchłań zagłady i zapomnienia. Pół wieku i więcej chwiały się filary germańskiego społecznego ustroju nad dolną Wisłą, zanim wreszcie

[1]) Patrz Voigt'a Geschichte Preusen's von ältesten Zeiten bis zum Untergange der Herrschaft des Deutschen Ordens.

w drugim dziesiątku lat rządów Kazimierza Jagiellończyka nie legły w gruzy.

Wewnętrzne rozterki miast pruskich, zaludnionych Niemcami, z krzyżowem rycerstwem wszczęte, przyczyniły się wiele do rozwiązania wszelkich spójni władzy Zakonu. Niemoralność, brak karności wśród orężnych mnichów, ostatecznie rdzą zepsucia strawiły wiązania i ogniwa łączące Zakon z krajem przezeń rządzonym. W XV wieku posłannictwo Krzyżaków ustało; pogan do nawracania już nie było — Polska bowiem Litwę i Żmudź nawróciła — ustały zatem nawet wszelkie pozory usprawiedliwić mogące istnienie Zakonu. Odtąd wzrósł niezmiernie ucisk miast i szlachty. Wykolejony z dróg swego posłannictwa Zakon bawił się już tylko uciskiem miast i ziemian własnego kraju, zabaczając o swym ongi apostolskim urzędzie.

Wybornie ówczesny stan Krzyżactwa określa rozumowanie jednego z naszych dziejopisów.

»Byli to już żołnierze — powiada on — co się na rządzców coraz bardziej, acz nieznośnie, narzucali. Wojsko zaś w ciele politycznem jest tylko ręką: stąd kiedy ciało chce przez rękę myśleć, już nie jest przy zdrowych zmysłach i w szaleństwie skończyć musi. Pod rządem wojskowym pękają stosunki, które przez wieki szły po przyrodzonej drodze... Zakon, jako władza wojskowa, nie mógł dobrze krajem rządzić; owszem, musiał siłę materyalną nad moralną stawiać, rękoma sposoby rozumowe zastępować, przewrotności robić, praw nadużywać«...[1])

Wobec takiego stanu rzeczy powstawały coraz widoczniejsze niechęci, a wreszcie wzrastały, rozwijały się zawichrzenia między orężnymi mnichami, panami ziem pruskich, a szlachtą i miastami dolnego Powiśla. Były to swary Niemców z Niemcami, osadników później przybyłych, ludzi przemysłu, handlu lub roli, z dawniej osiadłymi,

---

[1]) Moraczewski w *Starożytnościach Polskich;* Tom I.

z Zakonem rycerskim, panem i ciemiężycielem miast, zaludnionych właśnie przez ów żywioł, co napłynął później z głębin Germanii i był uważany przez Zakon za poddany mu zupełnie.

Orężni mnisi panując samowładnie nad Pomorzem i dolną Wisłą, sami byli w zależności od papieża i cesarza niemieckiego. Pierwszy, jako głowa Kościoła, mieszał się do spraw duchownych, a nawet niekiedy i do spraw świeckich krajów krzyżackich, gdy papieże górowali nad cesarzami niemieckimi, którzy zwykle za zwierzchniczych panów ziem pruskich uważali się. Było przytem w tamtoczesnym obyczaju, iż wszystkie ziemie pogańskie, w Europie położone, uważano za własność cesarzy niemieckich, wprawdzie jeszcze nieopanowaną, ale opanować się mającą; stąd więc i wszystkie trzebieże i zdobycze krzyżackie wśród pruskich ostępów mieniono niemieckim krajem, co rozszerzało granicę niemieckich wpływów i je ustalało.

Przy tak zawiłych państwowych stosunkach ziem pruskich, ziemianie i mieszczanie grodów zajścia swe i niesnaski z Zakonem nieśli do stóp tronów, również papiezkiego, jak i cesarskiego. Wielekroć owi najwyżsi rozjemcy nie na korzyść Zakonu i wielkiego mistrza sprawy rozstrzygali, co jednakże nie wstrzymywało ucisku, lecz rozjątrzało coraz bardziej rycerzy krzyża i całą naczelną władzę Zakonu przeciw ziemianom i możnemu mieszczaństwu.

Miasta stawiające opór Zakonowi zawiązały jeszcze w r. 1397 »Bractwo rycerzy jaszczurkowych«, które nosiło miano od jaszczurki, będącej godłem stowarzyszenia. Wiek XIV obfitował w bractwa wielorakie, krzewiące się w miastach i niemieckich i później nieco, w naszych. »Czy to chodziło o rozrywkę, czy o zarobek, czy nareszcie o oddawanie czci Bogu — mówi jeden z badaczy tamtoczesnych stosunków — lub niesienie ulgi cierpiącej ludz-

kości, zawsze i wszędzie zawiązywały się natychmiast bractwa« [1])...

Otóż jednem z takich bractw czyli stowarzyszeń, było »Jaszczurcze bractwo«, które wielce pomocnem stało się później pruskim miastom i szlachcie owych ziem, gdy nadeszła godzina wyzwolenia się z krzyżackiej przemocy. Stowarzyszenie jaszczurcze przewodniczyło w sprawie wyjarzmienia się.

Do stanowczych kroków zbrojnego wystąpienia miast i szlachty przeciw Zakonowi dopiero wówczas przyszło, kiedy na czele jaszczurczego związku stanął Jan Bażeński, inaczej zwany *de Báysen*, z Bażena, w Warmii około Ornety (Wormitt), wioski przezwanej po niemiecku *Baysen* — dziś *Basien.* Bażeński pochodził z rycerskiej rodziny, na gdańskiem Pomorzu oddawna osiadłej; w młodości swej ćwiczył się w rzemiośle rycerskiem na polach dalekiej Aragonii; po szczęśliwem obaleniu w pojedyńczych zapasach Maura, przez Piotra Aragońskiego na rycerza był pasowany. Po powrocie na iły i piaski rodzicowego Bażena (czyli jak obecnie zowią Basiena), rycerz Jan (z niemiecka pisano *de Baysen)* stał się wprędce mężem wpływowym w ziemiach pruskich, i gdy wśród prywatnych zajść z biskupem warmińskim o graniczące z jego dobrami jezioro, niedość iż przegrał sprawę, ale przez wielkiego mistrza zakonu srodze pokrzywdzon był, rozpoczął knowania dążące do poddania się wszystkich dzierżaw krzyżackich królowi Kazimierzowi Jagiellończykowi.

Od dawna zamysły tego rodzaju w sercach grodów i ziemian Powiśla i pruskiego Pojeziorza krzewiły się i z myśli na czyn urastały. Osobista krzywda Jana Bażeńskiego była tą iskrą, co rozniosla pożogę wojny na całej przestrzeni ziem od Drwęcy do Baltyku i pogrzebała nad Wisłą władzę Zakonu.

---

[1]) L. Łukaszewicz.

Grody Powiśla wywiesiły sztandar swej wobec Zakonu niepodległości w lutym 1454 roku, i gdy pierwsze rokoszan kroki pomyślnymi mienić się mogły, w marcu już tegoż roku stawało na Wawelu przed tronem Jagiellończyka poselstwo, proszące by Polska przyjęła ziemie Powiśla i do swych krajów je wcieliła.

Przeszłość dziejowa, wspólność szczepu w znacznej części, urzeczywistnienie w owoczesnej Rzeczypospolitej ideału wolności w takiej formie i rozmiarach, jakie wytworzył XV wiek — to były pobudki, co skłaniały ziemię pruską do łączenia się z Polską.

Mowa Jana Bażeńskiego wypowiedziana w chwili uroczystego posłuchania, udzielonego poselstwu pruskiemu przez króla Kazimierza Jagiellończyka, w jaskrawych barwach uwydatnia owoczesny stan posiadłości Zakonu.

Nader obszerna, ciekawa treść tej mowy, opowiedziawszy najścia i krzywdy, jakich Polska od Krzyżaków doznawała, jak na jej ziemiach bezkarnie osiedlano się, zakładano miasta osiedlając je cudzoziemcami, wywłaszczając miejscową ludność uchwałami prawnemi, jak jej wydarto Pomorze, jak wiarołomnie Zakon zerwał pokój, najechał ziemię Dobrzyńską i Kujawy, pragnąc je zagarnąć; jak wreszcie wielkim jest ucisk, który skłania miasta Powiśla i ziem pruskich, w liczbie pięćdziesięciu, poddać się Polsce; — kończy prośbą o przyjęcie owego poddania. Zamykając swą mowę, Bażeński rzekł, że tameczni obywatele i miasta wysłali go, by tłumaczem stał się ich chęci zjednoczenia się z Polską. Ziemie pruskie, mówił ów rzecznik wyzwalającego się Powiśla, prosząc króla polskiego o wcielenie owych ziem do ciała Rzeczypospolitej, stoją na gruncie prawnym: bo ten, co nadał Krzyżakom ziemię Pomorską, Michałowską i Chełmińską, mocen takowe, gdy odpadły od Zakonu, wcielić znowu do Polski. Długi szereg niesłuszności, przygniatając je brzemieniem niedoli, skłonił do rokoszu. »Zbrojne wystąpienie

przeciw dotychczasowym władcom ziem pruskich trwa zaledwie od trzech tygodni — dodawał poseł — a już dwadzieścia cztery miasta zdarły ze swych murów chorągwie Zakonu i wyłamały się z pod władzy orężnych mnichów«...

Chwila posłuchania dana na Wawelu poselstwu pruskiemu, zbyt stanowczą była chwilą dziejów naszych, zbyt wielkim przełomem na gościńcu naszego rozwoju, aby nie wywołała rozpraw, nie wytworzyła stronnictw. Większość rady królewskiej skłaniała się do przyjęcia natychmiastowego poddania się ziem pruskich. Niektóre jednak umysły trwożliwsze, potrzebujące więcej czasu do dojrzałego namysłu, przewlec pragnęły stanowczą odpowiedź. W umysłach pewnej części duchowieństwa powstały powątpiewania, ażali to nie będzie niejako zaborem, targnięciem się na własność kościoła: Zakon bowiem poddany był papieżowi i cesarzowi. Do liczby opozycyi zaliczał się i zgrzybiały kardynał Oleśnicki. Wielki ten statysta i całe dziesiątki lat kierownik nawy państwowej, nad grobem już stał. Zgrzybiały starzec, który po kilkunastu miesiącach miał ledz w mogile, olśniony wspaniałością nowych widoków, co dla ojczystej jego ziemi odemknąć się miały, zawahał się, i w chwili rozterki wewnętrznej z samym sobą, bronić zaczął Zakonu. Biskup wrocławski, Jan Gruszczyński, tudzież niektórzy inni, bądź w obawie mocy cesarskiej i papiezkiej, bądź strwożeni losami przyszłej, długiej, niepewnej walki, co musiałaby się wnet wywiązać z Zakonem, a może i cesarstwem niemieckiem, strwożeni możliwością gromów Watykanu, wspierali swem zdaniem słowa Zbigniewa Oleśnickiego i chcieli rzecz całą odwlec do późniejszych walnych obrad. Gruszczyński nawet, który później tak gorliwie wspierał usiłowania wyzwolenia z pod krzyżackiego ucisku ziem pruskich i narażał się, jak już o tem wyżej mówiono było, na niechęć kuryi rzymskiej, długo się wahał, stojąc w szeregach stronnictwa Zbigniewa.

Sprawa zbyt była ważną, należało ją przeto dojrzale rozpatrzeć. Długosz zaczął ją badać gruntowniej od innych: miał bowiem dużo zasobów umysłowych i dziejowych materyałów pod ręką; zanim wszakże dostatecznie zbadał i wszechstronnie rzecz tę rozpatrzył, była chwila wahania się. Przyszły dziejopis podzielał poglądy czas jakiś kardynała Zbigniewa. Wahanie się to poświęcił na badanie i oświecanie, na odczytywanie dokumentów i archiwalnych źródeł, tyczących się tej sprawy. Przekonawszy się wreszcie, iż wspierając wyzwolenie się Powiśla, nie naraża on swego kapłańskiego sumienia, iż sprawa ta jaśnieje słusznością i chociaż z Zakonem jest prowadzoną, lecz z Zakonem orężnym, który w sposób świętokradzki nadużywa godła krzyża, Długosz postanowił się przyłączyć do pragnących wcielenia Prus do Polski.

Później od innych stanąwszy w szeregu mężów nad wyzwoleniem dolnego Powiśla pracujących, Długosz w ciągu trzynastu lat wojny z Zakonem, wielką mnogość położył zasług i prac gwoli dobru publicznemu i wzrostowi potęgi narodowej łożonych.

Na pierwszych posiedzeniach rady królewskiej, gdy chodziło o danie odpowiedzi poselstwu ziem pruskich, izby obrad na Wawelu napełniły się znakomitościami krajowemi, przybyłemi do stolicy na uroczystość zaślubin królewskich, wówczas właśnie odbywających się z księżniczką Elżbietą, córką cesarza niemieckiego Albrechta. Oprócz zwykłych członków rady królewskiej, zasiedli do rozpatrzenia tej sprawy »prałaci i uczeni krakowscy, którym król rzecz tę oddał pod rozwagę« — mówi jedno ze źródeł tamtoczesnych [1]. Wśród tych uczonych był tedy kanonik krakowski Jan Długosz, był Tomasz ze Strzępina (o rok później biskup krakowski), było wreszcie i pruskie poselstwo. Pierwszy głos w kole obrad dany został temu

---

[1]) Patrz u Daniłowicza: Skarbiec Dyplomatów itd. T. 2.

ostatniemu. Świadectwa dziejowe przechowały nam bądź w całości, bądź w ułamkach, mowy pruskich posłów. Przytoczymy tu jedno przemówienie Gabryela Bażeńskiego, brata Jana, gdyż rzuca nam ono dość światła na ową nader ważną chwilę obrad.

»Rozlicznymi gwałtami i niesprawiedliwościami — mówił on — długo, od najdawniejszych czasów trapione ziemie i miasta pruskie, wszystkie jednomyślnie uchwaliły nieznosić dalej od Krzyżaków podobnej przemocy i bezpraw. Gdy zaś od wieków kraj pruski i panowanie nad nim Krzyżaków od polskiej wyszły korony, i do dziś dnia Krzyżacy uznają sami króla swoim orędownikiem, nikt inny zatem nie ma słuszniejszego prawa do rzeczonych krajów, jak Jego Królewska Mość. Przeto wszystkie ziemie i miasta pruskie, przyznawszy króla za swego prawego pana, błagają, aby ich na nowo przyjął pod swe panowanie i obronę, i raczył być ich panem, co mu z prawa najsłuszniej należy« [1]).

Gdy przyszła kolej głosu na radę królewską, znaczna większość była za wcieleniem dotychczasowych dziedzin krzyżackich do polskiej korony. Wielka miłość ojczyzny nakazywała im odrzucać wszelkie obawy, wszelkie skrupuły, iż rzecz ta nie podoba się kuryi rzymskiej, lub groźnemi następstwami zaciąży na szali losów krajowych. Poczuwano się na siłach do stawienia czoła by największym nawet przeciwnościom; gardzono niebezpieczeństwy ze strony cesarza; umiano zapobiedz możliwości oporu stolicy apostolskiej, która wcielenie tak zwanych pruskich prowincyi uważać mogła — i rzeczywiście później uważała — za samowolne wywłaszczenie Zakonu od niej jedynie zależnego. Na tego rodzaju trwożnych obawach kuryi rzymskiej opierało się zdanie Zbigniewa, lecz zgrzybiały purpurat niespodzianie się znalazł na zupełnie od-

[1]) Tamże, i u Voigt'a.

osobnionem stanowisku. Jan Gruszczyński stał wprawdzie przy nim, ale był to mąż zdania chwiejnego, i dla widoków osobistych nie mało w życiu czyniący, na nim polegać trudno było; stał i Długosz, ale ten ostatni zastrzegł sobie możliwość opuszczenia punktu widzenia Oleśnickiego, jeśli oświecanie się i badanie wskaże mu prawdę i słuszność wśród tych, co głosowali za wcieleniem dolnego Powiśla do Polski. Nie uważał on, tak jak Oleśnicki, iż wyjarzmianie się dotychczasowej dziedziny Zakonu jest rokoszem wobec powagi kościoła i jego zwierzchnika na ziemi. Przyszły dziejopis szukał tylko prawdy«...

»Wedle Długosza — mówi myśliciel i wieszcz zarazem — istotna siła leży tylko w prawdzie« [1]). Otóż praca i szybkie obejmowanie wypadków, określanie wzajemnych stanowisk, wprędce pozwoliły mu wynaleźć ową prawdę dziejową, przekonać się, iż sprawa wyjarzmiających się słuszną jest, że próżno stawić jej opór, bo żadna przezorność nie jest zdolną przewidzieć pochodu zdarzeń, czyli pochodu prawdy« [2]). Był on znacznie młodszym od Zbigniewa, zdolniejszym tedy do łacnego oceniania stanowisk. »Wyższy jego umysł — jak to już rzekłem w innem miejscu — orlim wzrokiem przejrzał wśród pomroki średniowiecznych uprzedzeń; zrozumiał całą doniosłość zadania i odgadł stanowczość doby dziejowej«. Ująwszy on wreszcie lemiesz pracy wyzwolenia ziem dolnej Wisły z pod germańskiej przemocy, oddaje całego siebie owemu zadaniu, i po latach znoju, gdy sztandar Jagiellonów ustalono na wieżach Malborga, »nie drobną radością« unosi się jego prawdziwie obywatelskie serce, wpisuje bowiem do swej historyi owe pamiętne słowa: »Przecież dożyliśmy tego, że rozległe krainy wracają na łono wspólnej nam ojczyzny«.

---

[1]) Mickiewicz Prelekcye.

[2]) A. Mickiewicz Prelekcye.

Powrót ten atoli połączony był z krwawą walką lat trzynastu.

Poselstwo pruskie otrzymało uchwalenie wcielenia posiadłości Zakonu do polskiej korony. Kazimierz Jagiellończyk zawarował im prawa takie, jakich używało polskie rycerstwo; zastrzegł obszerny samorząd tych ziem; zapewnił »prawo należenia do obioru każdego króla polskiego«... i zniósł natychmiast wszelkie cła i uciążliwe podatki, którymi mieszkańce ziem wcielonych byli obarczeni. Wśród ulg, o które obywatele Powiśla i pruskiego Pojeziorza prosili, spotykamy żądanie, aby »zburzone zamki Zakonu nigdy na przyszłość nie były odbudowywane, i aby każdy został zachowany przy tem, co odziedziczył po przodkach, zdobył orężem lub nabył własnym kosztem« [1]).

Jan Bażeński z bratem swym Gabryelem, złożyli wnet przysiegę wierności w imieniu całych Prus. Arcybiskup Jan ze Sprowy odbierał ową przysięgę, i jeden z posłów otrzymał od króla nominacyę na gubernatorstwo ziem wcielonych. Gubernatorem czyli namiestnikiem ziem pruskich został znany nam Jan Bażeński, niosący na barkach swych brzemię układów z Polską i rokoszu miast i posiadłości krzyżackich. Czynny ten, wyższego umysłu mąż przedmiotem był nienawiści orężnych mnichów, którzy nazywali go »kulawym bazyliszkiem« lub niekiedy »kulawym smokiem«, przeto iż od czasu swych zamorskich i zagórskich wypraw do Hiszpanii, chromał nieco na nogę. Bażeński Jan, a wreszcie i brat jego Ścibor, późniejszy po Janie namiestnik pruski, zanim te kraje nie zostały zorganizowane, tudzież wspomniani wyżej Jan Lutek z Brzezia, Gruszczyński i Długosz, biorą bardzo czynny udział w sprawach wyzwolenia dolnego Powiśla. Wojna z Zakonem nietylko orężną była zamiecią, ale jednocześnie procesem, gdzie papież i cesarz stawali niekiedy na roz-

---

[1]) Skarbiec Dyplomatów. T. II.

jemczem stanowisku, częściej wszakże zamieniali je na sędziowską trybunę, z której ferowano wyroki groźne i zgubne dla spraw ziemi naszej. Potrzeba więc było na baczności się mieć, i doświadczonym statystom, tak cesarza jak i kuryi rzymskiej, postawić rzeczników również wyćwiczonych w sprawie robót dyplomatycznych i umiejętnego badania słuszności onego wielkiego z Zakonem procesu. Długosz w tej mierze najodpowiedniejszym mienić się mógł; i on też zaiste najpilniejszą dłoń przykładał do wszystkich rokowań, których w ciągu lat trzynastu mnogość wielka była.

Pracę tę statysty i rzecznika w układach z Zakonem, z wysłańcami Rzymu, z poselstwami Niemiec, pracę badań słuszności, praw Polski do posiadłości Zakonu, podnosił Długosz jednocześnie ze swymi dziejopisarskimi zabiegami, bo w rok właśnie po wypowiedzeniu wojny przez Kazimierza Jagiellończyka Krzyżakom, rozpoczyna on pisać swoją historyę. Daje mu to możność stawania na rozjemczych zjazdach z dokumentami praw Polski do dolnego Powiśla, praw tak starych, jak dawnemi są siedziby naszego szczepu wzdłuż porzeczy Wisły na całej jej długości — od okolic Cieszyna po Gdańsk; ułatwia zbijanie argumentów rozmaitych cudzoziemskich statystów, wymownych rzeczników Zakonu; lecz zarazem jak znacznie pracę pomnaża, jak znój wielolicej działalności uwydatnia... Nie naszą jest rzeczą w danej chwili iść za zbrojnymi tabory Kazimierza Jagiellończyka, zwiedzać wszystkie niwy pruskiego Pojeziorza, gdzie zataczano obozy, lub klecono szałasy polskiego rycerstwa; nie naszą jest tu rzeczą opisywać wszystkie oblężenia zamków krzyżackich, nasze porażki lub zwycięstwa tej zbyt długiej wojny. Obrazy owych walk opowiemy pobieżnie, nasza bowiem uwaga wciąż ku Długoszowi się zwraca; dąży myśl nasza na pola jego dyplomatycznej działalności.

Orszak Kazimierza Jagiellończyka, dążącego na dolną

Wisłę w parę miesięcy po odbytem królewskiem weselu i uchwaleniu wcielenia do Polski krzyżackich posiadłości, aczkolwiek wraz z królem na wojnę szedł, liczył w gronie swem dużo ludzi słowa i pióra, ludzi co w »libraryach« więcej lat stracili, niż pod oponą namiotów. Światli ci mężowie w duchownej byli szacie i do przewidzianych układów ze statystami bądź Zakonu, bądź też cudzoziemskich rozjemców, użyci być mieli. Najbliżej stał tronu mąż mały postawą, o zbolałym wzroku, bo go nad rękopisami w »libraryach« nadwerężył i długo, a z niewielkim skutkiem, w italijskiej ziemi leczył, Jan Lutek z Brzezia. Był on podówczas prawą ręką króla, jego radą, której ów pan, przynajmniej w one lata, chętne dawał ucho. Był Tomasz ze Strzępina, mąż prześcigający pierwszego swą wiedzą i głośny na Zachodzie europejskim dziełami z dziedziny teologii, podówczas zaś jedynie kanonik krakowski, a wkrótce potem podkanclerzy koronny.

Wiodąc z sobą na wojnę z Zakonem Tomasza ze Strzępina, król temsamem miał niby przenośną »libraryą« w obozie; przyszły bowiem ksiądz podkanclerzy słynął tak niezwykłą pamięcią, iż wybornie pamiętał wszystko, co kiedykolwiekbądź czytał lub czego się uczył. Chodząca to była biblioteka, napełniona tak cennemi i rzadkiemi wiadomościami, jak zdumiewającą jego wiedza była. Twierdzono o nim w one lata, że całą biblię wierszem wyłożoną przez Piotra de Mellico, tak wybornie umiał na pamięć, iż bez najmniejszego namysłu i omyłki potrafił powtórzyć pierwszy lepszy wskazany rozdział. Przy całej swej erudycyi, Tomasz z Strzępina wesołego, towarzyskiego był usposobienia i niejedną chwilę smutnych wrażeń, których w obozie, szczególniej w pierwszych miesiącach pruskiej potrzeby, było podostatkiem, mógł królowi uprzyjemnić. Co do towarzyskich usposobień, wielce doń był podobny, acz rdzennie wyróżniający się wiedzą i uzdolnieniem, trzeci duchowny mąż z orszaku królewskiego,

biskup Jan Gruszczyński. I on był blizki sercu królewskiemu, a lepiej od innych senatorów znany królowej, jeździł bowiem w poselstwie o jej rękę i układy ślubne prowadził.

Wspomniany już kilkakrotnie przez nas Gruszczyński, chociaż w dniach godów królewskich, odbywanych podczas zapustnej doby 1454 r., srożył się przeciw zamiarom wojny o wyzwolenie Powiśla, teraz, gdy jeszcze świątki tegoż roku nie nadeszły, jedzie na wojnę z Krzyżakami przy królewskim boku i jego małżonki, »którą król« — wedle słów Bielskiego — »nad obyczaj miłował, a ona jego«. Miłość króla ku Elżbiecie z czasem dopiero wzrosła i mienić się mogła wielką »nad obyczaj«; ale w owych dniach majowych 1454 r., dniach pierwszych pożycia królewskiej pary, nie miłość skłaniała króla, że wziął sobie za Drwęcę, do murów Torunia, przed niespełna trzema miesiącami poślubioną małżonkę. Król Kazimierz Jagiellończyk wszedł w związki małżeńskie nie z miłości, ale gwoli radzie panów koronnych, którzy w połączeniu się króla z domem rakuzkim widzieli sławę i pomnożenie potęgi Rzeczypospolitej. Król dał posłuch rozumowi w tym razie, a »radzie tak zgodnej a życzliwej większe miejsce, niż swemu własnemu zdaniu i afektom swoim — mówi głos wieków ubiegłych — przestał na tem, acz mu to k' myśli bardzo nie było« [1]).

Podróż królowej, lubo tak młodej, bo jeszcze dwudziestu lat nieliczącej, przedsiębraną była po części dla pokazania wcielonym prowincyom majestatu pańskiego w całej gloryi i blasku, jak obyczaj wymagał; po części zaś powody onej podróży z młodym małżonkiem, niezbyt wygodnej, bezpiecznej i miłej, pochodziły z wielorakich przymiotów tej pani, która takim blaskiem cnót domo-

---

[1]) Patrz *Rzecz pana Jędrzeja Grabie z Górki* — wyd. Bibliot. Turowskiego.

wych zajaśnieć wkrótce miała na Wawelu, jakim dom Jagielloński okrył się wśród ludów wschodniej Europy.

W towarzyszącym królowi do Prus orszaku ludzi duchownych, pełnych światła, uzdolnionych i doświadczonych w podejmowaniu rokowań, gdyby tego zaszła potrzeba, nie widzimy jeszcze Długosza. Trzymał się on wtedy zdala od spraw pruskich, badając źródła prawdy, oświecając się w tej kwestyi i wahając. Dogorywający kardynał Zbigniew niemniej był przyczyną wstrzymującą wyjazd Długosza do obozu.

Gdy jednak w r. 1455 żyć przestał w Sandomierzu kardynał Zbigniew z Oleśnicy i zwłoki jego Długosz do Krakowa odprowadził, zaczyna się okres większej działalności naszego dziejopisa. Ujmuje on wtedy rylec dziejowy i ćwierć wieku, bez przerwy dzierży go w dłoni, nieraz omdlewającej ze znużenia i niemocy. Podnosi wówczas właśnie dyplomatyczne w krzyżackiej i innych sprawach układy, i wogóle okazuje stokroć więcej działalności, niż uprzednio. Zdaje się, iż Zbigniew, pragnąc go wciąż mieć przy sobie, krępował nieco jego wszechstronną czynność. Po zgonie kardynała zapał do pracy wzrasta w Długoszu i wielostronność jego zabiegów znacznie się potęguje.

Praca nigdy w Długoszu nie była wyłącznie piśmienniczą: to przedewszystkiem kapłan-obywatel, statysta. Nie każda z prac jego jednakiej była ceny, bo niejednakiemi są doby działalności ludzkiej; zawsze w nim jednak przyświeca miłość prawdy i miłość ziemi rodzinnej. »Przez prawdę rozumieją się zasady ewangelii, jak je kościół przyjął i zastosował na ten czas«. Miłość ziemi rodzinnej czyni go wielkim, wynosi z nizin tłumu na wyżyny niezwyczajne; bez owej miłości byłby on tylko wiele umiejącym kronikarzem, lecz nie dziejopisem, co pracę swą natchnął jedną myślą, owiał tchnieniem idei przewodniej; gdyż człowiek bez narodowości — jak się wyraził raz

wielki wieszcz naszego stulecia — człowiekiem jest niezupełnym, człowiekiem zdolnym wiedzieć, ale niezdolnym działać [1]).

Pod wpływem tego uczucia rozwijają się wszystkie czynności życia Długoszowego.

Wojna pruska, z początku nader niepomyślna dla oręża polskiego, odemknęła mu szerokie pole czynu. Brak środków pieniężnych dotkliwie dawał się uczuć królowi. Zewsząd rozlegały się narzekania na niemożność dalszego prowadzenia wojny dla braku grosza, którymby można było opłacić najemne wojska. Nietylko obcy, ale i swoi srodze się o zaległy żołd upominali, co ich na czasie nigdy nie dochodził.

W drugim i trzecim roku owej długoletniej walki nieustannie dochodzą te narzekania do uszu narodu, który tracił już nadzieję, by kiedykolwiek cel potrzeby Kazimierzowej — wyzwolenie Pomorza i Powiśla — mógł się urzeczywistnić. Nie wiedziano, że czeka ich, oprócz owych trzech, dziesięć jeszcze lat boju. W obozie krzyżackim liczne otrzymywano listy tak od jawnych, jak również i tajemnych Zakonu przyjaciół, donoszące, iż król polski niema o czem wojny dalej prowadzić. Oto na wiosnę 1456 roku biskup pomezański pociesza temi nowinami w. mistrza, donosząc »iż w Polsce całej, a mianowicie w Krakowskiem, wszystko w poruszeniu. Rotmistrze żołdowników czeskich, którzy z Prus pociągnęli do Polski, i w znacznej liczbie rozłożyli się około Krakowa, — donosi rzeczony dostojnik kościoła — z gwałtowną natarczywością dopominają się zaległego żołdu... Król zadłużył się wszystkim« [2])... Mnóstwo podobnych świadectw owej epoki do dziś spoczywa w archiwum królewieckiem.

---

[1]) *A. Mickiewicza* Rzecz o literaturze słowiańskiej wykładana w Kol. Fr.

[2]) Skarbiec Dyplomatów i t. d. T. II; Kotzebue: Preuss. ältere Gesch. T. IV.

Tego rodzaju pociechy otrzymywane przez w. mistrza, wcale przesadnemi nie były, przynajmniej w głównych zarysach. Uciekano się podówczas w Polsce do środków nadzwyczajnych, żeby całe przedsięwzięcie nie poszło na marne. Tu spotykamy się z czynnością Długosza, który z jednej strony występuje w roli królewskiego komisarza, gdy chodziło o porozumienie się z dowódzcami zaciężnych hufców Zakonu, z drugiej znowu strony zachęca, by składano ofiary na rzecz dalszego prowadzenia wojny.

Otworzono skarbce świątyń i kosztowne a prastare zabytki, pamiątki i dary pobożnej przeszłości złożono w ofierze sprawie wyzwolenia ziem dolnej Wisły. Tomasz ze Strzępina wspierał Długosza w tych usiłowaniach iście obywatelskich. Widzimy go wreszcie pod murami Malborga, gdzie w charakterze królewskiego komisarza, wespół z Jakóbem z Szadka, Janem z Rytwian, Andrzejem z Tenczyna, wchodzi w układy z wodzem zaciężnych sił krzyżackich, Czechem, Ulrykiem Czerwonką. Zaciężne te szyki, tak zwani w krzyżackich dokumentach dziejowych *Gäste* (goście), zawarli byli z wycieńczonym wojną mistrzem krzyżackim umowę, iż w razie niewypłacenia im należnego żołdu, Malborg i inne warownie Zakonu będą im oddane. Stało się wedle umowy: Zakon nie miał czem opłacać swych obrońców, zaciężnych żołdaków, z Czechów i Niemców, tudzież z różnojęzycznej hołoty złożonych; Polska uprzedziła go: złożyła owym *Gäste* żołd należny od Zakonu i weszła w posiadanie Malborga, Tczewa i Giławy. Była to chwila pomyślności, którą zawdzięczał kraj w znacznej części Długoszowi; on to bowiem wiódł układy z Czerwonką. Chwila ta szybko przeszła; zmieniły ją czarne dni nowych niepowodzeń. Zakon walczył zawzięcie; chodziło mu o życie lub śmierć, lecz przynajmniej chwalebną. Polska, chociaż wytężała siły, sprostać zadaniu łatwo nie mogła. Brak środków pieniężnych stale krępował jej działania;

gdyby nie pełna poświęcenia wytrwałość i energia miast pruskich, dłoń zakonu nie przestałaby ciężyć nad ujściem królowej rzek naszych. Do wszystkich trudności przybyła i od początku wojny trwała, wisząc niby miecz groźny nad Powiśla miastami, klątwa papieża Kaliksta III. Lecz i ona niezdolną była złamać oporu rokoszniczych grodów, wstrzymać działań polskiej polityki i oręża.

Pomorza i Pojeziorza pruskie, zniszczone pożogą, orężem, rabunkiem, wycieńczone wydatkami nad siły, omdlewające od wieloletnich wytężeń swej stępionej już mocy, nie zniechęcały się, ani też upadały na duchu, gdy synowie koronni w swarach spędzali drogie chwile obrad, i zaniedbując się w składaniu uchwalonych przez się poborów, opieszale wojnę tę prowadzili.

Długosz nigdy niezabaczający rzec słowo prawdy umiłowanym przez się ziomkom, skarcić ich, gdy widział zdrożności, ze zdumieniem patrzał, iż pomimo opieszałości i wielekroć grzesznego lekceważenia swych obowiązków narodowych, dzieło wyzwolenia i wcielenia Powiśla posuwa się naprzód. Widział on w tem sprawę Bożą, która błogosławi i do pomyślnego rozwiązania doprowadza wszystkie zajścia na słusznej podstawie oparte. Pruskie prowincye, wedle niego, musiały wrócić do Polski, bo od niej oderwane zostały przed wieki. Widzi on w tem konieczność dziejową, w którą wierzy, która wywraca ludzkie rachuby i domysły; dlatego też w swej historyi zwracając się ku ziomkom, z pewnym naciskiem powiada: »Prusy zostały wam oddane na przekor waszym błędom, waszym nikczemnościom«.

Oddanie to nastąpiło zaledwie w roku 1466, w trzynastym roku wojny, a było sformułowane w postaci traktatu zawartego w Toruniu między Polską a Zakonem.

Węgielny kamień do tej umowy rzucił Długosz swemi pracowitemi rokowaniami, kilkakrotnie podnoszonemi, ale zawsze bezowocnie.

Taką negocyacyą Długoszową, która na niczem wszakże spełzła, były układy prowadzone z wysłańcami Zakonu w r. 1465 w Neryndze.

W rok później, z polecenia papieża Pawła II legat Stolicy Apostolskiej, biskup Lewantu, Rudolf, rozpoczął nowe rokowania o pokój z Zakonem. Rokowania miały miejsce we Wrocławiu, dokąd podążył znowu niezmordowany Długosz. Tym razem negocyacye, chociaż spotykały przeszkody, nie rozchwiały się. Pomyślność oręża polskiego ukazująca się w owych czasach na widowni wojny, zaważyła niemało na szali obrad o pokój.

Stanął on, jak rzekliśmy, w Toruniu, d. 19 października 1466 r., na mocy którego Polska mienić się odtąd mogła panią ujścia Wisły i jej porzeczy, co zwane później były Prusami królewskiemi. Warmia cała, przytem dawna stolica mistrzów Zakonu, obronny Malborg i handlowy Elbląg weszły do składu owych Prus królewskich. Królewiec zaś z pozostałą resztą kraju został przy mistrzach, którzy stali się odtąd lennikami Rzeczypospolitej.

Jak głębokie wrażenie sprawiło na Długoszu zakończenie tak pomyślne wojny z Zakonem, do której to pomyślności urzeczywistnienia przykładał on tylekroć swą dłoń niestrudzoną, sądzić możemy z tego, co sam powiada w swej historyi.

»Jestem pełen radości — pisze on — opowiadając koniec tej długiej wojny, co nam przywróciła ziemię wydartą niegdyś Polsce. Nie mogłem patrzeć bez żalu na krzywdy wyrządzane ojczyźnie naszej przez obcych... Byłbym już zupełnie uszczęśliwiony, gdyby podobało się Opatrzności za życia mego oddać nam Szląsk i resztę Pomorza... Wtedy umarłbym bardziej zadowolony, a spoczynek mój wieczny byłby słodszy i głębszy«...

Radował się nasz dziejopis ze wzrostu potęgi narodu, lecz nie zapomniał jednocześnie wskazać temuż narodowi, iż wojna o niepodległość dolnego Powiśla odbiła się nieko-

rzystnie na jego obyczajach. Bliższe zestosunkowanie z kupczącemi miastami Pomorza, z kulturą inną, wywarło ogromny wpływ na owoczesną w znacznej części prostotę obyczajów; rozszerzyło zbytek; wywołało mnóstwo nowych potrzeb. Gonienie nieopatrzne za zadośćuczynieniem tym potrzebom sprowadza zepsucie. Historyka ten stan społeczny przeraża; gromi więc w swych pismach owe zmiany, zachcianki obyczajowe, niepotrzebne nowinki zamorskie, mieniąc je zepsuciem wieku.

»Tymi czasy — pisze on — zmieniło się u nas wszystko. Czy to z przyczyny długich i nieustannych wojen, czy z jakiego innego dopuszczenia Bożego, zepsucie rozszerzyło się powszechnie... Zdaje się, że wylew złego wszelkie już zapory zerwał... Są tacy, co zmarnotrawiwszy swoje dostatki, puszczają się na oszustwa i grabież; wielu innych krnąbrnie depce Boskie i ludzkie prawa; a nic nigdy nie uczyniwszy, przechwala się ciągle swem bohaterstwem. Chce im się zawsze poprawiać, nie siebie samych, ale swoich przełożonych«...

III.

Jednocześnie z wojną tak zwaną pruską zajmowały umysł naszego dziejopisa i inne negocyacye, i wreszcie zajście pamiętne z powodu obsadzania biskupstw drogą nominacyi królewskiej.

Mówiliśmy już wyżej, że te waśnie wywołały smutne następstwa dla naszego dziejopisa. Charakter jego niepodległy, daleki od przywiązania feudalnego do tronu ludzi owej epoki, nie zważa na żadne następstwa, i wśród zawichrzeń władzy królewskiej z duchowieństwem, śmiało wypowiada swe zdanie, ustępuje ze stolicy, naraża się na prześladowania, ale pozostaje statecznie wiernym wyznawanym zasadom.

Znana niechęć Długosza ku dynastyi Jagiellońskiej i ku królewskiemu otoczeniu ludzi świeckich, którzy prze-

jęci byli duchem opozycyi przeciw duchowieństwu, a których on mianuje z pewnem lekceważeniem »młodymi radzcami«, nie wstrzymały go od dalszego udziału w sprawach publicznych. Powolny rozkazom, bardziej zaś gwoli zadosyćuczynieniu własnemu sumieniu, nakazującemu mu nie uchylać się od brzemienia trosk przy spełnianiu służby publicznej, udaje się w roku 1467, jako poseł Rzeczypospolitej do Czech, wraz ze Stanisławem Ostrorogiem wojewodą kaliskim i Jakóbem z Dębna ówczesnym podskarbim koronnym.

Czechy zakłócone wówczas były wojną domową; rozpadły się na dwa stronnictwa religijne, a stąd różne i na polu polityki. Tak zwani *Utrakwiści* (używający kielicha przy komunii) mieli na swem czele króla swego, Jerzego z Podjebradu; drugi obóz — katolicki — nieprzyjaźnie stawał wobec Jerzego. Świecka polityka ówczesnego papieża Pawła II, z nieprzyjaźnią niczem nieubłaganą, na niwie dyplomatycznej walczyła z heretykiem Jerzym. Myślą było ulubioną ówczesnej kuryi rzymskiej znaglić Kazimierza Jagiellończyka do wojny z Jerzym. W tymto celu pomagał i Rzym Polsce przy zawieraniu ostatecznego traktatu z krzyżackim zakonem. Tenże sam legat Rudolf, który do końca doprowadził pokój toruński, oświadczył wyraźnie, iż Rzym pragnie polskim mieczem obalić z tronu Jerzego, którego stronnictwo katolickie czeskie, nie uznaje za swego króla, ofiarując swe berło Jagiellończykowi, lub jednemu z jego synów; król zaś Kazimierz powinien orężem zmusić Jerzego z Podjebradu do zrzeczenia się tronu. I rzeczywiście stronnictwo katolickie w Czechach obrało królem swym Jagiellończyka. Jednocześnie zaś Jerzy z Podjebradu słał posłów na Wawel z prośbą o niezakłócanie pokoju, o zachowanie i nadal przymierza.

Polska w danej chwili była daleką od wojny z Czechami; król Kazimierz nie sięgał skwapliwie po ofiarowane mu berło chociaż miał do tronu czeskiego prawo, jako

zięć cesarza Albrechta. Nie chciał przed zgonem Jerzego nic poczynać, zwłaszcza że wojny pruskie dobrze się mu znać dały. Obrano tedy drogę pośrednią, drogę pojednania: co leżało pospolicie w charakterze Jagiellońskiej polityki, pełnej umiarkowania i rozwagi. Sprawując to rozjemcze poselstwo, Długosz zdołał na jakiś czas wstrzymać rozszalałe fale domowych czeskich nienawiści i pokój — bodaj niedługi — tam zaszczepić.

Dla obu stronnictw tamecznych pożądanym on był, a przynajmniej dla Utrakwistów, czyli Husytów umiarkowanych, nie wstrętnym. Ostatnie to stronnictwo uważało się za narodowe czeskie; Długosz, acz nieprzyjaciel Husytyzmu, miał w ich oczach wielką zaletę, iż nie był Niemcem, bo katolicy, z którymi traktowali, przeważnie składali się z Niemców, iż mówił mową zupełnie zrozumiałą dla synów czeskiej ziemi; gdy tymczasem katolicy witali w nim światłego kapłana, i tak wreszcie rozmiłowali się w dziejopisie naszym, że mu ofiarowywano arcybiskupstwo w Pradze.

Poselstwo Długosza do Pragi utorowało drogę dla starszego z synów Kazimierzowych, Władysława, do tronu czeskiego. Jerzy z Podjebradu cierpiał od dawna na wodną puchlinę, dni jego mieniono policzonymi; Czesi chętniej się skłaniali ku pobratymczej Polsce i jej dynastyi, niż ku Habsburgom i wszelkim germańskim wpływom i zagórskim wdziercom, w rodzaju Macieja Korwina, króla węgierskiego. Władysław Jagiellończyk, starszy syn króla Kazimierza, obrany więc został królem Czech jeszcze za życia Jerzego (w r. 1469), z warunkiem (co atoli w tajemnicy trzymano) poślubienia Ludmiły, córki Podjebrada.

Wiadomość o tym układzie w Rzymie przyjętą źle była. Rozmaite widoki skłaniały tameczną kuryę do rozchwiania rzeczonych planów, stawiąc zamiast Władysławowej kandydatury do tronu czeskiego, Macieja Korwina króla Węgier, któremu dawano za małżonkę córkę na-

szego Jagiellończyka — Jadwigę. Plan ten wszakże nie powiódł się, znalazłszy oprócz innych przeszkód, opór w królowej Elżbiecie, nienawidzącej Macieja.

Tak urządzone stosunki dynastyczne usunęłyby Husytyzm od tronu; — tymi względami przynajmniej zasłaniał się Marek Barbo legat papiezki, gdy zwołał do szląskiego miasta Nissy, gwoli urzeczywistnieniu rzeczonych planów, wiec polskich dyplomatów. Stanął tam znany już nam Jan Gruszczyński (od roku 1464 arcybiskup gnieźnieński i prymas) wraz z historykiem Długoszem. Rokowania w Nissie legata z prymasem Gruszczyńskim i gorliwym sługą Kościoła — Długoszem, gdzie dwaj ostatni stawili mężny opór kuryi, uwydatniają ów pamiętny dziejowy rys epoki, iż tamtoczesni Polacy wybornie sprawy świeckie umieli oddzielać od spraw Kościoła, iż składając hołd uległości głowie Kościoła w rzeczach wiary, nie poddawali się wpływom i nie schlebiali widokom świeckiej polityki Rzymu, gdy takowe były sprzecznymi z interesami i potrzebami ich własnego kraju.

Plany tedy legata Marka Barbo spełzły na niczem. Wymówili się przedstawiciele Rzeczypospolitej, iż ich pełnomocnictwa obszernemi tak nie są, aby mogli od tronu czeskiego usuwać królewicza Władysława, tembardziej, iż królewicz, jako wnuk cesarza Albrechta (po kądzieli) miał do Czech wszelkie prawo.

Zjazd w r. 1467, po małej przerwie, odmyka nową epokę działalności historyka Długosza. Nie podejmywał on czas jakiś rokowań na szerszej widowni. Praca przewodnika pacholąt królewskich, praca dziejopisarska, praca kapłana-obywatela, wznoszącego świątynie, uposażającego konwikta dla uczącej się młodzieży, pochłania odtąd znaczną część jego działalności, a zresztą choroba zaczyna go przykuwać do łoża cierpień, chociaż pióra nie wytrąca mu z dłoni do ostatnich niemal godzin życia, chociaż krząta się on znowu później po trzyletniej przerwie, na polu dy-

plomacyi, i śmierć zaledwie przecina pasmo trosk jego o rzeczy publicznej.

Czas i myśl swobodną umiał Długosz zawsze znajdować na wszystko; rozmaite strumienie jego prac płyną niejednokrotnie równolegle, nie przeszkadzając sobie wzajem. Owszem zlewają się one niekiedy, wspierając się i uzupełniając.

Nie zamknęły się jeszcze przed nim szranki prac dyplomatycznych, gdy go król Kazimierz powołał do ciężkiego nauczycielskiego trudu. I na tem polu ochoczo, a z niemałym dla kraju pożytkiem, staje Długosz. Pod jego przewodnictwem rozpoczynają swe początkowe studya synowie Jagiellończyka, którzy z czasem władać mieli olbrzymiemi ziemiami, co legły między Elbą a Dnieprem a tam sięgały swemi kończyny, kędy sięgał wpływ Jagiellońskiej rodziny — t. j. opierał się o trzy morza, o miedzę wschodniego obyczaju, bizantyńskiej wiedzy i wpływów i wreszcie germańskiej kultury.

Niedługimi, bo tylko trzyletnimi, były trudy pedagogiczne Długosza, niemniej zapisały się one głęboko w tradycyach rodziny Jagiellońskiej i w pamięci narodu.

Długosz kształcił czterech królewiczów: dwóch przyszłych władzców Rzeczypospolitej, jednego króla Czech i Węgier, i jednego, co miał być świętym. Jakiem było owo kształcenie, łatwo sobie odtworzyć możemy znając zasady mistrza i pogląd żony Jagiellończyka, królowej Elżbiety, na wychowanie dzieci. Pani ta, pełna światła i cnót domowych niewiasta, bardzo poważnie zapatrywała się na wychowanie synów, nie zapominając, że los im berła gotuje, a dzierżenie berła wkłada obowiązki wielkie, niełatwe do spełnienia. Szczęśliwa z wielu względów niewiasta, królowa Elżbieta nie usypiała na różach spokoju, któremi droga jej życia była usłaną, nie traciła z oczu powinności własnych. Jako matka i żona chlubnie stała na straży domowego ogniska na Wawelu i nie zabaczała

o obowiązkach, co spadną na barki jej dzieci, gdy zasiądą na tronach i władać będą losami narodów. Ubłogosławiona licznem potomstwem, »świętobliwa ta matka«, jak ją wieki późniejsze mianują, dziwnie umiejętnie prowadziła swe dzieci, które z latami pozyskały miłość ludów im podległych. Szczęśliwym trafem dziejowym posiada nasza nauka historyczna manuskrypt owej epoki, zawierający rady, jakie ta pani w późniejszej już dobie lat poleciła napisać dla najstarszego swego syna Władysława, kiedy mu pierwsze dziecię miało przyjść na świat. Spodziewała się królowa Elżbieta, że będzie to wnuk; skreśliła więc przestrogi tyczące się wychowania przyszłego królewicza. Szacowny ów zabytek myśli matki naszych Jagiellonów, noszący tytuł »o wychowaniu królewskiego dziecka«, odźwierciedla z dziwną ścisłością cały systemat pojęć królowej o wychowaniu królewiczów i obowiązkach, jakie na nich ich stan wkłada. Pani tak potężnego umysłu, jak na swą epokę, zdala się trzymała od spraw politycznych podczas czterdziestoletniego prawie pożycia ze swym królewskim małżonkiem, a przeszło półwiekowego mieszkania na Wawelu jako polska królowa: niemniej jednak w sprawach rodzinnych, domowych, wpływ jej się spotyka. Gdzie sprawa przekracza zakres polityki, król Kazimierz zawsze się radzi małżonki, którą »nad obyczaj miłował« — jak już o tem rzekliśmy — i głos jej wielce był poważanym u domowego ogniska. Tam Elżbieta jest panią samowładną; tam działa, pracuje; stamtąd płyną na kraj cały dobroczynne skutki jej zacnej myśli, wzniosłych poglądów, macierzyńskich trudów. Wiedziano w Polsce, że promienie dobroczynnego wpływu królowej Elżbiety są tak wielkie, iż na wiek cały starczą; bo w sto lat prawie po jej do naszej ziemi przybyciu, jeden z mówców na pogrzebie najmłodszego z jej synów, Zygmunta I., wyrzekł tę wielką prawdę: »najzacniejszej i najpobożniejszej z matek zawdzięczał król nieboszczyk i reszta jego braci swe święte

i mądre od najwcześniejszych lat wychowanie«... Wyżej wspomniany manuskrypt przestróg o wychowaniu wskazuje, że pieczołowitość wychowawcza królowej nader wcześnie zaczynała się. Samo karmienie dziecięcia już zwraca jej uwagę. Wedle jej poglądów matka karmić dziecię powinna, jeśli zaś uczynić tego nie może, powiada królowa, niechże mu da mamkę dobrych obyczajów »a osobliwie wymowną«... Gdy do mamki wyboru myśl jej pewną wagę przywiązuje, jakże stokroć troskliwszą być musiała przy wyborze nauczyciela swych synów. Wybór ten historyka Długosza na wychowawcę młodziutkich królewiczów, wybór nader szczęśliwy, jej był dziełem prawdopodobnie, gdyż sprawy domowe w królowej ręku spoczywały; król zasięgał w rodzinnych kwestyach jej rad i na nich polegał. Przeprowadzenie kwestyi mianowania Długosza nauczycielem królewiczów niełatwem być mogło, bo król miał do niego żal głęboki za opór stawiany władzy świeckiej w dniach zajść z kapitułą krakowską. Przeszło wprawdzie już było ze trzy lata po powrocie Długosza z tułaczki — na jaką siebie był on skazał podczas waśni duchowieństwa z królem — i wysoka wartość moralna historyka dużo mówiła, by przeszłość puścić w niepamięć; niemniej należy tu widzieć wpływ królowej, i do tej sprawy zastosować wyrażenie się Bielskiego, użyte o Elżbiecie w innej kwestyi domowej rodziny Jagiellońskiej. — »Jako to jest u białychgłów pospolita — powiada rzeczony kronikarz — że rade wiele rządzą, a król jej też w tem usłuchał«...

»Usłuchanie« to, gdy w istocie potrzebnem było, bardzo na czasie i mądrem mienić należy. Niewielu ludzi posiadała Polska ówczesna, którzyby przy obszernej wiedzy mieli tak głębokie poczucie swej narodowości, czyli, jak jeden z myślicieli powiada, »aby byli ludźmi zupełnymi«: a tak zupełnym człowiekiem dziejopis nasz był właśnie. Posiadał duże zasoby miłości wiary, miłości ludzi, miłości

ziemi ojczystej, i ta to właśnie troista miłość wielkim go pedagogiem uczyniła.

Bielski dwakroć w swej kronice wspomina o mianowaniu Długosza wychowawcą pacholąt królewskich. Czyni to jednak ze zwykłym kronikarzom lakonizmem. Pod rok 1468 pisze: »Długosza król do synów obrócił, i był pedagogiem u królewiczów«... W innem zaś miejscu następującą uwagę tenże Bielski dodaje: »Nie był król nań (t. j. na Długosza) łaskaw z przodku... ale potem był nań łaskaw i do posług go swych często używał«... W chwili obejmowania przez Długosza stanowiska wychowawcy pacholąt królewskich wracała ku niemu ufność Jagiellończyka, która nader szybko wzrosła i bezbrzeżną się stała. Królewskie pacholęta nie wychowywały się wśród gwaru stolicy, w monarszych komnatach, w orszaku dworzan, gdzie tysiące roztargnień nie pozwoliłyby przeprowadzić tego systemu wychowawczego, co wyszedł z pod pióra sekretarza królowej, powstał wszakże w umyśle Długosza, a urzeczywistniany był przez niego podczas doby kształcenia królewskich pacholąt. Myśli dziejopisa o wychowaniu, wspomnienia o jego działalności pedagogicznej, w późniejszych już latach życia ujęła królowa w jeden system i z nich poleciła ułożyć ów wychowawczy przewodnik, o którym wspomnieliśmy wyżej.

Przytoczymy tu parę ustępów z owej rzeczy o wychowaniu królewicza, co nam uwydatni, w jaki sposób były prowadzone królewskie pacholęta rodziny Jagiellońskiej, owi przyszli władzcy czterech tronów.

Miłość Boga i kraju, miłość prawdy, tak górująca w życiu całem Długosza, miłość ludzkości — główne to są podwaliny systematu wychowawczego polskich królewiczów w XV wieku. Modlitwa i praca zapełniać miała czas cały. Dzień każdy rozpoczynał się od mszy św., po której następowała praca nad studyami szkolnemi. Poeci starożytności, z których wyciągi czynił dla nich Długosz —

i kajet z owymi jego wyciągami dla wychowanków do dziś przetrwał — czytanie dziejów, składały przedniejsze działy umiejętności wykładanych królewiczom [1]. W otoczeniu, ubiorze, pożywieniu, prostota najzupełniejsza powinna była panować — i rzeczywiście panowała. Długosz nieprzyjacielem wszelkiego zbytku mienić się mógł; w historyi jego czytamy napomnienia tych, co »włosy krótko podstrzygali i trefili, nosili na głowie ubiorki i wstążkami piersi stroili«. Umiarkowanie tedy i wieśniacza, rzec można, prostota, znamieniem się stały tej części zamku królewskiego, gdzie przebywał Długosz z młodziutkimi synami jednego z najpotężniejszych mocarzy ówczesnej Europy.

W ustronnych zameczkach, gdzie uprzednio nie postała noga dworu królewskiego, w Starym Sączu, Tyńcu, Lublinie, wtedy jeszcze nie nader wybitnym grodzie, nie wojewódzkim i drugorzędnym, gościła owa szkoła przyszłych królów. Wśród sielskiej przyrody małych gródków łatwiej spełniał się programat wychowawczy, bliżej stać mogli królewicze owych tłumów, których rządy spocząć miały w ich dłoni.

Poznanie bliższe kraju, tradycye narodu zajmowały pierwszorzędne miejsce w szkole Długoszowej. Wielki miłośnik swej ziemi przelać pragnął te uczucia w serca wychowanków. Wykład dziejów potężną stał się dlań dźwignią i pomocą. Wzniosłe nadzwyczaj posiadał on o dziejach pojęcie; zapatrywanie się swe na historyą opowiada nam następującemi słowy: »Historya matką jest cnoty i przewodniczką życia, i niemniejsze jak filozofia rodzajowi ludzkiemu korzyści przynosi«...

...»Historya — mówi dalej Długosz — sprawuje rozkosz i pożytek również światłym jak ciemnym ludziom; nie wykładając prawideł, nie podając nauk, nie rozprawia-

---

[1]) Bielowski widział ten kajet w bibliotece im. Ossolińskich.

jąc, nie spierając się, lecz opowiadając czyny i przewagi znakomitych mężów, uczy poznawać cnotę, ubiegać się za sławą i wysokie zaszczyty szanować« [1]).

Królowa Elżbieta w swej rzeczy »o wychowaniu królewicza« kładzie również nacisk na wychowanie w podaniach rodzinnych. Jako dobra matka, zapomina królowa, że Niemką jest, lecz przejmuje się sprawami przybranej ojczyzny, gdzie los pozwolił jej pół wieku przebyć i zasłużyć na wdzięczne wspomnienie narodu. Każe cnotę wpajać w dziecko, chronić je od występków, od pochlebstw i pochlebców, od ambicyi, którą nazywa »plagą królestw i królów«.

Królewicze w tych ustronnych zameczkach ucząc się, nosili proste kożuszki baranie, posilali się grubą strawą, na ich stołach nie widziano więcej nad cztery rodzaje potraw, co sprzeciwiało się ówczesnym dworskim obyczajom, i we wszystkiem niezmierną wstrzemięźliwość zachowywali.

Nauka przeplatana była zabawą, rozmową, szermierką, łowiectwem. Na łowach zalecane było zbliżać się i rozmawiać ze spotkanymi, być uprzejmym z każdym i hojnym. Ostatnia owa cnota usilnie się zalecała, a niemniej, jak uczą nas dzieje, spełnianą była przez wszystkich Jagiellonów, może zbyt nawet gorliwie.

Wśród zabaw, muzyka przedniejsze miejsce zająć była powinna, i w istocie zajmowała; dźwięk lutni często się obijał o sklepienia Długoszowej uczelni. Przypatrzmy się bliżej uczniom tej szkoły.

Królewicz Aleksander, ciche, milczące, jak jego ojciec, poważne nad lata pacholę, o kruczych włosach i smutnym wzroku kędyś w dal zapatrzonym, lubiło muzykę i upodobanie to przechowało całe życie. Najstarszy z królewiczów — Władysław — późniejszy król Czech i Wę-

---

[1]) Długosz.

gier, taką dobrocią się odznaczał, iż nikomu nic nie odmawiał, co dało początek przydomkowi, jakim go darzono w zakarpackiem jego państwie. Węgrzy nazywali go *rex bene* »król dobrze«. Pacholęciem małem wyróżniał się już Władysław wielkiem przywiązaniem do braci swych, wśród których Jan Albert (Olbrachtem pospolicie nazywany) celował uzdolnieniem. Było to chłopię wysmukłe; długi, acz rzadki włos spływał mu na ramiona; rysy twarzy miał greckie, pełne wdzięku, obejście nader przyjemne, co uczyniło go ulubieńcem matki, mówiącej, że wszystkie przymioty skupiły się w jej miłym Olbrachcie. Zamiłowanie do nauk posiadał on po swym mistrzu, szczególnie zaś lubił historyę, i biegłym był w łacinie i niemieckiej mowie, ale lekki charakter, chęć błyszczenia i popisu niweczyły owe dary przyrody i wiadomości nabyte. Panowanie jego w Polsce nie świeci dniami pomyślności... Starszym o parę lat od Olbrachta, a młodszym od pierworodnego Władysława, był Kazimierz, dziecię wielkiej pobożności, rozmarzone, skłonne do zachwytu, układające pieśni na cześć Bogarodzicielki — to przyszły święty, przyszły patron Litwy...

Trzy lata trwały prace pedagogiczne Długosza, wśród których nietylko posiadł on miłość swych uczni, ale najzupełniejszą ufność króla. Przeszłość przekazała nam kilka cennych szczegółów, świadczących o tej zupełnej ufności Jagiellończyka, która zajęła miejsce dawnego nieukontentowania.

Gdy w roku 1471 pierworodny syn Kazimierza, Władysław, powołany został na króla Czech, ojciec elekta pragnął, aby Długosz towarzyszył piętnastoletniemu pacholęciu do czeskiej stolicy. Dziejopis posuwający się w lata, znękany przytem chorobą, która go podówczas nawiedziła, wymawiał się i wahał, lecz małomówny zwykle Jagiellończyk skłonił go wreszcie serdecznem słowem,

świadczącem, jak król szczerze pokochał wychowawcę swych synów.

— »Władysław, syn mój — rzekł wówczas król do Długosza — ma dwóch ojców: mnie i ciebie — jam go zrodził, tyś wychował; byłoby zbyt okrutnie, aby utracił obu naraz«...

Serdeczne przemówienie Jagiellończyka skutek odniosło. Długosz towarzyszył młodemu elektowi do Pragi; podczas gdy król z matką odprowadzili syna tylko do ówczesnej polskiej granicy, do Oświęcimia, i tam go pożegnali.

Pobyt w Pradze historyka dość długo musiał trwać, sprawy bowiem czeskie były zawikłane: tron młodziutkiego króla chwiał się, bo wznosił się na chwiejnych podstawach. Potrzeba tedy było stać się rzeczywiście ojcem duchowym niedoświadczonego króla, kierować sprawami w jego imieniu, być mu radą, pomocą; czuwać zresztą nad codziennemi potrzebami jego życia. Maciej, król węgierski pretendentem był do czeskiej korony i miał w Czechach stronników. W przewidywaniu niebezpieczeństw, Jagiellończyk wyprawiał syna ze zbrojnym pocztem. Elekt czeski jechał do Pragi w orszaku 7000 polskiej jazdy i 2000 piechoty, w którym hetmanił Paweł Gozdawa z Jasieńca. Szczęśliwie stanął ze swym wychowankiem Długosz w znanej mu już Pradze, gdzie go ceniono i proponowano — jak już wspominaliśmy — pragski arcybiskupi pastorał; lecz nie przyjął go skromny i nigdzie nieubiegający się o dostojeństwa kanonik krakowski, mówiąc, iż »tęskno mu byłoby do swoich«...

Niemniej »tęskno« mu było i teraz, gdy bawił na królewskim zamku w Pradze, gdzie doświadczył niemało prywacyj i trosk. Skarb czeski pusty był. Nie dość, że nie było czem spłacić długów zmarłego króla Jerzego z Podjebradu, czyli, jak go nazywano, »króla Jerzyka«, lecz i nas Władysław Jagiellończyk cierpiał wielki niedo-

statek w pierwszych miesiącach swego czeskiego królowania. Prostota stołu i umiarkowanie we wszystkich potrzebach, do których był się przyzwyczaił młody Władysław w ustronnych rodzicowych zameczkach, w Starym Sączu, w Lublinie, bardzo mu się teraz przydała: na pragskim zamku cierpiano brak we wszystkiem. Do Krakowa przychodziły wieści, że Władysław prawie głód cierpi, i król Kazimierz słał mu do Pragi na pierwsze życia potrzeby 10.000 czerwonych złotych. Prywacye młodziutkiego Jagiellończyka płynęły już nie z systematu wychowawczego Długosza, ale z rzeczywistych, twardych życia warunków. Doszło później nieco z Maciejem węgierskim do niejakiej umowy, do rozejmu; i w Czechach, dzięki trafnym Długoszowym radom, tudzież wrodzonym młodego króla dobrym skłonnościom, umysły nieprzychylnych nawet pojednały się z Władysławem. Zdobywał on serca bratniego ludu, i wówczas właśnie wytworzył się przydomek mu dany »Króla dobrze«, co się stał później jego dziejowym przydomkiem. Lecz Maciej węgierski nie wyrzekł się swej niezmiernej chęci opanowania tronu czeskiego; owszem, wciąż działał, bez względu na rozejm, ale już nie jawnie, lecz zdradziecko, skrycie: wysyła on trucicieli w celu zgładzenia Władysława. Zbrodniarz atoli został ujęty i w obawie tortur odebrał sobie życie. Była przy nim tak silna trucizna, że jak tamtoczesne świadectwa piszą, »kogo tylko zaleciała, umierał«.

Kilka tu rzuconych rysów z pierwszych chwil trosk pełnego panowania Władysława króla Czech wskazują, jak obfitym w niepokoje był pobyt Długosza w Pradze przy królewskim swym wychowańcu. Wyjechał Długosz z Władysławem do Czech w ostatnich dniach lipca 1471 r.; lecz w rok później już Długosz jest z powrotem w kraju, dokąd go, zdaje się, choroba przypędziła. Widzimy bowiem naszego historyka w Krakowie w roku 1472 złożonego ciężką chorobą. Chorobą tą był kamień. Jan Welsz (rodem

z Poznania), lekarz wówczas wielkiej wziętości, i Jan Stanko, również biegły medyk, czuwali nad nim; rodzina Jagiellońska otaczała go wielką troskliwością; zwątpili już byli wszyscy o jego życiu; wyzdrowiał jednak, wyzdrowiał wtedy niespodziewanie, ku radości szanujących przymioty męża tylu zasług i ku pożytkowi nauki dziejowej. Wyzdrowienie przypisywano głównie umiejętności medycznej lekarza Stanka.

Długosz podczas ciężkiej choroby, gdy mniemał, jak też powszechnie sądzono, że już z niej nie wyjdzie, »patrzał spokojnie na zbliżającą się śmierć, wiedział bowiem — jak twierdzi tamtoczesny jego biograf — w jakich rękach były rządy (kraju)«... Te słowa naocznego świadka nowy, do wielu już znanych, dodają dowód, że myśl o sprawie publicznej pospolicie zajmowała go bardziej niż wszystko, że miłość ojczyzny zawsze wielką łuną w piersi jego płonąca, jedyną nicią była, co jednoczyła go z ziemią... Cały na usługi publiczne oddany, w kraju i jego pomyślności widział on wszystko, co miał najcenniejszego na ziemi.

Po powrocie do zdrowia jął się on znowu pracy statysty, i zaledwie na półtora roku przed zgonem znikają w rocznikach dziejowych ślady jego osobistego w rzeczy publicznej udziału. Jeśli jednak nie wahał się Długosz brać osobistego udziału w zjazdach, wiecach dyplomatycznych, w rokowaniach z obcymi, w ciężkiej pracy myśli i znoju rozpraw, nie wraca jednak do swych pedagogicznych zatrudnień po powrocie z Czech, gdzie zostawił najstarszego ze swych uczni. Tego rodzaju praca nad siły byłaby mu już w one lata, zwłaszcza że do grona młodych uczniów przybył, w okresie po chorobie Długosza, młodociany bardzo, zaledwie sześć lat życia liczący, najmłodszy z synów Kazimierzowych, królewicz Zygmunt, później tak wsławiony w dziejach naszych, tak znany, tak głośny w całej Europie w ciągu prawie pół wieku.

Długosza zastąpił w pracach pedagogicznych doktor

Jan Welsz i Filip Kallimach, byli i inni mistrze; szkoła się rozprzęgła, bo już wkrótce Zygmunta potrzeba było tylko kształcić; inni z synów Kazimierza Jagiellończyka mniej więcej samodzielnem życiem żyć zaczynali; świat miał być odtąd ich szkołą i mistrzem.

Z prac dyplomatycznych Długosza w ostatniej dobie dni jego wymienić jeszcze możemy parę zjazdów, na których rozprawiano o zawikłaniach ówczesnych polsko-węgierskich. Wstrzymywał on natarczywość Macieja węgierskiego, gwałtownie dobijającego się dwu rzeczy: tronu czeskiego i ręki Jadwigi polskiej królewny. I jedno i drugie zawiodło upartego i popędliwego władzcę zakarpackich krajów. Jednym z rzeczonych zjazdów były obrady w Sramowicach i Nowej wsi (w roku 1475), drugim zaś, który zarazem jest ostatnim szczeblem dyplomatycznych robót Długosza, była ugoda przeprowadzona z Maciejem węgierskim (1478 roku) na parę lat przed zgonem historyka. Obie te prace zażegnały wielką burzę, bo nietylko wstrzymały oręż Macieja, który był gotów wejść w krwawe zapasy z Polską, ale wstrzymały Krzyżaków nieprzyjazne zamiary, nieustannie podbudzane przez tegoż również niespokojnego, jak i przebiegłego wroga.

Wśród wszystkich tych prac obywatela statysty, Długosz miał czas i środki na tak liczne fundacye, związane ściśle bądź z chwałą bożą, bądź z rozkrzewianiem oświaty w kraju, że myśl nasza zdumiewa się, jak mogły starczyć skromne środki kanonika krakowskiego, pochodzącego z niezamożnej rodziny, na owe wielkie i kosztowne przedsięwzięcia.

Każda z jego podróży za granicę, których wiele odbył, szczególnie zaś podróże rzymskie, przynosiły wiele pożytku wiedzy krajowej; przywoził on bowiem rękopisy bardzo rzadkie, za drogą cenę nabyte, zbogacał zaś nimi swą bibliotekę, czyli jak w owe czasy nazywano libraryę, z której przepisywano je do innych księgozbiorów; a zre-

sztą zbiór Długoszowy stał się po zgonie dziejopisa własnością krakowskiej akademii.

Tą więc drogą, dzięki staraniom, troskliwości i kosztom Długosza, chciwe wiedzy tłumy tamtoczesnej polskiej młodzieży biegnące do stóp Wawelu po maluczkie bodaj promienie światła, zapoznawały się z mało przedtem u nas znanymi, lub wcale nieznanymi rękopismami. Sallustyusz, Liwiusz, Cicero, nowi i dawniejsi teologowie, rocznikarze, kroniki skrzętnie zbierane w Niemczech, w Rzymie, w klasztorach Czech i Panonii, przybyły za jego pośrednictwem do Polski. Przepisywacze rękopismów, których zastępy liczne posiadały ówczesne lata, patrzące na niemowlęctwo sztuki drukarskiej, w libraryach Długoszowych zdobyli obfite pole do swych żmudnych, a tak pożytecznych prac. Odpisy rękopisów Długoszowych, z których wiele było zupełnie w kraju nieznanych, rozchodziły się po Polsce do znakomitszych opactw i klasztorów, do libraryj akademii krakowskiej, na dwory biskupów i niektórych świeckich.

Strumienie nowych myśli, prawd od dawna zdobytych trudem wieków ubiegłych, zagrzebanych w zapomnieniu, trysnęły ożywczym zdrojem i wsiąkały w ziemię naszą. Mrówczej zapobiegliwości Długosza zawdzięczała Polska pierwszych Jagiellonów, iż wiedza i pojęcia starożytnego świata maluczkiemi kroplami z początku, później zaś coraz szerszymi nurty rozlały się po ziemi naszej i dosięgły dalekich kończyn europejskiego wschodu. Wśród puszcz i śniegów, poza Bugiem i Niemnem sztywniały, zamierały promienie światła, które ze wzgórza wawelskiego na Polskę się rozlały. Długosz i grono mężów mu współczesnych, jak Tomasz ze Strzępina, Grzegorz z Sanoka, Paweł z Brudzewa, Sędziwoj z Czechela, Dombrówka i inni mnodzy — wśród duchownych; jak Jan Ostroróg — wśród świeckich — nadali moc większą owym promie-

niom: poczęły one za dni Długoszowych sięgać coraz dalej i ożywiać umysły w coraz szerszych granicach...

Księgi jednak i bodaj najobfitsze »libraryа« wystarczyć nie mogły potrzebom społecznym, nie były jedyną dźwignią, niezbędną do szerzenia światła; tłumy garnęły się do głównej Jagiellońskiej szkoły, tłumy żądne dachu i chleba, bez których przetrudno im było czerpać wiedzę. Wiedział o tem Długosz; nie zabacza więc o zakładaniu burs, o uposażeniu konwiktów, gdzieby przytułek, ostoję skuteczną od prywacyj ciała znajdowała młodzież żądna kształcenia umysłu, rozszerzenia co największego olbrzymich obszarów nauki. Podzielał Długosz najzupełniej zdanie Grzegorza z Sanoka utrzymującego, że »więcej znajduje się sił w rozumie, niż w ciele«; stąd też troska o pomyślność kraju pomnażała w nim zapał do fundacyj gwoli nauce i spokojowi uczącej się młodzieży [1].

Kształcąc młodzież, czynił on więcej, niż czynili wznoszący mury i baszty ku obronie grodów. Dostarczając chleb, dach i możność nauki tłumom garnącym się z dalekich nawet okolic do krakowskiej akademii, pracował tem samem Długosz dla utrzymania i ocalenia Rzeczypospolitej.

Odległość i brak środków materyalnych sprawiały, iż »mimo znakomitych ludzi, których w XV wieku akademia krakowska wydała, światło jej nie mogło rozszerzać się po obszernych Polski przestrzeniach, i ubożsi, odleglejsi od stolicy, nie mogli zeń korzystać« [2]...

Zbyt przemożnymi były te względy, by umysł Długosza nie zwrócił na nie uwagi; zbyt wielkie serce biło w jego piersi, zbyt wielka pełnia uczuć obywatelskich kierowała czynnościami dziejopisa, aby nie przyłożył bardzo gorliwej dłoni do rzeczonych fundacyj przy akademii,

---

[1]) Podanie Kallimacha.

[2]) Ksiądz Ostrowski: Dzieje i prawa kościoła, T. II.

które w one lata wcale nowością nie były, bo już w roku 1416 niejaki Mikołaj z Gliwic, Szlązak, dostojnik katedry wrocławskiej »całe swe mienie zapisuje« na stypendya przy różnych akademiach, a w tej liczbie i przy akademii krakowskiej [1]... Najznakomitszą z Długoszowych fundacyj przy akademii krakowskiej była tak zwana Bursa kanonistów którą on znacznym jak na ową epokę kosztem urządził. Nabył dla niej dom i uposażył ją stosownie w roku 1471. Jakieś miejscowe jednak przeszkody wstrzymywały zupełne otwarcie owego akademickiego konwiktu dość długi przeciąg czasu, tak iż dopiero po zgonie fundatora korzystać z fundacyi zaczęto. Współcześni dobrze znać rozumieli całą doniosłość zasług Długosza położonych dla oświaty krajowej, gdy w jednym z listów owej epoki czytamy słowa następującej treści, skreślone dłonią, która prawdziwą powagą mienić się może. Są to słowa Sędziwoja Czechela, męża znanego w XV stuleciu ze światła i cnót... »Między wybornymi wieku naszego mistrzami — czytamy w rzeczonym liście — ty jeden (t. j. Długosz) z największą usilnością we Włoszech, gdzie jest źródło łacińskiej wymowy, wiele książek niemałym kosztem zebrałeś i jeszcze zbierać nie przestajesz; stąd u ciebie wszyscy naukę czerpią i przy twojem naczyniu pragnienie gaszą«.

Z powyższych słów Sędziwoja z Czechela wnosić należy, iż najcenniejsze księgi (pisane) sprowadzał Długosz z Włoch, gdzie kilkakrotnie przebywał i miewał tam mowy u stóp tronu Stolicy Apostolskiej. Jedna z takich mów wzywała głowę kościoła do obrony Europy od Turków, którzy usadowili się już byli w Konstantynopolu.

Okoliczność na pozór podrzędna, iż Długosz miewał mowy przy uroczystych posłuchaniach u dworów papieskiego i cesarskiego, gdzie kilkakrotnie sprawował posel-

---

[1]) S. B. Klose Breslaus: Documentirte Geschichte...

stwa, nabiera znaczenia niemałego, gdy przypomnimy, iż nasz dziejopis miał trudną wymowę i swej jedynie pracy zawdzięcza usunięcie w sobie samym wady jąkania się. Wymową później odznaczał się Długosz, o czem mówi nam wyżej przytoczony Sędziwoj Czechel mniej więcej temi słowy: »Również wsławił się on (Długosz) czynami jak i wymową... słowa prawdy — dodaje tenże Sędziwoj — są wypływem czystej duszy, a z ust jego (Długosza) same niepokalane słowa wychodzą«... Lecz nietylko ów mędrzec-asceta, jakim był Sędziwoj, pisze o wymowie Długosza, mamy inne jeszcze w tym względzie wskazówki; są to relacye, z pochwałą o dowcipie i wymowie Długosza świadczące, Eneasza Sylwiusza, który znał dobrze Polskę i Długosza, i obu był nieprzyjazny.

Unikając całe życie godności i zaszczytów, usuwając się od urzędów przez króla mu ofiarowanych — podkanclerstwa i podskarbstwa — Długosz pędził życie pełne prostoty. Dawało mu to możność robienia znacznych oszczędności, które zażywał bądź na wyżej rzeczone cele dobra publicznego i oświaty, bądź też na wznoszenie świątyń. Kościoły w Chotlu Czerwonym pod Wiślicą i w Odechowie, tudzież klasztor Paulinów na Skałce w Krakowie, są to jego fundacye.

Król Kazimierz z przykrością patrzał, że mąż tylu zasług nie posunął się na wyższe szczeble duchownych godności. Skoro więc po zgonie Grzegorza z Sanoka opróżniła się stolica arcybiskupia lwowska, powołuje król na nią Długosza. Nominacya jednak papieska dla przyczyn nieznanych nader długo nie przychodziła, tak iż Długosz dopiero na łożu śmierci ją otrzymał. Obojętnym wzrokiem powitał dziejopis paliusz i infułę arcybiskupią; zapóźno już one wchodziły do skromnie urządzonych izb niezmordowanego pracownika. Konający starzec, ze spokojem umierający, bo »wiedział w czyich rękach rządy kraju zostają«, nie mógł udźwignąć tego nowego brzemienia obo-

wiązków; do ostatniego wszakże tchnienia kreślił swe dzieje Polski, najznakomitszą swą historyczną pracę i śmierć dopiero wytrąciła mu pióro z dłoni.

IV.

Widzieliśmy dotąd Jana Długosza kanonika krakowskiego i kustosza wiślickiego, na niwie prac dyplomatycznych i obywatelskich, teraz przychodzimy do jego piśmienniczej działalności, która go bardzo wysoko w pamięci narodu postawiła i zdobyła mu dobrze zasłużoną nazwę protoplasty historyków polskich.

Pracę swą piśmienniczą rozpoczął Długosz bardzo wcześnie, gdyż w dniach pierwszej młodości kreślił on już dzieło nader poważne, tak zwaną *Liber beneficiorum*, to jest »Księgę uposażeń duchownych dyecezyi krakowskiej«.

Prawie pierwsza to praca piśmiennicza Długosza, pisana po łacinie, również jak i wszystkie jego dzieła. Rozpoczął ją z polecenia Zbigniewa Oleśnickiego i w znacznie późniejszych latach pomnażał notatami, które miały zapewne być materyałem do pracy bardziej systematycznej. Poprzedził ją Żywot świętego Stanisława, o którym później powiemy. W owej księdze uposażeń *(Liber beneficiorum)* są nadania kapituł i kollegiat, probostw; są akta rządowe, przywileje, dyplomata erekcyjne, wykazy praw i dochodów. Nader to ważny materyał historyczny, zwłaszcza że ówczesna dyecezya krakowska daleko bardzo sięgała i była jedną z największych w kraju. Praca ta nigdy wykończoną nie została, chociaż Długosz niemało czasu na nią zużył. Pozostawała ona w rękopiśmie oryginalnym aż do ostatnich czasów w zbiorach kapituły krakowskiej.

Żmudne prace nad księgą uposażeń dyecezyi krakowskiej prawdopodobnie nasunęły Długoszowi myśl opisu całej Polski. Myśl ta została urzeczywistnioną w dziełku

Długosza, które ze względu na wiek swój, nadzwyczajnem mienić się może. Nosi ono tytuł: »Opis ziemi polskiej« *(Chorographia regni Poloniae).* Jest to geografia ówczesnej Polski, pierwsza dokładna, i pierwsza przez krajowca napisana. Opisów rozmaitych podróżników, cudzoziemców, lub obcych, którzy dłuższy nieco czas u nas bawili, niepodobna porównywać z opisem Długosza, który tą próbą geograficzną zasłużył na miano pierwszego geografa Polaka. Rozpoczyna on swe opowiadanie od opisu wodozbiorów rzek głównych, ich źródeł i ujścia, dopływów pierwszo i drugorzędnych; i tak idąc porzeczami wód, co są dla niego niby nicią przewodnią, wskazuje prowincye i miasta.

Geografia Długoszowa dwa razy była drukowaną przy jego historyi, w Dobromilu i w Lipsku. Praca ta wcześniej od innych spolszczoną została. Gustaw Borneman w r. 1840 przetłumaczył ją i wydał swój przekład w Wielkopolsce, w Lesznie.

Zostawiwszy opis ziemi ojczystej, opracował też niezmordowany Długosz i historyą znakomitszych rodzin szlacheckich. Dziełko owo, protoplasta studyów późniejszych Paprockiego i Niesieckiego, może być uważane jako niepospolity przyczynek do dziejów krajowych i miły upominek dla ziomków rozmiłowanych w badaniach heraldycznych. Jak zaś cenionemi były u tamtoczesnych prace heraldyczne, dość wspomnieć, iż Czesi (w roku 1584) udzielili za nie swój indygenat szlachecki naszemu Bartoszowi Paprockiemu.

Dziełko heraldyczne Długosza, którem torował drogę dla przyszłych dziejopisów szlachty, zaginęło od dawna; już w XVI wieku napróżno go szukano. Wiemy tylko, iż tytuł jego mniej więcej był taki: »O domach szlacheckich i herbach w Polsce, o ich początku i przyczynach«.

Zaznajamiając naród nietylko z ogólnym obrazem jego życia ubiegłego, ale i z pojedyńczymi takowego objawy, zostawił dziejopis wielce cenną historyą Kościoła

polskiego pod nazwą: »Żywoty wszystkich arcybiskupów i biskupów korony polskiej«. Nieszczęsny zbieg okoliczności, co trzymał długo w ukryciu wszystkie prawie dzieła wielkiego dziejopisa, lub opóźniał i wstrzymywał ich wyjście, okrywając część onych kurzem zupełnego zapomnienia, dotknął podobnymże ciosem i historyą kościoła krajowego. Uczony Kromer, biskup warmiński, polecił wprawdzie znakomitemu pracownikowi Tomaszowi Treterowi ukazanie światu całego rękopismu rzeczonego dzieła, ale skończyło się jedynie na wydaniu życiorysów biskupów poznańskich. Śmierć T. Tretera, która go zaskoczyła na zaraniu XVII stulecia, nie pozwoliła mu dokończyć rozpoczętego przedsięwzięcia.

Biografie arcybiskupów gnieznieńskich i biskupów kujawskich doznały smutniejszego jeszcze losu. Pierwotny ich tekst — w tymże XVII wieku — przerobił ksiądz Stefan Damalewicz; żywoty zaś biskupów płockich ksiądz biskup Stanisław Pomian Łubieński. Co się tycze dziejów innych dyecezyj, to historyą wrocławskich pasterzy wydał w XVIII już wieku Fryderyk Sommersberg; dzieje zaś dyecezyi krakowskiej, na łonie której strawił Długosz cały swój żywot kapłański, do dni naszych nie były wydanemi.

Spółczesna, surowa krytyka obwinia historyka o pewną przesadę w kreśleniu dziejów Kościoła polskiego. Jeżeli rzeczywiście owa ocena ma pewną podstawę, to w każdym razie i tu prześwieca wysoka miłość przeszłości narodowej, którą dziejopis stara się podnieść w oczach potomnych i otoczyć aureolą długiego istnienia, jedynie dla nadania tem większej sławy krajowi. Owa przesada była po części w obyczaju wieku, i brak wszelkiej krytyki historycznej przyczyniał się ku temu niemało.

Długo toczona walka o odzyskanie Pomorza, zwróciwszy uwagę wielkiego męża na widownię bojową ziem krzyżackich, natchnęła go myślą dwóch ksiąg, których

osnową stały się sprawy i rzeczy tyczące się rycerskiego zakonu. Jedną z tych ksiąg jest zupełny wywód i udowodnienie praw Polski do wybrzeży dolnej Wisły i Baltyku, posiadanych przez teutoński zakon. Księga owa, nosząca w swym łacińskim oryginale miano: *Liber et regestrum Regni et Regis Poloniae* etc. (Księga i spis Królestwa Polskiego i t. d.), składa się z licznych aktów, dokumentów i pojedyńczych świadectw wymownie głoszących, iż dzielnica teutońskich, zbrojnych mnichów, nazywająca się potem »Prusami królewskiemi«, jest składową cząstką Polski, jest prastarą ziemią Lechitów. Akta takowe i historyczne wywody tworzące treść rzeczonego dzieła, są zbiorem tychże samych dokumentów, które były podstawą głośnego w dziejach Piastowskiej epoki sądu papieskiego, odbytego w roku 1339 na zamku warszawskim. Umocowany wówczas legat od Stolicy Apostolskiej wyrokował, iż wszelkie prawa do rzeczonych posiadłości rycerzy krzyża są udziałem Polski i jej króla — Kazimierza III. Ten ostatni sam wywołał wdanie się kuryi. Wprędce bowiem po objęciu tronu osieroconego przez zgon płowieckiego pogromcy, szle on Jana Grota ze Słupcy biskupa krakowskiego do Awinionu, gdzie podówczas rezydował Benedykt XII, prosząc głowy Kościoła o rozstrzygnięcie długich i nader krwawych sporów z orężnymi mnichami, pałającymi nieskończoną żądzą zaborów i władzy. Papież, zdając się na sąd polubowny, wyznacza jako sędziów Gotharda de Carceribus proboszcza tituleńskiego i Piotra Gerwazego kanonika aniceńskiego, którzy przybywszy do Polski, obrali Warszawę, gród mazowiecki — a temsamem neutralny — za miejsce polubownego rozstrzygnięcia sprawy krzyżackiej z lechickimi władzcy. Ze strony królewskiej wprowadzał sprawę uczony prawnik, magister Barthold, syn wojewody z Raciborza; Zakonu zaś miał bronić Jakób, proboszcz z Arnolda (z dyecezyi chełmińskiej), lecz że wraz po wniesieniu sprawy i rozpoczęciu się obrad wy-

jechał, i na wielokrotne żądania stawać nie chciał, a zatem sąd zawyrokował zaocznie i wspomniany wyrok ogłosił w kościele św. Jana w Warszawie dnia 15 września 1339 roku.

Zbytecznem, mniemam, orzekać doniosłość tego dziejowego materyału, który z wielu innymi niemniej cennemi źródłami, wyświetlającemi stosunek Polski do dzielnic dolnej Wisły, czeka na historyka umiejącego należycie opracować zupełny obraz znakomitej sprawy ludów lechickich z germanizującymi żywioły krzyżackich osad. Doba krwawych zatargów z teutońskimi rycerzami, acz należy do tak odległej epoki dziejów naszych, nie jest wszelako pozbawioną nawet interesu obecnej chwili; w osiedleniu się bowiem Niemców poza Drwęcą i na wiślanych porzeczach widzieć należy jedną z wielu przyczyn następnych klęsk i wreszcie upadku Polski.

Takowe Długoszowe dzieło o Krzyżakach wyszło przed niewielu laty, bo dopiero w r. 1855 opuściło prasę w Poznaniu, staraniem nieodżałowanej pamięci Tytusa Działyńskiego, który manuskrypt, przedtem wcale nieznany, wydostał z zupełnego zapomnienia i drukiem utrwalił.

Podobnie jak buńczuki zniesionych koszów tatarskich zawieszano na ścianach wawelskiej katedry, tak również w niemniej ciężkich bojach zdobyte chorągwie krzyżackich hufców znalazły tam chlubne schronienie. Pierwsze natchnęły Szajnochę szczęśliwą myślą skreślenia ślicznego szkicu pod nazwą »Brody krzyżackie«. Drugie zaś trofea — zdobycze Grunwaldu — już nie na niewiernych najezdnikach, lecz na chrześciańskich rycerzach zdobyte — podały treść Długoszowi do napisania jednej z ksiąg historycznych, traktujących o Krzyżakach.

O pierwszem dziełku Długoszowem, poświęconem wyłącznie sprawom teutońskich mnichów, rzekliśmy przed chwilą; o drugiem, niemniej o nich mówiącem, wnet opowiemy.

Głośny bój grunwaldzki dostarczył niemało tych ry-

cerskich ozdób królowej naszych świątyń, dotąd panującej na zdeptanem obcemi stopy wzgórzu Wawelu... Codzień patrząc na owoce tryumfu polskiego oręża, zdobiące katedralny przybytek stołecznego grodu, powziął Długosz myśl opisu chorągwi krzyżackich, przywiezionych przez starego Jagiełłę z pól Grunwaldu.

W taki to sposób utworzyło się drugie dziełko o zbrojnych mnichach teutońskiego zakonu, noszące miano: *Banderia Cruciferorum in Prussia* (Chorągwie krzyżackie). Miał u siebie ową pracę Długoszową ostatni król z Jagiellońskiego rodu, z którego księgami ona przeszła do Batorowskiej akademii w Wilnie; w połowie zaś XIX stulecia przypadkiem wynaleziona na pułkach księgozbioru krakowskiej wszechnicy, wydobyta została z pyłu zapomnienia i ocalona od zatraty staraniem i pracą swego wydawcy Józefa Muczkowskiego.

Spotykamy kilka rozpraw Długosza, których zapewno więcej było, lecz cztero-wiekowa dawność zatraciła je bezpowrotnie. Wśród nich Żywot Św. Stanisława i Życie Św. Kingi (Kunegundy) doszły do nas, i o nich rzec chcemy słów parę, zanim przystąpimy do największej i najcelniejszej Długoszowej pracy, do jego tak zwanej kroniki, czyli dziejów narodowych.

Wcześniejszy od *Liber beneficiorum* (t. księgi uposażeń duchownych dyecezyi krakowskiej), najpierwszym zatem utworem pióra Długosza jest »Żywot Św. Stanisława biskupa krakowskiego«. Księga ta opracowaną była dla uczynienia zadość chęci Oleśnickiego, pragnącego mieć biografię swego poprzednika na wawelskiej katedrze. Jednym z zasobów do odszkicowania postaci świętego męża, którymi historyk się posługiwał, był życiorys błogosławionego pasterza, napisany przez anonima na sto lat przed dobą praojca naszych dziejopisów; nie mówiąc o aktach kościelnych, licznych podaniach, żyjących w ustach mas i zachowujących jeszcze pewną świeżość.

Ze wszystkich dzieł pióra Długoszowego »Żywot Św. Stanisława« najdawniej ukazał się w druku. Wytłoczono go u Hallera w Krakowie we trzydzieści lat po zgonie autora, t. j. w r. 1511.

»Życie Świętej Kingi«, czyli Kunegundy, żony Bolesława Wstydliwego, uważać można za materyał kanonizacyjny; skreślone zaś było dla pamięci Jakóba z Sienna, stryjecznego brata kardynała Zbigniewa, który miał się starać o beatyfikacyę świątobliwej księżnej.

Książeczka owa, podobnie jak wszystkie dzieła dziejopisa, napisana po łacinie, ukazała się w druku w Krakowie, w pierwszych latach XVII wieku, lecz nie w pierwotnej postaci; przeodział ją bowiem w polską szatę ks. Przesław Mojecki, dziekan kamieniecki w r. 1617. Dwom kapłanom zawdzięczamy wczesne upowszechnienie tej pracy Długoszowej. Przepolszczył ją ks. Mojecki, a Jan Foks archidyakon krakowski wynalazł i wydał rękopism, spoczywający półtorasta lat na półkach książnicy sądeckiego klasztoru zakonu św. Klary, fundowanego przez błogosławioną księżnę. Z urzędu wizytatora zwiedzając Foks klasztor w Starym Sączu, odszukał rzeczony manuskrypt, może dar samego żywociarza, przebywającego pewien czas ze swymi uczniami na zameczku sądeckim.

W księdze I-ej, roz. XIII., żywota małżonki Wstydliwego, czytamy wzmiankę o istniejących już u nas kopalniach soli w Wieliczce i Bochni przed św. Kingą. Wobec powagi historyka upada piękna legenda, mocno w kraju upowszechniona, przypisująca świątobliwej księżnej cudowne odkrycie tych kopalń.

Ponad wszystkiemi tu przytoczonemi piśmienniczemi Długosza sprawami, najwyżej stoi i ogromem i doniosłością celu, i obrobieniem, tudzież wysoką wartością dla naszej historycznej nauki, jego »Historya Polski«.

Ćwierć wieku zużył Długosz, mnóstwo trudów i kłopotów zniósł cierpliwie, zanim nie skończył swego dzieła

historycznego, czyli raczej, zanim śmierć nie wytrąciła mu pióra z dłoni i iskierki pracowitego życia z myśli i piersi. Od roku bowiem 1455 do dnia zgonu w r. 1480, prowadził Długosz nieustannie swą pracę historyczną; pracę tem większą i uciążliwszą, że całe prawie ćwierć wieku zapełnione było mnóstwem zabiegów dyplomaty, mnóstwem trosk o rzeczy publicznej, iż podczas tej długiej doby życia poświęcał on całego siebie nieustannie to sprawom krajowym, to podróżom odległym, to zabiegom i twardej pracy pedagoga, to ścierał się w szeregach kapituły krakowskiej, czyniąc opór władzy królewskiej, to tułał się lat parę poza murami Krakowa, czy też dłużej; to jeździł do Jerozolimy; i parę razy w domowych progach długą niemocą bywał przykuty do łoża cierpień i na niedołężne bezrobocie skazany.

Zważywszy te wszystkie okoliczności — czas, myśl, możność pracy pochłaniające — bezbrzeżnem się staje zdumienie nasze, iż zdołał on tę nić szarą codziennego trudu snuć bez przerwy, iż po dwudziestu pięciu latach taż sama energia, tenże zapał go ożywia, jak podczas doby młodzieńczej siły, iż osiwiały, nad grobem stojący, podnosi on również wysoko sztandar swej myśli przewodniej, jak w dniach młodości.

Niwa nasza dziejowa w latach poprzednich Długosza odłogiem leżała. Dawni kronikarze od dawna spoczęli w mogiłach. Po Janku z Czarnkowa, archidyakonie gnieźnieńskim, który zstąpił do mogiły na lat kilkanaście przed przyjściem na świat Długosza, nie widzimy w Polsce w XV wieku człowieka, co mocen by był sprostać zadaniu dziejopisarza. Kompilatorowie, przepisywacze, rocznikarze, ludzie mniejszego uzdolnienia lub bardziej poziomych poglądów, ujmują pióro kronikarskie po Janku z Czarnkowa osierociałe — i dzieje krajowe niezmiernie cierpią na tem. Wyższe umysły nie podnosiły owego lemiesza pracy, lubo na tych wyższych umysłach podówczas nam

nie zbywało. Pisze nieco Jan Dombrówka; rozprawę dziejową kreśli mąż głębokiego rozumu Grzegorz z Sanoka; uwagi o pisaniu dziejów wyprzedzające swój wiek podaje Piotr z Bnina; lecz żaden z tych świeczników swej epoki do opracowania systematycznego historyi własnego kraju nie zasiadł. Doba przeto oddzielająca kronikarskie Jana z Czarnkowa od chwili wstąpienia na widownię piśmienniczą Długosza, wydaje na niwie historycznej ludzi mniejszych uzdolnień, wobec których nadzwyczaj uwydatnia się dziejopisarska praca Długosza. Owo ubóstwo nietylko u nas spotyka się na niwie dziejopisarskiej; powszechnem jest ono w tej epoce. Filip de Commines, pamiętnikarz francuski, który poważne zajął stanowisko w literaturze historycznej przy końcu XV w., stoi znacznie niżej od Długosza względnie do wartości moralnej swych prac. Filip de Commines hołduje sile, schlebia namiętnościom, usprawiedliwia kroki niemoralne, wprowadzając rozbrat między polityką a moralnością. Jakże różnem, jak o całą wyżynę chrześcijańskiej moralności wyższem jest zapatrywanie się Długosza na dzieje i główne działań czynniki. Wedle systemu naszego dziejopisarza, jak już wyżej o tem mówiliśmy, prawda jest główną dźwignią i siłą wypadków dziejowych. Niedość, iż żaden czyn niemoralny usprawiedliwiony przez Długosza nigdy nię był, ale każdą klęskę, każde doniosłości większej zdarzenie tłumaczy on »moralną wartością tej sprawy«. Porażka na polu walki jest, wedle Długosza, następstwem nie braku męstwa żołnierzy, lub talentu wodza, ale nizkiego moralnego poziomu szeregów zwyciężonych. Przekonanie to nie było zresztą wyłączną właściwością naszego dziejopisa: podzielał je nietylko w teoryi, lecz w życiu, w czynie, przyjaciel jego od lat dziecinnych, Sędziwoj z Czechela (inaczej zwany Sandek), który na wieść klęski naszej, zadanej Kazimierzowi Jagiellończykowi przez Krzyżaków pod Chojnicami, idzie boso we włosienicy z Krakowa do Brześcia (kujawskiego),

dokąd się król był cofnął, a stanąwszy w obozie, żarliwe, stosowne do okoliczności powiedział kazanie, przypisując klęskę doznaną »karze Boskiej za występki i różne nadużycia rycerstwa« [1]).

Historya powinna być pochodnią światła dla następnych pokoleń, twierdził Długosz, i w całej swej pracy dziejopisarskiej myśl tę urzeczywistnić się starał, dając wskazówki postępowania dla potomnych. Wyraźnie nacisk sam na to kładzie, iż historya ma być »mistrzynią przyszłości«... »Chciałem — powiada dziejopis w innem miejscu — aby królowie, książęta i inni, co Rzecząpospolitą zarządzać mają, naśladując przykłady najdzielniejszych mężów przez historyków spisane, kształcili duszę, a w celach i w czynnościach szli za wzorem ludzi cnotą i przewagami słynących«...

Zacnej tej chęci stało się zadość. Historya Polski w dwunastu księgach przez Długosza skreślona, nie jest już kronikarskiem zebraniem pojedynczych faktów chaotycznie zebranych na kartkach manuskryptu. W opowiadanem obecnie dziele Długoszowem wypadki wedle pewnego systematu są ugrupowane, a myśl przewodnia jedna całemu dziełu przyświeca. Pisząc geografię Polski, później zaś wykończając długie lata historyę narodu, chciał, by tłumy szlachty, które wówczas właśnie coraz gromadniej cisnęły się do steru spraw krajowych, poznały ów kraj, jego przeszłe i owoczesne dzieje, i poznawszy umiłowały taką miłością, jaką on go miłował. Dziejopis rządził się znać wskazówką wielkiego apostoła narodów, który rzekł: »Z wielkiego ucisku i utrapienia serca i z wielą łez pisałem wam, nie żebyście mieli być zasmuceni, ale żebyście miłość poznali, którą obficie mam przeciwko wam« [2]).

Kierując się tą zasadą w całem swem dziele, Dłu-

---

[1]) Długosz, wyd. lips. ks. XII.

[2]) Św. Paweł, list wtóry do Koryntów, II, 4.

gosz jak nigdy w życiu, tak i w księdze owej nie schlebiał nikomu, nie ukrywał błędów, nie zabaczał o karceniu złego, bez względu gdzieby ono nie krzewiło się, bodaj na szczycie tronu. Wielka miłość narodu była dlań bodźcem i drogowskazem w tej pracy. Przygotowywał się do niej długo i należycie. Badał roczniki, kroniki, i znane nam, i zaginione już teraz; spisywał podania, przysłuchiwał się do głosu tradycyi Piastowskiej epoki, która tworzyła dla niego ulubioną dobę, korzystał z archiwów, bibliotek. Wszystko to było źródłem dla opowieści o czasach dawniejszych; późniejsza zaś doba miała większą obfitość materyału. Dni Jagiellońskie były mu wybornie znane tak z opowiadań Zbigniewa, jak niemniej z jego domowego archiwum, ze śladów piśmiennych, z listów i dyplomatów, z wypadków, które na własne oczy oglądał, i na bieg których nieraz przeważnie wpływał.

Dla bliższego rozpatrzenia się w źródłach dziejowych, w późnym już wieku języka Rusinów uczył się historyk. Potrzebnem mu to zapewne było dla czytania Nestora i »letopisców« rusko-litewskich. Mowa Niemców znaną mu również nie była, dlatego więc każe sobie tłumaczyć kronikę Wiganda.

Jednem słowem, do swej historyi, jak sam to powiada, »starał się włączyć wszystko, co przed nim o Polsce pisano«... Że nie żałował niezmordowany pracownik ani trudów, ani kosztów, ani podróży w celu wynalezienia źródeł, słyszymy to z własnych jego ust, gdy na śmiertelnem łożu kreślił ostatnie stronice swego dzieła, omdlewająca zaś dłoń zwiastowała mu koniec życia i historyi zarazem... »Po wielu zgłębianiach i namyślaniu się mozolnem — pisze on — po niemałych podróżach, które przedsiębrałem, i zachodach, które podejmowałem dla wyszukania źródeł domowych i obcych do dziejów naszych, po obelgach i obmowach, po ubliżeniach i naganach, unoszę się niedrobną radością wśród dolegliwości

i na łożu boleści, żem doprowadził do końca rozpoczęte dzieło«.

Z dwunastu ksiąg, na które się rozpada Długoszowa »Historya Polska«, w pierwszej zawarł autor czasy przedchrześcijańskie; wypadki od Mieczysława do Jagiełły tworzą ośm następnych ksiąg; trzy zaś ostatnie są dziejami czasów Jagiellońskich. Przyjaźny, jak wiemy, bardziej epoce Piastów niż Jagiellonów, oddaje się kreśleniu rzeczonej doby historycznej z niezmiernem upodobaniem. Są tam ciekawe szczegóły, jakich napróżno szukanoby gdzieindziej, gdyż Długosz czerpał ze źródeł już obecnie niepodobnych do znalezienia; i to właśnie jest jego zasługą niemałą, że zewsząd czerpiąc, zostawił nam wskazówki o faktach, które gdyby nie Długoszowa skrzętna zapobiegliwość, na zawszeby dla nauki zaginęły, pierwotne bowiem źródła uległy zniszczeniu.

Charaktery osób, wypadki uwydatniają się w jego opowiadaniu z mocą przed ową epoką nieznaną. Opowieść dziejowa przestaje być suchem, bezbarwnem wyliczeniem faktów, ale zaczyna już drgać życiem, nabiera dotąd nieznanego kolorytu, z powodu wprowadzenia na karty dziejów mów i rozpraw głównych działaczy, dorzucenia szczegółów z życia domowego i obyczajów narodu.

Epoka Jagiellońska najbardziej cenną jest częścią jego historyi. Główne to dziś źródło do historyi Kazimierza Jagiellończyka, której niepodobna dokładnie zbadać bez znajomości historyi Długosza. Ostatnie przezeń opowiadane lata przynoszą mu coraz obfitszy materyał dziejowy; znane mu tam wszystkie uboczne okoliczności; włącza więc do epoki zamykającej jego historyę wiele drobnych szczegółów, powtarza się, i rozwlekłemi temsamem są niektóre z jego kart ostatnich. Niemniej jednak ze wszystkimi braki, jakich można nieco upatrzeć w dziele, co nie w chwili natchnienia stawało, niby posąg ulany jednym rzutem ognistej lawy, ale pracowicie w ciągu ćwierci

wieku po jednej cegiełce wznosiło się, historya Długoszowa nie przestanie być nigdy w naszem dziejopisarstwie wielkim pomnikiem, świadczącym o rozwoju niepospolitym naszego narodu w onej odległej dobie. Długosz swą pracą historyczną słusznie zdobył dla siebie miano pierwszego polskiego historyka. Zasługi dziejopisarskie łączą się w nim z zasługami licznemi na innych polach; z zasługami statysty, obywatela, niepospolitej gorliwości kapłana Polaka; wszystko, jak widzieliśmy, wzniosłe w nim i wielkie, iż zaiste nie wiemy obecnie, która z tych wielorakich działalności góruje, która bardziej sięga szczytu sławy i na większy hołd narodu zasługuje.

Ze smutkiem tylko widzimy, iż nie wyniósł się nad obyczaj wieku i nie zostawił ani jednego dzieła w języku ojczystym — wszystkie pisał po łacinie. Mowa krajowa, stosownie do powszechnie przyjętych wówczas poglądów, nie mogła być użytą do prac piśmiennych wyższej doniosłości. Kazania nawet miewane po polsku, jeśli chciano potomnym przekazać, tłómaczono na język łaciński, i w tej obcej szacie wpisywano do roczników lub kronik świątyni. Wobec powszechnego hołdowania obcej mowie, która w one lata była w całej Europie ogólnie przyjętym, wspólnym wszystkim narodom językiem uczonych, dyplomatów i znamieniem wyższej inteligencyi, bez względu na to, pod jakiem niebem wzrosła ona i rozwinęła się, nic dziwnego, że i Długosz oprzeć się nie był mocen ogólnemu prądowi, i zabacza o języku własnym dla ogólnie przyjętej łaciny. Nie zmniejsza to wszakże u niego miłości dla swej ziemi, języka i obyczaju. Wielką też miłością natchniony, na kartach swej historyi wznosi się niekiedy na wyżyny ducha dla innych niedościgniona i ze szczytu takowych widzi czarną przyszłość narodu oddzieloną od dni jego olbrzymią przestrzenią czterech stuleci... Wieszczy duch jego poprzedza jasnowidzenia Skargi, i niemniej twardemi słowy, nie z kazalnicy, lecz na kartach dziejów wzywa

do opamiętania, grozi klęskami przyszłości, wystawia złe i nudużycia; jawnie, szczerze je kreśli, niczem się nie krępując. Łzy bolu słyszeć się dają w słowach jego, gdy wzywa do pilnego czuwania nad jutrem narodu, gdy pełen proroczego natchnienia rzuca na papier tchnące wielką prawdą a wieszcze zarazem słowa: »Jesteśmy lekkomyślni i próżni — mówi — obracamy w śmiech duchowne i świeckie ustawy... za najlepszych siebie mając, nie pamiętamy, że na nas samych lub potomków chłostę ściągnąć musimy. Zaiste, taki stan rzeczy, przeciwny Bogu i ludziom, skończy się kiedyś okropnie... Opatrzność wstrzymuje nad nami karę, gotując nam podobno los gorszy, niżeli winowajców, bo potępieńców«...

Słowo to groźne, acz natchnione miłością bezbrzeżną dobra publicznego, niemile brzmiało w uszach narodu niewytrwałego w przedsięwzięciach i odwracającego się po wsze czasy od rzeczywistości, lubiącego błądzić w dziedzinach marzeń. Losy więc manuskryptu historyi Długoszowej smutnymi się stały. Nikt go długo drukować nie śmiał, zbyt bowiem bezstronnym, zbyt sumiennym był praojciec naszego dziejopisarstwa. Mocno wierząc, że historya jest mistrzynią następnych pokoleń, rzewnemi słowy w ostatnich dniach życia wzywa Długosz uniwersytet krakowski, ludzi miłujących naukę, aby pracę jego dalej prowadzili i zaginąć jej nie pozwolili. Zaklina ich najuroczyściej, aby uchwalili przy owej najwyższej w kraju uczelni posadę historyografa, któryby »stosownie uposażony, od wszelkiej pracy, zatrudnień i obowiązków wolen, jedynie historyą zajmował się«... Głos Długosza przebrzmiał bez następstw. Posada historyografa nie stanęła; pracy Długoszowej nie uzupełniano, i zupełny rękopism tej szacownej historyi w szacie druku, bez opuszczeń i błędów, po raz pierwszy dopiero za dni naszych zdołał wyjść. Autograf historyi Długoszowej do XVIII wieku

spoczywał w bibliotece uniwersytetu krakowskiego, lecz później do rąk prywatnych przeszedł.

W początkach XVII wieku wzięto się po raz pierwszy do druku historyi Długosza. Bezstronność sądu przyczyną była, iż przepisywano ją wprawdzie, i w licznych odpisach rozbiegała się ona po kraju w ułamkach, lub w mniej więcej zupełnym tekscie, ale żaden nakładca od końca XV do początków XVII wieku nie odważał się jej drukować. Znana drażliwość naszego narodu na słowo prawdy, i zamiłowanie zamykania oczu, gdy nieubłagana logika wypadków grunt z pod nóg usuwa, sprawiły, iż zaledwie w r. 1615 Jan Feliks Herburt, który po ojcu swym Janie Herburcie kasztelanie sanockim rękopism odziedziczył, wydał sześć pierwszych ksiąg historyi Długosza, we własnej drukarni w Dobromilu. Dzieje w tych pierwszych sześciu księgach zaledwie do roku 1240 są doprowadzone. Przy dobromilskiem wydaniu historyi jest umieszczony życiorys Długosza, pióra nieznanego autora, współczesnego wszakże drugiej połowie XV wieku. Znać znał on praojca naszych dziejopisarzy, patrzył na jego życie nieskazitelne, pełne pracy i pożytku dla kraju, i wiernie je nam odtworzył. Krytyczne badania naszego piśmiennictwa autorem życiorysu owego mienią Marka Bonfilio, Włocha mieszkającego w Polsce za dni Długoszowych. Gustaw Borneman przełożył biograficzną tę pracę Marka Bonfilio na język Polski około połowy naszego wieku.

Po dobromilskiem wydaniu historyi Długoszowej dopiero w sto lat cudzoziemiec niemieszkający nawet w Polsce, Henryk ab Huysen (Westfalczyk, z pochodzenia Holender, nauczyciel syna Piotra Wielkiego) wydał w Lipsku w r. 1712 dwanaście ksiąg historyi Długosza, które to wydanie do dni naszych było jedynem, zupełnem wydaniem, chociaż i w niem bez błędów i opuszczeń nie obeszło się. Tak więc z rąk cudzoziemca otrzymaliśmy pierwsze mniej

więcej zupełne wydanie prac historycznych Długosza. Około połowy naszego wieku rozpoczęła się godzina uznania dla prac i zasług wielkiego męża. Gustaw Borneman, kilkakroć przez nas wspomniany, tłumaczy Długoszową »Historyą Polski«, lecz na jedynastu zeszytach pracę swą przerywa. Obudza to wszakże pamięć protoplasty krajowego dziejopisarstwa i wielkiego ziemi swej miłośnika wśrod szerszych kół inteligencyi krajowej; naród spostrzega się, iż przez szereg wieków zabaczał o wielkim swym obywatelu; uznanie, chociaż spóźnione, wzrasta powoli wprawdzie, ale statecznie....

Najwyższym stopniem uznania, jaki naród złożył pamięci wielkiego męża, był to zamiar dopiero w drugiej połowie XIX wieku podniesiony przez Towarzystwo naukowe krakowskie, na wniosek uczonego badacza naszej przeszłości hr. Aleksandra Przeździeckiego, zamiar wydania wszystkich dzieł Długosza. Dzięki obywatelskiej gorliwości Aleksandra Przeździeckiego, wyszły w Krakowie wszystkie dzieła historyka polskiego wraz z ich przekładem na język ojczysty. Przekładu XII ksiąg historyi Długoszowej dokonał profesor uniwersytetu krakowskiego Karol Mecherzyński.

Jeśli późniejsze wieki zapomniały o Długoszu, pozwalały jego rękopismom całe stulecia czekać na wydawców, chociaż i w owe czasy zdarzały się objawy wyjątkowej czci dla jego prac dziejopisarskich, ostatnie dni historyka czcią i uznaniem były otoczone. Rodzina Jagiellońska dawała tu dobry przykład. Zgasł on w Krakowie w maju 1480 r., po długiej chorobie, wśród której wszakże wciąż pracował nad wykończeniem swych dziejów.

Pogrzeb Długosza był wielkim hołdem czci ówczesnej stolicy polskiej. Dawni uczniowie dziejopisa, królewicze, ciało uniwersyteckie, wszystkie znakomitości świeckie i duchowne, tudzież tłumy ludu otaczały jego trumnę i odprowadzały na Skałkę, gdzie w kościele Św. Stani-

sława, przy którym Paulinów klasztór fundował, złożone zostały.

Zamiast pomnika, którego mu nie postawiono, zostały dzieła wielkiego męża, została pamięć jego cnót domowych i publicznych, co nam do dziś przyświecają wiekuiście gorejącą pochodnią i wzywają obecne pokolenia do naśladowania wzorów prastarej przeszłości.

Pożyteczny żywot dziejopisa — obywatela staje się przykładem dla licznych pokoleń, imię zaś jego, unieśmiertelnione na kartach historyi i w sercu wdzięcznego narodu, tyle stuleci brzmieć będzie na niwach ojczystych, jak długiem jest życie słowa polskiego na ziemi.

W Dauryi Nerczyńskiej
i na Niżu Dnieprowym. 1865—1880.

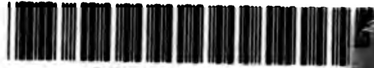
TREŚĆ.

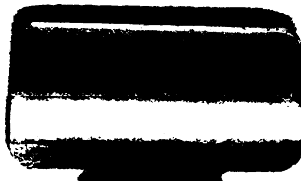


Stronica.

1. Osadczy ziemi Mandżu w XVII stuleciu . . . . 1— 56
2. Gniazdo hetmańskie . . . . 57— 92
3. Czarniecki w Danii . . . . 93—168
4. Miłość wieków ubiegłych . . . . 169—192
5. Jeden dzień z życia Piotrkowa w XVIII. wieku . . . . 193—216
6. Jan Długosz, pierwszy dziejopis Polski . . . . 217—290




U.C. BERKELEY LIBRARIES
C022619451



O. Bunimowicz
Wilno-Warszawa